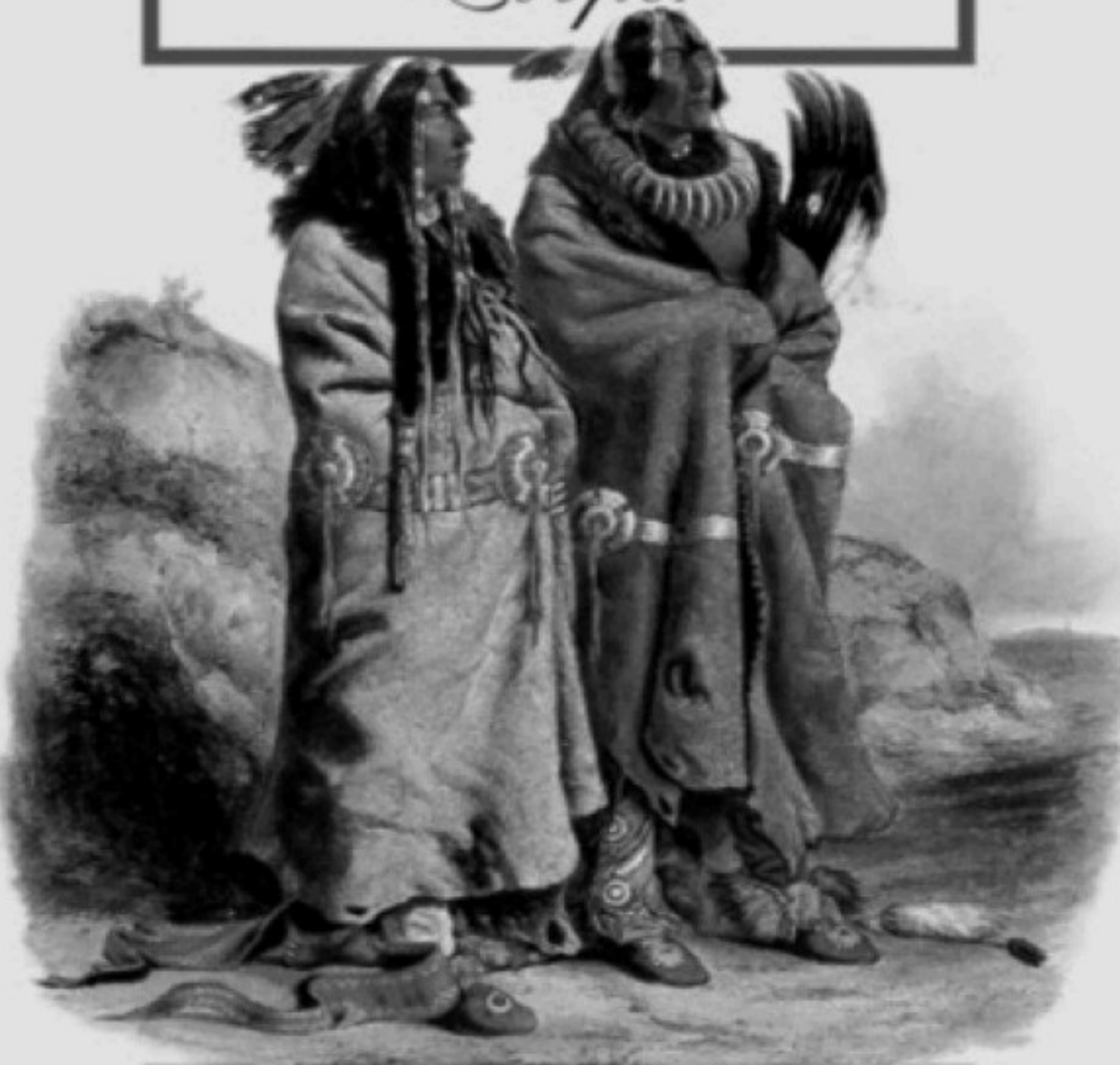




PIONIERZY

*James Fenimore
Cooper*



COOPER JAMES

FENIMORE

Sokole oko #4 Pionierzy

James Fenimore Cooper

Przełożył Tadeusz Evert

Warszawa 1990

iskry

Tytu) oryginału The Pioneers

Opracowanie graficzne Janusz Wysocki

Teksty poetyckie przełożył Włodzimierz Lewik

Redaktor Monika Dutkowska

Redaktor techniczny Anna Kwaśniewska

Korektor Grażyna Henel

Wydanie VI (I skrócone)

For the Polish edition copyright (c) by Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1990

ISBN 83-207-1198-3

Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1990 r.

Nakład 69 800 + 200 egz. Ark. wyd. 17,6. Ark. druk. 19.

Papier offset, kl. V, 70 g, 61 cm (rola). Rzeszowskie

Zakłady Graficzne. Zam. nr 5044/88 A-97.

Z I. A

Zima nadchodzi, żeby rok markotny Smętnie obdarzyć codziennym orszakiem Burz, chmur i mgławic...

Thomson

Niedaleko środka Stanu Nowy Jork rozciąga się spory szmat ziemi, którego powierzchnię kształtują na przemian góry i doliny. Z tych właśnie wzgórz wypływa rzeka Delawar. Stąd też z przezroczystych jezior, z tysiąca źródeł owej okolicy biorą początek liczne strumienie Susauehanny, które wijąc się dolinami łączą się wreszcie w jedną z naj-dumniejszych rzek Stanów Zjednoczonych. Góry są przeważnie uprawne aż po szczyty, ale nie brak w tych stronach również zboczy górskich najeżonych skałami. To przydaje krajobrazowi wiele malowniczości i romantycznego uroku. Doliny są wąskie, żyzne i uprawne; w każdej z nich wije się strumień. Piękne kwitnące osiedla wznoszą się nad brzegami małych jezior i w tych miejscach nad rzeczkami, gdzie manufaktury najłatwiej mogą się rozwinąć. W dolinach i w górach, nawet na ich szczytach pełno jest farm schludnych, dobrze urządzonych i dostatnio zagospodarowanych. Drogi biegną we wszystkich kierunkach: od dolin o uroczych i gładkich dnach aż do najbardziej urwistych i krętych przełęczy. Człowiek wędrujący tym górzystym krajem co parę mil napotyka akademię* lub szkołę niższego stopnia. Obfitość przybytków kultu boskiego świadczy, że mieszka tu lud obyczajny i skłonny do medytacji, a różnaitość kościołów i ich obrządku wypływa niewątpliwie z niczym nie skrępowanej wolności sumienia. Słowem, okolica ta na każdym kroku świadczy, jak wiele można dokazać, nawet w surowym klimacie i dzikim kraju, pod rządem łagodnych praw, i wówczas, gdy każdemu leży na sercu dobro ogółu, którego jest częstką. Wysił-

Akademia – szkoła publiczna, drugi stopień nauczania powszechnego.,

kom pionierów, pierwszych osadników, dzielnie potem sekundował mozolny i uparty trud farmerów. Trudno uwierzyć, że zaledwie czterdzieści lat temu* kraj ten porastała puszcza.

Nasza opowieść zaczyna się w roku 1793. To znaczy mniej więcej w siedem lat po założeniu jednego z pierwszych osiedli, które przyczyniły się do tak bajecznego przeobrażenia i rozwoju wspomnianego na początku kraju.

Tuż przed zachodem słońca, pewnego jasnego, mroźnego grudniowego dnia, pod górę jechały sanie, nazywane tu sleigh*. Pogoda była niezwykle piękna. Na błękitnym niebie żeglowały najwyżej dwie lub trzy chmury rozjaśnione refleksami światła odbitego w śniegu, który grubą pokrywą zaścielał ziemię. Droga wiała się nad stromym urwiskiem. Jej wewnętrzny skraj przebiegał wzdłuż skał podciętych dla

poszerzenia drogi na ówczesne potrzeby, a zewnętrzny wspierał się narusztowaniu z bali. Dwie koleiny, dwustopniowej głębokości, w których z trudem mieściły się sanie, znaczyły drogę. W dolinie, o kilkaset stóp poniżej, leżała polana, czyli "wyrąb", na której widać było powstającą osadę. Sam szczyt jednak wciąż porastała puszcza. Mroźne powietrze skrzyło się miliardami klejnotów, a sierść kasztanów wprzęgniętych w sanie gęsto pokryła się szadzią. Z ich nozdrzy buchała para, a wszystko wkoło, jak i każdy szczegół stroju podróżnych, wyraźnie wskazywało na ostrą zimę w tych górach.

Uprząż koni, matowoczną, w porównaniu z dzisiejszą – błyszczącą lakierem, zdobiły wielkie mosiężne skuwki i sprzączki. W ukośnych promieniach słońca świecącego przez korony drzew lśniły one jak złote. Na gęsto nabitych główkami gwoździ wielkich siodłach, nałożonych na czapraki, wznosiły się cztery kwadratowe wieżyczki, przez które biegły lejce do rąk woźnicy, dwudziestoletniego Murzyna. Mróz pocętkował mu z natury lśniącą czarną twarz, a z dużych, błyszczących oczu wycisnął łzy: daninę, którą w tym kraju synowie Afryki zawsze musieli, składać. Lecz mimo to woźnica uśmiechał się pogodnie na myśl

Autor pisał tę powieść w roku 1823 (przyp. autora)., '

Sleigh – tak w Stanach Zjednoczonych nazywają pewien rodzaj sanek. Nazwa ta prawdopodobnie przyszła z zachodniej Anglii, gdzie znany jest ten typ pojazdów. Amerykanie odróżniają sleigh od zwykłych sanek: płozy sleigh mają żelazne okucia. Sleigh bywają jedno- i dwukonne. Jednokonne mogą być cutter, w których dyszle pozwalają koniowi iść koleiną, albo pung czy taw-pung, o jednym dysziu, albo też gumper – proste sanie sklecone w nowych osiedlach dla doraźnych celów. Sanki amerykańskie są przeważnie' bardzo eleganckie, chociaż w miarę wycinania lasów i, co za tym idzie – łagodnienia klimatu, ten rodzaj lokomocji zanika (przyp. autora).

0 bliskości domu, jego ciepłe i wigilijnych radościach. Sanie były wielkie, wygodne, staroświeckie i mogły pomieścić całą rodzinę, ale teraz siedziało w nich tylko dwoje pasażerów, nie licząc Murzyna. Z zewnątrz były pomalowane na delikatną zieleń, od wewnątrz – na płomienną czerwień, niewątpliwie po to, by w tym mroźnym klimacie stworzyć atmosferę ciepła. Oparcie i całe wnętrze wyoszczędzono olbrzymimi skórami bawołów, obszytymi frędzlami z czerwonego materiału. Skóry te otulały też nogi podróżnych – mężczyzny w kwiecie wieku

1 młodej dziewczyny na progu życia. O mężczyźnie można tyle tylko powiedzieć, że był krzepkiej budowy, bo nic więcej nie dało się dojrzeć spod szczelnie okrywającej go zimowej odzieży. Miał na sobie szeroki i długi płaszcz obficie obsyty futrem, w który otulił się po uszy; głowę nakrył kunią czapką podbitą safianem. Nauszniki opuścił na uszy i zawiązał pod brodą czarną taśmą. Z czubka tej czapki zwisał kuni ogon, z fantazją opadający na ramiona podróżnego. Z na pół odsłoniętej twarzy widać było, że jest to przystojny mężczyzna, a duże niebieskie oczy zdradzały

niezwykłą inteligencją, zmysł humoru i pogodne, dobrodusze usposobienie.

**Jego towarzyszka dosłownie tonęła w futrach i jedwabiach, które wyglądały spod wielkiego i obszernego, najwidoczniej męskiego palta na grubej flanelowej podszewce. Czarny jedwabny kaptur, podbity puchem, ukrywał jej twarz, pozostawiając tylko mały otwór do oddychania, przez który czasem można było dojrzeć parę błyszczących, żywych L czarnych jak smoła oczu. **

Ojciec i córka (bo takie więzy łączyły oboje podróżnych) zbyt byli zamyśleni, by przerwać ciszę, czasem tylko mąconą skrzypieniem sań lekko sunących po śniegu. Ojciec przypominał sobie, jak to jego nieboszczka żona cztery lata temu, niechętnie rozstając się z jedynaczką, tuliła ją do serca. Zgodziła się na tę rozłąkę, bo wówczas ich córka mogła się kształcić tylko w Nowym Jorku. A w parę miesięcy później umarła mu żona – ta jedyna towarzyszka samotności. Był jednak zbyt trzeźwym ojcem, by przerwać edukację córki, odebrać ją ze szkoły i sprowadzić do głuszy, w której sam żył.

Myśli córki nie były tak melancholijne. Dziwiły ją i radowały nowe widoki, które odkrywały się przed nią za każdym zakrętem drogi. Podróżni nie czuli wiatru, ale wierzchołki jodeł kołysały się majestatycznie, a ich żafosny i płaczliwy poszum doskonale harmonizował ze smętnym krajobrazem..

Sanie ujechały już kawał drogi po równym śniegu, dziewczyna ciekawie a może nawet lękliwie wpatrywała się w głąb lasu, gdy nagle pod jego stropem rozległo się donośne i przeciągłe ujadanie, jakby spuszczonej sfory psów. Mężczyzna natychmiast zawołał do Murzyna:

–Stań, Aggy! To stary Hektor. Poznam go wśród tysięcy głosów! Skórzana Pończocha skorzystał z pięknego dnia i poluje z psami w tych górach. Widzę przed nami ślady jelenia. Bess, jeżeli nie boisz się huk, obiecuję ci wspaniałą pieczeń na Boże Narodzenie!

Radosny uśmiech rozpromienił zmarznięte oblicze Murzyna. Zatrzymał konie i począł zabijać zdrętwiałe ręce. Jego pan zaś zerwał się. odrzucił na bok okrywające go skóry i wyskoczył prosto w zaspę.

W mgnieniu oka podróżny wy dostał dubeltówkę ptaszniczkę spod licznych kufrów i puzder. Zdjął grube, wełniane rękawice naciągnięte na futrzane, badawczym okiem spojrzął na panewkę i właśnie ruszył naprzód, gdy usłyszał szelest zwierza przedzierającego się przez las. Po chwili ujrzał tuż przed sobą wspaniałego kozła, który wychynął nagle i jak błyskawica pognął przed siebie, ale podróżny był zbyt wytrawnym myśliwym, by się tym speszyć. Zmierzył i pewną ręką pociągnął za – cyngiel, a kiedy zwierzę, najwidoczniej nie draśnięte i nawet nie przestraszone, pędziło dalej, lekko przesunął za nim luf4 i po raz drugi pociągnął za cyngiel nie

odrywając kolby od ramienia, lecz i tym razem

Chybił.

Wypadki te rozegrały się tak szybko, że zaskoczyły dziewczynę podświadomości radującą się, że jeleni, który jak meteor przeciął im drogę, uciekł szczęśliwie. Ale radość była przedwczesna, bo zaraz usłyszała krótki, suchy trzask wystrzału, zupełnie inny od pełnego i grzmiącego huku strzelby jej ojca. W tej samej chwili jeleni podskoczył wysoko i po drugim strzale, takim jak pierwszy, padł koziółkując po zamarzniętym śniegu. Niewidoczny myśliwy krzyknął tryumfalnie, a po chwili dwóch mężczyzn wyszło z zasadzki zza drzew.

–Ha! Natty, nigdy bym nie strzelił, gdybym wiedział, że pan siedzi w zasadzce – zawołał podróżny zmierzając ku powalonemu

•zwierzęciu. Rozradowany Murzyn ruszył saniami za nim. – Nie mogłem jednak wytrzymać, bo szczekanie Hektora zbyt mnie podnieciło. Nie wiem, czy trafiłem jelenia.

–Nie, nie, panie sędzio – odparł myśliwy chichocząc wewnątrz, a z jego rozradowanej miny wyraźnie wynikało, że jest pewien swego. – Spalił pan proch tylko po to, by rozgrzać sobie nos w tym

mroźnym wieczornym powietrzu. Czy sądził pan, że z tej pukawki uda się panu powalić dorodnego kozła, któremu Hektor i suka wsiedli na ogon? Na moczarach ustrzeli pan pełno bażantów, a zięby latają tuż pod pańskimi drzewami. Może im pan sypać okruchy i strzelać do nich co dzień, ile dusza zapragnie. Jeżeli jednak wybiera się pan na kozła albo ma pan chętkę na szynkę z niedźwiedzia, musi pan wyjść ze strzelbą o długiej lufie i użyć dobrze natłuszczonego flejtucha. Bo inaczej spali pan więcej prochu, niż zdobędzie mięsa.

Mówiąc to przesunął wierzchem gołej dłoni po koniuszku nosa i znów rozwarł wielkie usta w cichym śmiechu.

–Strzelba bije dobrze, Natty, i powaliła już niejednego jelenia – odparł podróżny śmiejąc się dobrodusznie. – Jedna rura naładowana była sarnim śrutem, a druga – drobnym, na ptactwo. Widzę dwa postrzały: w szyję i prosto w serce. Jeden na pewno pochodzi z mojej ręki.

–Pal licha, kto zabił jelenia – ponuro odparł myśliwy – na to jest, by go zjeść. – To mówiąc wy dobył duży nóż ze skórzanej pochwy zatkniętej za pas i przeciął gardło zwierzęcia. Jeśli w tym jeleniu siedzą dwie kule, to trzeba zobaczyć, czy pochodzą z dwóch strzelb. A poza tym, kto widział, by kula z gładkiej lufy wyrwała taką dziurę jak ta na szyi? Przyzna pan, panie sędzio, że kozła powalił ostatni strzał, a ten padł z pewniejszej i młodszej ręki niż pańska lub moja. Wprawdzie jestem biedny, ale mogę

się obyć bez pieczeni. Nie zgodzę się jednak, by w wolnym kraju odbierano mi moje słuszne prawa, choć z tego, co widzę, i tu siła wyrasta nad prawo, zupełnie jak. w naszej dawnej ojczyźnie..

Mówił to z miną wysoce niezadowoloną, a ostatnie słowa przez ostrożność wymruczał pod nosem, tak że prawie nie było ich słyhać. – Oj, Natty, Natty – niezmaczenie pogodnym tonem podjął podróżny. – Chodzi mi tylko o myśliwski honor. Zwierzyna warta najwyżej parę dolarów. Ale kto wynagrodzi mi utracony zaszczyt noszenia jeszcze jednego ogona na czapce? Pomyśl, Natty, jakbym tryumfował nad tym niecnotą Dickiem Jonesem, który w tym sezonie z siedmiu polowań przyniósł tylko jednego świstaka i parę szarych wiewiórek!

–Ach! To racja, panie sędzio. Przy tym wycinaniu lasów i innych waszych ulepszeniach coraz trudniej o zwierzynę – z niechęcią w głosie przyznał myśliwy. – Były czasy, kiedy strzelałem po trzynaście jeleni i niezliczoną liczbę koźląt, z progu mej chatki! A gdy zachciało mi się

szynki z niedźwiedzia, wystarczyło doczekać nocy i przy świetle księżyca zabić któregoś przez szparę w ścianie.

W tonie i zachowaniu myśliwego było coś, co od pierwszej chwili obudziło ciekawość dziewczyny. Przyglądała mu się więc bacznie, nie pomijając żadnego szczegółu ubrania. Był to mężczyzna wysoki i tak szczupły, że wydawał się znacznie wyższy. Włosy miał rudawe, rzadkie i proste. Głowę okrywała mu lisia czapka z kroju podobna do czapki sędziego, ale nie taka wspaniała. Twarz miał pociągłą, niemal wychudłą, lecz zdrową. Można nawet powiedzieć, że świadczyła o wyjątkowym zdrowiu. Zaczerwieniła się i ogorzała od nieustannego przebywania na mrozie i wietrze. Szare oczy błyszcząły spod krzaczastych, nawisłych i mocno szpakowatych brwi. Szczupła szyja, tak samo ogorzała jak twarz, była obnażona, choć brzeg kratkowanej, samodziałowej koszuli wystawał spod kurtki. Tę kurtkę, uszytą z jelenich wyprawionych skór włosiem na zewnątrz, zaciskał barwny wełniany pas. Stopy obute były w mokasyny z jeleniej skóry, po indiańsku przyozdobione igłami jeżo-zwierza. Wysokie kamasze z takiej samej skóry osłaniały jego nogi. Zawiązane nad kolanami na wyświechtanych skórzanych spodniach, zyskały temu człowiekowi przezwisko "Skórzana Pończocha". Przez lewe ramię myśliwego biegł kozłowy pas, z którego zwisał olbrzymi róg byka, tak dokładnie wydrążony, że przez jego cienkie ścianki przeświecał proch. Szerszy otwór rogu był pomysłowo zatkaany korkiem z drzewa, węższy – szczelnie zagwożdżony zatyczką. Ubioru dopełniała torba wisząca na piersi. Myśliwy, po zakończeniu przemowy, wyjął z niej małą miareczkę. Z wielką uwagą nappełnił ją prochem i zabrał się do ładowania strzelby, która, oparta kolbą o śnieg, wylotem lufy niemal sięgała mu czapki.

Tymczasem podróżny uważnie zbadał rany jelenia i po chwili, nic sobie nie robiąc ze złego humoru myśliwego, zawołał:

–Natty, chętnie dowiodę mego prawa do jelenia, I jeżeli to ja zraniłem go w szyję, nie było po co strzelać mu w serce. Jest to "świadczenie nadmierne", jak my to nazywamy.

–Panie sędzio, w swym uczonym języku może pan to nazywać, jak się panu podoba – rzekł Natty, który oparł teraz strzelbę p lewe ramię, podniósł mosiężne wieczko w kolbie i wyjął ze schowka kawałek natłuszczonej skórki. Owinął w nią kulę i mocno wcisnął w lufę na ładunek prochu. Przybijając kulę stemplem mówił dalej: – Łatwiej

wymyślić nazwę, niż trafić jelenia w skoku. Ale jak już mówiłem, zwierzę padło z ręki młodszej niż pańska albo moja.

–A co pan o tym myśli, przyjacielu – podróżny uprzejmie zwrócił się do drugiego

myśliwego. – Czy mamy zagrać o zwierzynę w orła i reszkę? Jeśli pan przegra, zatrzyma pan dolara. Co pan na to powie?

–Powiem, że to ja zastrzeliłem jelenia – wyniosłe odparł młodzieniec wspierając się na długiej strzelbie podobnej do strzelby Natty'ego.

–Przegłosowano mnie, jak mawiamy w sądzie – uśmiechnął się podróżny. – Aggy jako niewolnik nie ma prawa głosu, a Bess jest niepełnoletnia. Trudna rada. Sprzedajcie mi więc zwierzynę. Na Boga, zmyślę wspaniałą myśliwską historyjkę!

–Kozioł nie jest mój – odparł Skórzana Pończocha przejmując wyniosły ton swego towarzysza.

–Widzę, że w ten mroźny wieczór mocno pan stoi przy swoim – odparł sędzia z niezachwianą pogodą ducha. – Ale co pan powie, młody człowieku, czy trzy dolary wystarczą?

–Przede wszystkim ustalmy, kto ma prawo do kozła – stanowczo, ale uprzejmie odparł zapytany tonem, który nie odpowiadał jego prostackiemu wyglądowi. – Iloma loftkami załadował pan strzelbę?

–Pięcioma, mój panie – odrzekł sędzia nieco zaskoczony postawą młodzieńca. – Czy to wystarczy na takiego kozła?

–Wystarczy jedna – odparł młodzieniec idąc do drzewa, zza którego wyszedł. – Strzelał pan przecież w tym kierunku,* prawda? Tu w drzewie siedzą cztery.

Sędzia przyjrzał się świeżym śladom w korze i kiwając głową powiedziała uśmiechem:

Świadczy pan przeciw sobie, młody adwokacie. Gdzież jest piąta!

–Tu – rzekł młodzieniec rozpinając swoje proste okrycie i ukazując dziurę w koszuli, przez którą sączyła się krew.

–Święty Boże! – wykrzyknął przerażony sędzia. – Ja się tu przekomarzam o głupie prawa, a mój bliźni ani jęknie, cierpiąc przeze mnie! Prędko, prędko, chodź pan do sanek... o milę stąd w miasteczku znajdziemy chirurga... Pokryję wszelkie koszty... Zamieszka pan u mnie aż do wyzdrowienia albo i na stałe.

–Dziękuję panu za dobre chęci, ale muszę odmówić. Mam przy-

jaciela, który zmartwiłby się szczerze, gdyby się dowiedział, że jestem ranny i z dala od niego. To tylko draśnięcie. Kula nie tknęła kości. Sądzę, że teraz nie zaprzeczy mi pan prawa do zwierzyny.

–Zaprzeczę?! – zawołał podniecony sędzia. – Daję panu dożywotnie prawo polowania w mych lasach na jelenie, niedźwiedzie... na co pan zechce. Poza panem tylko Skórzana Pończocha korzysta z takiego przywileju, a nadchodzą czasy, kiedy będzie to coś warte. Kupuję też tego jelenia... proszę, oto banknot, który dostatecznie wynagrodzi panu pański strzał i mój.

Stary myśliwy słuchając słów sędziego wyprostował się dumnie. Milczał jednak, dopóki ten nie skończył.

–Żyją jeszcze ludzie, którzy potwierdzają, że Nataniel Bumppo miał prawo polować w tych górach, zanim Marmaduk Tempie mógł mu tego zabronić – powiedział.

Młodzieniec puścił mimo ucha ten monolog. Z lekka skłonił się sędziemu i odparł nie przyjmując ofiarowanych mu pieniędzy. /

–Żałuję,* panie, ale sam potrzebuję zwierzyny.

–Za te pieniądze kupi jej pan, ile dusza zapragnie – nalegał sędzia. – Niech pan weźmie, błagam pana – i niemal szeptem dorzucił: to sto dolarów.

Młodzieniec zawahał się, lecz tylko na sekundę. Po chwili jego zaczerwieniona z mrozu twarz zarumieniła się jeszcze bardziej, jakby się Wstydził swej przelotnej słabości, i po raz wtóry odmówił sędziemu.

Tymczasem dziewczyna stanęła w sankach, nie zważając na mróz odrzuciła kaptur i powiedziała poważnym tonem:

–Mój młody czło... panie, chyba nie narazi pan ojca na wyrzuty sumienia, że zraniwszy bliźniego zostawił go w puszczy na łasce losu. Proszę pana na wszystko: niech pan jedzie z nami i przyjmie pomoc lekarza.

Trudno powiedzieć, czy sprawił to rosnący ból, czy też urok miłej petentki, która tak wzruszająco ujęła się za ojcem, dość że młodzieniec natychmiast zmiękł i stał niezdecydowany. Nie chciał się zgodzić i krępował się odmówić. Sędzia postąpił parę kroków, łagodnie wziął rannego pod ramię, popchnął go w stronę sanek i zmusił do wejścia.

–Pomoc najbliższej znajdziemy, w Templeton – powiedział – a chata Natty'ego, stoi o

dobrze trzy mile stąd.

Młody człowiek uwolnił rękę z serdecznego uścisku sędziego. Nie odrywał jednak oczu od pięknej dziewczyny, która mimo mrozu stała

z odkrytą głową i proszącym wyrazem twarzy. Skórzana Pończocha lekko przechylił głowę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, i przyglądał się tej scenie oparty na swej długiej strzelbie. A gdy już doszedł do jakiegoś wniosku, przerwał milczenie.

–Lepiej zrobisz, chłopcze, ustępując. Bo jeśli kula tkwi głęboko pod skórą, nie wydobędę jej. Jestem już za stary ma dłubanie, jak ongiś, w ludzkim mięsie.

Młodzieniec nie mógł dłużej opierać się uprzejmym naleganiom podróżnego i, choć niechętnie, pozwolił wprowadzić się do sanek. Murzyn z pomocą sędziego ułożył ubitego kozła na bagażach. Potem obaj weszli do sań, a sędzia zaprosił do nich również myśliwego.

–Nie, nie – Natty potrząsnął głową. – W domu czekają mnie jeszcze przygotowania wigilijne... jedźcie sami i niech lekarz opatrzy chłopcu zranione ramię. Byle tylko wyjął kulę. Mam zioła, które wygoją ranę szybciej od wszelkich obcych wymysłów. – Odwrócił się i już chciał odejść, gdy nagle coś sobie przypomniał. Przystanął i dodał: – A jeżeli wypadkiem nad jeziorem spotkacie Indianina Johna, zabierzcie go ze sobą. Niech stary pomoże lekarzowi, dobrze się zna na wszelkich ranach i postrzałach. Pewnie wybrał się do osady ze swymi miotłami, by przed Bożym Narodzeniem poczyścić kominy.

–Stój! Stój! – zawołał młodzieniec chwytając za rękę Murzyna, który już ruszał. – Natty... Nic nie mów o ranie ani dokąd pojechałem. Na miłość boską, nie zapomnij!

–Możesz zaufać Skórzanej JPończosze – znacząco odparł myśliwy. – Pięćdziesiąt lat w puszczy wśród dzikich nauczyło mnie trzymać język za zębami. Nie bój się chłopcze, i pamiętaj o starym Johnie.

–Natty – żywo mówił młodzieniec, nie puszczając ramienia Murzyna. – Przyjdę jeszcze dziś. Jak tylko wyjmą mi kulę. I przyniosę ćwiartkę jelenia na święta...

Myśliwy przyłożył palec do ust i przerwał młodzieńcowi. Potem cicho i zwinnie postąpił parę kroków, nie odrywając oczu od gałęzi jednej z sosen. Gdy stanął na upatrzonym miejscu, odstawił jedną nogę w tył, odwiódł kurek strzelby, przyłożył kolbę do ramienia i podpierając lufę wyprostowaną lewą ręką, wolno począł ją wznosić wzdłuż strzelistego pnia. Ludzie w sankach wiedli oczami za tym ruchem i wkrótce dostrzegli cel. Na suchej i niemal pionowej gałęzce sosny, o siedemdziesiąt stóp od ziemi, tuż ppd zielonym, soczystym igliwem siedział ptak, w potocznym języku nazywany kuropatwą. Był niewiele

mniejszy od zwykłej kury. Szczekanie psów i rozmowy w pobliżu drzewa, na którym siedział, najwidoczniej go spłoszyły. Przytulił się więc do pnia, zadarł głowę i wyciągnął szyję tak, że znalazła się na jednej linii z jego nogami. Gdy muszka spoczęła na celu, Natty pociągnął za cyngiel i ptak bezwiednie spadł z wysoka, zarywając się w śniegu.

–Leżeć, leżeć! Stary łobuzie! – krzyknął Natty, stemplem od strzelby grożąc Hektorowi, który skoczył ku zwierzynie. – Leżeć, mówię!

Pies usłuchał, Natty zaś szybko i z wielką uwagą znów naładował strzelbę. Gdy skończył, podniósł ptaka z odstrzeloną głową, pokazał go siedzącym w sankach i zawołał:

–Doskonały świąteczny przysmak dla starego człowieka... Chłopcze, pal licho pieczeń! Pamiętaj o Johnie. Jego zioła są lepsze od zagranicznych leków. Panie sędzio – dodał unosząc w górę łup – przy myśli pan, że z niegwintowanej strzelby zdjąłby pan tego ptaka nie trąciwszy piórka? – Roześmiał się swym cichym śmiechem – tryumfalnym, wesołym i ironicznym zarazem. Potem szybko, ze strzelbą w pogotowiu, wykręcając kolana do wewnątrz i lekko przysiadając przy każdym kroku, niemal biegiem ruszył w las.

R- O- Z D Z I A Ł

D R U G I

Tam, gdzie spogląda opatrności oko – Dla ludzi prawych port i szczęśna przystań. Nie sądź, że król cię skazał na wygnanie, Toś ty wypędził króla...

Ryszard II

Pradziad Marmaduka Tempie, przyjaciel Williama Penna* i również kwakier, przybył do założonej przez Penna kolonii – Pensylwanii, jakieś sto dwadzieścia lat przed początkiem naszej opowieści. Stary Marmaduk – to groźne imię stało się dziedziczne w rodzie – przyjechał do tego schronienia uciśnionych, jakim wówczas były kolonie amerykańskie, przywożąc ze sobą dużą fortunę. Wkrótce stał się posiadaczem kilkunastu tysięcy akrów* dziewiczej ziemi, żywicielem i opiekunem wielu kolonistów. Żył – powszechnie szanowany dla swej pobożności- jako człowiek wybitny wśród kwaków i zajmujący w ich społeczeństwie poważne stanowisko. Umarł na czas, by się nie dowiedzieć o swym bankructwie.

Pod tym względem podzielił los większości bogatych osadników, którzy przywieźli swe fortuny do środkowych kolonii Nowego Świata.

W tych prowincjach liczba białej i czarnej służby oraz zajmowane stanowiska decydowały o znaczeniu imigranta. Według tej miarki musimy stwierdzić, że pradziad sędziego był znaczną osobą.

Dziś nie bez ciekawości czytamy w krótkich sprawozdaniach z tego wczesnego okresu powstania kolonii, jak – z małymi wyjątkami – nieubłagane i stale bogacili się słudzy tych imigrantów. Oni sami zaś, nawykli do wygodnego życia, niezdolni do walki w młodym społeczeństwie, z trudem utrzymywali się na powierzchni, i to tylko dzięki wyższości, jaką dawał im majątek i wykształcenie. Ale gdy

Penn William (1644-1718) – Anglik, kwakier i założyciel kolonii Pensylwania. Akr – miara powierzchni równa 4047 m².

15:

legli w grobie, ich potomstwo, nieudolne i gorzej wykształcone, musiało ustąpić przed ludźmi, których energię potęgowała bieda. Proces ten jeszcze do dziś trwa w Stanach Zjednoczonych, ale przede wszystkim widzieliśmy go w pokojowych i przedsiębiorczych koloniach: Pensylwanii i New Jersey;

Potomstwo Marmaduka spotkał los wszystkich tych, którzy chętniej liczą na schedę niż na własne siły. Toteż trzecie pokolenie spadło już do punktu, poniżej którego w tym szczęśliwym kraju nie może spaść człowiek uczciwy, rozumny i trzeźwo myślący. Ta sama duma, która przez gnuśną zarozumiałość doprowadziła ród do ruiny, teraz dodała mu bodźca, aby podniósł się z upadku. Choroba przeszła w zdrowie - w ożywcze dążenie do zmiany warunków, odzyskania znaczenia, a nawet dawnego dobrobytu. Ojciec sędziego, naszego nowego znajomego, był pierwszym w rodzie, który znów zaczął wspinać się po drabinie społecznej. Ożenił się bogato i to mu znacznie pomogło. Pieniądze pozwoliły mu wysłać jedynaka do szkół lepszych niż pensylwańskie i dać mu wykształcenie wyższe niż przyjęte w rodzie od dwóch czy nawet trzech pokoleń.

W szkole młody Marmaduk zaprzyjaźnił się z jednym ze swych rówieśników. Ta przyjaźń ułatwiła karierę przyszłemu sędziemu. Rodzina Edwarda Effinghama była bowiem nie tylko bardzo bogata, ale i wpływała na królewskim dworze. Należała do tych niewielu rodzin osiadłych w koloniach, które gardziły handlem. Jeśli któryś z Effingha-mów opuszczał swe dobra, czynił to tylko dla przewodnictwa w najwyższych władzach kraju lub dla służby wojskowej. Ojciec Edwarda całe życie był wojskowym. Przed sześćdziesięciu laty w Królewskiej Armii Angielskiej mocno trzeba się było namozolić i natrudzić, by się doczekać awansu. Kiedy więc stary Effingham, ojciec przyjaciela Marmaduka, po czterdziestoletniej służbie wyszedł z wojska w stopniu majora i zamieszkał w swej wcale okazałej rezydencji, traktowano go w Nowym Jorku – jego rodzinnym stanie – jako pierwszą osobę. Służył wiernie i dzielnie, zgodnie więc ze zwyczajami utartymi w koloniach powierzano mu

dowództwa ponad jego rangę, z których wywiązywał się zaszczytnie. Aż wreszcie sterany wiekiem, w pełni sławy wystąpił z wojska, rezygnując ze zwyczajowej połowy pensji i z jakiegokolwiek wynagrodzenia za długoletnią służbę, której dłużej nie mógł pełnić

Odmówił też przyjęcia ofiarowanych mu stanowisk w administracji cywilnej, nie tylko zaszczytnych, ale i dochodowych. Wierny swemu

charakterowi odrzucił te propozycje z istic rycerską niezależnością i lojalnością. Wkrótce po tym patriotycznym geście nastąpił akt niezwyklej osobistej szczodrości.

Edward był jedynakiem i ożenił się z dziewczyną, którą major bardzo polubił. W dniu ślubu ojciec podarował mu cały majątek składający się z papierów wartościowych, posiadłości miejskiej i wiejskiej, wielu bogatych farm w zagospodarowanych już częściach kolonii i olbrzymich połaci dziewiczej ziemi. Sobie nic nie pozostawił, całkowicie zdając się na łaskę syna. Teraz, gdy dobrowolnie oddał synowi cały swój olbrzymi majątek co do grosza, wszyscy bez wyjątku zgodzili się, że do cna zdziecinniał. To tłumaczy nagły upadek jego znaczenia. I jeżeli major zamierzał kiedyś zupełnie wycofać się z życia, teraz tego dopiął. Ludzie mogli sobie myśleć, co chcieli, ale dla niego i dla Edwarda darowizna nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Był to po prostu prezent: ojciec podarował synowi dobra, których sam nie mógł już używać ani powiększać. Obaj tak sobie ufali, że było to dla nich tylko przełożeniem pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej.

Młody Effingham natychmiast po objęciu majątku odszukał swego szkolnego przyjaciela i zaproponował mu pomoc.

Śmierć starego Marmaduka i rozdrobnienie niewielkiej schedy między spadkobierców sprawiły, że ta pomoc była szczególnie cenna dla młodego Pensylwańczyka. Wierzył on w swoje siły i znał nie tylko zalety, lecz i braki przyjaciela. Effingham, trochę gnuśny i łatwowierny, nieraz ulegał popędom i postępował nierozważnie. Marmaduk zaś, niezwykle czynny i zrównoważony, był człowiekiem przedsiębiorczym i wnikliwym. Nic więc dziwnego, że pomoc, a raczej spółka z Effmgha-mem obiecywała obu duże korzyści. Marmaduk chętnie więc zgodził się na propozycję przyjaciela i szybko z łatwością ustalili między sobą warunki. Za pieniądze Effinghama założyli w stolicy Pensylwanii wielki dom handlowy, którego oficjalnym i prawie wyłącznym właścicielem został Marmaduk, Tempie. Effingham był cichym współnikiem korzystającym z połowy zysków. Spółka pozostawała tajemnicą dla dwóch powodów, lecz Marmaduk wiedział tylko o jednym. Drugi powód – Effingham ukrył głęboko w sercu. Chodziło o dumę i o nic więcej.

Mówiliśmy już, że major Effingham chlubnie służył ojczyźnie. Pewnego razu, gdy wysłano go przeciw Francuzom i sprzymierzonym z nimi Indianom na zachodnią granicę Pensylwanii, o mało nie utracił

slawy i nie zginął z całym oddziałem. Wynikło to z pokojowego nastroju osiadłych tam kwaków. Major czuł się tym głęboko dotknięty w swej żołnierskiej dumie. Przecież bronił kwaków. Wiedział, że przebiegły i złośliwy wróg nie uszanuje łagodnych zasad wiary tej małej społeczności praktykujących chrześcijan. Urazę odczuwał tym boleśniej, że – jak wiedział – wstręt do wojny, który skłonił kwaków do odmówienia mu zbrojnej pomocy, narażał jego oddział, a nie mógł przyczynić się do pokoju. Po ciężkiej, rozpaczliwej walce udało mu się wyrwać z garstką żołnierzy z rąk bezlitosnego wroga, lecz nigdy tego nie zapomniał ludziom, którzy narazili go na takie niebezpieczeństwo i pozostawili własnemu losowi. Daremnie próbowano przekonać go, że nie miał czego szukać na ich granicy. Nie wątpił, że przybył tam dla dobra Pensylwańczyków i, jak mawiał, ich religijnym obowiązkiem było mu pomóc.

Stary żołnierz nigdy nie był wielbicielem pokojowo usposobionych uczniów Foga*. Dzięki trzeźwemu życiu i wstrzemięzliwym obyczajom osiągnęli oni doskonałą fizyczną formę. Major wytrawnym okiem i z rozkoszą przyglądał się kształtnej, atletycznej budowie tych ludzi, ale jego wzrok wyrażał głęboką pogardę dla ich głupoty. Uważał też, że gdzie za dużo form, tam mało treści.

Nic dziwnego, że młody Effingham, wiedząc, co ojciec myśli! o kwakach, wolał ukryć przed nim łączący go związek, a raczej swą zależność od Marmaduka.

Jak już wspomnieliśmy, Marmaduk wywodził się z grona rówieśników i przyjaciół Williama Penna. Ale potomkowie starego Marmaduka przez jego ożenek z dziewczyną innej wiary utracili wpływy w sekcje. Młody Marmaduk wychowywał się jednak w kolonii kwaków, w środowisku, gdzie wszystko przepojone było ich łagodną wiarą. Jego zwyczaje i język nosiły więc ich piętno. Później, gdy i on ożenił się z kobietą, która nie tylko należała do tego samego kościoła, ale i wolna była od jego wpływów, prawie zupełnie pozbył się naleciałości z młodych lat.

Zawierając spółkę z młodym Effinghamem, Marmaduk zewnętrznie przynajmniej, nie różnił się od kwaków. Dlatego zbyt niebezpiecznie było rzucić tak jawne wyzwanie poglądom starego majora.

Przez kilka lat Marmaduk mądrze i przezornie prowadził spółkę.

Fog George (1624-1691) – założyciel sekty kwaków.

Przedsiębiorstwo przynosiło duże zyski. Później Marmaduk ożenił się z kobietą, o

której wspomnieliśmy – matką Elżbiety – i więzy między przyjaciółmi zacieśniły się jeszcze bardziej. Wydawało się, że niebawem będą mogli odkryć swą tajemnicę świata, bo Effingham coraz wyraźniej widział korzyści wynikające z ich spółki. Przeszkodziły temu niepokojące wypadki, które poprzedziły Wojnę Rewolucyjną.

Od samego początku zatargu, jaki powstał między koloniami a Koroną Brytyjską, Effingham, wychowany w wierności dla króla, ślepo stanął po stronie tronu, gorąco broniąc świętych, jego zdaniem, praw władcy. Zdrowy sąd Marmaduka i jego niezależny umysł kazały mu wziąć stronę kolonistów. '

Na ten temat sprzeczali się długo. Najprzód w przyjacielskim tonie, potem – coraz zapalczywiej. Marmaduk swym bystrym okiem począł dostrzegać zarzewie niezwykle- wypadków, nie mógł więc poprzestać na przekomarzeniu się z Effinghamem. Wkrótce iskra niezgody rozgorzała jasnym płomieniem. Kolonie, które same przemianowały się na Stany Zjednoczone, stały się widownią długoletnich krwawych walk. Na krótko przed bitwą pod Lexington* Effingham, już owdowiały, oddał Marmadukowi na przechowanie cały swój ruahomy majątek i sam, bez ojca, wyjechał z Ameryki. Wojna dopiero zaczynała się na dobre, kiedy znów zjawił się w Nowym Jorku, tym razem w mundurze wojsk królewskich. Wkrótce wyruszył w pole na czele oddziału krajowej armii. Tymczasem Marmaduk całkowicie oddał się sprawie powstania. Przyjaciele nie utrzymywali żadnych stosunków: pułkownik Effingham ich nie szukał, a Marmaduk wolał zachować ostrożność. Zresztą niebawem musiał opuścić Filadelfię. Zdążył jeszcze wywieźć cały majątek, wraz z powierzonym mu przez przyjaciela, w bezpieczne miejsce, gdzie nie mogły dotrzeć wojska królewskie. Przez całą wojnę Marmaduk godnie służył krajowi na rozmaitych stanowiskach. Zawsze pracował z zapałem i korzyścią dla ojczyzny, ale nie zapominał też o sobie. Tak więc, gdy sprzedawano z młotka skonfiskowane włości zwolenników króla, zjawił się w Nowym Jorku i za niewielkie pieniądze kupił

rozległe dobra.

Kupując majątki wydarte innym, ściągnął na siebie gromy sekty, która wprowadzie wyklucza ze swego grona niewiernych synów, ale nie

Lexington – miasto w stanie Massachusetts, 19 kwietnia 1775 r. stoczono pod Lexington pierwszą bitwę, w czasie wojny o niepodległość.

przestaje się nimi interesować. Wkrótce jednak ta chmura znikła. Rozproszyło ją zdobyte bogactwo, a może powszechność wspomnianego grzechu.›

Po skończonej wojnie, kiedy to Stany Zjednoczone zdobyły niepodległość, Marmaduk poniechał handlu, w owych czasach bardzo niepewnego, i zajął się zagospodarowaniem nabytych majątkości. Pieniądze i praktyczny zmysł pozwoliły mu wyciągnąć z nowego przedsięwzięcia maksimum tego, co mógł dać surowy klimat i górzysty teren, toteż jego majątek wzrósł dziesięciokrotnie i niebawem zaliczano go do ludzi najbogatszych i najbardziej znakomitych. Miał jednak spadkobiercę – córkę, którą czytelnik już poznał. Teraz odebrał ją ze szkół i wiozł do domu, gdzie od dawna brakło pani i gospodyni.

Gdy ta część stanu, gdzie leżały włości Marmaduka, zaludniła się dostatecznie, aby przekształcić ją w hrabstwo, powołano go, zgodnie ze zwyczajami kolonialnymi, na urząd pierwszego sędziego. To na pewno przyprawiłoby o wesołość uczonego jurystę londyńskiego, ale po pierwsze, tak nakazywała konieczność, a po drugie, człowiek doświadczony i zdolny na każdym urzędzie potrafi wzbudzić szacunek, który go dostatecznie brpni. Marmaduk zaś, z natury trzeźwiej myślący od sędziego króla" Karola, nie tylko ferował słuszne wyroki, ale i uzasadniał je trafnie. W każdym razie takie panowały wówczas zwyczaje. Sędzia Tempie, bynajmniej nie ostatni wśród sędziów nowo powstałych okręgów, nie bez racji uważany był (i sam się uważał) za jednego z pierwszych.

R O Z ' D Z I ; A Ł T R Z E C I

Wszystko co widzisz – to dzieło natury;

Skały, eo wznoszą swe czoła omszałe

Jak dumne blanki zamków

starodawnych,

Te pnie dostojne, co chylą dostojnie

Gęstwę konarów w zimowej zamieci,

Lodowe pola, błyszczące się w słońcu,

Bielsze niż białość piersi

marmurowych...

Lecz tak jak potwarz cześć plami

dziewiczą,

Tak człowiek szpeci to dzieło natury.

Duo

Po chwili Marmaduk Tempie dostatecznie ochłonął z wrażeń, by uważniej przyjrzeć się swemu nowemu towarzyszowi. Zobaczył, że był to młodzieniec w wieku lat dwudziestu dwóch lub trzech, wzrostu powyżej średniego. Nic więcej nie dostrzegł spod grubego płaszcza, szczelnie otulającego młodzieńca i przepasanego wełnianym pasem, bardzo podobnym do tego, jaki nosił myśliwy. Przyjrząwszy się postaci nieznanego sędziego przeniósł badawczy wzrok na jego twarz. Wciąż zdradzała ona tę samą niechęć, z jaką młodzieniec wszedł do sanek, niechęć, która nie uszła uwagi Elżbiety i podnieciła jej ciekawość. Wyraźny zaś niepokój zaznaczył się w słowach młodzieńca, gdy prosił swego starego towarzysza o zachowanie tajemnicy. Nawet gdy się już zdecydował pojechać, a raczej gdy pozwolił się zabrać do miasteczka, nachmurzył się, jakby był z tego nierad. Ale stopniowo jego ujmująca twarz się rozpogodziła. Siedział w milczeniu – najwidoczniej nad czymś rozmyślał. Sędzia przez chwilę bacznie mu się przyglądał. Potem, jakby drwiąc z własnego roztargnienia, powiedział:

–Przerażenie, mój młody przyjacielu, najwidoczniej odebrało mi pamięć... Znam pańską twarz, a jednak nawet za dwadzieścia nowych jelenich ogonów do czapki nie powiedziałbym, jak się pan nazywa.

–Jestem tu zaledwie od trzech tygodni – chłodno odparł młodzieniec – a pana nie było przez sześć.

–Jutro kończy się piąty tydzień mej' nieobecności. A jednak przysięgłbym, że już gdzieś pana widziałem. Co powiesz, Bess? Czy uważasz, że jestem przy zdrowych zmysłach? Czy mogę przewodniczyć

ławie przysięgłych lub co teraz ważniejsze – robić honory domu na wigilijnej wieczerzy w Templeton?

–Prędeż podłaz jednemu i drugiemu, niż zabijesz jelenit z dwururki – odpowiedział mu wesoły głosik spod wielkiego kaptura.¹ A po chwili Elżbieta dorzuciła już poważniej: – Mamy sporo powo-| dów do dziękowania Bogu.

Konie niebawem poczuły stajnię. Zagryzły wędzidla, potrząsnęły łbami i żwawo ruszyły naprzód po płaskim szczycie góry, Wkrótce dojechali do miejsca, gdzie droga gwałtownymi serpentynami schodziła w dolinę. Na widok czterech słupów dymu nad własnym domem sędzia ocknął się z zadumy.

–Spójrz, Bess. Warto, byś tu została do końca życia. I tyj młodzieńcze, także mógłbyś zostać, gdybyś przyjął nasze zaproszenie.[

Młodzi nagle spotkali się wzrokiem. Elżbieta zarumieniła się, choć spojrzenie jej było chłodne. Młodzieniec zaś znów się uśmiechnął zaga[^] dkowo, jakby i on nie wierzył, że mógłby wejść do rodziny sędziego.] Krajobraz, który rozścielał się u stóp, był tak piękny, że poruszyłby człowieka jeszcze trzeźwiejszego niż Marmaduk Tempie.,

Zjeżdżali wąską drogą wijącą się tuż nad przepaścią, tak stromą,! że trzeba było bardzo ostrożnie kierować saniami. Tuż u nóg podróź-j nych, na południowym krańcu tej pięknej równiny rozciągała się ciem-j na kilkuakrowa plama. Z pomarszczonej powierzchni i z oparów nae nią łatwo było zgadnąć, że to górskie jezioro w okowach mrozu. Z jegc głębi wypływał wąski, wartki strumień. Sosny, jodły nad brzegami! i opary powstające w zimniejszym" powietrzu nad wodą wyraźnie znaczyły jego krętą, kilkumilową drogę, dnem doliny biegnącą na poh. dnie. Widać w niej było rozrzucone skromne domki osadników. lcr.liczba świadczyła, że ziemia jest tu urodzajna, a warunki życia doś łatwe. Tuż nad brzegiem jeziora, wzdłuż jego grobli leżała osada Temp-! leton. Składała się z pięćdziesięciu różnych budynków, przeważnie dre-j wnianych. Wszystkie były w nie najlepszym guście, najwidoczniej budo-j wano je w pośpiechu, a żadnego jeszcze nie wykończono. Przedstawiały istną mozaikę barw i stały szeregiem małpując miejski szyk. Najwidocz-l niej tak zarządził ktoś, kto więcej myślał o przyszłości niż o dzisiejszej! wygodzie. Parę lepszych domów prócz tego, że były pomalowane na jednolity kolor, miało jes"zcie zielone okiennice. Ta zieleń dziwnie kontrastowała, przynajmniej w tej porze roku, z mroźnym jeziorem, białymi górami, lasami i śnieżnymi polami. Przed wejściem do tych preten-

^j^HLig|JHH

sjonalnych siedzib rosło parę drzewek bez gałęzi lub najwyżej przyozdobionych jedno – czy dwuletnimi pędami. Stały one jak grenadierzy u progu książęcego pałacu. Bo rzeczywiście te uprzywilejowane domy były siedzibami miejscowej arystokracji w królestwie Marmadu-ka. Mieszkali w niej dwaj młodzi uczeni w prawie, dwóch ludzi z gatunku tych, którzy zawsze chętnie zaspokajają potrzeby innych pod szyldem sklepikarzy, i wreszcie jeden uczeń Eskulapa*. Ten dziwnym trafem więcej ludzi sprowadził na świat, niż z niego wyprawił. W samym środku tego dziwaczego zbiorowiska domów wznosił się dwór sędziego górując nad innymi budynkami. Otaczał go wieloakrowy sad. Niektóre z drzew pozostały w nim jeszcze po Indianach. Omszałe i zbutwiałe rażąco odbijały od młodych drzewek wyglądających zza wiejskich częstokółów. Prócz tych dowodów rozwijającej się uprawy kultur, rosły tam jeszcze dwa rzędy niedawno sprowadzonych do Ameryki, młodych włoskich topoli. Obsadzono nimi aleję, która wiodła od wrót przy głównej ulicy osady do podjazdu sędziowskiego domu. Sam dom zbudowano pod wyłącznym nadzorem niejakiego Ryszarda Jonesa. Jories był ciotecznym bratem Martnaduka, a że był też majstrem do wszystkiego i zawsze chętny, kierował jego drobnymi sprawami. W pierwszym roku po przybyciu do Templeton wznosił wysoki, długi, drewniany budynek wychodzący na drogę. Mając już jaki taki dach nad głową rodzina Marmaduka przymieszkała pod nim trzy pełne lata. Przy końcu trzeciego roku Ryszard uporał się ze swymi planami. W tym ciężkim zadaniu korzystał z doświadczenia wędrownego europejskiego majstra Hirama Doolittle'a. Wspólnymi więc siłami nie tylko wznieśli siedzibę Marmaduka, ale i nadali ton budownictwu całego okręgu. Kombinowany styl, jak to nazywał Doolittle, stanowił mieszaninę paru stylów, a zmierzał do tego, by przejąć z nich wszystko, co było najdogodniejsze w lokalnych warunkach. Toteż zamek – bo tak nazywano siedzibę sędziego – stał się wzorem w tym czy innym ze swych licznych i wspaniałych szczegółów dla ambitnych budowli w promieniu dwudziestu mil.

Sam dom, albo jego ostatnia część, był murowany, obszerny, czworokątny i bardzo wygodny. Na te cztery warunki Marmaduk położył szczególny nacisk. Poza tym do niczego się nie wtrącał, polegając na Ryszardzie i jego wspólniku. Dwaj artyści wybrali materiał za

Eskulap – bóg sztuki lekarskiej (łac).

twardy dla narzędzi, jakimi operowali robotnicy nawykli do budowania domów z" białej sosny, przysłowiowo tak miękkiej, aż myśliwi używali jej jako poduszki. Gdyby nie ten problem, ambicja naszych dwóch artystów być może dostarczyłaby nam więcej tematu do opisu. Skoro jednak trudności materiałowe zmusiły ich do zrezygnowania z frontonu, z zapalem zabrali się do ganku i dachu. Ganek, jak postanowili, miał być klasyczny, a dach – wyszukanym połączeniem zalet wszystkich stylów.

Postanowiono więc, że dach będzie płaski i że dom otrzyma cztery fasady. Marmaduk sprzeciwił się pierwszemu postulatowi ze względu na wagę śniegu, który w ciągu długiej zimy pokrywał ziemię czterosto-pową warstwą. Na szczęście, kombinowany styl łatwo pozwalał na kompromis. Wydłużono więc wiązania, tak by śnieg się zsuwał. Niestety, Hiram potrafił operować tylko węgielnicą, popełnił więc błąd w wyliczeniu, który wyszedł na jaw dopiero wtedy, gdy ciężkie belkowanie dźwignięto w górę i oparto na czterech ścianach. Wbrew więc wszelkim teoriom Ryszarda dach z całego budynku najbardziej rzucał się w oczy. Ryszard i Hiram pocieszali się, że pokrycie zaradzi złemu. Ale gonty jeszcze pogorszyły sprawę, Ryszard starał się naprawić błąd odpowiednio dobranymi barwami i własnoręcznie pomalował dach na różne kolory. Poza tym otoczył dach tuż przy okapie jaskrawą balustradą, a genialny Hiram wysilił się i sfabrykował różne urny, gzymsy i gzymsi-ki, którymi obficie usiał tę część swego dzieła. Ryszard wpadł też na chytry' pomysł, by kominy były niskie i przypominały ornamenty na balustradzie. Ale trzeba było je podwyższyć, by nie dymiły, wskutek czego stały się czterema najwidoczniejszymi fragmentami całej budowy.

Marmaduk dobrodusznie znosił wszystkie kalectwa swego domu i niebawem własnymi pomysłami przysporzył rodowej siedzibie wygody i szlachetnego wyglądu. Mimo to domowi i jego najbliższemu otoczeniu wciąż czegoś brakowało. Sprowadzono topole z Europy, by nimi obsadzić aleje, zasadzono wierzby i inne drzewa wokół dworu, lecz sterczące w górę czapy śniegu zdradzały ukryte, pod nimi pniaki sosen. Tu i ówdzie nawet widać było odrażające, czarne, na pół zwęglone szczątki drzew, wysoko wystające nad bielą śniegu. Było ich wiele na przyległych polach. W miejscowym języku nazywano je pniakami. Stały samotnie, czasem tylko obok okorowanych sosen lub jodeł – pamiątek dawnej świetności – smętnie kołyszących na wietrze uschłymi gałęziami. Lecz rozradowana z powrotu do domu Elżbieta nie widziała ani

tęgo, ani wielu innych, równie przykrych widoków. Zjeżdżając stokiem góry patrzyła tylko na grupę domów, które jak na mapie leżały u jej stóp, na liczne dymy nad doliną sięgające chmur, na białą gładź zamrożonego jeziora w ramie wiecznie zielonych gór, pokrytą długimi, coraz dłuższymi cieniami sosen. Spoglądała na ciemną wstęgę rzeki wypływającej z jeziora i wijącej się w drodze ku odległej zatoce Chesapeake*, słowem – na krajobraz zmieniony, a jednak pamiętny z lat dziecięcych.

Wesoły, rażny dźwięk dzwoneczków u sanek przyciągnął uwagę podróżnych. Najwidoczniej jakiś śmiały woźnica rączymi końmi ostro pędził w górę. Krzaki po bokach drogi zasłaniały widok, dojrzano się więc dopiero, gdy sanki się zjechały.

Chesapeake – zatoka na Atlantyku, w stanie Maryland i Wirginia,

A R T

Co, czyja szkapa zdechła? Co

się stało?

Falstaff

Wielkie, rozłożyste sanki w czwórce koni wychyły z za bezlistnych krzaków porastających obrzeże drogi. Sędzia od jednego rzutu oka na zaprzęg poznał, kto nimi jedzie. W saniach siedziało czterech mężczyzn. Na fotelu – takim jakie zwykle stoją za biurkiem – mocno przywiązany do boków sań, siedział mały człowieczek szczelnie otulony w płaszcz obszyty futrem. Spod tego okrycia wyglądała tylko ceglasto-czerwona twarz z miną głęboko zatroskaną. Pewną ręką śmiało kierował ognistymi końmi, pędząc tuż nad przepaścią. Tyłem do niego, tuż za nim, frontem do dwóch pozostałych osób siedział ktoś wysoki i chudy. Ani długi płaszcz, który wciągnął na siebie, ani róg końskiej derki, którą się nakrył, nie zdołały mu nadać pozorów mocnej budowy. Na głowie miał szlafmycę, a gdy sanie się zjechały, odwrócił się do J Marmaduka i ukazał twarz o rysach tak ostrych, jakby przeznaczonych;| do cięcia powietrza. Przeszkodzić temu mogły tylko oczy – dwie jasnoniebieskie, wypukłe, świecące i szkliste kule. Żółtawej, niezdrowej cery nie zdołał zaróżowić nawet wieczorny mróz. Naprzeciw niego ulokował się ktoś krzepki i krępy, tak szczelnie otulony w płaszcz, że widać było^ tylko parę błyszczących, żywych czarnych oczu, zadających kłam niezwykle sztywnej minie. Głowę tego jegomościa zuobiła kuma czapka, taka sama, jaką nosili pozostali dwaj pasażerowie, a spod niej, ujmując oblicze w rodzaj półowalnej wytwornej ramy, opadały mu na ramiona włosy jasnej i pięknej peruki. Czwartego mężczyznę – o potulnym wyglądzie i pociągłej twarzy – chroniło od mrozu tylko czarne, zrudziałe, przetarte na szwach i bardzo już niemocne okrycie. Na głowie nosił mały kapelusz zupełnie wytarty przez

częste szczotkowanie.

Twarz miał bladą, w dodatku o melancholijnym, medytacyjnym wyrazie. Mróz zaróżowił mu policzki, na których wykwitł rumieniec jakby gorączki. Cały jego wygląd – człowieka z natury zatroskanego – rażąco odbijał od pogodnego humoru sąsiada. Ledwie sanie zbliżyły się na odległość głosu, woźnica fantastycznego pojazdu zawołał donośnie:

–Stań przy kamieniołomie... Stań, grecki królu. Zjedź w kamieniołom, Agamemnonie*, bo inaczej cię nie wyminę. Witaj, kuzynie Duku... Witaj, witaj nam, czarnooka Bess. Widzisz, Marmaduku, że z wyborowym ładunkiem wyjechałem na twoje powitanie. Mónsieur Le Quoi wyruszył tylko w jednej czapce, stary Fryc nie zdążył dopić butelki, a wielebny pastor Grant nie dokończył ostatniej części kazania. Zabrałem nawet pełny zaprzęg... nawiasem mówiąc, sędzio, karę trzeba jak najprędzej sprzedać. Strychują, i ta para źle chodzi w zaprzęgu. Spławię je...

!- Sprzedaj, co chcesz, Dickonie – wesóło przerwał mu sędzia -r- bylebyś mi zostawił ziemię i córkę. Ach, mój drogi Frycu, niemały to zaszczyt, gdy siedemdziesiąt lat wyjeżdża na spotkanie czterdziestu pięciu. Sługa pański, mortsieur Le Quoi – i unosząc czapki powiedział: – Pastorze Grant, naprawdę czuję się zobowiązany. Panowie, przedstawiam wam moją córkę. Świetnie was zna z opowiadali.

–Witamy, witamy, sędzio – z wyraźnym niemieckim akcentem odparł starszy z mężczyzn. – Pani Betsy winna mi jest pocałunek.

–I chętnie go odda, łaskawy panie – zawołała Elżbieta. W jasnym górskim powietrzu jej głosik zabrzmiał srebrzyście na tle głośnych okrzyków Ryszarda. – Dla starego przyjaciela, majorze Hartmann, nigdy nie zabraknie mi pocałunków.

Tymczasem jegomość na przednim siedzeniu, pan Le Quoi, walcząc z Okrywającymi go płaszczami, z trudem wstał z miejsca. Chwyciwszy się jedną ręką zaimprovizowanego kozła, drugą zdjął czapkę i uprzejmie skłonił się sędziemu, a potem, nisko, Elżbiecie.

–Nakryj makówkę, Francuzie, nakryj makówkę – wołał woźnica, którym jak już wiemy, był Ryszard Jones. – Mówię ci, nakryj makówkę, bo do reszty wyłysiejesz na mrozie. Gdyby Absalon* był tak łysy jak ty, żyłby do dziś!

Żartom Ryszarda zawsze towarzyszył śmiech, chociażby jego wła-

Agaraeranon – legendarny król Myken i Argosu, wódz wyprawy trojańskiej. Abslon – postać biblijna. Trzeci syn króla Dawida, zbuntował się przeciw ojcu; ścigany, podczas ucieczki, zaplątał się włosami o gałąź, został ujęty i zabity.

sny. Teraz też pękał ze śmiechu, a pan Le Quoi, grzecznie mu wtórując, sadowił się na miejscu. Pastor Grant serdecznie choć z godnością witał Marmaduka i Elżbietę, gdy Ryszard przygotowywał się do zawrócenia koni.

Mógł to uczynić jedynie w kamieniołomie, jeśli nie chciał wjechać aż na szczyt góry. Tam gdzie udało mu się stanąć, zbocze było głęboko podcięte, stąd bowiem wybierano kamień na budynki w osiedlu. Usłużny Murzyn chciał mu pomóc i wyprząc konie lejcowe, co sędzia gorąco doradzał, ale Ryszard z największą pogardą odrzucił pomoc i radę.

–Po co i na co, drogi kuzynie! – zawołał gniewnie. – Konie są spokojne, niczym jagnięta. Wiesz, że lejcowe sam ujeżdżałem, a z dyszłowymi poradzę sobie batem. Zapytaj pana Le Quoi, często ze mną jeździ i zna się na powożeniu. Niech powie, czy nam coś grozi.

Francuz, jak każdy Francuz, zbyt był grzeczny, by sprawić zawód człowiekowi, który okazał mu tyle zaufania. Aie gdy Ryszard przednią parą koni wjechał w kamieniołom, Francuz zeszywniał na widok rozwierającej się przed nim przepaści i wybałuszył oczy jak rak. Niemiec nawet się nie zmarszczył, byстрыm okiem badał jednak każdy ruch Ryszarda. Pastor Grant położył ręce na krawędzi sań, szykując się do skoku, jednakże nieśmiałość wciąż jeszcze w nim górowała nad strachem.

Ryszard nagłym uderzeniem bata wpędził przednią parę koni w zaspę w kamieniołomie. Lecz cienka skorupa lodu załamała się pod siwkami. Gdy się okazało, że przy każdym kroku grzęzną coraz głębiej, odmówiły posłuszeństwa. Co więcej, przynaglone batem i krzykiem poczęły się cofać, nacisnęły na dyszlową parę, która z kolei naparła na sanki. Już tylko kloc spoczywający na rusztowaniu, podpierającym krawędź drogi od strony" doliny, przykryty teraz śniegiem, dzielił je od przepaści. Sanki łatwo przeskoczyły tę przeszkodę i zanim Ryszard się zorientował, dc połowy zwisły nad stromym, stustopowym urwiskiem. Francuz, który ze swego siedzenia doskonale widział groźne niebezpieczeństwo, odchylił się całym ciałem i zawołał:

–Ah! Mon cher monsieur Dick! Mon Dieu! Que faites vous!*

–U licha, Ryszardzie! – wychylając się z sanek, z niezwykłym podnieceniem krzyknął stary Niemiec. – Czy chcesz rozbić sanki i pozabijać konie?

Ach, mój drogi panie Dicku! Mój Boże! Co pan robi! (franc).

–Drogi panie Jones – powiedział pastor – niech pan będzie ostrożny, mój drogi... niech pan uważa.

–Wio, uparte diabły! – zawołał Ryszard jednym rzutem oka ogarniając z wysokości kozia groźną sytuację i w zapale kopiąc fotel, na którym siedział. – Wio! Mówię ci, kuzynie, będę musiał sprzedać i siwki. Panie le Kłak, to najgorzej ujeżdżone konie – w podnieceniu Ryszard zapomniał o prawidłowej francuskiej wymowie, z której był taki dumny, i przekręcił nazwisko Francuza. – Panie le Kłak, niech pan puści moją nogę. Nic dziwnego, że konie się cofają, gdy pan ją tak ściska.

–Litościwe nieba! – wołał sędzia – zginą wszyscy! Elżbieta krzyknęła przeraźliwie, a czarne oblicze Murzyna spopieląło.

W tej krytycznej chwili młody myśliwy, który w czasie całego powitania siedział w posępnym milczeniu, wyskoczył z sań i stanął przy upartych siwkach. Nielitościwie i na chybił trafił smagane batem konie tańczyły w miejscu i lada chwila gwałtownym ruchem mogły zepchnąć sanki w przepaść. Młodzieniec mocno szarpnął za uzdy lejcową parę koni. Konie skoczyły w bok, znów wydostały się na drogę i stanęły jak przedtem. Sanki nagle skręciły i wywróciły się. Niemiec i pastor gwałtownie wypadli na drogę, ale nic im się nie stało. Ryszard wyleciał jak z" procy i zakreśliwszy łuk, którego promieniem były lejce, zarył się głową o jakieś piętnaście stóp od sanek w zaspie zalegającej kamieniołom. A że instynktownie mocno trzymał lejce, jak tonący słomkę, posłużył saniom za kotwicę Francuz, który już stał gotów do skoku, również wyleciał w powietrze, szeroko rozkraczony. Utknął głową w zaspie, wystawiając na widok szcudło wąty nogi, jak u stracha na wróble kołysanego wiatrem. Major Hartmann, który przez cały czas doskonale panował nad sobą, zerwał się pierwszy i pierwszy też odzyskał mowę. j

–Der Teufel!* Ryszardzie – wołał na pół serio, na pół żartem – masz dziwny sposób wyładowywania sań.

Trudno powiedzieć, czy pastor Grant dlatego jakiś czas klęczał, że w takiej postawie wyleciał z sanek, czy też, że kornie dziękował Bogu za cudowne ocalenie. Gdy wstał, dygocąc ze strachu każdą kosteczką, spojrzął na swych przyjaciół niespokojny o ich zdrowie. Ryszard też był

Do diabła (niem.).

oszołomiony, ale gdy mgła ustąpiła mu sprzed oczu i ujrzał, że nikomu nic się nie stało, zawołał wielce zadowolony z siebie:

–Wykaraskaliśmy się szczęśliwie!... Miałem dobry pomysł, by nie wypuszczać lejca, bo inaczej te diabelskie konie już by były po tamtej stronie góry. Szybko się zorientowałem, Duku, co? Jeszcze chwila, a byłoby za późno. Wiedziałem, gdzie kropnąć prawego lejcowego. Tym uderzeniem w prawy bok i nagłym szarpnięciem lejcami od razu je zawróciłem, muszę to sobie przyznać*.

–Tyś szarpnął! Tyś miał głowę na karku! – wołał sędzia. – Gdyby nie ten dzielny młodzieniec, ty i twoje konie, a właściwie – moje, roztrzaskalibyście się w drobny mak... Ale gdzie pan Le Quoi?

–O! mój drogi sędzio! mój przyjacielu – rozległ się stłumiony głos. – Dzięki Bogu żyję. Panie Agamemnonie, proszę, niech pan tu przyjdzie i pomoże mi wstać.

Pastor i Murzyn schwycili uwięzionego Francuza za nogi i wyciągnęli go z trzystopowej zasy, skąd głos jego dobywał się jak z grobu. Po wydostaniu się na wolność pan Le Quoi przez chwilę nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Widząc jednak, że jest zupełnie bezpieczny, odzyskał dawny humor.

–Dziękuję Bogu, że nie zleciałem w jezioro. Ach, mój drogi Dicku, jakiej sztuki dokaże pan teraz?... Pan musi wszystkiego spróbować.

–Przede wszystkim musj posiąść sztukę powożenia – wtrącił się sędzia, zrzucając jelenia i kilka pakunków z sań. – Panowie, starczy tu miejsca dla was. Na wieczór mróz bierze coraz mocniej, a w dodatku, pastarze Grant, zbliża się czas nabożeństwa. Nasz przyjaciel Ryszard zostanie tutaj i z pomocą Agamemnona naprawi szkodę, a my pojedziemy do domu, by się rozgrzać przy kominku. Dickonie, zostawiam ci tu łaszki Elżbiety. Zabierz je do swoich sanek, gdy już będziesz' gotów. Proszę cię nie zapomnij o ubitym przeze mnie koźle... Aggy, pamiętaj, że dziś przychodzi święty Mikołaj*...

Murzyn zrozumiał, że sędzia w ten sposób chce kupić jego milcze-

i

Ludzie mają odwieczne, uświęcone zwyczajem prawo śmiać się na widok wywracających się sanek. Sędzia skwapliwie skorzystał z tego prawa, gdy się przekonał, że wszyscy są cali i zdrowi (przyp. autora). '

Osadnicy w stanie Nowy Jork przestrzegali zwyczaju odwiedzin świętego Mikołaja

do czasu, kiedy emigranci z Nowej Anglii wprowadzili purytańskie zwyczaje i poglądy. Święty Mikołaj przybywał zawsze w wieczór wigilijny (przyp. autora).

nie, i uśmiechnął się. Ryszard zaś nawet nie pozwolił kuzynowi skończyć.

–Sztukę powożenia, powiadasz, kuzynie? Czy znajdziesz w całej okolicy kogoś lepiej znającego się na koniach jak ja? Może to nie ja ujeźdżałem klaczkę, której nikt nie odważył się dosiąść? Twój woźnica twierdzi, że on już przedtem tego dokonał, ale wszyscy wiedzą, że to wierutne kłamstwo... wielki kłamczuch był z tego Johna... co to, kozioł? – Ryszard poniechał koni i podbiegł do ubitego jelenia, a tymczasem Marmaduk odjechał z całym towarzystwem. – Rzeczywiście kozioł! No, ho, no! Widzę dwa postrzały. Marmaduk strzelił z obu rur i za każdym razem trafił. Do licha! – ciągnął Ryszard – ale zadrze nosa! Umie się chwalić byle czym. Kto by pomyślał, że Duk położy kozła w wigilijny wieczór. Trudno będzie z nim teraz wytrzymać... ale oba strzały kiepskie. Czysty przypadek... czysty przypadek... Ja tam nigdy nie dublowałem do parzystokopytnego zwierza... albo trafiłem, albo spudłowałem, albo padł, albo poszedł... Gdyby to był niedźwiedź lub ryś, można by strzelać z dwóch luf. Hej! Aggy! Z jakiej odległości sędzia strzelał?

–Eee... massa* Ryszard... może to było z pięćdziesiąt pięć jardów* – odparł Murzyn i schylił się ppd brzuch jednego z koni niby to poprawiając uprząż, ale w rzeczywistości by ukryć szeroki uśmiech.

–Pięćdziesiąt pięć jar-dów – powtórzył Ryszard. – Jak to, Aggy? Do jelenia, którego położyłem zeszłej zimy, strzelałem ze stu, tak, jeśli, nie ze stu sześćdziesięciu jardów. Nie strzelałbym do jelenia z pięćdziesięciu jardów. A prócz tego, pamiętasz, Aggy, powaliłem go od pierwszego strzału.

–Tak, massa Ryszard, doskonale pamiętam. Natty Bumppo strzelił po panu i pan wie: ludzie mówią, że to on zabił tego jelenia.

–Ludzie kłamią, ty czarny diable! – krzyknął Ryszard w pa-sji. – W ciągu tych czterech lat nie zdarzyło mi się ustrzelić zwykłej

wiewiórki, by ten stary gałgan lub inni w jego imieniu nie rościli sobie do niej pretensji. Przeklęty, zazdrosny świat... Do każdej zasługi znajdzie się współnik, byle tylko innemu nie dać się wyróżnić. Teraz znowu •

Massa – pan. Tak Murzyni tytułują białych. Jard – angielska miara długości = 0,91 ni.

III I-I

gadają w całym patencie*, że to Hiram Doolittle pomógł mi w planowaniu dzwonnicy kościoła Świętego Pawła. A Hiram wie najlepiej, że to tylko moje dzieło. Przyznaję, że pomysł zapożyczyłem z katedry Świętego Pawła w Londynie, lecz pod każdym innym względem dzieło jest moje.

–Nie wiem, Skąd go pan zapożyczył, ale każdy przyzna, że dzwonnica jest piękna – teraz już poważnie i z prawdziwym zachwytem odparł Murzyn.

–Słusznie! – zawołał Ryszard. Ożywił się nagle, porzucił jelenia i. podszedł do Murzyna z miną człowieka zajętego jedną myślą. – Powiedz bez przechwałek, że jest to najpiękniejszy kościół wiejski w Ameryce, zbudowany na naukowych zasadach. Wiem, że osadnicy z Conne-cticut uważają swój zbór w Weathersfield za najładniejszy. Ale czy można wierzyć tym samochwałom? Najwyżej w połowie. Gdy widzą, że się coś komuś udało, muszą wtrącić do tego swoje trzy grosze. I można się założyć dziesięć do jednego, że sobie przyznają przynajmniej połowę cudzej zasługi, jeżeli nie całą. Może pamiętasz, Aggy, jak malowałem dzielnego dragona na szyldzie kapitana Hollistera. Przyszedł wtedy facet, który smarował w osadzie domy na ceglasto, i zaproponował, że tiii wymiesza farbę na ogon i grzywę. A gdy kolor rzeczywiście przypominał końskie włosie, gadał wszędzie, że razem ze mną malował cały szyld! Marmaduk musi wypędzić tego człowieka ze swego patentu albo niech sobie sam upiększa osadę.

Zamilkł i głośno chrząknął, a Murzyn, milcząc z szacunkiem, pilnie szykował sanie. Marmaduk zgodnie z kwakerskimi zwyczajami nie chciał zatrudniać w swym domu niewolników i dlatego Aggy czasowo* służył Ryszardowi i w nim widział swego prawnego pana. Ale gdy

Patent – król angielski, a później Stany Zjednoczone nadawały ziemię w Ameryce dokumentami, tzw. patentami opatrzonymi w wielkie pieczęcie. Stąd nazwą "patent" obejmowano cały obszar komuś nadany, jednocześnie z ziemią król często nadawał obdarzonemu prawa feudalne. Dlatego też w starszych stanach spotykamy nieraz określenie "manor" (majątek feudalny – przyp. tłum.). W stanie Nowy Jork było wiele takich "manorów", choć wygasły wszystkie prawa ich właścicieli (przyp. autora).

Murzyni w stanie Nowy Jork uzyskiwali wolność stopniowo. Pod wpływem opinii publicznej utarł się zwyczaj wynajmowania ich usług na okres sześciu – ośmiu lat. Po tym terminie mieli b; wolni. Później ogłoszono prawo, że mężczyźni w dwudziestym ósmym roku życia, a kobiety w dwu> dziesiątym piątym – staną się wolni. Potem na

właściciela nałożono obowiązek nauczania swych niewolników czytania i pisania, zanim skończą osiemnaście lat. Wreszcie w roku 1826 – już po wyjściu tej książki – wszystkich niewolników uwolniono. Kwakrzy i ludzie przejęci ich duchem nigdy nie posługiwali się niewolnikami, mieli natomiast zwyczaj "czasowego" wynajmowania ich do pracy (przyp. autora).

między jego prawnym a rzeczywistym panem powstawał zatarg, przez wielki szacunek dla obu nie wtrącał się w spór.

Ryszard przyglądał się, jak Aggy dopina sprzączki uprzęży, i po chwili rzuciwszy na niego ukradkiem spojrzenie, bo zdawał sobie sprawę, że kręci, powiedział tak:

–Jeżeli młodzieniec z waszycn sanek jest osadnikiem z Connecti-cut, to rozgada na prawo i lewo, jak uratował moje konie. A gdyby je pozostawił w spokoju jeszcze z pół minuty, poradziłbym sobie batem i lejcami o wiele lepiej i bez wywracania sań. Nic tak nie narowi koni jak walenie po łbie. Co to za jeden, Aggy?... Nie pamiętam, żebym go kiedy widział.

Murzyn przypomniał sobie wzmiankę sędziego o świętym Mikołaju i pokrótce opowiedział o spotkaniu na szczycie góry. Nic jednak nie bąknął o ranie i tylko tyle powiedział, że uważa młodzieńca za obcego. Ryszard poprzestał na tym wyjaśnieniu, bo był zwyczaj, że okoliczni panowie zabierali do swych sanek przypadkowo spotkanych podróżnych brnących przez śnieg. Uważnie wysłuchał więc opowiadania i zauważył:

–Jeżeli ludzie w Templeton nie zdążyli go jeszcze zepsuć, może być skromnym młodzieńcem, a że miał dobre zamiary, będę o nim pamiętał... A może to taki gość, który szuka, gdzie by się osiedlić. Jak myślisz, Aggy?

–Eee... o tak, massa Ryszard! – odparł zmieszany Murzyn. W domu sędziego jedynie Ryszard uprawiał bicie, nic więc dziwnego, że Aggy bał się go znacznie więcej niż innych. – Tak, panie, tak właśnie przypuszczam.

–Czy miał jakiś tłumok i siekierę?

–Nie, panie, tylko strzelbę.

–Strzelbę! – ^ krzyknął Ryszard zauważywszy zmieszanie Murzyna, które teraz przeszło w przerażenie. – Na Boga, to on ubił jelenia! Wiedziałem, że Marmaduk nie trafi kozła w skoku... Opowiedz mi wszystko. Ho, ho, sędzia prędzej spiecz raka, niż upiecze tego jelenia... Mów, jak było. Młodzieniec zastrzelił kozła, a sędzia go kupił, co? Ha, i zabrał ze sobą młodego, żeby mu zapłacić.

Odkrycie Ryszarda wprowadziło go w tak dobry humor, że Murzyn zapomniał o swych obawach, a przypomniał sobie o pończosze świętego Mikołaja. Przełknął więc raz i drugi, po czym wybąknął:

–Tam były dwa strzały, panie..

–Nie kłam, czarny łotrze! – zawołał Ryszard wdrapując się na zaspę, by lepiej sięgnąć batem pleców Murzyna. – Gadaj prawdę, bo cię spiorę!

Mówiąc to, powoli unosił prawą ręką biczysko, a lewą, zaciśniętą w pięść, fachowo naciągał bat, jak się to robi przy chłóście. Agamem-non nadstawiał to jeden bok, to drugi, aż wreszcie, czując, że oba boją się bicia, ustąpił. W paru słowach powiedział prawdę zaklinając Ryszarda, by go bronił przed gniewem sędziego.

–Dobrze, chłopcze, bądź spokojny! – wołał Ryszard, radośnie zacierając ręce. – Nic nie mów, zdaj się na mnie... Mam ochotę zostawić tu kozła i zmusić Duka, by sam po niego przyjechał. Nie. Pozwolę kuzynowi trochę poblagować, a potem się do niego zabiorę. Śpiesz się, Aggy. Muszę pomóc przy opatrywaniu tego młodzieńca. Ten Jankes*, lekarz, nie zna się na chirurgii. Musiałem mu trzymać nogę Milligana, gdy ją urzywał.

Ryszard siadł na swym fotelu, Murzyn ulokował się z tyłu i konie ruszyły ku domowi. Gdy różnym kłusem jechali w dół, woźnica odwrócił się do swego towarzysza i ciągnął dalej, bo mimo niedawnego incydentu znów zapanowały między nimi idealne, przyjacielskie stosunki:

–To tylko dowodzi, że ja zawróciłem konie. Człowiek z raną w prawym ramieniu nie poradziłby sobie z tymi upartymi diabłami. Od razu wiedziałem, że ja to zrobiłem, ale nie chciałem się spierać z Mar-madukiem...

Z brzęczeniem dzwoneczków zjechał z góry i nie zamykał ust aż do, samej osady.

Jankes – yankee. W Ameryce nazwa Jankes ma regionalne znaczenie. Przypuszcza się, że powstała ona, od sposobu, w jaki Indianie z Nowej Anglii wymawiają słowo "English" (Anglik). W ich ustach brzmi ono jak "Jengiz". Nowy Jork był kolonią holenderską i dlatego nazwa ta nie była w tym stanie znana. Dalej na południe Indianie, mówiąc różnymi dialektami, zapewne inaczej wymawiają to słowo, Marmaduk i jego kuzyn, z urodzenia Pensylwańczyk, nie byli Jankesanii w amerykańskim znaczeniu tego słowa (przyp. autora).

R O Z D Z I A " Ł

P I A T . Y

Surdut Natana, nie był jeszcze gotów,

A but Gabriela nie wycięty w karby;

Piotr nie miał wstążki w rondzie

kapelusza,

A nóż Waltera zardzewiał mu

w pochwie.

Ralf, Grzegorz, Adam – ci byli gotowi.

Szekspir

Droga wijąca się w dół zbiega dochodziła do łagodnego spadku u podnóża góry, gdzie ostro skręcała w prawo i wróciwszy do dawnego kierunku łagodnie opadała wprost ku osadzie Templeton. Gdy wydostali się na małe wzniesienie, Elżbieta znalazła się od razu w samym środku nieskładnych zabudowań osady. Ulica, którą sunęły sanki, była normalnej szerokości, mimo że po jej obu stronach bez trudu można było ujrzeć dziesiątki tysięcy akrów puszczy, zamieszkałej tylko przez dzikie zwierzęta. Ale tak chciał Marmaduk i ci, co za nim przyszli. Ostatnim widokiem, który zachwyił Elżbietę po spotkaniu z Ryszardem, był zachód słońca powoli zapadającego za łańcuch górski. Zachodziło w rosnącej glorii promieni, a na jego tarczę wkładały się ciemne pnie sosen-. W miarę jak sanki zjeżdżały, mrok gęstniał, a dzień zostawał za Elżbietą. Domy stopniowo zapadały w mrok i zacierały się ich kontury. Drwale zarzucali siekiery na ramiona i schodzili z gór, by miło spędzić długi wieczór przy jasnym obfitym ognisku, karmiących się owocami ich pracy. Przystawali tylko na chwilę, by spojrzeć na mijające ich sanki, uchylić czapki przed Marmadukiem, przyjaźnie skinąć Ryszardowi, i ginęli we wnętrzu domów. W oknach po przejeździe sanek zapadały papierowe zasłony. Za nimi nikły blaski domowych ognisk. A gdy sanki raptownie skręciły w otwartą bramę dworu Marmaduka i Elżbieta ujrzała przed sobą już tylko zbliżające się w perspektywie młodej, bezlistnej topolowej alei zimne, posępne mury domu, wydało jej się, że widziany przed chwilą piękny górski krajobraz był tylko snem. Marmaduk ze swego dzieciństwa zachował kawalerski zwyczaj nieużywania dzwoneczków przy uprzęży, lecz Ryszard pędził

tuż za nim, a brzęk jego zaprzęgu wypełniał każdą szczelinę w murach i zaalarmował cały dom.

Na kamiennym ganku – za małym w stosunku do całego dworu – Ryszard do spółki z Hiramem wznosił cztery drewniane słupy, które podtrzymywały gontowy dach portyku, jak Ryszard szumnie nazwał to zupełnie proste osłonięte wejście.

Z szerokich drzwi wychodzących na ganek wybiegła służba: trzy kobiety i jeden mężczyzna z gołą głową i w odświętnym stroju. Jego dziwna postać i strój zasługują na bardziej szczegółowy opis: wzrostu mniej więcej pięciu stóp, atletycznej budowy, krępy, miał bary, których nie powstydziliby się grenadier. Twarz miał pociągłą, cerę jasną, cegla-stą od wiatru i słońca, nos zadarty jak u starego mopsa, usta niezwykle szerokie, zdrowe zęby i niebieskie oczy pogardliwie patrzące na całe otoczenie. Wielka głowa stanowiła jedną czwartą całej postaci, a harcap zwisający na plecach był nie mniej długi. Odziany był w lekki ciemnobrązowy kaftan z guzikami wielkości dolarowej monety, z wybitym na nich wizerunkiem zaplątanej kotwicy*. Niezwykle długie, szerokie poły sięgały łydek. Pod spodem miał kamizelkę i pantalon z czerwonego pluszu, mocno zniszczone i brudne. Nogi tkwiły w pasiastych niebiesko-białych pończochach, a stopy w trzewikach z wielkimi klamrami.

Ten dziwak twierdził o sobie, że pochodzi z Anglii z hrabstwa Kornwalii. Dzieciństwo spędził w pobliżu kopalń cyny, a młodość jako chłopiec kajutowy na statku przemysłowym między Falmouth* i Guernsey*. Porzuciwszy zawód przemysłownika zaciągnął się do służby królewskiej i z braku czegoś lepszego obsługiwał kajuty. Z czasem kapitan zrobił go swoim ochmistrzem. W tej służbie posiadał sztukę przyrządzania duszonej ryby, potrawki z solonego mięsa i sucharów oraz jeszcze paru innych marynarskich potraw. Poza tym, jak chętnie mawiał, miał okazję poznać świat. Jednakże z wyjątkiem jednego czy dwóch morskich portów Francji i przypadkowej wizyty w Port-smouth*, Plymouth* i Deal* nie widział więcej, niż zobaczyłby z grzbietu osła. w jednej ze swych rodzinnych kopalni. Zwolniony

Zaplątana kotwica – kotwica, której łańcuch oplótł się koto łapy lub poprzeczki. Falmouth – port morski na południowo-zachodnim wybrzeżu Anglii. Guernsey – jedna z Wysp Normandzkich w pobliżu Francji, należących do Anglii. Portsmouth – miasto portowe na wyspie Porsea w hrabstwie Hampshire (Anglia). Plymouth – port w hrabstwie Devon (Anglia). Deal – portowe miasto w hrabstwie Kent (Anglia)

z marynarki po zawarciu pokoju w roku 1783, oświadczył, że skoro już widział cały cywilizowany świat, chce poznać amerykańskie puszcze. Włóczył się gnany niespokojnym duchem aż przylgnął do Marmaduka Tempie i pełnił w jego domu funkcję ochmistrza, podwładnego Joneso-wi. Ten godny uwagi człowiek nazywał się Benjamin Penguillam według jego własnej wymowy. Ale niezwykła historia, którą chętnie nie-, proszony opowiadał, jak to po zwycięstwie Rodneya* uratował swój okręt, długo i mozolnie pompując zeń wodę, zyskała mu powszechnie używane przezwisko Ben Pomp.

Obok Beniamina, o krok przed nim, jakby zazdrosna o swe stanowisko, stała kobieta w średnim wieku. Ubrana była w per-kalową pstrą suknię, zupełnie nie pasującą do jej chudej, wysokiej, niezgrabnej postaci i ostrych, ptasich rysów. Zębów już prawie nie miała, a te, co pozostały, do cna zżółkły. W roli gospodyni przewodziła kobiecej służbie. Była starą panną i nazywała się Remarkable Pettibone. Przyjęto ją po śmierci pani Tempie i Elżbieta jeszcze jej nie знаła.

Prócz tych osób było tam jeszcze kilkoro służby, przeważnie Murzynów. Niektórzy stali przy głównych drzwiach, inni nadbiegali z drugiego końca budynku, od wejścia do kuchni w suterenie.

Ruszyły się również psy Ryszarda. Odezwały się wszystkimi głosami, od wycia wilków do piskliwego i niecierpliwego poszczekiwania terierów. Ich pan gromkim naśladownictwem ich głosów odpowiedział na to burzliwe powitanie. Umilkły po chwili zawstydzone, że dały się zdystansować. Tylko jeden poważny, olbrzymi brytan w mosiężnej obroży z wielkimi wygrawerowanymi literami M.T. zachowywał się spokojnie. Majestatycznie, w ogólnym rozgardiaszu, podszedł do sędziego, a dobrotliwie poklepany przez swego pana odwrócił się do Elżbiety, która przystanęła, pocałowała go w łeb i powiedziała: Stary Zuch. Pies widocznie ją poznał i patrzył za nią zamyślony, gdy wchodziła po oblodzonych stopniach ganku, podtrzymywana przez pana Le Quoi •i sędziego. A kiedy drzwi zamknęły się za nią i całym towarzystwem, położył się w stojącej obok budzie, jakby wiedział, że teraz przybył jeszcze skarb do pilnowania.

Baron Rodney Oeóрге Brydges.(1719-1792), admirał angielski, – szczególnie zasłynął z decydującego zwycięstwa nad francuską flotą pod dowództwem de Grassa. W tej bitwie, dnia 12 kwietnia 1782 roku, de Grass dostał się do niewoli.

Elżbieta szła za ojcem, który tylko na chwile przystanął, by szepnąć jakiś rozkaz jednemu ze służących. Weszli do obszernej, mrocznej sieni, słabo oświetlonej dwiema świecami w staroświeckich, mosiężnych kandelabrach. Po zamknięciu drzwi towarzystwo od razu przeszło od temperatury bliskiej zeru* do z górą sześćdziesięciu stopni. Olbrzymi piec na środku sieni niemal pękał z gorąca. Prosta, pionowa rura odprowadzała dym. Nad paleniskiem pieca stał wielki żelazny zbiornik na wodę, która parując nawilżała powietrze. Podłogę dobrze umeblowanej sieni pokrywał dywan. Niektóre z wygodnych mebli sprowadzono z miasta, inne sporządzono na miejscu. Mahoniowy kredens, inkrustowany słoniową kością i ozdobiony dużymi, błyszczącymi, mosiężnymi okuciami, ugiął się pod srebrną zastawą. W pobliżu niego stało parę wielkich stołów z dzikiej wiśni imitującej mahoń kredensu, lecz zupełnie gładkich, bez najmniejszych ozdób. Naprzeciw nich widać było mniejszy stół z jaśniejszego, górskiego kędzierzawego klonu, o pięknych, falistych s-fojach. Tuż obok, w kącie, w szafce z ciemnego greckiego orzecha przywiezionego znad morza, stał ciężki, antyczny zegar z mosiężnym cyferblatem. Wielka kanapa pokryta barwnym indyjskim perkalem zajmowała dwadzieścia stóp wzdłuż ściany, a naprzeciw niej i między innymi meblami stały krzesła drewniane, jasnożółte z czarnymi arabeskami, kreślonymi niewprawną ręką. W pobliżu pieca, w mahoniowej skrzyneczce wisiał termometr wraz z barometrem. Benjamin radził się ich dokładnie co pół godziny. Dwa małe szklane żyrandole wisiały w równej odległości między piecem i drzwiami wiodącymi na dwór w dwóch przeciwnych końcach, sieni. Liczne framugi bocznych drzwi wiodących do pokoi ozdoby były pozłacanymi kinkietami.. Tutaj przy drzwiach pozwolono sobie na pokaz sztuki architektonicznej. Nad każdymi odrzwiami we Frontonie* umieszczono nieduży postument. Na tych postumentach stały małe popiersia z czarnego gipsu. O ich wyborze i o stylu postumentów zdecydował gust Ryszarda; Jedno popiersie wyobrażało Homera i było uderzająco podobne, jak twierdził Ryszard, bo "każdy widzi, że to ślepiec". Drugie przedstawiało dobrodusznego jegomościa z ostrą bródką, którego Ryszard nazywał Szekspirem. Na trzecim postumencie stała urna, a sam jej kształt

Skala Fahrenheita. Według tej skali woda zamarza przy 32" powyżej /era, u wrze przy 212°.

Fronton – tu: ozdoba architektoniczna, trójkątna, czasem półokrągła, na siczycie budynku, nad drzwiami lub oknem.

wskazywał, według słów Ryszarda, że zawiera popioły Dydony*. Na czwartym znów ustawiono popiersie, tym razem – Franklina, w jego czapeczce i okularach. Na piątym – niewątpliwie podobiznę Waszyngtona pełnego godności i spokoju. Szóstym popiersiem była jakaś rzeźba nieznanego mężczyzny; w wykładanym kołnierzyku – mówiąc językiem Ryszarda – i w laurowym wieńcu. Albo Juliusz Cezar, albo doktor Faust, co kto woli.

Ściany wykpięte stalowosinymi tapetami, na których była wyobrażona Brytania szlochająca nad grobem Wolfe'a*. Bohater we własnej osobie stał nieco z dala od łkającej bogini, na samym brzeżku rolki tapety. Jedno jego ramię stale przechodziło na sąsiedni pas. Ryszard własnoręcznie zestawiał rolki, ale niestety zrobił to ze szkodą "dla postaci generała. Brytania miała więc podwójny powód do lamentów: nad śmiercią swego ulubieńca i nad jego wielokrotnie powtarzającym się kalectwem.

Niefortunny tapeciarz oznajmił swe wejście głośnym trzaskaniem z bata.

–Hej, Beniaminie, a raczej Ben Pompe, czy tak wita się dziedziczkę? – wołał. – Penguillanie, więcej światła! Zapal świece, żebyśmy nareszcie mogli się sobie przyrzec. Duku, przywożem twego kozła, co z nim robić?

–Na Boga, mój panie – zaczął Beniamin grzbietem ręki ocierając usta – gdybym z rana otrzymał rozkazy, byłoby tak, jak pan lubi. Wywołałem wszystkich na pokład i właśnie oporządzaliśmy świece, gdyście nadjechali. Na dźwięk dzwoneczków baby rzuciły wszystko i pobiegly jak popędzane pięścią bosmana. A w tym domu z pewnością nie Ben Pomp potrafi zatrzymać babska, nim wypuszczą cały łańcuch kotwiczny. Panna Betsy musiałaby się pod tymi sukniemi dorosłej kobiety zamaskować lepiej od jakiego korsarza, gdyby się miała rozgniewać na starego o parę nie zapalonych świec.

Elżbieta i sędzia stali w milczeniu ogarnięci jednakim uczuciem. Po wyjściu do sieni oboje boleśnie odczuli brak ukochanej pani tego domu, w którym Elżbieta przemieszkała cały rok przed wyjazdem do szkół.

Dydona – legendarna założycielka Kartaginy. Wyprosiła od mieszkańców Afryki tyle ziemi, ile można objąć skórą wołu. Skórę pocięła na paski i w ten sposób objęła nią duży szmat ziemi.

Wolfe James (1727-1759) – wybitny generał angielski, który poległ w Kanadzie, w bitwie z Francuzami.. _

Jasny blask świec rozprószył smutek ojca i córki. Wszyscy zabrali się do zdejmowania z siebie ciężkich i licznych okryć.

Remarkable Pettibone uporawszy się ze świecami stanęła przy Elżbiecie niby po to, by jej pomóc, a naprawdę – zazdrosna o swe stanowisko w domu – by się przyjrzeć swej przyszłej pani. Przeraziła się na dobre, gdy po zdjęciu z Elżbiety płaszczy, szali, skarpet i wielkiego czarnego kaptura, spod niego wysunęły się błyszczące, kruczoczarne sploty włosów, ujrzała twarz słodką, lecz stanowczą. Po matce odziedziczyła wzrost, nieco wyższy od średniego, i piękne kształty, na jej wiek jednak trochę za pełne i zbyt krągłe. Po matce też przyjęła kolor oczu, łukowate brwi i długie aksamitne rzęsy. Z wyrazu twarzy jednak wdała się w ojca. W chwilach spokoju twarz ta była łagodna i ujmująca. Ale łatwo zapalała się gniewem. Wówczas była tak samo piękna, tylko nieco surowa.

Gdy ostatni szal opadł i Elżbieta w niebieskiej obcistej amazonce, z policzkami jeszcze bardziej rozpalonymi ciepłem sieni, z oczami lśniącymi od wilgoci stanęła w jasnym blasku świec – stara gospodyni zrozumiała, że nadszedł kres jej panowania.

Tymczasem pozostali przyjezdni również się rozbierali. Marmaduk wyłonił się z okryć w szykownym, czarnym ubraniu. Monsieur Le Quoi miał na sobie surdut tabaczkowego koloru, a pod nim haftowaną kamizelkę, pantalony i jedwabne pończochy. Drogie kamienie, podobno fałszywe, lśniły na klamrach jego trzewików. Błękitny surdut majora Hartmanna, który na głowie miał perukę z harcapem, a na nogach wysokie buty, przybrany był wielkimi mosiężnymi guzikami. Ryszard Jones ustroił swą ruchliwą figurkę w zielonkawy surdut z kulistymi guzikami. Jeden z nich spinał poły na okrągłym brzuszku. W wycięciu na piersi widać jednak było jasnoczerwony kaftanik i flanelową kamizelkę wykończoną zielonym aksamitem. Spod surduta wyglądały spodnie z jeleniej skóry oraz brudne białe buty z owiniętymi cholewami i ostrogami, z których jedna zgięła się przy uderzeniu o zaimprovizowany kozioł.

Młoda pani mogła nareszcie rozejrzeć się wkoło i przyjrzeć nie tylko gospodarstwu, które miała objąć, ale i porządkom domu. Elżbieta z zachwytem rozglądając się wokoło nie zdążyła jeszcze dostrzec licznych drobnych braków, gdy nagle wzrok jej padł na człowieka, który swym wyglądem odbijał od reszty uśmiechniętych i wystrojonych osób zebranych na powitanie dziedziczki Templeton.

W rogu sieni, tuż przy głównym wejściu, przez nikogo nie zauważony i przez wszystkich zapomniany, stał młody myśliwy. Po wejściu do domu młodzieniec automatycznie zdjął czapkę, obnażając czuprynę tak samo kruczoczną i lśniącą jak włosy Elżbiety. Choć ubrany był bardzo prosto, a nawet po prostacku, dumnym wzniesieniem głowy i obojętną miną zdawał się mówić, że nie tylko się nie dziwi temu przepychowi, który w nowych osiedlach uważano za niezrównany, ale że nim gardzi.

Rękę, w której trzymał czapkę, swobodnie, pewnie i lekko oparł na małym fortepianie Elżbiety, inkrustowanym słoniową kością. Dotknął go tylko jednym palcem, ale tak, jakby był z nim doskonale obyty. Drugą rękę wyciągniętą przed siebie kurczowo zacisnął na długiej lufie strzelby. Elżbieta patrzyła na niego z podziwem, on zaś coraz bardziej marszczył brwi, przyglądając się otaczającym go przedmiotom.

–Zapomnieliśmy, drogi ojcze, o obcym dzentelmenie, którego przywieźliśmy tutaj. Powinniśmy się zaraz nim zająć.

Spojrzenia wszystkich pobiegły za wzrokiem Elżbiety. Młodzieniec zaś dumnie wznosił głowę i odpowiedział:

–Moja rana to drobiazg. Zresztą zdaje mi się, że sędzia posłał już po lekarza. •

–Naturalnie – odparł Marmaduk. – Nie zapomniałem, po cośmy tu pana przywieźli ani co jestem panu winien.

–Och! – złośliwie, z ukosa patrząc na sędziego, zawołał Ryszard. – Winienieś temu jegomościowi za zwierzynę? A ja myślałem, że to tyś ją ustrześlił! Marmaduku, Marmaduku! Zmyśliłeś bajeczkę! Masz tu, młodzieńcze, dwa dolary za jelenia, a sędzia Tempie musi co najmniej zapłacić lekarza. Ja nic nie policzę za moje usługi, ale to nie pogorszy stanu twego zdrowia. No, no, Duku, nie martw się. Wprawdzie chybiłeś zwierza, ale trafiłeś młodzieńca przez sosnę. Przyznaję, żeś mnie zakasował. Takiej sztuki jeszcze nie dokazałem.

–Wcale ci tego nie życzę – odparł sędzia – chyba że chcesz się tak martwić jak ja. Uszy do góry, młodzieńcze, rana jest lekka, bo widzę że swobodnie ruszasz ręką.

–Nie pogarszaj sprawy, Duku, biorąc się do chirurgii – przerwał Ryszard pogardliwie machnąwszy ręką. – Ta wiedza przychodzi tylko z praktyką. Wiesz, że mój dziadek był doktorem, a ty nie masz w sobie ani kropelki lekarskiej krwi. Znajomość medycyny to rzecz dziedziczna. Cała moja rodzina ze strony ojca ma medyczną żyłkę.

–Nie wątpię, Dickonie – odrzekł sędzia uśmiechem odpowiadając na mimowolny, szeroki uśmiech nieznanego młodzieńca – że twoja rodzina znała sztukę ułatwiania ludziom śmierci.

Ryszard słuchał go obojętnie. Ręce wsadził głęboko w kieszenie surduta, wypchnął jego poły i gwizdał pod nosem. Po chwili jednak gadulstwo wzięło górę nad filozoficznym spokojem. Zapaliwszy się nagle, zawołał:

–Sędzio Tempie, wolno ei się śmiać, mój panie, z dziedziczności pewnych cech, ale w twoim patencie wie o niej każdy człowiek. Nawet ten młodzieniec, który widział tylko niedźwiedzie, jelenie i świstaki, doskonale wie, że cnoty są dziedziczne. Prawda, przyjacielu?

–Nie wierzę w dziedziczność wad – krótko odrzekł obcy, przenosząc wzrok z ojca na córkę.

Ryszard zamilkł i spojrzał na młodego myśliwego, z lekka zdziwiony jego tonem. Po chwili, dotknięty do żywego wyimaginowaną wrogością młodzieńca, znów wsadził ręce w kieszenie, podszedł do pastora Grań ta i szepnął mu wprost w ucho:

–Niech pan zapamięta moje słowa: teraz wszyscy zaczną gadać, że skręcilibyśmy karki, gdyby nie ten młokos. Tak jakbym nie umiał powozić! Nie, mój panie, nawet pan zdołałby zawrócić konie. Nic łatwiejszego. Wystarczyło ostro ściągnąć lewy lejc i zadać prawego siwka. Spodziewam się, że nic się panu nie stało, gdy ten jegomość wyrócił sanki?

Pastor nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł wiejski lekarz.

...A na jego półkach Żebraczy komplet pudeł, pudełeczek, Garnków, pęcherzy, zapleśniałych nasion,

Pociętych sznurków i ciastek różanych Ktoś porozkładał jakby na wystawie.

Szekspir

Osadnicy uważali, że doktor Elnathan Todd ma niezwykle rozum, a natura dała mu wyjątkowe kształty. Boso mierzył sześć stóp i cztery cale. Ręce, stopy i kolana w zupełności odpowiadały temu imponującemu wzrostowi, lecz pozostałe członki ciała, z wyjątkiem długich kończyn, były pomyślane dla mniejszego człowieka. Elnathan był najmłodszym synem farmera z zachodniej części Massachusetts. Jego ojciec, człowiek dość zamożny, mógł przysłemu lekarzowi ułatwić dojście do tak wysokiego stanowiska; nie każąc mu, jak jego braciom, pracować w polu, rąbać lasu i zajmować się gospodarstwem. Ten przywilej Elnathan zawdzięczał po części swemu wzrostowi. Wybujałość bowiem sprawiła, że był blady, nieruchliwy i ospały. Czuła matka uznała, że jest chorowitym chłopcem, niezdolnym do ciężkiej pracy, że może zarobić na

dostatnie życie jako adwokat, pastor, doktor czy w jakimś innym łatwym zawodzie. Ciągłe jednak nie można było ustalić, do czego chłopiec ma powołanie. Młodziak, który nie miał nic do roboty, stale kręcił się po farmie żując niedojrzałe jabłka i zbierając szczaw. Matka swym bacznym okiem, które odkryło ukryty talent, dostrzegła to zamięłowanie i orzekła, że będzie ono gwiazdą przewodnią Elnathana wśród burz i wichrów życia. Z niego urodzony doktor – mówiła – zawsze szuka ziół i kosztuje każdego zielska, które rośnie w polu. Ma też zamięłowanie do medycyny, bo gdy raz przygotowałam dla męża pigułki przeczyszczające, obficie pokryte cukrem klonowym, połknął je bez zmrużenia oka, a Ihabod (jej mąż) tak się przy tym wykrzywia, że strach patrzeć.

To odkrycie zadecydowało. Elnathana, który miał wówczas piętna-

ście lat, pochwycono jak dzikiego żrebaka, poskromiono, ucinając mu szczeciniastą grzywę, i odziano w garnitur z samodziału, farbowanego w wywarze orzechowej kory. Zaopatrzonego w Nowy Testament i elementarz posłano do szkoły. Chłopak był pojętny, a że już przedtem w wolnych chwilach uszczknął coś ze sztuki pisania, czytania i arytmetyki, wkrótce zasłynął w szkole z uczoności* Uszczęśliwiona matka z rozkoszą słuchała pochwał nauczyciela, gdy mówił, że jej syn jest niezwykle chłopcem, znacznie przewyższającym wszystkich kolegów. Nauczyciel uważał też, że chłopiec ma wrodzone zamiłowanie do medycyny, bo często przestrzega młodszych, żeby się nie objadali. A kilka razy, kiedy malcy nie chcieli go słuchać, odebrał im koszyki i sam wszystko zjadł, by ich ustrzec od nieszczęścia.

Wkrótce po tym pocieszającym zapewnieniu odebrano chłopca ze szkoły i umieszczono u wiejskiego lekarza, który zaczął karierę podobnie jak nasz bohater. Tam widywano Elnathana, jak poił konia, rozrabiał wodą lekarstwa – niebieskie, żółte i czerwone. Widywano go też rozwalonego pod jabłonią z łacińską gramatyką w ręku i wystającą z kieszeni "Nauką położnictwa", bo jego mistrz uważał, że zanim się chłopak nauczy systematycznie wyprawiać ludzi z tego świata, musi wiedzieć, jak się ich tutaj sprowadza.

Tak minął rok. I nagle Elnathan zjawił* się na nabożeństwie kwa-krów w czarnym, długim, samodziałowym surducie (tak, właśnie w surducie!) i w trzewikach zasnurowanych, z braku czerwonego safianu, surowymi cielęcymi rzemykami.

Później ujrzano go, jak się golił tępą brzytwą. Aż wreszcie, zaledwie w trzy, cztery miesiące potem, zapanował we wsi niezwykle ruch: kilka starszych pań spieszyło ku domowi ubogiej kobiety, inne w pomieszeniu biegały tu i tam. Paru chłopców na oklep pognało w różnych kierunkach. Na gwałt szukano lekarza, chaotycznie wypytyjąc, gdzie go kto ostatnio widział. Lecz wszystko na próżno. W końcu ujrzano Elnathana, jak wyszedł z domu doktora i z poważną miną kroczył za zdyszonym jasnowłosym malcem. Nazajutrz Elnathan wyszedł na ulicę, jak nazywano gościniec biegnący przez wieś, a wszyscy sąsiedzi byli zbudowani jego dostojną powagą. W tym też tygodniu kandydat na lekarza nabył nową brzytwę, a w najbliższą niedzielę wszedł do kościo-? ła z czerwoną, jedwabną chustką w ręku i z niezwykle sztywną miną. Wieczorem odwiedził młodą dziewczynę z tej samej klasy społecznej co on (innej we wsi nie było). Po krótkiej rozmowie z nią sam na sam,

przezorna jej matka po raz pierwszy nazwała go doktorem. Odtąd już nikt inaczej się do niego nie zwracał.

Jeszcze jeden rok minął Elnathanowi na praktyce u tego samego mistrza. Mawiano, że stary doktor nigdzie nie jeździ bez młodego, choć w rzeczywistości chadzali różnymi drogami. Przy końcu tego okresu doktor Todd doszedł do pełnoletności i wybrał się do Bostonu po zakup medykamentów lub, jak chcieli niektórzy – na praktykę do szpitala. Nie wiemy, czy naprawdę chodziło o praktykę, skoro tak szybko się z nią uporał, bo po dwóch tygodniach wrócił, przywożąc jakąś podejrzaną skrzynkę, cuchnącą siarką.

Najbliższej niedzieli ożenił się i już następnego ranka wsiadł z żoną do jednokonnych sanek. Przed nim leżała wspomniana już skrzyneczka z lekarstwami oraz druga z samodziałowym płótnem, oklejony papierem kuferek z przywiązany do niego czerwonym parasolem, para zupełnie nowych juków siodłowych i pudło z kartonu. Z najbliższej wiadomości, jaka nadeszła później od młodej pary, przyjaciele dowiedzieli się, że Todd osiedlił się z małżonką w nowym kraju, w Temple-ton w stanie Nowy Jork.

Londyński palestrant śmiałby się z kwalifikacji Marmaduka na sędziego, a jakiś lekarz z ukończonymi studiami w Lejdzie czy Edynburgu pękałby ze śmiechu czytając tę prawdziwą historię o służbie Elnathana w przybytku eskulapa. Ale obu można usprawiedliwić, doktor Todd bowiem w tym samym stopniu dorównywał współczesnym mu lekarzom amerykańskim, co sędzia Marmaduk – swym kolegom z ławy sędziowskiej.

Czas i praktyka sprawiły cuda. Doktor Todd był człowiekiem ludzkim i nie pozbawionym cywilnej odwagi. Inaczej mówiąc, nigdy nie eksperymentował na pacjentach, którzy coś znaczyli. Z"nimi postępował ostrożnie. Ale parę razy coś go skusiło, by na jakimś nieszczęsnym włóczędze wypróbować działanie leków ze swych juków. Na szczęście lekarstw miał mało i wszystkie były nieszkodliwe. Tak to Elnathan nauczył się leczyć od biedy febrę i kolki i żonglować uczonymi słowami jak: intermittens, remittens, tertians, ąquotidians itd.* W niektórych skórnych chorobach, nagminnie spotykanych w nowych osiedlach, uważano go za nieomylnego. Kobiety zaś w całym patencie mogłyby

Intermittens; remittens; tertians, ąquotidians – okresowy; nawrotny; powtarzający się co trzeci dzień; codzienny (lac.)-

raczej począc bez męża, niż urodzić bez pomocy doktora Todda. Krótko mówiąc, wznosił swój gmach wiedzy na piasku, budując go z kruchego materiału i cementując doświadczeniem. Jednakże od czasu do czasu odnawiał swe elementarne wiadomości, a że był bystry, doskonale potrafił dostosować praktykę do teorii.

W chirurgii nie miał wprawy. W tej dziedzinie medycyny trudno ukryć swą niewiedzę, nie ufał więc własnym siłom. Goił jednak oliwą oparzenia, usuwał korzenie popsutych zębów i z powodzeniem, które nawet zyskało mu rozgłos, zszywał niezliczone rany drwali. Aż kiedyś podcięte drzewo strzaskalo nogę któremuś nieszczęśliwemu drwalowi. Wtedy nerwy i hart ducha naszego bohatera wystawione zostały na najcięższą próbę. Jednakże nie załamał się i nie zawiódł w potrzebie. W nowych osiedlach większość amputacji – a zdarzały się one dość często – dokonywał chirurg, człowiek, który naprzód zyskał sławę, a dopiero potem zdobył praktykę. Elnathan asystował przy jednej czy dwóch takich operacjach. Ale we wspomnianym wypadku chirurga pod ręką nie było i obowiązek operowania spadł na doktora Todda, który z rozpaczą w duszy i kamiennym obliczem przystąpił do dzieła. Pracował umiejętnie i na pozór był zupełnie spokojny. Nogę ucięto, a Malli-gan przeżył operację, lecz przez dwa lata narzekał, że nogę pochowano w za małej skrzyneczce, bo wyraźnie czuje ucisk w kikucie. Marmaduk wyrażał przypuszczenie, że ból pochodzi ze źle zszytych nerwów i arterii. Ale Ryszard, który uważał operację po części za własne dzieło, pstro temu przeczył. Mówił, że nieraz słyszał, jak ludzie przepowiadają deszcz po rwaniu w palcach uciętych rąk i nóg. Po dwóch, trzech latach, choć skargi Malligana złagodniały, wykopano nogę i przełożono ją do większej skrzynki. Od tego czasu nikt już nie słyszał żadnych żalów z ust kaleki. To jeszcze bardziej powiększyło zaufanie ogółu do doktora Todda. Jego sława i, na szczęście dla pacjentów, doświadczenie – rosły z godziny na godzinę.

Mimo swej praktyki i pomyślnej amputacji nogi Malligana, doktor Todd z trwogą przekraczał próg dworu sędziego. Od gońca, który po niego przybiegł, dowiedział się, że chodzi o ranę postrzałową. W głowie mu się mąciło na myśl o poszarpanych arteriach, przebitych płucach i okaleczonych wnętrznościach.

Po wejściu do sieni przede wszystkim ujrzał Elżbietę zwróconą ku niemu z głęboką troską na twarzy. Ale zanim zdążył przyjrzeć się zebranym, sędzia podszedł do niego, uściśnął mu rękę i powiedział:

–Witam cię, mój panie. Przychodzisz w sam czas. Dziś wieczorem ustrzelewszy jelenia wypadkiem zraniłem tego młodzieńca. Trzeba go opatrzyć. Remarkable, proszę przygotować płótno na szarpie i bandaże – zwrócił się do służącej.

Tą uwagą sędzia przerwał wymianę uprzejmości i zmusił doktora do zaopiekowania się pacjentem. Tymczasem młody myśliwy zrzucił płaszcz i stał w gładkim, zwykłym, jasnym, samodzielowym, prawie całkiem nowym odzieniu. Już chciał rozbierać się dalej, gdy nagle zatrzymał się, zaczerwienił i spojrzał na Elżbietę, która wciąż stała w sieni i nie zwracając uwagi na to, co robi młodzieniec, patrzyła na niego ze współczuciem.

–Widok krwi może być przykry dla pani. Przejdę na opatrunek do innego pokoju.

–Nie – odparł Todd, który nabrał śmiałości, widząc że jego pacjent jest człowiekiem niższej kondycji. – W jasnym blasku tych świec łatwiej będzie operować, a my, ciężko pracujący uczeni, rzadko korzystamy z takich warunków.

Na słowa młodzieńca Elżbieta ocknęła się z zamyślenia, zarumieniała i skinąwszy na pokojówkę wyszła z sieni.

Tymczasem Elnathan, który po raz pierwszy w życiu ujrzał ranę postrzałową, rozpoczął swe przygotowania. Celebrował je tak, jak na to rzecz zasługiwała. BeniaSmin przyniósł starą koszulę i podał ją doktorowi. Ten starannie, z dokładnością, która świadczyła o jego wprawie i powadze operacji, podał koszulę na kawałki równej długości.

Potem uważnie wybrał szmat płótna i podając go Ryszardowi powiedział bez zmrużenia oka:

–Szanowny panie Jones, pan dobrze się na tym zna. Proszę, niech pan naskubie szarpi. Muszą być puszyste i delikatne. Niech pan uważa, by się do nich nie dostała bawełna. Mogłaby zakazić ranę.

Cały stół zastawiono teraz flaszeczkami, maściami i założono narzędziami chirurgicznymi. Po wyjęciu nielicznych zresztą narzędzi sięgnął do juków i począł z nich wydobywać flaszeczki, mieniające się różnymi kolorami płynów. Ustawił je w należyтым porządku tuż obok morderczych pił, noży i nożyczek. Gdy się z tym uporał, wyprostował się, założył ręce w tył, jakby chciał podeprzeć się w krzyżu, ciekaw efektu wywołanego tym pokazem wiedzy medycznej uwięzionej w lekach i narzędziach.

–Doktorze, słowo daję, piękny komplet kieszonkowych narzędzi.

Tak błyszczą, jakby były przeznaczone dla oczu, nie dla brzucha – zauważył major Hartmann szelmowsko przewracając oczami i zachowując przy tym kamienne oblicze.

–Prawda, majorze Hartmann, święta prawda. Przezorny człowiek zawsze się stara, by jego leki, przykre dla żołądka, wyglądały mile dla oka – i z miną znawcy ciągnął dalej: – Niemała to rzecz w medycynie przekonać chorego, że to, co niesmaczne, wyjdzie mu na zdrowie.

–Niewątpliwie! Doktor Todd ma rację – wtrąciła się Remarka-ble. – Nawet Pismo Święte to potwierdza. Mówi, ono, że rzeczy słodkie dla podniebienia są gorzkie dla naszego wnętrza.

–Racja, racja – przerwał jej zniecierpliwiony sędzia. – Ale temu młodemu człowiekowi nie trzeba mydlić oczu. Widzę, że najwięcej się lęka dalszego marudzenia.

Młodzieniec o własnych siłach obnażył ramię, w którym wyraźnie widać było mały wlot kuli. Mróz zahamował upływ krwi i doktor Todd spojrzawszy ukradkiem na ranę pomyślał, że nie wygląda tak groźnie, jak przypuszczał. Podniesiony na duchu podszedł do pacjenta z zamiarem wysondowania rany.

Remarkable później nieraz opowiadała ze wszystkimi szczegółami o tej słynnej operacji. Gdy dochodziła do tego momentu, mówiła tak: "I wtedy doktor wyjął z portfela długi przedmiot podobny do szydełka zakończonego guzikiem. Wepchnął go w ranę i myślałam, że zemdleję, bo młody człowiek okropnie wyglądał. Strasznie mnie to wzięło. Potem doktor szydełkiem przebił ramię i wypchnął kulę na drugą stronę. Słowo daję, tak łatwo wyjął tę kulę, którą sędzia postrzelił młodzieńca, jak ja igłą wydłubuję sobie drzazgę z palca".

Takie wrażenie odniosła Remarkable i takie niewątpliwie było zdanie tych, którzy chcieli utrzymać kult ogółu dla doktora Todda, ale prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Kiedy doktor chciał wepchnąć w ranę narzędzie opisane przez Remarkable, młodzieniec sprzeciwił się temu stanowczo i nawet trochę pogardliwie.

–Myślę, mój panie – powiedział – że sonda jest niepotrzebna. Kula ominęła kość. Przebiła ramię i tkwi pod skórą. Wyjmie się ją bez trudu.

–Pan musi wiedzieć lepiej – odparł Todd, odkładając sondę z takim wyrazem twarzy, jakby ją wziął tylko dla zasady. Koniuszkami palców pomacawszy szarpie, z miną

człowieka przewidującego i dbałe-

go o wszystko zwrócił się do Ryszarda. – Wspaniałe naskubane! To chyba najlepsze szarpie, jakie widziałem. Chciałbym, aby mi pan przytrzymał ramię pacjenta, gdy będę je przecinał. Nikt chyba nie potrafi tak skubać szarpi jak pan.

–To rodzinne – odparł Ryszard podrywając się ochoczo, by przytrzymać ramię młodzieńca. – Mój ojciec i dziadek służyli ze znajomości chirurgii. Mój dziadek bowiem z wykształcenia był lekarzem, i to najlepszym w koloniach... to jest na całą okolicę.

Różnie bywa na świecie – zawołał Beniamin. – Po to, by w oficerskich szlifach paradować po pokładzie na rufie, niekoniecznie trzeba tam wejść przez okna kajutowe. Dwie drogi wiodą na bocianie gniazdo prócz psich dziur*. Na rufę najprędzej się człowiek dostanie od dzioba. Powoli i skromnie, jak to było ze mną. Zacząłem od jungi* przy bramslu*, a doszedłem do kluczy od kredensu kapitana.

–Beniamin mówi prawdę – podjął Ryszard. – Myślę, że w czasie swej służby widział niejedną kulę wyjętą z rany. Dajmy mu więc miednicę do potrzymania. Przywykł do widoku krwi:

–Tak jest, tak jest, panie – przerwał mu były ochmistrz. – Widziałem lekarzy pracujących przy pięknych ranach: okrągłych, szarpanych i na wylot. Jeśli już o tym mowa, byłem też w łodzi, obok okrętu, gdy kapitanowi "Foudroyanta", rodakowi pana Le Quoi, wyciągano z uda dwunastofuntową kulę.

–Dwunastofuntową kulę z ludzkiego uda? – naiwnie zawołał pastor Grant podnosząc okulary na czoło i opuszczając kazanie, które czytał.

–Dwunastofuntową! – powtórzył Beniamin, pewnym wzrokiem rozglądając się wkoło. – Dwunastofuntową! Tak, nawet dwudziesto-czterofuntową kulę nietrudno wydłubać z człowieka, jeżeli lekarz wie, jak się do tego zabrać. Niech się pan zapyta pana Ryszarda. Pan Ryszard czyta wszystkie książki, niech się pan zapyta. Powie panu, że nieraz spotykał się z takim opisem.

–Oczywiście, robiono już poważniejsze operacje – zauważył Ry-

Czytelnik może się zdziwić czytając słowa Beniamina, ale w nowych osiedlach w Ameryce ludzie tak się przyzwyczaili słuchać o podobnych wyczynach Europejczyków, że w nie wierzą (przyp. aut.).

Psie dziury – otwory w koszu masztu.

Junga – chłopiec okrętowy.

Bramsel – żagiel wyższy.

4 – Pionierowie

szard. – W encyklopedii znajdują się bardziej niewiarygodne rzeczy, prawda doktorze?

–No tak, w encyklopedii znajdzie się mnóstwo nieprawdopodobnych historii- odrzekł Elnathan – ale muszę przyznać, że nigdy nie widziałem ekstrakcji* większego przedmiotu niż kula muszkietu.

W czasie tej rozmowy lekarz przeciął młodzieńcowi skórę i obnażył loftekę. Potem wziął błyszczącą pensetę i już chciał chwycić ołów, gdy młodzieniec poruszył się gwałtownie i lofotka wypadła sama. Długa ręka i wielka dłoń Elnathana odegrały teraz dziwną rolę: ręka wyciągnęła się i pochwyciła ołów, a dłoń drugiej ręki przysłoniła ten ruch tak, iż patrzącym mogło się zdawać, że to lekarz wyjął kulę. Ryszard przypieczętował to wrażenie mówiąc:

–Artystyczna robota, doktorze. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zgrabnie wyjętej kuli. Beniamin chyba się z tym zgodzi.

–Tak – odparł Beniamin – przyznaję, że to pierwszorzędna robota. Teraz doktor już tylko zatka dziurę tamponem i młodzieniec bez przeszkód pożegluje z górskim wiatrem.

–Dziękuję panu, doktorze – z rezerwą powiedział młody myśliwy. – Widzę tu kogoś, kto się mną dalej zaopiekuje i zaoszczędzi panom fatygi.

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni i ujrzeni na progu sieni Indianina Johna,

Ekstrakcja – wyjęcie.

R O Z D Z I A Ł

S I 6 D M Y

Od źródeł bystrej Susquehanny, Gdzie się rozgościł dziki szczerp – W zwierzęcą skórę przyodziany Ścieżyną pasterz ku nam szedł.

Freneau

Zanim Europejczycy, albo używając bardziej charakterystycznego określenia: chrześcijanie, odebrali pierwotnym właścicielom ziemię, stany Nowej Anglii i środkowe, leżące na wschód od gór, zamieszkiwały dwa wielkie narody indiańskie. Od nich wzięły początek liczne plemiona i szczepy. Różnice językowe i częste krwawe wojny głęboko dzieliły te dwa narody. Nigdy nie łączyły się one ze sobą od

czasu, gdy biali siłą i najazdami podbili część tych plemion i tym samym utrudnili im nie tylko życie polityczne, ale zważywszy zwyczaje Indian – życie w ogóle.

Na te dwa wielkie odłamy Indian składało się z jednej strony Pięć albo jak je później nazywano, Sześć Narodów i ich sprzymierzeńcy; z drugiej – Lenni Lenapowie albo Delawarzy z niezliczonymi i potężnymi plemionami, które Lenapów uznawały za swoich ojców. Anglicy i Amerykanie nazywali pierwszych Indian Irokezami, Sześcioma Narodami, a czasem Mingami. Delawarów i pokrewne plemiona zwali Mengwami albo Makaami. Irokezi dzielili się na kilka plemion albo – jak ich sojusznicy chętnie twierdzili, by podnieść ich wagę – narodów. A więc na: Mohawków, Oneidów, Onondagów, Kajugów i Seneków. Wymieniliśmy je według znaczenia, jakie miały w konfederacji. Tuska-rorów przyjęto do niej dopiero w sto lat po jej zawiązaniu. Wówczas liczba narodów w związku wzrosła do sześciu.

Do Lenni Lenapów, czyli Delawarów;- jak ich ogólnie przezwali biali od nazwy rzeki, nad którą rozkładali swe ogniska narad – należały, prócz samych Delawarów, plemiona Mahikanów, Mohikanów albo Moheganów i Nantikoków albo Nentigów. Ci władali brzegami nadmorskimi i Chesapeake. Moheganie zaś zajęli ziemię między Hudso-

nem i Oceanem, a więc większą część Nowej Anglii. Te plemiona pierwsze zostały wyzute z ziemi przez Europejczyków.

Wojny ze wspomnianym odłamem Indian znane są w Ameryce pod nazwą wojen Króla Filipa*, ale William Penn, czyli Mikuon w języku Indian, nie mniej pewnie i znacznie łatwiej osiągnął cel pokojową polityką. Moheganie, stopniowo wypierani ze swych siedzib, rozproszeni, szukali schronienia przy ogniskach narad u ojczystego plemienia Delawarów.

Mingowie, czyli Irokezi, nie mogąc sobie siłą poradzić z Delawara-mi, uciekli się do podstępu i skłonili ich do zawarcia umowy, mocą której Delawarzy mieli się trudnić tylko pracą pokojową, a bronić ich podjęli się "mężowie", czyli wojownicze plemiona Związku Sześciu Narodów. Odtąd Delawarzy musieli znosić przezwisko "baby", nadane im przez, ich odwiecznych wrogów – Irokezów.

Tak trwało aż do Wojny Rewolucyjnej, kiedy to Lenni Lenapowie formalnie ogłosili się niezależnymi i odważnie oznajmili, że znów są "mężami". Jednakże pod tak demokratycznymi rządami jak indiańskie trudno było utrzymać wszystkich w ryzach prawa. Wielu zapalczywych słynnych mohegańskich wojowników uważało, że z białymi wygrać nie można, i szukało schronienia u swych praojców. Przynieśli oni ze sobą te szlachetne zasady i zwyczaje, którymi wyróżniali się nawet we własnym plemieniu. Ci wodzowie do pewnego stopnia podtrzymali wojowniczego ducha Delawarów i nieraz prowadzili małe oddziały przeciw swoim odwiecznym lub chwilowym wrogom.

Wśród wspomnianych wojowników był jeden ród wyróżniający się męstwem i zaletami, z których słyną indiańscy bohaterowie. Lecz wojna, czas, choroby i bieda wyniszczyły ten ongiś sławny ród. Jedyne jego przedstawiciel stał teraz na progu sieni. Od dawną już przystał do białych. Walczył u ich boku i gdy jeszcze mógł, oddawał im wielkie usługi, czym zyskał sobie pochwały i uznanie. Nic więc dziwnego, że przyjął chrzest i odtąd nazywał się John. Ostatnia wojna zadała mu ciężki cios, odcinając go od bliskich. Gdy resztki jego plemienia wygasły ogniska w delawarskich górach i odeszły w głąb puszczy, pozostał sam jak palec. Twardo postanowił bowiem, że złoży kości w ziemi swoich ojców.

–Król Filip – Metakam (zmarł w 1676) – wódz Indian w walce z angielskimi kolonistami Nowej Anglii w latach 1675-1676.

ai

Ale w górzystym terenie Templeton John zjawił się dopiero przed paroma miesiącami. Przyjęto go życzliwie w chacie starego myśliwego. Ich wzajemna sympatia nie dziwiła nikogo, bo zwyczaje Skórzanej Pończochy niewiele się różniły od zwyczajów Indian. Mieszkali więc pod jednym dachem, jedli z jednego kociołka i oddawali się podobnym zajęciom.

Wspomnieliśmy już o chrześcijańskim imieniu starego wodza. Jednakże w rozmowach z Nattym, prowadzonych po delawarsku, stary Indianin mówił o sobie "Chingachgook", co znaczy "Wielki Wąż". To nazwisko zdobył sobie w młodych latach dzięki swej niezwykłej zręczności i odwadze wykazanej w bitwach. Ale kiedy czas porył mu czoło zmarszczkami, gdy z całego narodu, a nawet ze swego znakomitego plemienia pozostał sam jeden, nieliczni Delawarzy, którzy jeszcze trzymali się źródeł rzeki, nadali mu smętne imię "Mohegan". Imię to pewnie budziło w duszy starego mieszkańca puszczy ponure i bolesne wspomnienia upadku plemienia, bo sam rzadko go używał. To znaczy – prawie nigdy, z wyjątkiem chwil najbardziej uroczystych. Wszyscy osadnicy zaś, zgodnie ze zwyczajem białych, złączyli jego chrześcijańskie imię z indiańskim i znali go jako Johna Mohegana albo pod bardziej poufałym imieniem Indianina Johna.

Zwyczaje Mohegana, który tyle czasu spędził wśród Jtiałych, były tylko na pół cywilizowane. Dzikość w nim przeważała. Jak u wszystkich ludzi, którzy żyją pod wpływem Anglików i Amerykanów, w Indianinie zbudziły się nowe potrzeby. Jego ubranie było więc mieszaniną stroju europejskiego i indiańskiego. Mimo tęgiego mrozu głowę miał gołą, okrytą tylko długimi, gęstymi, czarnymi i szorstkimi włosami, które z ciemienia opadały mu na czoło i nawet na policzki. Małe, czarne, uważnie patrzące w głąb sieni oczy lśniły w blasku świec jak dwie ogniste kule.

Gdy zauważył, że go dostrzeżono, zrzucił z ramion derkę, która opadła na kamasze z nie wyprawionej jeleniej skóry.

Indianin ruszył w głąb sieni. Wszyscy podziwiali jego spokojny, dumny chód. Aż do pasa był nagi. U szyi, na kozłowym rzemyku, wisiał medal z wizerunkiem Waszyngtona. Spokojnie spoczywał na wysoko sklepionej piersi między licznymi bliznami. W rękę trzymał mały koszyczek z jesionowych pręcików pokryty fantastycznymi, czer-wono-czarnymi rysunkami na tle bieli drzewa.

Wszyscy się rozstąpili i stary Indianin stanął przed młodym myśli-

wym. Nie odezwał się do niego ani słowem i tylko pałającym wzrokiem patrzył na zranione ramię.

–Witam cię, Johnie. Ten młodzieniec najwidoczniej jest wysokiego mniemania o tobie, bo woli, byś ty go opatrzył, a nie doktor Todd – rzekł sędzia.

Mohegan odpowiedział poprawną angielszczyzną, niskim, monotonnym i gardłowym głosem:

–Dzieci Mikuona nie lubią widoku krwi, a jednak Młodego Orła zraniła ręka, która nie powinna czynić zła.

–Mogehanie! Mój stary Johnie – zawołał sędzia – czy sądzisz, że mógłbym umyślnie rozlać krew? Wstydz się, wstydz, stary Johnie! Religia powinna cię była nauczyć czegoś innego.

–Zły duch żyje czasem w najlepszym sercu – odparł John. – Ale mój brat mówi prawdę. Jego ręka umyślnie nie zabiła nikogo. Nawet wtedy, kiedy dzieci Wielkiego Angielskiego Ojca zaczerwieniły wody rzeki krwią narodu.

–Pewnie przypominasz sobie, Johnie – poważnie wtrącił pastor Grant – przykazanie naszego Zbawiciela: "nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni". Po cóż zresztą sędzia miałby zranić tego młodzieńca, którego nie zna i który nie może mu zrobić ani nic dobrego, ani złego.

John z szacunkiem wysłuchał pastora, a gdy ten skończył, wyciągnął rękę i żywo odparł: |

–' Jest niewinny... mój brat tego nie zrobił.

Marmaduk uścisnął podaną mu rękę. Uśmiechnął się przy tym na znak, że wybacza staremu podejrzenie, któremu zrazu się dziwił. Tymczasem młodzieniec ciekawie przyglądał się to swojemu przyjacielowi, to gospodarzowi. Zaraz po wymianie uścisku dłoni John zabrał się do opatrywania rany. Doktor Todd wcale się nie gniewał o to naruszenie swych praw. Szepnął nawet do ucha panu Le Quoi:

–Całe szczęście, że wyjąłem kulę przed przyjściem Indianina. Teraz byle baba potrafi obandażować ranę. Podobno ten młodzieniec mieszka razem z Johnem i Nattym Bumpo. Zawsze najlepiej ustąpić choremu, jeśli tylko można... mówię, jeśli można...

–Z pewnością – odparł Francuz. – Zdaje się, że ma pan szczęśliwą rękę, panie Todd.

Myślę, że stara gospodyni doskonale zakończyłaby tak zręcznie zaczęte dzieło.

Ryszard natomiast w głębi duszy żywił wielkie uznanie dla wiedzy

Mohegana, zwłaszcza gdy chodziło o rany. Zrezygnował więc z udziału w sławie, podszedł do Indianina i powiedział:

–Witaj, wodzu! Witaj, stary przyjacielu! Cieszę się, żeś przyszedł. Do operacji dajcie mi tylko prawdziwego lekarza, jak nasz doktor To'dd. Ale w gojeniu ran indiańscy znachorzy są niezastąpieni. Czy mam ci pomóc, Johnie? Wiesz, że to dla mnie nie nowina.

Indianin cierpliwie słuchał tych wywodów. W rękach Mohegana pacjent bardziej przypominał prawdziwego pacjenta, niż gdy go męczył lekarz. Indianin nie wystawiał na próbę jego cierpliwości, bo wszystko miał już gotowe. Szybko nałożył opatrunek z utłuczonej kory zaprawionej jakimś sokiem wyciśniętym z leśnych ziół.

Po nałożeniu opatrunku młodemu myśliwemu Mohegan poprosił Ryszarda o zaszywanie bandażu i oddał mu igłę i nici, z którymi nie umiał się obchodzić. Sam z wielką powagą odszedł na bok i czekał, aż Ryszard upora się z zadaniem. †.

:- Dajcie nożyczki – powiedział Ryszard przy ostatnim ściegu, kiedy już nałożył całą górę bandażu na ranę. – Dajcie nożyczki, bo muszę uciąć tę nitkę. Gdyby się dostała pod opatrunek, zakaziłaby ranę. Spójrz, Johnie, te szarpie, których nadarłem, włożyłem między dwa płaty płótna. Wprawdzie kora świetnie goi, ale szarpie ogrzeją ranę.

–Proszę – powiedziała Remarkable wyciągając spod grubej zielonej spódnicy szerniałe nożyce – na mój rozum zeszył pan te gałgany nie gorzej od kobiety.

–Od kobiety! – powtórzył oburzony Ryszard. – Cóż kobiety się na tym znają? A pani jest najlepszym tego dowodem. Czy takimi nożycami manipuluje się przy ranie? Doktorze Todd, poproszę o nożyczki z pańskiego futerału. No, młody człowieku, myślę, że teraz już wszystko pójdzie dobrze. Kulę wyjęto po mistrzowsku, choć nie powinienem tak mówić, bo sam w tym brałem udział, a ranę pięknie opatrzone. Niedługo będzie pan całkiem zdrowy, choć po tym ciosie, jaki pan zadał moim koniom, rana się może zaognić. Ale wszystko będzie dobrze. Musiał się pan zdenerwować, a na koniach się pań nie zna. Intencje jednak były szlachetne, więc nie mówmy już o tym... Nie wątpię, że chciałeś jak najlepiej... tak, tak, teraz już wszystko będzie dobrze.

–A zatem, panowie, nie będę nadużywał waszej cierpliwości i za-

brał wam czasu – powiedział młodzieniec wstając i ubierając się. – Musimy tylko uzgodnić, czyja będzie zwierzyna.

–Przyznaję, że należy do ciebie, młodzieńcze – odrzekł Marmaduk. – Winienem ci znacznie więcej niż kawał zwierzyny. Wpadnij do nas jutro rano. Uregulujemy tę sprawę i inne, znacznie ważniejsze. Elżbieto – zwrócił się do dziewczyny, która znów weszła do sieni, gdy się dowiedziała, że ranę już opatrzone – każ dać jeść temu młodzieńcowi, zanim wyruszymy do kościoła. Niech Aggy przygotuje sanki. Odwiezie rannego do jego przyjaciela.

–Muszę jednak dostać część kozła – rzekł młodzieniec najwidoczniej walcząc ze sobą. – Już panu powiedziałem, że potrzebuję mięsa.

–Och, nie bądźmy -małostkowi – wtrącił Ryszard. – Sędzia jutro zapłaci za kozła, a Remarkable da panu całe mięso z wyjątkiem combra. Myślę, że to jest korzystne dla pana, młodzieńcze... Postrzelono cię, ale nie okaleczono.

–Dziękuję panu za szczodrość, a niebu za ocalenie – odparł młody myśliwy – ale panowie zatrzymujecie tę część zwierzyny, którą sobie upatrzyłem. Comber muszę mieć dla siebie.

–Muszę! – powtórzył Ryszard. – "Muszę" to słowo, które trudniej przełknąć niż jelenie rogi.

–Tak, muszę – powtórzył młodzieniec, wyzywająco spoglądając wkoło. Ale napotkawszy zdziwiony wzrok Elżbiety, dorzucił łagodniej: – Oczywiście, jeżeli człowiekowi wolno jeszcze rozporządzać ubitą zwierzyną i jeśli prawo broni jego własności.,

–Prawo jest po jego stronie – z lekką urazą i zdziwieniem •przeciął spór sędzia. – Beniaminie, dopilnuj aby kozła w całości umieszczono w saniach. Rannego każ odwieźć do chaty Skórzanej Pończochy. Chciałbym jednak wiedzieć, jak się nazywasz, młodzieńcze, i muszę cię jeszcze raz ujrzeć, by wynagrodzić ci krzywdę,

–Nazywam się Edwards – odrzekł myśliwy. }>- Oliwer Edwards. Mieszkam blisko, nietrudno więc będzie mnie zobaczyć. Nie wstydzę się też pokazywać ludziom na oczy, bo nikomu nie wyrządziłem krzywdy.

–To my skrzywdziliśmy pana – wtrąciła się Elżbieta. – Zmartwi pan ojca odrzucając naszą pomoc. Niechże pan przyjdzie jutro rano:

Młodzieniec uważnie przyjrzał się pięknej dziewczynie, która zarumieniła się pod

jego spojrzeniem. Wreszcie zebrał myśli, schylił głowę, wbił oczy w dywan i odpowiedział:

–Przyjdę jutro do pana sędziego. I skorzystam z sanek na do wód zgody.

« – Zgody! – powtórzył Marmaduk. – Nie powinien się pan o nic gniewać, bo nie miałem żadnych wrogich zamiarów wobec pana.

–Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom – odezwał się pastor Grant. – Tak nakazywał nam Chrystus, a dla nas, jego pokornych wyznawców, nakaz ten winien być święty.

Młodzieniec chwilę stał zamyślony, potem raz jeszcze rozejrzał się po sieni ciemnymi, nieco dzikimi oczami i nisko skłoniwszy się pastorowi ruszył ku drzwiom tak stanowczym krokiem, że trudno go było zatrzymać.

–Dziwne to, aby młody człowiek tak długo żywił urazę – powiedział Marmaduk po wyjściu obcego. – Ale na świeżo i kiedy ból jeszcze dokucza, człowiek silnie odczuwa krzywdę. Myślę, że jutro go zobaczymy i że nie będzie już taki zawzięty.

Elżbieta milczała, choć ojciec mówił do niej. Wolno poszła sienią prosto przed siebie, wpatrując się w drobny wzór angielskiego dwustronnego dywanu, pokrywającego podłogę. Ryszard zaś, zaraz po wyjściu młodzieńca, strzelił z bata i zawołał:

–Duku, oczywiście zrobisz, jak chcesz, ale ja bym tak łatwo nie zrezygnował z combra. Czyż te góry i doliny nie są twoje? Czy lasy nie należą do ciebie? Jakim prawem Skórzana Pończocha i ten jegomość polują na tych terenach? W Pensylwanii znałem farmera, który równie mało liczył się z myśliwymi jak ja z drzewem, gdy każę Benjaminowi dokładać do ognia. Panie Le Quoi, jak te sprawy wyglądają we Francji? Czy pierwszy lepszy facet może tam łązić, gdzie chce, jak u nas, i strzelać wam zwierzynę sprzed nosa?

–Ależ gdzie tam, panie Dicku! – odparł Francuz. – We Francji nikomu nie użyczamy takich swobód, chyba tylko damom.

–Ryszardzie – spokojnie powiedział major Hartmann wytrząsając popiół z fajki do stojącej obok spluwaczki – niech' pan posłucha. Przeżyłem siedemdziesiąt pięć lat nad Mohawkim i w puszczy. Lepiej już mieć do czynienia z diabłem niż z myśliwymi. Zawsze mają strzelbę pod ręką, a to znaczy więcej niż prawo.

–Czyż Marmaduk nie jest sędzią? – odparł Ryszard z oburzeniem. – Po co być sędzią albo po diabła sędzia, jeśli prawo nie istnieje? Niech szlag trafi tego jegomościa! Mam wielką ochotę oskarżyć go jutro przed Doolittlem za wtrącanie się do zaprzęgu. Nie boję

się jego strzelby. I ja umiem strzelać. Nieraz już "z trzystu jardów strzelałem w dolara.

–Ale prawie zawsze pudłowałeś! – wesoło zawołał sędzia. – Chodźmy już do stołu, bo jak widzę z miny Remarkable, kolacja gotowa. Panie Le Quoi, córka czeka na pańskie ramię. Bess, bądź łaskawa pójść naprzód.

–Ah, ma chere mam'selle, comme je suis enchante* – powiedział Francuz – Il ne manque que les dames de faire un paradis de Templeton*.

Wszyscy wyszli. W sieni pozostał tylko pastor Grant, Mohegan i Beniamin, który uprzejmie czekał na pastora, a prócz tego chciał wypuścić Indianina.

–Johnie – powiedział Grant, kiedy już zamknęły się drzwi za sędzią idącym na końcu. – Jutro świętujemy narodzenie Zbawiciela. W tym dniu nasz kościół wzywa swe dzieci do modłów i dziękczynienia. Wszyscy muszą wziąć udział w tej Tajemnicy Wiary. Przyjąłeś chrzest, wszedłeś na drogę cnoty i wyrzekłeś się zła. Wierzę więc, że cię ujrzę jutro przy ołtarzu skruszonego i pokornego.

. – John przyjdzie – odparł Indianin bez najmniejszego zdziwienia, choć niewiele zrozumiał ze słów pastora.

–Tak – mówił dalej duchowny, łagodnym ruchem kładąc rękę na śniadym ramieniu starego wodza – ale nie dość przyjść do kościoła. Trzeba być tam duszą i myślą. Zbawiciel umarł za wszystkich ludzi: za biednych Indian i za białych. Niebiosa nie znają różnic w kolorze skóry, a więc i na ziemi powinien być jeden kościół. Dobra to rzecz i korzystna, Johnie, odświeżyć wiarę i podtrzymać jej płomień przez udział w świętych uroczystościach. Ale bezduszna forma, pozbawiona szczerej wiary i głębokiej pokory, jest jedynie | mdłym dymem przed tronem naszego Pana.

Indianin wyprostował się na całą wysokość, cofnął o krok, wyciągnął w górę prawą rękę, palcem wskazał w dół, jakby z nieba ku ziemi, lewą dłoń przyłożył do piersi i powiedział stanowczym tonem:

–Wielki Duch widzi spoza chmur. Pierś Mohegana jest obnażona.

–To dobrze, Johnie. Życzę ci spokojnej nocy i niech cię Bóg błogosławi.

Beniamin wypuszczając starego wodza zawołał za nim, jakby mu ehciał dodać otuchy:

–Ksiądz mówi prawdę, Johnie. Gdyby tam w niebie zwracali uwagę na kolor skóry, to mogliby odmówić wpisania do niebiańskich rejestrów urodzonego chrześcijanina, takiego jak ja, tylko dlatego, że się opalił żeglując pod równikiem. A jeżeli już o to chodzi, przeklęty wiatr północno-zachodni wybieli nawet skórę Murzyna. Nasuń derkę na głowę, bo twoja czerwona skóra nie ostoi się przed nocnym mrozem.

Ach, droga panienko, jakże jestem zachwycony (franc).

W Templetonie brakuje tylko pań, by uczynić z niego raj (franc).

R; O'

D ł

1 /

V A Ł

|Ó S M Y

Tu się gromadzą ze świata wygnańcy Gwarząc serdecznie – każdy w swojej mowie.

Campbell

W czasach, w których rozgrywa się nasza historia, Europa przeżywała głębokie wstrząsy. Ścięto Ludwika Szesnastego, a najbardziej cywilizowany naród świata przechodził wielkie przemiany. Okrucieństwo wzięło w nim górę nad miłosierdziem, dzikość nad wielkodusznością i odwagą. Tysiące Francuzów musiało szukać schronienia w odległych krajach. Między tymi, którzy z Francji i jej wysp wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, był znany już czytelnikom monsieur Le Quoi. Sędziemu Tempie polecił go właściciel jednego z wielkich nowojorskich domów handlowych, z którymi Marmaduk utrzymywał ożywione stosunki. Od pierwszego spotkania z Francuzem Marmaduk dojrzał w nim człowieka dobrze wychowanego i pamiętającego lepsze czasy. W panu Le Quoi podejrzewano plantatora z Indii Zachodnich, jakich wielu uciekło z San Domingo i innych wysp. Ludzie ci żyli teraz w Stanach Zjednoczonych cierpiąc biedę, a nieraz nędzę. Panu Le Quoi jednakże szczęście dopisało. Udało mu się coś niecoś uratować, jak sam mówił: bardzo mało, lecz dość, by założyć sobie sklepik.

Marmaduk miał umysł niezwykle praktyczny, a przy tym dobrze znał życie osadników. Pod jego kierunkiem pan Le Quoi nakupił różnych towarów: kilka par ubrań, nieco bielizny, trochę artykułów kolonialnych, wiele prochu i tytoniu. Nie zapomniano też o artykułach żelaznych. Przede wszystkim o nożach kieszonkowych, kotłach na potaż i sagankach. Pamiętano o kolekcji prostych garnków glinianych, wyjątkowo niezgrabnych i tandetnych, słowem, o wszystkim, co łącznie z takimi luksusowymi towarami jak lusterka i harmonijki wynaleźli

ludzie dla zaspokojenia swych potrzeb. Zaopatrzony w te cenne przedmioty, pan Le

Quoi stanął za ladą i z cudowną giętkością pełnił rolę sklepikarza, równie wdzięcznie jak ongiś poruszał się po salonach. Dzięki uprzejmości i umiejętności jednania sobie ludzi wkrótce zdobył ogromną popularność. Poza tym kobiety odkryły, że ma dobry gust. Jego perkaliki były najładniejsze albo najefektowniejsze ze wszystkich. Trudno też było targować się z tak "wykwintnym panem". Dzięki umiejętnemu połączeniu tych wszystkich środków interesy pana Le Quoi zakwitły, a osadnicy poczęli go uważać za drugiego z kolei bogacza w patencie.

Ta nazwa "patent", której już poprzednio używaliśmy i której jeszcze nieraz użyjemy, obejmowała ziemię nadaną królewskim patentem staremu majorowi Effinghamowi. Teraz, po konfiskacie, przeszła ona na własność Marmaduka Tempie. W nowych częściach stanu powszechnie używano tej nazwy, przy czym uzupełniano ją nazwiskiem posiadacza włości. Mówiono więc: patent Temple'a lub Effinghama.

Major Hartmann był potomkiem człowieka, który wraz ze swymi współrodakami wyemigrował znaną Renu na brzegi Mohawku. Stało się to za czasów panowania królowej Anny. Potomkowie tych uchodźców żyli teraz w spokoju i dobrobycie na urodzajnych brzegach pięknej rzeki.

Fryc, albo Fryderyk Hartmann, reprezentował wszystkie zalety i wady, słabostki i doskonałości swej rasy. Pasjonat i milczek, uparty i wielce podejrzliwy w stosunku do obcych, niezwykle odważny, kryształowo uczciwy, był niezachwianie wierny w przyjaźni. Łatwo przechodził od gniewu do wesołości i to była jedyna zmienna cecha jego charakteru. Miesiącami potrafił być poważny, tygodniami wesoły. Wcześniej przywiązał się do Marmaduka Tempie, jedynej osoby, który nie znając niemieckiego potrafił pozyskać jego przyjaźń. Cztery razy na rok, w równych odstępach, porzucał swój niski murowany domek nad brzegiem Mohawku i jechał trzydzieści mil przez góry, by zapukać do drzwi dworu w Templeton. Zwykle gościł w nim tydzień i, jak opowiadano, folgował sobie w jadłach i trunkach, w czym Ryszard Jones dzielnie mu sekundował. Wszyscy go lubili – nawet Remarkable Pettibone, chociaż sprawiał jej kłopot swymi wizytami – tak był szczery, prosty i czasem zaraźliwie wesoły. Tym razem jak zwykle ściągnęły go do Templeton święta Bożego Narodzenia. Nie zdążył nawet godziny

zabawić w osadzie, gdy Ryszard zabrał go do sań na powitanie sędziego i Elżbiety.

Człowiek najprzód dąży do zaspokojenia swych potrzeb cielesnych, a dopiero potem – duchowych. Po wytyczeniu ulic, postawieniu pierwszych domów i nadaniu osadzie wyglądu wsi, zwołano zebranie mieszkańców, by się naradzić nad budową akademii. Pomysł wyszedł od Ryszarda, któremu marzył się uniwersytet lub co najmniej college*. Mijały lata, zebranie następowało po zebraniu, a sprawa stała w miejscu. Uchwałę za uchwałą ogłaszano na pierwszej stronie małej miejscowej gazetki, drukowanej raz w tygodniu na niebieskim papierze na poddaszu dworu. Przejedni widywali ją regularnie, wetkniętą w szczelinę słupa, w miejscu, gdzie dróżka z samotnej chatki jakiegoś osadnika łączyła się z gościńcem. Ten słup był jednocześnie urzędem pocztowym, zdarzało się, że nawet zaopatrzonym w małą skrzyneczkę. Wówczas poczmistrz przejeżdżający tędy kładł w nią całą paczkę tych cennych gazetek i mieszkańcy okolicy mogli zaspokoić swój tygodniowy głód literatury. Pod tymi uchwałami zredagowanymi kwiecistym stylem, zwykle mówiącymi o błogosławieństwie nauki oraz politycznym i geograficznym prawie Templeton do własnego uniwersytetu, pod wzmiankami o czystości powietrza i wody, taniej żywności i przykładowych miejscowych zwyczajach, widniały nazwiska Marrnaduka Tempie jako prezesa i Ryszarda Jonesa – sekretarza, złożone wersalikami.

Na szczęście dla całego przedsięwzięcia centralne władze uniwersyteckie chętnie słuchają apeli do ich wielkoduszności, gdy tym wezwaniom mogą towarzyszyć poważne dotacje. Sędzia zdecydował się wreszcie ofiarować potrzebny teren i nawet własnym kosztem wystawić budynek. Teraz znów puszczono w ruch talenty pana albo jak go nazywano od chwili objęcia urzędu – sędziego Doolittle'a, a Ryszard wsparł go całą swą wiedzą.

Budowa szybko szła naprzód i przy końcu lata gmach, duma osady, dzieło młodych architektów i przedmiot zachwyty wszystkich ' mieszkańców patentu, stanął w całej swej krasie i okazałości.

Wkrótce po nadaniu nowemu zakładowi praw nauczania, jego opiekunowie zaangażowali "profesora". Ukończył on college we wschodnich stanach i teraz miał kształcić w murach nowego budynku

College – tu: wyższy zakład naukowy, ale podzielony na wydziały i dający ogólne wykształcenie (ang.).

młodzież spragnioną wiedzy. Na piętrze mieściła się tylko jedna sala, przeznaczona na uroczyste obchody i popisy. Natomiast parter dzielił się na dwa pokoje dla dwóch podstawowych gałęzi wiedzy: łaciny i angielskiego. Łacina nie cieszyła się dużym wzięciem, chociaż często z otwartych okien leciały słowa: nominativus – penna, genetivus – pennae, które szczerze cieszyły przechodniów i wyjaśniały im przeznaczenie budynku. •

Ale tylko jeden jedyny męczennik tej świątyni Minerwy* zaszedł aż tak daleko, że porwał się na przekład Wergiliusza. W obecności niezwykle podnieconej rodziny, farmerów z sąsiedztwa, wystąpił na dorocznym popisie, recytując z pamięci całą pierwszą sielankę i umiejętnie, efektownie przestrzegając intonacji w dialogu.

Opiekunowie zakładu doszli w tym czasie do wniosku, że zanadto wyprzedził czas, i wobec tego zastąpili profesora zwykłym bakałarzem, który zgodnie z zasadą "co nagle, to po diable" udzielał tylko początków angielskiego.

Odtąd, aż do opisywanych wydarzeń, akademia była tylko szkołą wiejską. W auli odbywały się szczególnie ważne rozprawy sądowe, czasem wieczorami – zebrania religijne ludzi spragnionych wiary. Nieraz po południu odbywały się tu bale pod protektoratem Ryszarda. I niezmiennie w niedzielę •- publiczne nabożeństwa.

Jeśli w sąsiedztwie zjawił się duchowny z sekty metodystów, baptystów, uniwersalistów lub najliczniejszej – prezbiterianów, zapraszano go, aby odprawił nabożeństwo w Templeton. Wynagradzano go datkami zbieranymi do kapelusza przed rozejściem się wiernych. Ale gdy brakło kapłana, któryś z bardziej uduchowionych osadników odmawiał zaimprovizowaną modlitwę, jedną lub dwie, a Ryszard odczytywał kazanie ze zbioru Sterne'a.

Z tej przypadkowości wynikł zupełny chaos w poglądach na bardziej zawile zagadnienia wiary. Każda sekta miała swoich zwolenników, ale żadna nie była należycie zorganizowana.

Tymczasem do Templeton przyjechał z Anglii wysłany przez swych przełożonych misjonarz, pastor Grant. Marmaduk uprzejmie mu zaproponował, by się na stałe osiedlił w osadzie, a Ryszard uporczywie przy tym obstawał. Dla rodziny pastora przygotowano skromną i małą

Minerwa – bogini rozumu.

siedzibę, do której zjechał dopiero parę dni temu. Pierwsza niedziela upłynęła pastorowi beczynnie, bo większości parafian obcy był jego ceremoniał odprawiania mszy, a na dobitkę duchowny z innej sekty zdążył go uprzedzić. Ale teraz, gdy ten rywal przeleciał jak meteor napelniwszy atmosferę światłem swej wiedzy, Ryszard został uppełnomocniony do ogłoszenia, że "Wielebny pastor Grant odprawi nabożeństwo według obrządku protestanckiego kościoła episkopalnego w wieczór wigilijny w auli Akademii Templetońskiej.

Ta wiadomość wywołała duże poruszenie wśród wyznawców różnych sekt. Jedni ciekawi byli nabożeństwa, inni sarkali, ale większość, pamiętając religijne popisy Ryszarda oraz tolerancję, a raczej obojętność Marmaduka w sprawach wiary, wołała milczeć.

Mimo wszystko nabożeństwo wieczorne wzbudziło ogólną ciekawość, która jeszcze wzrosła, gdy rankiem tegoż dnia ujrzano Ryszarda i Beniamina niosących z lasu naręcze jodłowych łapek. Widziano, jak weszli do budynku akademii i starannie się w nim zamknęli. Ryszard przed rozpoczęciem tajemniczego zajęcia, ku uciesze jasnowłosych wisu-sów, uprzedził nauczyciela, że w tym dniu lekcji nie będzie. Marmaduka listownie zawiadomiono o tych przygotowaniach i z góry ustalono, że zjedzie wraz z córką na czas, by uczestniczyć w wieczornej uroczystości.

A teraz powróćmy do naszej opowieści.

I

E -w' s:

T

W każdym oku zachwyty teraz błyska

Drób, ryby, mięso pachnie na

półmiskach,

A goście według rangi zerkają ku

stołom,.

Łykając jeno ślinkę – i krążą wokoło

Jak sęp, co czuje, że uczta już bliska.

Heliogabaliada

Do pokoju, do którego pan Le Quoi wprowadził Elżbietę, wchodziło się przez drzwi pod urną z rzekomymi prochami Dydony. Był to pokój obszerny i foremny, tak samo niedbale ozdobiony i umeblowany jak sień. Stało tu dwanaście zielonych drewnianych foteli, wyściełanych poduszkami pokrytymi tą samą wełną, z jakiej uszyta była spódnica Remarkable. Stoły ginęły pod nakryciem i można o nich powiedzieć tylko tyle, że były duże i masywne. Wielkie lustro w złoczonej ramie wisiało na jednej ze ścian, a na kominku wesoło płonęły kłody cukrowego klonu. Sędzia przede wszystkim spojrzął na kominek i na widok płonących kłód gniewnie zwrócił się do Ryszarda:

–Tyle razy mówiłem, żeby nie palić cukrowym klonem w tym domu. Boli mnie widok soku parującego w ogniu. Kto ma takie wielkie lasy jak ja, powinien świecić przykładem i nie pozwalać na bezmyślne wycinanie bogactw, które przecież nie są nieprzebrane. Jak tak dalej pójdzie, za dwadzieścia lat zabraknie nam opału.

–Opału w tych górach, kuzynie? – zawołał Ryszard szyderczo. – Opału! Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że w jeziorze zabraknie ryb, bo na wiosnę odprowadzę drewnianymi rurami wodę do wsi z kilku strumieni. Ale ty zawsze musisz sobie coś ubrać.

Cóż sobie ubrałem potępiając zwyczaj palenia w piecu tymi perłami naszego lasu? Tymi bezcennymi bogactwami natury, istnymi skarbnicami dobrobytu... – poważnie zapytał sędzia. – Gdy tylko śniegi stają, wyślę w góry ekspedycję na poszukiwanie węgla.

–Węgla? – f- powtórzył Ryszard. – Jakiż wariat zechce wydoby-

5 – Pionierowie

wać węgiel, skoro dla jednego buszla* będzie musiał wygrzebać tyle korzeni, że na rok mu starczy opału! Marmaduku, zostaw to mnie, już ja się lepiej na tym znam. To ja kazałem rozpaść taki suty ogień, by rozgrzać kuzynkę.

–To cię usprawiedliwia – odparł sędzia. – Panowie, proszę do stołu. Elżbieto, zajmij honorowe miejsce. Ryszard pewnie wyręczy mnie

. w krajaniu mięsa i siądzie naprzeciw ciebie.

–Oczywiście, że cię wyręczę – zawołał Ryszard. – Mamy tu indyka, a pochlebiam sobie, że umiem dzielić indyka i gęś jak nikt inny. Gdzie się podział pastor Grant? Czy zechce pan odmówić modlitwę? Wszystko wystygnie. Przy tym zimnie potrawy zamarzają w pięć minut po zdjęciu z ognia. Pastorze Grant, prosimy o modlitwę... Pobłogosław Panie te dary... Siadajcie państwo, siadajcie. Kuzynko Bess, czy wolisz skrzydełko czy kawałek piersi?

Ale Elżbieta ani nie siadła do stołu, ani nie kwapiła się do skrzydełka czy kawałka piersi. Roześmianymi oczami patrzyła na nakrycie i na smakowite, wyborne potrawy. Sędzia wkrótce spostrzegł jej wzrok, uśmiechnął się i powiedział:

–Widzisz, jaka wspaniała gospodyni z Remarkable. Przygotowała nam pyszną wieczerę, która zaspokoiliby nawet najbardziej zgłodniałych.

–O Jezuu! Cieszę się, że pan sędzia zadowolony! – odparła Remarkable. – Boję się tylko, że trochę przesadziłam z przyprawami. Chciałam jednak wszystko zrobić najlepiej na powitanie Elżbiety.

–Moja córka jest już dorosłą kobietą i od tej chwili panią domu – powiedział sędzia. – Wszyscy więc winni mówić do niej miss Tempie.

–Co też pan gada! – zawołała zaskoczona Remarkable – kto słyszał, żeby do młodej panny mówić miss? Gdyby pan miał żonę oczywiście mówiłabym do niej miss* Tempie.

–Mam tylko córkę, ale życzę sobie, aby pani w przyszłości tak ją tytułowała – przerwał Marmaduk.

Sędzia powiedział to dość ostro, a że w takich chwilach przybierał rozkazującą minę, przezorna gospodyni wołała się nie sprzeciwiać. Pastor Grant ^właśnie wszedł, wszyscy więc zasiedli do stołu i od, razu

Buszel – miara objętości, około. 35 l.

Ludzie prości w Ameryce mówią do mężatek "miss" zamiast "mistress".

zabrali się do jedzenia z apetytem, który przynosił zaszczyt gustowi i umiejętnościom kulinarnym Remarkable. Sędzia, który już trochę ochłonął z gniewu, postanowił się wytłumaczyć.

–Oburza mnie – powiedział, zwracając się do pana Le Quoi – marnotrawstwo osadników, gdy chodzi o cenne drzewa. Sądzę, że pan to zauważył. Raz widziałem człowieka, który zrąbał całą sosnę* by sobie wyciąć palik na płot. Resztę zepchnął w przepaść, gdzie zgniła, a przecież z gałęzi miałyby dość palików. Za pień zaś dostałby w Filadelfii przynajmniej dwadzieścia dolarów.

–A jakże, u diabła... przepraszam pastorze – przerwał Ryszard – jakżeby ten biedak dostarczył drzewo do Filadelfii. Przyniosłby je w kieszeni jak garść kasztanów lub pęczek jałowca? Chciałbym cię zobaczyć paradującego po głównej ulicy miasta z sosnowym pniem w każdej kieszeni! Co ty opowiadasz, kuzynie! Wystarczy drzew dla wszystkich, kuzynie, i jeszcze trochę zostanie.

–Tak, tak, panie – zawołał Beniamin, który właśnie wszedł i stanął za krzesłem sędziego nieco z boku, by przy lada sposobności wtrącić się do rozmowy. – Zawsze patrzeć w górę, panie. Zawsze w górę. Starzy marynarze mówią: "Nawet diabeł nie będzie dobrym marynarzem, jeśli nie patrzy w górę". A bez kompasu, panie, nie ma sterowania. Ja tam zawsze patrzę na bocianie gniazdo, jak nazywam ten punkt obserwacyjny, co go pan Ryszard wybudował na dachu. A gdy jest pochmurno lub drzewa mi zasłaniają widok, wyciągam kompas, ustalam kierunek, odległość i wychodzę prawidłowym kursem. Od czasu, jakżeśmy wykończyli tę wieżyczkę Św. Pawła, jest na co się orientować w żegludze po lasach – bo u Boga Ojca, jak byłem...

–Dobrze, już dobrze, Beniaminie – przerwał mu sędzia widząc, że Elżbieta marszczy się na zbytnią poufałość Beniamina. – Zapominasz, że mamy tu damę w naszym towarzystwie, a kobiety przede wszystkim same lubią mówić.

–Mądre słowo, panie sędzio! – zawołał Beniamin śmiejąc się skrzekliwie. – Ano, mamy tii pannę Remarkable Prettybones*. Niech no tylko wyjmie zawleczkę z języka, a usłyszymy taki trajkot, jakbyśmy z podwietrznej podeszli do francuskiego korsarza albo nie przymierzając – do tuzina małą upchanych w worku.

Trudno przewidzieć, w jakim stopniu gospodyni potwierdziłaby

Gra słów: Prettybones po angielsku – ładne kości.

prawdę tych słów, gdyby się nie bała. Ale choć sędzia spojrział na nią surowo, nie mogła opanować gniewu i trzęsąc się ze złości wybiegła z pokoju.

–Ryszardzie – powiedział sędzia, gdy spostrzegł, że osiągnął cel – czy możesz mi coś powiedzieć o tym młodzieńcu, którego tak nieszczęśliwie zraniłem? Natknąłem się na niego, gdy polował wraz ze Skórczaną Pończochą, jakby był jego krewnym. A jednak widzę różnicę w ich manierach. Młodzieniec mówi językiem wyszukany, jakirzadko się słyszy w tych górach. Dziwne to wobec jego prostego ubrania i myśliwskiego trybu życia. Mohegan również go zna. Pewnie mieszka w chacie Natty'ego. Panie Le Quoi, czy pan zauważył, jak on mówi?

–Certainement, monsieur Tempie* – odparł Francuz. – Doskonale mówi po angielsku.

–To żadne cudo – rzekł Ryszard; – Znałem dzieci, które wcześniej posyłano do szkół i które w dwunastym roku życia mówiły znacznie lepiej. Ale tego strzelca, o którym mówisz, warto postawić pod pręgierz, jeśli jeszcze kiedy chwyci za lejce. To największy niezgra-biasz, jakiego znam. Chyba poganiał tylko woły.

–Krzywdzisz go, Dickonie – odparł sędzia. – Wykazał dużą przytomność umysłu. Czy prawda, Bess?

Pytanie było najnaturalniejsze w świecie, ale Elżbieta, wyrwana z zamyślenia, zarumieniła się po uszy.

–Uważam – rzekła – że działał szybko, zręcznie i odważnie. Nie wiem jednak, co powie Ryszard. Na tych rzeczach tak samo się nie znam jak tamten dżentelmen.

–Dżentelmen – jak echo powtórzył Ryszard – czy to w szkole "nazywaliście takich pocziwców dżentelmenami?

–Każdy mężczyzna jest dżentelmenem, jeżeli traktuje kobietę delikatnie i z szacunkiem – bez namysłu odpowiedziała Elżbieta.

–Tyle hałasu o to, że wstydził się pokazać dziedzicze obnażone ramię"! – zawołał Ryszard mrugając do pana Le Quoi, który w odpowiedzi przymrużył jedno oko, gdy drugim z uznaniem patrzył na Elżbietę. – Wszystko, tylko nie dżentelmen! Ale muszę przyznać, że ma celne oko i wprawną rękę. Potrafi trafić kozła, prawda, Marmaduku?

–Ryszardzie – odezwał się major Hartmann, odwracając po-

Oczywiście, panie Tempie (franc.)

ważne oblicze do Jonesa. – To dobry chłopak. Uratował życie tobie i nam. Nigdy nie zostanie bez domu, dopóki stary Fritz Hartmann ma choć jedną dachówkę nad głową.

–Jak pan chce, panie majorze – odrzekł Ryszard z udaną obojętnością – może go pan sobie zabrać do swego murowanego domu. Ja jednak twierdzę, że młodzik sypiał w szałasie krytym korą lub najwyżej – w chatce Skórzanej Pończochy. Mówię wam, że go rozpuścicie w krótkim czasie. Widzieliście, jak zadarł nosa, tylko dlatego, że stał przy koniach, gdy je zawróciłem na drogę?

–Nie, nie, drogi przyjacielu – wtrącił się Marmaduk. – To ja przede wszystkim muszę się zatroszczyć o tego młodzieńca. Poza tym, że uratował moich przyjaciół, jestem jego osobistym dłużnikiem. Widzę jednak, że nie będzie to łatwa sprawa. Wyraźnie nie uśmiecha mu się myśl zamieszkania u nas, prawda Bess?

–Tak, ojciec – odparła Elżbieta. – Ale chyba- Benjamin może nam coś o nim powiedzieć. Przecież musiał go widywać w osadzie.

–Tak, już go widywałem – powiedział zachęcony Benjamin. – W pogoni za zwierzyną ciąga się po tych górach za Nattym Bumppo jak łódź za okrętem. I ma dobrą strzelbę. Nie dalej jak we wtorek wieczorem Skórzana Pończocha przy kominku w gospodzie Betty Hollister mówił o nim, że to prawdziwy pogromca zwierza. Jeśli ma rację, to może młodzik ubije rysia, co ryczy nad brzegiem jeziora od...czasu, gdy mrozy i śniegi spędziły jelenie w stada. I dobrze robi, bo ryś to kiepski towarzysz i trzeba go wylawiarować z kursu chrześcijanina.

–Czy ten młodzieniec mieszka razem z Bumppo? – ciekawie zapytał Marmaduk. '

–Mieszkają pod jednym dachem. W środę będzie trzy tygodnie, jak się po raz pierwszy pojawił na horyzoncie u boku Skórzanej Pończochy. Złowili wilka i przynieśli jego skalp, by otrzymać nagrodę. Ten Bumppo nabył wielkiej wprawy w skalpowaniu. W osadzie mówią, że się tego wyuczył na poległych chrześcijanach. Gdyby to była prawda, a ja bym tu był kapitanem, jak jaśnie pan sędzia, tobym go zaraz kazał oćwiczyć. Mamy tu piękny słup. Stoi burta w burtę z dybami. A dyscyplinę sam przyrzadzę. Tak, panie. I nawet mogę go własnoręcznie oćwiczyć, gdyby się tego nikt inny nie podjął.

–Nie powinieneś wierzyć w takie głupstwa. Natty ma jakby •przywilej polowania w tych górach. A jeśli wiejscy próżniacy chcą mu

zalać sadła za skórę, jak to czasem robią zawodowym hultajom, to prawo go broni.

–Strzelba jest lepsza od prawa – filozoficznie zauważył major.

–E tam, jego strzelba! – Ryszard lekceważąco pstryknął palcami. – Ben ma rację i ja... przerwał mu dźwięk zwykłego dzwonu okrętowego zawieszzonego na wieżycy akademii. Jego monotony głos wzywał na wieczorne nabożeństwo. – "Dzięki Ci Panie za Twe hojne dary..." przepraszam, pastorze Grant, proszę, niech pan zmówi modlitwę. Czas na nas, jedynych wyznawców episkopalnej wiary na całą okolicę. To znaczy: na mnie, Beniamina i Elżbietę. Bo Marmaduk ze swą niedopieczoną wiarą gorszy jest od heretyka.

Pastor wstał, pokornie i żarliwie pomodlił się i wszyscy ruszyli do kościoła, a raczej do akademii.

Z i

Ł

D

!'7

I przyzywając grzesznych do modlitwy, Długo, głęboko wieczorny dzwon dzwonił...

Scott

Ryszard, pan Le Quoi i Beniamin pomaszzerowali na przełaj dróżką Wydeptaną w śniegu. Sędzia zaś, Elżbieta, pastor i major pojechali naokoło ulicami osady.

Elżbieta siedząc w sankach, które gładko sunęły główną ulicą, zajęła się odczytywaniem szyldów wiszących prawie nad każdymi drzwiami. Co chwila napotykała nie tylko zupełnie nowe dla siebie sklepy lub zakłady, ale i obce nazwiska. Nawet domy się zmieniły. Temu wyrosła jakaś przybudówka, tamten świeżo odmalowano. Inny stanął na miejsce dawnego, znanego, który znikł, ledwie powstał. Ale ze wszystkich wychodzili mieszkańcy i tłumnie spieszyli do akademii, gdzie Ryszard i Beniamin wspólnym wysiłkiem zgotowali im niespodziankę.

Nasyciwszy oczy widokiem domów, wyglądających naprawdę ładnie w jasnym i łagodnym blasku księżyca, Elżbieta poczęła się przyglądać ludziom, których mijali. Szukała wśród nich znajomych twarzy. Kilka razy myślała, że poznaje kogoś, ale dopiero gdy sanki ostro skręciły z głównej ulicy w poprzeczną, wiodącą do akademii,

ujrzała znajomą twarz i dom. Była to jedna z najbardziej uczęszczanych oberż. Budynek był zaledwie jednopiętrowy, ale jego mansardowe okna, kolor, okiennice i nade wszystko wesóły ogień widoczny przez otwarte drzwi, nadawały mu przytulny wygląd, o wiele miłszy od wyglądu sąsiednich domów. Szydł, jak zwykle w piwiarniach, wisiał na belce i przedstawiał jeźdźca w bermycy* na głowie, zbrojnego w szablę i pistolet, siedzącego na ognistym rumaku, który staje dęba. Elżbieta знаła te wszystkie szczegóły i bez trudu odcyfrowała w świetle księżycy słowa "Śmiały Dragon" z mało czytelnego, czarnego napisu.

Bermycyca – wysoka, niedźwiedzia czapa wojskowa (niem.).

W chwili gdy sanki miały oberżę, wyszedł z niej jakiś mężczyzna wraz z kobietą. On utykał na nogę, co jeszcze bardziej podkreślało jego sztywny, wojskowy krok. Ona szła pewnie z miną wyniosłą, jakby nic ją nie obchodziło, dokąd idzie. Szła energicznym męskim krokiem, chcąc dopędzić sanki. Gdy już do nich podeszła, sędzia kazał zatrzymać konie. '

– Witam pana i życzę szczęścia, sędzio – z wyraźnym irlandzkim akcentem zawołała kobieta. – Zawsze rada pana widzę. Naprawdę. A to jest panna Elżbieta? Wyrosła na dorodną kobietę. Ha! Gdybyśmy tu mieli jakie wojsko, podbiłaby niejedno młode serce. Ale nie trzeba mówić o takich marnościach, gdy dzwon wzywa na nabożeństwo, tak jak nas kiedyś wezwie w najmniej spodziewanej chwili. Dobry wieczór, majorze, czy po nabożeństwie przygotować dzban gintoddy* dla pana? A może pierwszy wieczór w osadzie i w dodatku w Boże Narodzenie spędzi pan u sędziego?

– Dobry wieczór, pani Hollister – odparła Elżbieta. – Pani jest pierwszą znajomą osobą, którą spotykam, choć pilnie się rozglądałam. Dom państwa- nic się nie zmienił. Inne, gdyby nie miejsca, na których stoją, wydałyby mi się całkiem obce. Widzę też, że zachowaliście państwo stary szyld malowany przez* Ryszarda. I nawet napis ten sam, choć kiedyś wywołał sprzeczkę.

– Myśli pani o "Śmiałym Dragonie"? A jakże inaczej można by nazwać mego nieboszczyka męża? Wszyscy go tak nazywali, co może potwierdzić mój obecny mąż, kapitan, który stoi tu obok. Zawsze był chętny do wszystkiego. Można było na nim polegać. Och! Zmarło mu się tak nagle. Ale myślę[^] że Bóg się nad nim ulitował za jego zasługi. Pastor Grant chyba to potwierdzi. Nie będę jednak państwa trzymała na mrozie. Wpadnę jutro rano po nabożeństwie dowiedzieć się o zdrowie. Miły to obowiązek odwiedzić przy okazji dom otwarty dla wszystkich. Niech was Bóg błogosławi! Więc jak, majorze? Przygotować panu coś do picia?

Niemiec zgodził się z powagą, sędzia zamienił parę słów z małżonką czerwonolicej dberżystki i sanki ruszyły dalej. Niebawem zajechały przed drzwi akademii, gdzie wszyscy wysiedli i weszli do środka.

Jones i jego dwaj towarzysze idąc krótszą drogą przybyli o parę minut wcześniej.

' Gintoddy – mieszanina wody, rumu i trzciniowego syropu zaprawiona korzeniami.

Tymczasem osadnicy napływali bez przerwy i wchodzili do budynku. Ryszard podchodził prawie do wszystkich, pytał o zdrowie i o rodzinę. Najwidoczniej dobrze znał każdego, bo łatwo rzucał imionami nie tylko dorosłych, ale i dzieci. A z odpowiedzi, jakie mu dawano, widać było, że jest ogólnie lubiany. Wreszcie od strony osady nadszedł jakiś mężczyzna, który przystanął i począł uważnie przyglądać się no-'wemu, murowanemu budynkowi. Trzeba przyznać, że ten budynek, który rzucał długi cień na śnieżne pola, pięknie wyglądał, częściowo w półcieniu, częściowo w pełnym blasku księżyca. Przed akademią był pusty plac przeznaczony na skwer. Naprzeciw miejsca, gdzie stał Jones, wznosił się nowy, nie dokończony kościół Św. Pawła. Wzniesiono go ubiegłego lata za pomocą tak zwanej subskrypcji, choć prawie wszystkie koszty pokrył sędzia. Budowę kościoła podjęto, bo powszechnie uważano, że w długiej sali akademii nie przystoi już odprawiać nabożeństw. Na mocy cichej zgody postanowiono, że dopiero po wzniesieniu kościoła zadecyduje się, jakiemu obrządkowi ma on służyć. Oczywiście ta sprawa nie dawała spokoju niektórym gorliwym sek-ciarzom.

Budowę jednomyślnie powierzono Jonesowi i Hiramowi Doolittle. Oni przecież połączonymi siłami wzniesli dwór sędziego, akademię i więzienie. Tylko oni wiedzieli, jak zaplanować i zbudować gmach, jaki był teraz potrzebny. Na samym początku architekci podzielili się pracą: Ryszard miał sporządzić plany, Hiram – kierować budową.

W mężczyźnie, który przystanął, by się przyjrzeć' budynkowi kościoła, poznamy pana Doolittle'a. Był to człowiek wysoki, szczupły, o ostrych rysach twarzy, w której pospolita przebiegłość przebijała spod przybranej godności. Ryszard, a za nim pan Le Quoi i Benjamin podeszli do niego.

–Dobry wieczór panu – powiedział Ryszard i kiwnął głową nie wyjmując rąk z kieszeni.

–Dobry wieczór panu -= odparł Hiram, całym ciałem odwracając się do Ryszarda.

–Zimno dziś, panie Doolittle, bardzo zimno.

–Zimnawo. Dokuczliwy ziąb.

–Patrzy pan na nasz kościół. Ha, cudnie wygląda w świetle księżyca. Pięknie błyszczą cyna na kopule! Ręczę, że tamten kościół Świętego Pawła nie błyszczą tak w londyńskiej mgle.

–Z przyjemnością patrzę na ten dom Boży – odrzekł Hi-

ram. mną.

Sądzę, że monsieur Le Quoi i pan Pengullam zgodzą się ze

–Bardzo piękny budynek! – zawołał zawsze uprzejmy Francuz.

–Wiedziałem, że pan tak powie. Ten syrop, który pan ostatnio mi sprzedał, był doskonały. Czy ma go pan jeszcze?

–Ach, oui, tak, drogi panie – wzruszając lekko ramionami i wykrzywiając twarz w nieokreślonym grymasie odparł Francuz. – Jeszcze jest. Cieszę się, że panu smakował. Jak się ma pani Doolittle?

–Ciągle w ruchu – odparł Hiram. I zwracając się do Ryszarda: – Czy pan jeszcze nie skończył planów wnętrza?

–Ni...e...nie...e, jeszcze nie – odparł Ryszard robiąc znaczące pauzy. – Trzeba się dobrze zastanowić nad wszystkim. Mamy do zapełnienia duże wnętrza i doprawdy nie wiadomo, jak je najlepiej urządzić. Sporo wolnego miejsca zostaje koło ambony, której nie chciałbym przyczepić do ściany, jak jaką strażniczą budkę.

–Ławkę dla wikarego zwykło się umieszczać pod amboną – odrzekł Hiram i jakby pozwolił sobie za wiele, zaraz dorzucił: – ale w różnych krajach panują różne zwyczaje.

–Ano tak – wtrącił się Beniamin. – Na brzegach Hiszpanii i Portugalii na każdym cyplu sterczy klasztor żeński. A na nich więcej dzwonnicy, sioseł masztowych i chorągiewek niż na trzymasztowym szkunerze. Gdy się jednak chce porządnego kościoła, najlepiej naśladować starą Anglię. Ja tam nie widziałem katedry Świętego Pawła, bo z Radcliffe Highway* i z doków za daleka do niej droga, ale każde dziecko wie, że to najwspanialsza świątynia na świecie. A co do naszego kościoła, to widzi mi się, że na ogół tak przypomina katedrę jak delfin wieloryba, bo jest tylko mniejszy. Pan Le Quoi bywał w świecie i choć Francja to nie Anglia, wie z grubsza, jak ma wyglądać kościół. Pytam go więc prosto z mostu, czy to nie dobrze obmyślany budynek?

–Bardzo odpowiada przeznaczeniu – odparł Francuz. – Bardzo pomysłowa budowa... ale w katolickich krajach buduje się... jak się nazywa, ee... ee... la grandę cathedralę – aha! katedry. Katedra Świętego Pawła w Londynie jest bardzo ładna... olbrzymia... piękna, ale za przeproszeniem, panie Ben, nie umywa się do naszej Notre-Dame.

–Aj, mój panie, co też pan opowiada! – zawołał Ben. – Święty Paweł nie umywa się do waszej damy? – I wymachując zaciśniętą

Radcliffe Highway – dzielnica Londynu zamieszкана przez marynarzy.

pięścią większą od głowy Francuza przybrał tak groźną postawę, że Ryszard musiał go powstrzymać całym swym autorytetem.

–Dość, Beniaminie, sza! – powiedział. – Nie zrozumiałeś pana Le Quoi i w dodatku zapominasz się... Pastor już nadchodzi. Zaraz zacznie się nabożeństwo. Wejźmy.

Francuz, który jak przystało na dobrze wychowanego człowieka, pogodnie potraktował oburzenie Beniamina, czym wyraził politowanie dla jego ciemnoty, skłonił się Ryszardowi na znak zgody i poszedł za nim.

Z tyłu szli Hiram i Beniamin, który mruczał pod nosem:

–Gdyby ten król francuski miał jaki dach nad głową, godny katedry Świętego Pawła, tobym jeszcze ścierpiał. Ale jak tu wytrzymać, gdy Francuz tak postponuje angielski kościół? Panie Doolittle, przecież widziałem, jak zatoneły ich dwie fregaty, zwinne,^ dobrze uzbrojone, którym brakło tylko angielskiej załogi, by samego diabła zapędzić w kozi róg.

Z tymi pogardliwymi słowami wszedł do kościoła.

R ~ O Z D - Z I A Ł J E ' D E N

A S - T ' Y

Głupcy, co przyszli tutaj dla szyderstwa, W modlitwie padli na klęczki...

! ! j-y 1 yi c wi ttlt

Goldsmi

Minio połączonych wysiłków Beniamina i Ryszarda "Długa sala" niemal wcale nie przypominała kościoła. Ławki grubo ciosane, byle tylko służyły celowi, stały w szeregach przygotowane dla wiernych. Pudło z nie heblowanego drewna, tuż przy ścianie po jej środku, imitowało ambonę... Na tym podniesieniu widniało coś przypominającego pulpit, a mały mahoniowy stoliczek z dworu sędziego, nakryty nienagannie czystym adamaszkowym obrusem, stał z boku jako ołtarz. W każdą szczelinę tego pospiesznie skleconego budynku i na gwałt przygotowanych ławek, w pęknięcia ambony – powtykano sosnowe i jodłowe gałęzie. Niezliczone girlandy pokrywały ściany wysmarowane na brunatno. Dziesięć czy piętnaście nędznych świeczek nie mogło rozjaśnić sali, która przy odsłoniętych oknach wyglądałaby nieprzytulnie i posępnie w ten uroczysty wieczór, gdyby nie wesoły ogień płonący na dwóch jej końcach.

Mężczyźni i kobiety siedzieli oddzielnie. Przedzielało ich wolne miejsce przed amboną. Stało tam kilka ławek dla miejscowych i okolicznych personatów. Jedną z pierwszych ławek zajął sędzia z córką i ze swymi towarzyszami. Z pozostałych wiernych tylko doktor Todd odważył się narazić na zarzut, że zadziera nosa, i usiadł dosłownie przy ołtarzu. '

Ryszard usadowił się w fotelu za drugim stołem, skąd miał sprawować funkcję ministranta. Beniamin zaś dorzucił kłód do ognia i stanął obok Ryszarda, by w razie potrzeby przyjść mu z pomocą.

Twarze osadników, szczególnie tych, którzy mieszkając po "farmach nabyli ogłady mieszcuchów, były jak krople wody podobne do

siebie. Jednakowo opaleni od nieustannego przebywania na powietrzu osadnicy, byli też jednakowo poważni, skupieni, sprytni i w tej chwili zaciekawieni. Lecz tu i tam widać było jakąś twarz lub ubiór odbijający od innych. Dzioby po ospie na rumianym obliczu, kamasze na nogach i dobrze skrojone ubrania zdradzały angielskiego emigranta, który zapędził się aż do tego zakątka świata. Ostre rysy, blada cera i wystające kości cechowały Szkota, również uchodźcę. Czarnooki, niski mężczyzna, o śniadej twarzy Hiszpana, co chwila podrywający się na nogi, by ustąpić miejsca tutejszej piękności, był Irlandczykiem, który rozstał się z workiem domokrażcy i jako kupiec osiadł w Tempieton. Słowem, połowa narodów północnej Europy była tu reprezentowana, choć ludzie ci zewnątrznie – z wyjątkiem Anglika – już się zdążyli zasymilować. Ten zaś nie tylko nie zrezygnował ze swych zwyczajów w stroju i sposobie życia, ale nawet orał ziemię, tak, jak ją orał na równinach Norfolku. Aż wreszcie drogo okupione doświadczenie pouczyło go, że zdrowo myślący naród lepiej wie, co mu odpowiada, niż przypadkowy widz czy przybysz zbyt pewny swego lub zbyt zarozumiały, by się uczyć.

Elżbieta szybko spostrzegła, że cała uwaga zebranych skupiła się na niej i na pastorze Grancie. Przez skromność zatem ograniczyła się tylko do ukradkowej obserwacji otoczenia. Ale gdy powoli zaczęły cichnąć kroki, pokasywania i szmer uroczyście sadowiącego się tłumu, nabrała śmiałości i rozejrzała się wkoło. Słysząc już tylko trzask ognia promieniującego żarem. Wszystkie głowy zwróciły się ku pastorowi..

W "tej chwili z dołu doleciało szuranie nóg, jakby ktoś po długim marszu otrzepywał śnieg z obuwia. Po chwili cichym krokiem, niemal bez szmeru wszedł Mohegan ze Skórzaną Pończochą i młodym myśliwym. Gdyby nie martwa cisza w sali, nikt nie usłyszałby, jak szli w swych mokasynach. Indianin kroczył z wielką powagą, a gdy zauważył wolne miejsce koło sędziego, zajął je bez wahania, jakby siadał koło równego. Tu jeszcze szczerzej, aż po głowę otulił się swą derką i nie ruszając się, nader uważnie wysłuchał całego nabożeństwa. Natty minął go, poszedł dalej i usiadł na kłodzie tuż przy ognisku. Strzelbę, wziął między nogi i pograżył się w posępnych rozmyślaniach. Młodzieniec znalazł sobie miejsce wśród osadników i po chwili znów zapanowała cisza. –

Teraz wstał pastor Grant i rozpoczął nabożeństwo od słów hebraj-

i

skiego proroka: "Pan jest w kościele Świątobliwości swojej, milknij przed obliczem Jego wszystka ziemi". Wierni nie potrzebowali nawet przykładu Ryszarda i sami wstali z miejsc: powaga pastora podziałała jak magiczna różdżka. Po krótkiej pauzie pastor czytał dalej tonem uroczystym i chwytającym za serce. W ciszy słychać było tylko jego głos głęboki, nabrzmiały uczuciem, gdy nagle Ryszard, który najwidoczniej o coś sobie nie w porę przypomniał, wstał i wyszedł na palcach. '

Kiedy pastor ugiął kolana w modlitwie, zebrani zamiast przyklęknąć usiedli i odtąd, mimo wszystkich jego prób już się razem z miejsca nie ruszyli. Wprawdzie uważnie słuchali nabożeństwa, lecz nie łączyli się w modlitwie i raczej przyglądali się mu jak widowisku. Pastor Grant opuszczony przez swego ministranta modlił się dalej, choć nikt mu nie odpowiadał:

' Elżbieta modliła się, lecz z jej warg nie padło żadne głośniejsze słowo. Nawykła do składnie idących nabożeństw w stołecznych kościołach, coraz boleśniej odczuwała niezręczność sytuacji, gdy nagle miękki, niski głos kobiety odpowiedział pastorowi. Zdziwiona, że znalazła się tu niewiasta, która przewyciężyła naturalną nieśmiałość, poszukała jej oczami. Dojrzała klęczącą w pobliżu młodą dziewczynę o łagodnej twarzy, pokornie schyloną nad książką do nabożeństwa. Nieznajoma, bo Elżbieta nie mogła jej sobie przypomnieć, była szczupła i delikatna. Ubrana była schludnie, twarzowo, a na jej obliczu, bladym, słodkim i smętnym, malowało się szczere wzruszenie. Ze trzy razy zdążyła już odpowiedzieć pastorowi, gdy nagle z drugiego końca sali zawtórował jej jakiś mężczyzna. Elżbieta od razu poznała młodego myśliwego i walcząc ze wstydem, dołączyła się do tamtych dwojga.

Tymczasem Beniamin z zapalem przewracał kartki psalterza, lecz jakoś nie mógł znaleźć właściwego miejsca. Ale zanim pastor skończył, Ryszard znów się ukazał i idąc na palcach począł mu odpowiadać tak głośno, jakby się bał, że go mogą nie usłyszeć. W ręku trzymał małą otwartą skrzynkę z czarno wymalowanym wymiarem "8 x 10" na jednym boku. Postawił ją jako podnóżek przed pastorem i zdążył jeszcze na miejsce, by gromkim głosem powiedzieć: amen. Gdy wszedł do sali ze swym niezwykłym ciężarem, wierni jak na komendę odwrócili się do okna, ale po chwili, przyzwyczajeni do dziwactw tego totumfackiego, znów poczęli patrzeć na pastora, który dzięki długiemu doświadczeniu zdołał doskonale wywiązać się ze swego obowiązku. Świetnie rozu-

miał zebranych ludzi. Byli to przeważnie prostacy skłonni do rozważań nad subtelnościami wiary, buntujący się jednak przeciw każdej zmianie w formach ich kultu... Pastor większość swej wiedzy zaczerpnął z księgi znajomości natury ludzkiej,

otwartej dla wszystkich. Wiedział, jak trudno walczyć z ciemnotą, i unikał rozkazywania tam, gdzie rozum mówił mu, że lepiej łagodnie kierować.

Tego wieczoru wiele razy odstąpił od zwyczajów swego obrządku. A kiedy skończył nabożeństwo, niejeden z zebranych pomyślał sobie, że ceremonia nie była znów taka papistyczna i agresywna i że bardziej zgadzała się z jego pojęciem o tym, jak należy wielbić Pana, niż można się było tego spodziewać. Ryszard tego wieczoru znalazł w pastorze potężnego sprzymierzeńca w swych religijnych planach. Pastor Grant w swym kazaniu zdołał znaleźć pośrednią drogę i trafić zarówno do tych, którzy przez doktrynerską wiarę na każdym kroku stają przed absurdalnymi sprzecznościami, jak i do tych, którym płynność religijnych zasad pozwalała sprowadzić Chrystusa do roli szkolnego wykładowcy-etyki. Wspomnieliśmy już, że osadnicy przywykli do wizyt niezliczonych misjonarzy, którzy kręcąc się wśród nich wychwalali swoje sekty. Pastor Grant tak szczęśliwie połączył ogólne zasady chrześcijaństwa z dogmatami swego kościoła, że choć wywarł wpływ na umysły, nie zaniepokoił niemal nikogo.

–Skoro się zważy – zakończył uroczyście – odmienność charakterów, wychowania i warunków życia, nie można się dziwić, drodzy słuchacze, różnicom powstałym w prawdziwej wierze. Wierze co prawda objawionej, lecz zaciemnionej przez wieki i przekazanej nam zgodnie ze zwyczajami kraju, w którym się narodziła, w języku obrazowym, obfitującym w przenośnie. Tam gdzie uczeni mężowie w szczerości serc różnią się w zdaniach, mus[^]ą się też różnić i prości wierni. Ale na szczęście dla nas, bracia moi, nic nie zdoła skalać przeczystego źródła miłości. Tym, którzy piją z jego ożywczych wód, zapewni ono pokój sprawiedliwy i życie wiekuiste. Bije ono przez cały czas i wypełnia każde dzieło boskie. I jeżeli jest w tym jaka tajemnica, to tylko tajemnica Stwórcy. Gdybyśmy zdołali przeniknąć naturę, potęgę i majestat Boga, moglibyśmy zyskać pewność, lecz stracilibyśmy wiarę. Wierzmy, że gdy za łaską Boga szczęśliwie przebedziemy czas próby, zaczną się dla nas nieskończone lata mądrości i wieki błogosławieństwa.

Jakąż lekcję pokory, bracia i siostry, każdy z nas może zaczerpnąć ze swych lat dziecięcych, z przypomnienia sobie młodzieńczych unie-

sień! Jakże inaczej wygląda w oczach dziecka i w oczach dorosłego człowieka kara wymierzona przez ojca! Kiedy jakiś sofista szaleńczymi teoriami, zrodzonymi z ziemskiego rozumu, chce zastąpić prawdę objawienia, niechże się zastanowi nad ograniczonością własnego, słabego umysłu... Niech ujrzy mądrość Boga w tym, co widzi, i w tym, co częściowo pozostaje ukryte przed jego oczami. Słowem, niech pokorną wiarą zastąpi pyszałkowane rozumowanie. Niech wierzy i będzie zbawiony!

Takie rozważania, bracia moi, niosą nam pociechę i korzyść zarazem. Dobrze wykorzystane oczyszczają serca, uczą pokory i umacniają słabych w ich wierze. Takie rozważania wskazują nam, jak niedoskonały jest człowiek, i uczą nas pokory. Obnażają też przed nami słabe miejsca, gdzie tak łatwo atakuje nas największy wróg ludzkości. Pomagają nam zrozumieć, że najslabsi jesteśmy wówczas, gdy w swej próżności uważamy się za najsilniejszych. Te rozważania, bracia moi, które nasuwają mi dzisiejszy temat, powinny nas doprowadzić do jeszcze większej pokory. Wśród tych chrześcijan, którzy uznają boskość Zbawiciela i liczą na Jego pośrednictwo, zachodzą tylko małe różnice w zasadniczych rzeczach wiary. Lecz herezja splamiła wszystkie kościoły, a rozłam zrodził się z dysput. By zapobiec temu nieszczęściu i złączyć swych wyznawców, Chrystus ustanowił kościół widomy i kapłaństwo. Mądrzy i święci mężowie, ojcowie kościoła, gorliwie pracowali, by wyświecić to, co zaciemnił język, a rezultat swych badań i dociekań ujęli w ewangeliczne formuły przepisów kościelnych. Że muszą one być zbawienne, wynika z tego, co mówiliśmy o słabości natury ludzkiej. Aby były korzystne dla tych, którzy słuchają ich wskazówek i liturgii – zapewnij nam, Boże, w swej niezgłębionej mądrości...

Tym zręcznym nawiązaniem do form swego kościoła i własnego kapłaństwa zakończył kazanie. Cały czas słuchano go w głębokim skupieniu, choć poprzednich modłów nie darzono taką uwagą. Nie wynikało to wcale z pogardy dla liturgii, o której wspomniał pastor. Po prostu było to zwyczajem ludzi, którzy wolność i niezależność zawdzięczali doktrynalnym poglądom swych przodków. Hiram i kilku czołowych członków zboru wymienili między sobą niezadowolone spojrzenia, ale na tym na razie się skończyło. Pastor Grant pobłogosławił zebranych i wszyscy się rozeszli w milczeniu i z wielką godnością.

Dogmaty wiary uczonych kościołów Są może gmachem pięknym i pioralnym, Lecz chyba tylko silna boża dłoń Może zło wyrwać z serca...

Duo

Kiedy zebrani poczęli się rozchodzić, pastor podszedł do sędziego i Elżbiety, aby przedstawić im swoją córkę. Elżbieta i sędzia powitali ją ze szczerą serdecznością. Obie dziewczyny od razii poczuły do siebie wielką sympatię: Sędzia rad był, że jego córka wyrwana z ruchliwego miasta w głąsę Templeton w pierwszych, najtrudniejszych chwilach znajdzie tu towarzyszkę ze wszech miar dla siebie odpowiednią. Elżbieta zaś, ujęta czarem i pobożnością swej nowej znajomej, od razu ośmieliła ją miłym i prostym powitaniem. Obie zaprzyjaźniły się z miejsca i w ciągu dziesięciu minut, kiedy wierni wychodzili z sali, umówiły się na jutro i pewnie umówiłyby się na pół zimy z góry, gdyby pastor nie przerwał im mówiąc::

–Powoli, powoli, droga panno Tempie. Psuje mi pani córkę. Zapomina pani, że prowadzi mi gospodarstwo, które zupełnie by upadło, gdyby przyjęła choć połowę pani łaskawych zaprosin.

–Czemu miałoby upaść? – przerwała Elżbieta.-! Jest was tylko dwoje i doskonale urządzicie się w domu mego ojca, który będzie zachwycony takimi gośćmi. W tym pustkowiu, panie pastorze, nie godzi się rezygnować z dobrodziejstw towarzystwa jedynie dla czczej formy. Mój ojciec nieraz mówił, że gościnność w nowym kraju nie jest żadną cnotą i że to goście wyświadczają łaskę gospodarzom.

–Gościnność pana sędziego potwierdza to zapatrywanie, ale nie możemy nadużywać jego uprzejmości. Pastor nie może bawić często pod dachem wspaniałego dworu, bo to obudziłoby zazdrość i nieufności •

–Podobał się panu dach?! – wykrzyknął Ryszard, który dotąd

6 – Pionierów ic

doglądał porządków i gaszenia ogni, a teraz nadszedł na sam koniec rozmowy. – No, nareszcie widzę kogoś.; kto ma gust! Duk przy każdej okazji mówi o dachu w niewybrednych słowach. Muszę jednak powiedzieć, że choć jest znośnym sędzią, kiepski z niego cieśla. Panie pastorze, nie chwalc się, możemy sobie powiedzieć, że nabożeństwo udało się jak rzadko. Powiedziałbym nawet, że lepszego nie widywałem

w starym kościele Świętej Trójcy... gdyby nie brak organów. Ale mamy tu nauczyciela, który pięknie śpiewa psalmy. Dawniej sam to robiłem, ale teraz uznaję tylko basowe partie, bo w nich lepiej można błysnąć sztuką i ukazać pełnię głosu. Benjamin ma też całkiem niezły bas, ale nie zawsze trzyma się taktu. Czy pan kiedy słyszał, jak śpiewa "Zatoka Biskajska, o!"?

–Zdaje się, dał nam dziś małą próbkę – wtrącił Marmaduk ze śmiechem. – Chwilami dolatywały mnie jakieś straszne trele wywodzone jego głosem. No, ale chodźmy, panowie. Tłok już się skończył, a sanki czekają... Dobranoc, pastarze. Dobranoc pani... proszę pamiętać, że jutro je pani obiad z Elżbietą pod korynckim dachem.

Po tym pożegnaniu wszyscy się rozstali.

Przez cały czas wspomnianej rozmowy stary wódz, Mohegan, siedział nieporuszony z głową okutaną w derkę, tak obojętny na całe otoczenie, jak rozchodzący się wierni obojętnie potraktowali jego obecność na nabożeństwie. Natty też siedział dalej na kłodzie z głową wspartą na ręce. Drugą ręką przytrzymał strzelbę, niedbale położoną w poprzek kolan. Minę miał niewyraźną, a w czasie nabożeństwa niespokojnie rozglądał się wkoło, jakby się czymś gryzł. Teraz nie ruszał się z miejsca przez wzgląd na indiańskiego wodza, któremu zawsze i przy każdej okazji okazywał jak największy szacunek, zresztą ze zwykłą nmi szorstkością manier.

Młody myśliwy również stał nieporuszony przed wygasłym ogniem i najwidoczniej czekał na swych towarzyszy, starych mieszkańców puszczy. W sali nie było już nikogo prócz nich, pastora i jego córki. Gdy sędzia wyszedł ze swym towarzystwem, John wstał, odkrył głowę, odrzucił z twarzy gęste, czarne włosy i podszedł do pastora. Podając mu rękę, powiedział uroczyście:

–Dziękuję ci, ojciec. Słowa, które wypowiedziałeś po wzejściu księżyca, uleciały w górę i ucieszyły Wielkiego Ducha. Twoje dzieci zapamiętają, coś im mówił, i będą dobre. – Zamilkł na chwilę. Potem wyprostował się wyniośle, jak przystało na indiańskiego wodza, i ciągnął-

nał dalej: – Chingachgook powtórzy swemu narodowi dobre słowa, które słyszał, gdy odejdzie za wędrującym słońcem do swego plemienia, jeśli Wielki Duch przeprowadzi go przez góry i jeziora i zostawi mu choć trochę oddechu w piersi. Lud Chingachgooka uwierzy mu, bo któż może powiedzieć, że Mohikanin kiedy skłamał? '

–Niech Chingachgook zaufa miłosierdziu boskiemu – odparł pastor, któremu dumna pewność siebie Indianina wydała się nieco bluźniercza – a Bóg nigdy go nie opuści. W sercu miłującym Boga grzech nie zagości. – I zwracając się do młodego człowieka: – Tobie, młodzieńcze, wdzięczny jestem nie tylko za ratunek na drodze, ale i za to, żeś tak nabożnie i godnie dopomógł mi w kłopotliwej chwili nabożeństwa. Rad będę, gdy mnie czasem odwiedzisz, a być może rozmowa ze mną upewni cię na drodze, którą obrałeś. Niezwykła to rzecz spotkać w tej puszczy'młodzieńca w twoim wieku i twego stanu, tak dobrze obeznanego z naszą liturgią.

–Dziwne byłoby, gdybym nie znał liturgii mego kościoła – skromnie odparł młodzieniec. – Ochrzczono mnie w tym obrzędku i zawsze słuchałem tylko naszych nabożeństw. Każde inne wydałoby mi się tak dziwne, jak nasze nabożeństwo było dziś dla tutejszych osadników. *

–Mój drogi chłopcze, sprawiasz mi wielką radość – zawołał pastor, serdecznie potrząsając ręką młodzieńca. – Chodźże zaraz do nas... musisz pójść... moja córka jeszcze ci nie podziękowała za uratowanie mi życia. Ani słowa! Ten godny szacunku Indianin i pański przyjaciel oczywiście pójdą z nami... Święty Boże! Tylko pomyśleć, żeś doszedł, młodzieńcze, dojrzałego wieku w tym kraju i ani razu nie przekroczył dysydenckiego* kościoła!

–Nie, nie- wtrącił się Skórzana Pończocha -ja muszę wracać do wigwamu. Mam tam coś do załatwienia, czego nie zaniedbam ani dla modłów, ani dla zabawy. Młody niech sobie idzie. Księża i dyskusje religijne to dla niego nie nowina. To samo i stary John, którego jeszcze w czasie dawnej wojny ochrzcili bracia czescy. Ja tam jestem człowiek prosty, nieuk, który w młodości służył królowi i ojczyźnie przeciw Francuzom i dzikim. Nigdy nie zajrzałem do książki i od urodzenia nie

Duchowni Protestantckiego Episkopalnego Kościoła w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zawsze nazywają wyznawców innego kościoła dysydentami, choć w ich własnym kraju nigdy nie było jednego ustanowionego kościoła (przyp. autora).

i

umiem czytać. Niedługo już całkiem wyłysięję, a wciąż nie widzę korzyści ze ślęczenia w szkole...

–Wierzę, przyjacielu, że był pan i dzielnym żołnierzem, i zręcznym myśliwym – odparł pastor – ale to nie wystarcza na ostatnią drogę. Pewnie pan słyszał powiedzenie: "Młody może umrzeć, stary – musi".

–Nigdy nie byłem aż tak wielkim głupcem, bym wierzył w żywot wieczny na ziemi – odrzekł Natty śmiejąc się na swój zwykły cichy sposób...- Trudno tak myśleć, gdy się tropiło dzikich w puszczy, jak ja to robiłem, albo gdy w gorących miesiącach mieszkało się u źródeł jezior. Mogę powiedzieć o sobie, że jestem twardym człowiekiem, bo wiele razy pijałem wodę z Onondagi*, gdy przy lizawkach zasadałem się na zwierza. Tak pełno w niej było malarycznego zielska, jak grzechotników w starym Crumhornie. Ale nigdy nie liczyłem na to, że śmierć o mnie zapomni.

–Wszystko to są rzeczy doczesne – odparł pastor Grant, który począł się żywo interesować losem nowego znajomego. – Trzeba jednak pomyśleć o wieczności. Musi pan przychodzić na nabożeństwa. Cieszy mnie, że był pan dzisiaj.

Raz jeszcze z całą powagą zaprosił młodzieńca, który wraz z Indianinem zgodził się pójść do tymczasowej siedziby pastora, przygoto-' wanej przez Jonesa. Skórzana Pończocha uparł się przy swoim i odszedł, pożegnawszy się tuż za drzwiami akademii.

Pastor Grant wskazując drogę szedł jakiś czas ulicą, a po chwili skręcił w pole, minął dwie otwarte zapory i wszedł na ścieżkę tak wąską, że mogła pomieścić najwyżej jedną osobę. Księżyc stał już wysoko i prostopadłym światłem rozjaśniał mrok w dolinie. Wyraźne cienie idących sunęły po srebrzystym śniegu, niby jakieś duchy zdążające na umówione miejsce. Pogoda była bezwietrzna^ ale wciąż mroźna, a kręta i wąska ścieżka tak udeptana, że młoda dziewczyna szła nią bez trudu. Tylko śnieg skrzypiał pod jej lekkimi krokami.

Tuż za pastorem szedł Indianin, szczelnie otulony derką, ale z odkrytą głową i-z włosami luźno opadającymi na oblicze. W łagodnej księżycowej poświacie smagła twarz o zastygłych, skamieniałych rysach podobna była do rzeźby przedstawiającej zrezygnowaną starość czło-

Onondaga lub Onondagp -jeziro w stanie tej samej nazwy. Nad jego brzegami zamieszkiwało plemię Onondaga sprzymierzone z Irokezami.

wieka, w którego przez pół wieku daremnie były zimowe wichry. Lecz kiedy odwracał głowę i blask księżyca padał na jego czarne, lśniące oczy, można w nich było wyczytać myśli tak swobodne jak wiatr i całą historię niepoohamowanych namiętności.

Idąca za Indianinem wiotka panna Grant w swym za lekkim jak na tę porę roku stroju rażąco odbijała od dzikiego wyglądu wodza Delawarów. Nad tą różnicą wyglądomów rozmyślał młody myśliwy (też postać godna uwagi w tej grupie), gdy patrzył na słodkie oblicze i błękitne jak łagodne niebo oczy panny Grant i na surową twarz Mohegana, zwracając się ku wspaniałej tarczy księżyca. Idąc ścieżką za domami urozmaicali sobie drogę rozmową, która to utykała, to nagle się ożywiała. Pastor zaczął pierwszy.

–Z jakiego stanu pan pochodzi, panie Edwards? Bo takie zdaje mi się nazwisko wymienił pan, przedstawiając się sędziemu Tempie.

–Z tego stanu.

–Z tego? Zmylił mnie pański akcent. Zabrzmiał mi obco. Musiał pan długo mieszkać w miastach, bo w tych stronach nigdzie indziej człowiek nie mógłby zapoznać się z naszą wspaniałą liturgią.

Słuchając pastora, który zdradził się, skąd sam pochodzi, młody człowiek uśmiechnął się, ale przezornie zamilczał.

–|| Cieszę się z naszego spotkania, młody przyjacielu – mówił dalej Grant – bo wierzę, że z pomocą twego światłego umysłu, a niewątpliwie go posiadasz, zdołam wykazać wyższość utrwalonych doktryn naszej świętej religii. Chyba zauważyłeś, jak się musiałem dziś naginać do naszych słuchaczy. Poczciwy pan Jones chce, abym zawsze przy rannych nabożeństwach udzielał komunii. Na szczęście nasza religia nie wymaga tego przy wieczornych nabożeństwach. To wywołałoby niezadowolenie. Ale jutro będę komunikował. Czy przystąpi pan do komunii?

–Chyba nie, panie pastorze – odparł młodzieniec, tym bardziej zaambarasowany, że panna Grant zwolniła kroku i ze zdziwieniem, patrzyła na niego. – : Nie jestem przygotowany. Nigdy jeszcze nie przystąpiłem do Stołu Pańskiego i nie przystąpię, dopóki zupełnie nie oczyszczę się z ziemskich myśli.

–Każdy jest swym własnym sędzią – rzekł pastor. – Uważam jednak, że młodzieniec, którego przez tyle lat nie owiało tchnienie fałszywych nauk i który poznał błogosławieństwo naszej wiary, śmiało może przystąpić do komunii. Ale jest to wielka, podniosła chwila, do

której trzeba odnosić się poważnie. W pańskim stosunku do sędziego zauważyłem niechęć, graniczącą z najgorszą z ludzkich namiętności... Ten strumyk przejdziemy po lodzie. Wytrzyma nasz ciężar. Uważaj, moje dziecko, byś się nie pośliznęła – to mówiąc przeszedł mały strumień wpadający do jeziora. Na drugim brzegu odwrócił się, by spojrzeć na córkę, i zobaczył, że młodzieniec uprzejmie podał jej ramię. Kiedy już wszyscy przeszli na drugą stronę, pastor wdrapał się na brzeg i mówił dalej: – To bardzo źle, mój drogi panie, doprawdy bardzo źle, gdy w ogóle dajemy dostęp do naszych serc nienawiści, a w tym wypadku zupełnie nie może być mowy o złej woli ze strony sędziego.

–Mój ojciec dobrze mówi – odezwał się Mohegan przystając nagle i zatrzymując idących za nim. – To są słowa Mikuona. Biały człowiek może tak robić, jak mówią jego ojcowie, ale w żyłach Młodego Orła płynie krew delawarskich wodzów. Ta krew jest czerwona, a jej plamy może zmyć tylko krew_ Mingów.

Pastor Grant zaskoczony przystanął i odwrócił się do Indianina. Łagodnym wzrokiem, ale przerażony, że podobne słowa wyszły z ust chrześcijanina, patrzył w gniewne i stanowcze oczy indiańskiego wodza. Wreszcie uniósł ręce i powiedział:

–Johnie, Johnie! Czyś tego nauczył się od braci czeskich? Nie, nie, nawet nie wolno mi tego przypuszczać. To przecież ludzie łagodni, miłosierni i dobrzy. Nigdy nie tolerowaliby takiej nienawiści. Posłuchaj, Johnie, słów Zbawiciela: "aleć ja wam powiadam: miłujcie nieprzyjacio-ły wasze; błogosławcie tych, którzy was przeklinają; dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, i módlcie się za tymi, którzy wam złość wyrządzają i prześladują was!..." takie są boskie przykazania, Johnie, i ten, który o nich zapomina, nie ujrzy oblicza Pana.

Indianin uważnie słuchał pastora. Stopniowo jego twarz łagodniała i przybierała dawny wyraz. W końcu lekko, z godnością skinął głową prosząc pastora, by szedł dalej. Sam bez słowa ruszył za nim. Młodzieniec spostrzegł po chwili, że panna Grant zostaje z tyle. Uderzyło go to, a że droga wcale nie była trudniejsza, podszedł do panny i podał jej ramię.

–Pewnie już się pani zmęczyła – powiedział. – Śnieg zapada się przy każdym kroku i pani nie może nadążyć za mężczyznami. Proszę, niech pani zejdzie na twardszy grunt, a ja panią podtrzymam. Ten dom, w którym się świeci, to pewnie dom pastora. Ale jeszcze do niego daleko.

–: Doskonale mogę nadażyć – odpowiedziała dziewczyna miękkim, drżącym głosem – ale przestraszyłam się Indianina. Takie straszne były jego oczy w blasku księżyca, gdy mówił do mego ojca. Ach, zapomniałam, że to pański przyjaciel, a sądząc z jego słów, może nawet krewny. A pana przecież wcale się nie boję.

Młodzieniec wszedł na zwał śniegu obok dróżki, który doskonale wytrzymał jego ciężar, i uprzejmie pociągnął za sobą swą towarzyszkę. Wsunął ramię pod jej rękę, zdjął czapkę, spod której gęste czarne pukle włosów opadły mu na czoło, i z dumną miną szedł koło dziewczyny, jakby gotów do najbardziej poufnych wyznań. Luiza tylko ukradkiem spojrzała na niego i spokojnie szła naprzód, już znacznie szybciej dzięki jego pomocy..

–Gdyby pani знаła ten dziwny lud – rzekł młodzieniec – wiedziałaby pani, że zemstę uważa on za cnotę. Indianie od dzieciństwa przyzwyczajeni są nie puszczać płazem żadnej krzywdy. I tylko gościnność może powstrzymać ich od pomsty.

|- Pana chyba nie wychowano w takich pogańskich poglądach – zapytała Luiza i odruchowo cofnęła ramię.

–Czcigodnemu ojcu pani odpowiedziałbym, że wychowałem się w religijnych zasadach. Pani jednak odpowiem, że samo życie nauczyło mnie przebaczać. Pod tym względem mało nlam sobie do zarzucenia, a postaram się, bym miał jeszcze mniej.

Mówiąc to przystanął i znów podał jej ramię.

Tymczasem pastor Grant i Mohegan doszli już do domu i na progu czekali na młodych. Gdy młodzi zbliżyli się, wszyscy weszli do domu.

Dom pastora stał z dala od osady, pośrodku pola, otoczony pniami drzew w białych, grubych śnieżnych czapach. Sam dom z zewnątrz sprawiał przykre wrażenie nie dokończonego siedliska, jak zwykle domy naprędce zbudowane w nowym kraju. Ale przytulne, ciepłe wewnątrz rozwiało to pierwsze nie mile wrażenie. •

Pastor wprowadził gości do pokoju, który zapewne miał być ba-wialnią. Wielki kominek, garnki i patelnie świadczyły, że chwilowo służył bardziej praktycznym celom. Ogień w kominku tak jasno oświetlał skąpe urządzenie pokoju, że Luiza zupełnie niepotrzebnie zapaliła świecę. Szmaciany dywan leżał na środku pokoju. Podłoga wyzierająca po bokach była nienagannie czysta. Stół do herbaty, stolik do robótki i antyczna, mahoniowa biblioteczka niezawodnie pamiętały lepsze cza-

sy. Za to krzesła, duży stół i reszta mebli były z gatunku najprostszych i najtańszych. Na ścianach wisiały hafty i szkice. Hafty, choć wykonane starannie, były nieładne, szkicom zaś brakło i staranności i smaku.

Jeden z haftów przedstawiał grób ze szlochającą nad nim dziewczyną na tle kościoła o gotyckich oknach. Na grobie widniały daty narodzin i zgonu kilku członków rodziny Grantów. Jeden rzut oka na ten haftowany nekrolog wystarczył młodzieńcowi do zorientowania się w rodzinnej sytuacji pastora. Bez trudu wyczytał, że pastor był wdowcem, a nieśmiała dziewczyna, z którą razem mieszkał, jedynym żyjącym dzieckiem z sześciorga. Teraz, gdy stało się jasne, że te dwie chrześcijańskie dusze nie miały nikogo bliskiego na świecie, troskliwość, jaką córka na każdym kroku okazywała ojcu, była jeszcze bardziej wzruszająca.

Młody człowiek poczynił te spostrzeżenia, gdy wszyscy w milczeniu siadali przy trzaskającym ogniu: Ale kiedy już usiedli, a Luiza, po zdjęciu lekkiego okrycia ze spleśniałego jedwabiu i słomkowego kapelusza pasującego do jej urody, lecz nie do pory roku, siadła między młodzieńcem a pastorem, ten zaczął:

–Wierzę, mój młody przyjacielu, że wykształcenie jakie otrzymałeś, wykorzeniło w tobie uczucie mściwości, które mogłeś odziedziczyć po przodkach. Ze słów Johna wnioskuję bowiem, że masz w sobie krew Delawarów. Nie zrozum mnie źle, bo ani kolor skóry, ani pochodzenie nie stanowią o prawdziwej wartości człowieka. Nie jestem wcale pewien, czy potomkowie dawnych właścicieli tej ziemi nie mają największego prawa do spokojnego przebiegania jej gór i lasów.

Mohegan odwrócił się z wielką powagą do mówiącego i popierając swe słowa wymowną gestykulacją właściwą Indianom odpowiedział:

–Ojcie, jeszcze nie wkroczyłeś w, jesień życia, a twoje ręce i nogi są młode. Wejdź na najwyższy szczyt góry i spójrz wokół. Wszystko, co ujrysz od wschodu słońca do zachodu, od początku wielkiego źródła, aż do miejsca, gdzie kręta rzeka* wchodzi w góry, należy do niego. Ma on w sobie krew Delawarów i po nich ma też prawo dziedzictwa... Brat Mikuona jest sprawiedliwy. Przetnie kraj na dwie części, jak rzeka przedziela niziny, i powie Młodemu Orłowi: dziecię

Susquehstnna znaczy – kręta rzeka, bo "hanna" lub "hannock" to w wielu indiańskich dialektach – rzeka. Tak na przykład dalej na południe w Wirginii znajdziemy – Rappenhannock.† (przyp. autora).

Delawarów, weź to... zatrzymaj sobie... i bądź wodzem w kraju swych ojców.

–Nigdy! – wykrzyknął młody myśliwy tak zapalczywie, że od razu rozproszył uwagę, z jaką pastor i Luizą słuchali Indianina. – Ten człowiek jest tak łapczywy na złoto jak wilk na łup, a działa z ostrożnością węża.

–Opamiętaj się, opamiętaj, mój synu – przerwał mu pastor. – Musisz stłumić nienawiść. Rana, którą sędzia zadał ci niechcący, zaostrzyła twą wrodzoną niechęć. Ale pomyśl, że sędzia nie miał złych zamiarów, a tamta krzywda wynika z politycznych zmian, które upokorzyły królów i zmiotły potężne ongiś narody.

–Ramię – powtórzył młodzieniec i podniecony począł przechadzać się po pokoju. – Czy pan myśli, że uważam "sędziego za niedoszłego mordercę? O nie, na taką zbrodnię jest zbyt przebiegły i tchórzliwy. Niech wraz z córką używa swych bogactw... Nadejdzie jeszcze dzień odwetu. Nie, nie – mówił już spokojnie – to tylko Mohegan podejrzewał, że sędzia umyślnie do mnie strzelał. Nad tym draśnięciem nie warto się nawet zastanawiać.

Usiadł, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

–To niepohamowana, dziedziczna nienawiść przemawia jego ustami, moje dziecko – cicho szepnął pastor Luizie, która w przerażeniu tuliła się do niego. – Jak słyszałaś, ma w sobie indiańską krew i żadna edukacja czy nawet błogosławieństwo naszej wiary nie zdoła całkwteie wykorzenić zła. Ale czas i tkliwa opieka zrobią swoje.

Mówił to szeptem, lecz młodzieniec go usłyszał i uniósł głowę. Po chwili uśmiechnął się zagadkowo i znacznie spokojniejszym głosem

powiedział:

–Niech się pani nie boi ani dzikości moich manier, ani mego ubioru. Poniosła mnie nienawiść, którą powinienem był stłumić. Za pani ojcem przypisuję to mej krwi, choć nie mam jej sobie za złe, bo jest wszystkim, czym mogę się jeszcze chwalić. Tak, szczycę się tym, że jestem potomkiem wodza Delawarów, wojownika, który był wcieleniem ludzkich cnót. Stary Mohegan przyjaźnił się z nim i może zaręczyć za jego prawość.

Pastor Grant na nowo podjął rozmowę i mądrze zaczął się rozwodzić nad cnotą wybaczenia. Indianin słuchał go uważnie, a młody człowiek wyraźnie się uspokoił. Rozmawiali tak z godzinę, po czym goście wstali i wyszli, życząc gospodarzom^ dobrej nocy. Zaraz za

drzwiami rozstali się. Mohegan poszedł wprost do osady, młodzieniec – nad jezioro. Pastor stał na progu i patrzył za starym wodzem, który nad wiek zwinnie i chyżo sunął ścieżką wydeptaną w wysokim śniegu. W tyle domu, od strony jeziora było okno. Przy nim pastor zastał Luizę, gdy uważnie patrzyła na jakąś ciemną sylwetkę oddalającą się ku góróm na wschodzie. Pastor podszedł bliżej i w odległości pół mili dojrzał młodego myśliwego, który wielkimi krokami szedł po śniegu pokrywającym lód. Najwidoczniej zmierzał do chatki Skórzanej Pończochy stojącej nad brzegiem jeziora, pod skałą porośniętą na szczycie jodłami i sosnami. Po chwili cień drzew nawisłych nad chatką zakrył dziką postać młodzieńca.

–Zadziwiająca rzecz, jak w tej niezwykłej rasie żywotne są wrodzone dzikie skłonności – zauważył pastor. – Ale ten młodzieniec zwycięży, jeśli nie zboczy z obranej drogi. Przypomnij mi, moje dziecko, bym mu przy następnej wizycie pożyczył kazania "O niebezpieczeństwie bałwochwalstwa".

–Czy boisz się, że może wpaść w grzechy swych ojców?

–Nie, Luizo – pastor uśmiechnął się i pieszczotliwie położył rękę na jasnej głowie córki. – Biała krew weźmie- w nim górę, ale i namiętności są czasem bałwochwalcze.

R O Z D Z I A L

T R Z Y / N A S I Y

Łykniemy zdrowo garniec piwa, Niech żyje zżęty jęczmień!

Piosenka pijacka

Przy zbiegu* dwóch głównych ulic osady Templeton, na samym rogu, stała, jak już mówiliśmy, oberża pod "Śmiałym Dragonem". Początkowo planowano, że miasteczko rozbuduje się wzdłuż brzegu rzeczki płynącej doliną i że od zachodu zamknie je ulica, która biegnie od jeziora do akademii. Życie często jednak niweczy najlepsze plany. W pierwszych dniach powstawania osady u wylotu głównej ulicy wzniesiono dom. Należał on do pana Hollistera albo kapitana Hollistera, jak tytułowano jego właściciela dlatego, że ongiś dowodził ochotnikami z tej części kraju. Wspomniany budynek zagroził ulicL i przeszkodził jej dalszej rozbudowie. Najpierw jeźdźcy, a potem woźnice skracali sobie drogę na zachód, przejeżdżając przez zachodni skraj tej posesji. Siłą rzeczy powstał więc nowy trakt, który zabudowano domami tak, że później nie można już było zaradzić złu.

Z tego faktu wynikły dwie zasadnicze konsekwencje, zmieniające plan Marmaduka: po pierwsze – główna ulica od środka swej długości nagle zwężyła się o połowę, a po

drugie – "Śmiały Dragon" był w całej osadzie najbardziej widocznym budynkiem obok siedziby sędziego.

To i zalety charakteru państwa Hollisterów zapewniły oberży decydującą przewagę nad przyszłymi konkurentami. A jednak starano się wyrwać im palmę pierwszeństwa. Na przeciwległym rogu stanął nowy budynek, który miał zgnębić Hollisterów. Był to drewniany dom w miejscowym stylu. Przed wejściem wbito dwa wysokie pale połączone u góry poprzeczką, z której zwiisał olbrzymi szyld ozdobiony po brzegach cudacznymi rzeźbami w drzewie, a z frontu i z tyłu – masoni-

skimi emblematami. Nad tymi tajemniczymi znakami biegł napis: "Kawiarnia Templetońska i Zajazd dla Podróżnych", a pod spodem: Ha-bakkuk Foote i Joshua Knapp. To właśnie miał być rywal "Śmiałego Dragona", bardzo groźny, jeśli weźmiemy pod uwagę* że te same dźwięczne nazwiska widniały nad paroma jeszcze zakładami w osadzie: nad świeżo założonym sklepem kolonialnym, kapeluszniczym i nad bramą garbarni. Ale czy to plany konkurentów przekraczały ich możliwości, czy też renoma "Śmiałego Dragona" miała już tak. mocne podstawy, iż niełatwo było je nadwerężyć, dość że nie tylko sędzia Tempie i jego przyjaciele, ale i większość osadników, nie zadłużonych w wymienionej potężnej firmie, przy każdej okazji uczęszczała do oberży kapitana Hollistera. "

Sala albo bar.oberży był obszernym pokojem z trzech stron obstawionym ławkami. Dwa kominki wraz z ich potężną obudową zajmowały niemal całą długość czwartej ściany. Były tak wielkie, że obok nich ledwie starczało miejsca na dwoje drzwi i aikówkę w kącie, odgradzoną od sali niską balustradą i zastawioną butelkami i szklankami. Przed tym sanktuarium dostojnie królowała pani Hollisterowa. J"ej mąż grzebał wielkim, upalonym na jednym końcu prętem w ogniu, najwidoczniej, by podsycić płomień.

–No już, kochany sierżancie – powiedziała oberżystka, gdy uznała, że weteran, jak należy, ułożył kłody na palenisku. – Skończ z tym grzebaniem, bo tylko tłumisz ogień... Zaraz przyjdzie sędzia, major i pan Jones, nie mówiąc o Benjaminie i adwokatach. Trzeba tu zrobić porządek. Och, kochany sierżancie, jak to dobrze pójść na nabożeństwo, gdzie można sobie wygodnie posiedzieć i nie skakać bez przerwy, jak to dziś robił pastor Grant.

–Zawsze dobrze jest porhodlić się do Boga, siedząc czy stojąc. Albo nawet i klęcząc, jak to robił czcigodny pan Whitefield* po uciążliwym marszu. Padał na klęczki i z rękami wzniesionymi ku niebu modlił się jak ongiś Mojżesz^ a po jego bokach stały warty – odparł Hollister krzając się po sali i wykonując rozkazy żony. – Ach, Betty, to była piękna bitwa tych Izraelitów z Amalecytami*.

Ta rozmowa między małżonkami o tym i owym mogłaby jeszcze

Whitefield George (1714-1770) – był jednym z apostołów kościoła metodystów. Udał się z Anglii do Ameryki Północnej, aby tam szerzyć swą wiarę.

Amalecytowie – starożytny lud arabski, wrogi narodowi żydowskiemu.

trwać Bóg wie jak długo, gdyby ludzie, którzy na ganeczku otrzepywali śnieg z butów, nie weszli do sali.

Z kwadrans upłynął, zanim nowo przybyli usadowili się przy ogniu i zabrali do rozmów i plotek.

Między żelaznymi wilkami, służącymi do podtrzymywania kłód czy różna, ustawiono na kominkach liczne dzbany z cydrem i piwem. Goście skupili się w oddzielne grupki związane jakimś tematem lub po prostu wspólnym dzbanem. Nikt nie pił samotnie, a każdy napój podawano w jednym kociołku. Naczynie przekazywano więc sobie z rąk do rąk, do końca kolejki lub do chwili, gdy poszanowanie dla praw fundatora nakazywało zwrócić mu resztki trunku.

Pijąc wznoszono toasty. Czasem jakiś zarozumiały dowcipniś odważył się na taki toast: "Oby fundator był szcudrzejszy od swego ojca" lub "Niech nam żyje, dopóki nie zbrzydnię przyjaciółom". Skromniejsi ograniczali się do poważniejszych powiedzonek. Mówili z powagą: "Pijmy na zdrowie" lub wygłaszali jakieś inne, treściwe życzenia. Za każdym razem proszono weterana-gospodarza, by spełnił rolę królewskiego podczaszego i spróbował podawanego trunku, mówiąc mu: "Po panu". On zaś upijał odrobinę i tylko powtarzał: "Daj nam, Boże", pozwalając gościom według ich własnej fantazji uzupełnić niedomówienie tym, czego najbardziej pragną. Tymczasem gospodyni wytrwale mieszała trunki zamawiane przez gości i czasem, gdy któryś z osadników do niej podszedł, zamieniała powitanie i pytała o zdrowie przezacnej rodziny.

Wreszcie ugaszono pierwsze pragnienie i rozmowa przybrała ogólny charakter. Prym, za cichą zgodą obecnych, wiódł doktor Tood i jego młody towarzysz- jeden z dwóch adwokatów w osadzie. Ale i pan Doolittle czasem zaryzykował jakąś uwagę, bo uważano, że tamci górują nad nim tylko swym, godnym zazdrości, wykształceniem. Wszyscy ucichli, gdy adwokat zapytał:

–Doktorze, mówią, że dziś dokonał pan poważnej operacji wyjmując synowi Skórzanej Pończochy kulę z ramienia?

–Tak, mój panie – odparł lekarz i z powagą uniósł swą małą główkę. – Miałem z tym trochę roboty we dworze. Zresztą, nic poważnego, gorzej byłoby, gdyby kula przebiła tułów. Ramię nie jest głównym organem i sądzę, że młodzieniec wkrótce wydobrzeje. Ale nic nie wiedziałem, że pacjent jest synem Skórzanej Pończochy. Ze zdziwieniem słyszę, że Natty był żonaty.

–A cóż to ma do rzeczy? – odparł adwokat, filuternie rozglądając się wokoło. – Chyba zna pan takie prawne pojęcie jak filius nullius*?

–Niechże pan mówi tym pięknym językiem, którego używa angielski monarcha! – zawołała gospodyni./- Dla byle myśliwego, niewiele lepszego od dzikusa, nie ma co mówić po indiańsku w sali pełnej chrześcijan! Kiedyś chyba uda się misjonarzon nawrócić tych biedaków, a wówczas obojętne już będzie, jakiego kto jest koloru i czy ma wełnę na głowie czy włosy.

–Och, droga pani Hollister, to wcale nie po indiańsku, tylko po łacinie – odparł prawnik mrugając szelmowsko. – Doktor Tood zna łacinę,,bo jakby inaczej czytał napisy na słoikach i szufladach. Tak, tak, pani Hollister, doktor wie, o co chodzi, prawda, doktorze?

–Hm... chyba się domyślam – odrzekł Einathan naśladowując figlarną minę prawnika. – Łacina to dziwny język, moi panowie... Myślę, że nikt z was, z wyjątkiem pana Lippeta, nawet się nie domyśla, że Far. av. oznacza po prostu owsianą rnąkę., ;

Teraz adwokat z kolei wydawał się zaambarasowany wiedzą lekarza. Wprawdzie ukończył jeden z uniwersytetów we wschodnich stanach, ale zaskoczył go termin użyty przez Tooda. Niebezpiecznie jednak było zdradzić się z niewiedzą w oberży, i to pełnej jego klientów. Udawał więc, że rozumie, i roześmiał się znacząco, jakby chodziło

0 kawał zrozumiały tylko dla niego i doktora. Wszyscy uważnie obserwowali tę scenę zamieniając między sobą pełne aprobaty spojżenia. Tu

1 ówdzie padały słowa uznania: "lingwista" albo: "któż rozumie, jeśli nie pan Lippet". Adwokat, ośmielony tymi uwagami, zerwał się, obrócił plecami do ognia i patrząc na zebranych mówił dalej:

–Czy jest synem Natty'ego, czy Bóg wie kogo, spodziewam się, że nie puści tego płazem. Żyjemy w kraju, gdzie rządzi prawo. Niechże mi kto dowiedzie, że człowiek, który posiada albo mówi, że posiada setkę tysięcy akrów ziemi, ma prawo postrzelić człowieka! Jakie jest pańskie zdanie, doktorze?

–Uważam, mój panie, że młodzieniec wkrótce będzie zdrów jak ryba. Żaden zasadniczy organ nie jest uszkodzony. Kulę wyjąłem prędko, ranę opatrzyłem doskonale, nie sądzę więc, by sprawa była tak niebezpieczna, jak mogłaby być.

Filius nuilius – nieślubny syn (łac).

–Panie Doolittle, zwracam się do pana – mówił dalej adwokat podnosząc głos. – Pan jest sędzią i zna się pan na prawie. Pytam więc pana, czy można tak łatwo przejść do porządku nad postrzeleniem człowieka? Załóżmy, że ten młody człowiek ma żonę i dzieci, że jest jedynym żywicielem rodziny. Załóżmy, że kula zamiast przebić mięśnie zdruzgotała mu łopatkę i okaleczyła go na zawsze... Pytam was wszystkich, panowie, czy gdyby tak było, sąd nie przyznałby mu przyzwoitego odszkodowania?

Hiram początkowo siedział w milczeniu, bo końcowe pytanie adwokat postawił całej sali. Ale gdy zauważył, że zebrani patrzą na niego wyczekująco, przypomniał sobie o swojej roli sędziego i począł mówić z pauzami koniecznymi do namysłu i zachowania godności.

–No, jakże... jeżeli ktoś strzela do drugiego... jeżeli to robi celowo i prawo się w to wda... i jeżeli sąd uzna go winnym... sprawa może się skończyć więzieniem.

–Oczywiście, mój panie – odparł adwokat. – W wolnym kraju, proszę panów, prawo nie uznaje wyjątków. W obliczu prawa wszyscy są równi, jak stworzyła ich natura. I to jest nasze największe dziedzictwo po przodkach. Nawet jeżeli ktoś zdobył kolosalny majątek, nie wiadomo zresztą, w jaki sposób, musi tak samo przestrzegać prawa jak najuboższy obywatel. Takie jest moje zdanie, panowie, i myślę, że z tej sprawy można dość wyciągnąć, by opłacić leki... co, doktorze?

–Jakże, mój panie !- odparł lekarz zaniepokojony tym obrotem rozmowy – sędzia obiecał mi przy ludziach... nie dlatego, żeby jego słowa były mniej warte od weksla... ale przy ludziach. Zaraz, zastanówmy się...* był przy tym pan Le Qoui, pan Jpnnes, major Hartmann, panna Pettibone i ze dwóch czarnych. Przy nich powiedział, że jego sakiewka szczerze mnie wynagrodzi.

–Czy powiedział to przed czy po zabiegu? – zapytał adwokat. !- Nie pamiętam – na wszelki wypadek odparł lekarz. – Choć

zdaje się, że powiedział, zanim zabrałem się do opatrunku.

–Oświadczył panu, że wynagrodzi pana jego sakiewka – zauważył Hiram. – Nie wiem, czy za tę obietnicę prawo pociągnie człowieka do odpowiedzialności. Może dać panu sakiewkę z sześciopensową monetą i powiedzieć, żeby ją pan sobie wyjął.

–W oczach prawa to nie będzie zapłata – przerwał adwokat. – Nie będzie to tym, co prawo określa terminem: quid pro

!!!

94

95

quo*. Sakiewka nie może być traktowana jako pełnomocnik, lecz tylko jako część człowieka, to znaczy w tym wypadku. Uważam, że na podstawie tej obietnicy można wnieść pozew, i rezygnuję z honorarium, jeśli powód przegra.

Doktor nic nie powiedział na tę propozycję, ale widziano, że obieglł okiem zebranych, jakby chciał zapamiętać sobie świadków i na nich w razie czego się powołać. Publiczna dyskusja na tak delikatny temat jak pozwanie sędziego Tempie zażenowała wszystkich. Zapadła więc cisza, którą nagle przerwało wejście Skórzanej Pończochy.

Natty wszedł ze swym nierozłącznym sztuczerem w rękę. Z niewzruszoną miną, nie zdejmując czapki, mimo że wszyscy mieli głowy odkryte (tylko adwokat siedział w kapeluszu zuchowato nasuniętym na ucho), podszedł do kominka. Tu natychmiast zasypano go pytaniami. Wypytywano go o wynik łowów, a on o choczko odpowiadał. Chętnie też przyjął trunek z rąk gospodarza, z którym się przyjaźnili jako dwaj starzy żołnierze. Potem spokojnie usiadł na kłodzie tuż przy ogniu. Wkrótce zupełnie o nim zapomniano i powrócono do poprzedniego tematu.

– Czarni me mogą świadczyć, mój panie – ciągnął dalej adwokat – bo są czasowymi niewolnikami pana Jonesa. Ale mamy sposób, by sędownie zmusić sędziego, czy każdego innego człowieka, do odszkodowania za postrzelenie i do zwrotu kosztów leczenia. Tak, tak^ mamy sposób i nawet nie trzeba będzie udawać się do wyższych in-[stancji].

– Bokiem to panu wyjdzie, panie Tood, jeśli pan pozwie sędziego Tempie z jego sakiewką tak długą, jak poniektóra z górskich sosen – zawołała pani Hollister. – Łatwo z nim dojść do ładu, tylko trzeba wiedzieć jak. To porządny człowiek i można go do rany przyłożyć, ale nie trzeba grozić sądem, bo nie będzie przez to lepszy. Jedno mu tylko zarzucam, że nie dba o swą duszę. Nie jest ani metodystą, ani papistą, ani prezbiterianinem – po prostu niczym. A poza tym myślę, Skórzana Pończochy, żeś pan jeszcze nie zbzikował i nie namówił pan młodzika na sprawę sądową. Nie opłaciłaby się wam skórka za wyprawkę. Powiedz pan młodzikowi, że zawsze może się u nas czegoś napić, zanim mu się łopatka zagoi.

Towarzystwo zebrane w oberży umiało ocenić słowa. "Bardzo

Quid pro quo – coś za coś (łac).

wspaniałomyślni" rozległa się pochwała z kilku ust, ale stary myśliwy, po którym spodziewano się, że się oburzy na wzmiankę o ranie młodzieńca, tylko rozchylił wargi i począł się śmiać swoim dobrze wszystkim znanym, bezdźwięcznym śmiechem. Gdy się już naśmiał do woli, rzekł:

–Jak zobaczyłem sędziego wyskakującego z sanek, od razu wiedziałem, że nic nie zrobi swoją gładką flintą. Raz tylko widziałem, że się taka strzelba na coś zdała. Była to francuska ptaszniczka o lufie dwa razy krótszej od lufy mego sztucera. Nad wielkimi jeziorami pięknie trafiono z niej gęś ze stu jardów. Ale co z tego: pt, aka tak rozniosło, że trzeba go było z łodzi zbierać po kawałku. Kiedy pod sir Williamem szedłem pod fort Niagara na Francuzów, wszyscy kawalerzyści byli uzbrojeni w takie strzelby. Straszna to broń w rękach doświadczonych ludzi o pewnym oku. Chingachgook, co po indiańsku znaczy "Wielki Wąż", czyli stary John Mohegan, który mieszka ze mną, był wtedy wielkim wojownikiem i wyruszył z nami. On też coś może powiedzieć

o tych walkach, choć dobrze władał tylko tomahawkiem.

–Oj, Natty, takie przezwisko to chyba kiepski komplement dla pańskiego towarzysza – powiedziała gospodyni. – Stary John wcale teraz nie przypomina węża. Najbardziej pasowałoby do niego imię Nemrod*, bo to i chrześcijańskie, i biblijne. W wigilię mego przystąpienia do gminy sierżant czytał mi ten rozdział z Pisma świętego. Takie słuchanie Biblii świetnie iispokaja.

–Stary, John i Chingachgook to dwaj różni ludzie – odrzekł myśliwy i smętnie pokiwał głową nad swymi wspomnieniami. – W czasie wojny pięćdziesiątego ósmego roku John był w kwiecie wieku

1 przynajmniej o trzy cale wyższy. Gdyby go pani widziała tego dnia, kiedy z za zasieków biliśmy Diskau'a, powiedziałyby pani, że to najpiękniejszy Indianin na świecie. Nigdy jeszcze nie widziałem groźniejszego

–wojownika, gdy tak stał śmiały, z pałającymi oczami, z nożem i tomahawkiem gotowym do ciosu. Spisał się też po męsku, bo nazajutrz widziałem, jak niósł na tyce trzynaście skalpów. Ale muszę mu przyznać, że zawsze postępował uczciwie i zdierał skóry tylko z własnych ofiar.

–Dobrze, już dobrze – krzyknęła gospodyni. – Jak walka to walka, ale ja tam nie pochwalam kaleczenia trupów. Nie myślę też, aby

Nemrod – postać biblijna. Król i myśliwy.

7 – Pionierowie

religia na to pozwalała. Sierzancie, ty chyba nigdy nie maczałeś ręki w takim bezceństwie?

–Moją rzeczą było stać i ginąć w szeregu od bagnetu lub kuli – odparł weteran. – Wtedy byłem w forcie i rzadko ruszałem się z miejsca, a Indian prawie nie widziałem, bo potykali się na skrzydłach lub przed linią. Ale pamiętam? że mówiono o Wielkim Wężu jako o słynnym wodzu. Nawet mi się wtedy nie śniło, że go zobaczę wśród chrześcijan, ucywilizowanego i noszącego imię John.

–Ochrzcili go bracia czescy, którzy zawsze żyli w przyjaźni z De-lawarami – odparł Skórzana Pończocha. – Stale twierdzą, że gdyby Indian zostawiono w spokoju, nie doszłoby do tego, co się teraz dzieje u źródeł dwóch rzek. A te góry nadal byłyby miejscem łowów w rękach icł prawowitego właściciela, który jest jeszcze dość młody, by dźwigać strzelbę, a oko ma tak pewne jak sokół bujający...

Przerwał mu odgłos kroków za drzwiami i po chwili do oberży weszło towarzystwo z dworu sędziego, a za nimi ukazał się stary Indianin.

'I

X A Ł

E

;) "i

A

Beczka, antał, roztruchanek.

Garniec, kufel, kielich, dzbanek

I brązowa bolą –

Niech nam żyje zżęty jęczmień

Hej, śpiewajcie chłopcy wdzięcznie –

Plon niesiemy z pola!

Piosenka pijacka

Wejście nowych gości wywołało ogólne poruszenie, z którego skorzystał adwokat i

ulożnił się. Większość zebranych otoczyła Marmaduka i ściskając mu rękę wyrażała nadzieję, że ma się dobrze. Tymczasem major Hartmann odłożył na bok kapelusz i perukę, nasadził na głowę ciepłą, pikowaną, wełnianą szlafmycę* i spokojnie siadł na kanapie opuszczonej przez adwokata i doktora. Potem wyjął kapciuch i wziął od gospodarza czystą fajkę. Po chwili, pykając z niej, zwrócił się ku ladzie i powiedział:

–Betty, proszę o toddy.

Sędzia zdążył już przywitać się z większością ludzi i zasiadł przy majorze. Ryszard wkręcił się na najwygodniejsze miejsce. Pan Le Quoi siadł ostatni, bo długo przestawiał krzesło, aby czasem nie zasłonić komu ognia. Mohegan przysiadł na końcu jednej z ławek w pobliżu, lady. Kiedy już się wszystko uspokoiło, sędzia powiedział dobrodusznie:

–No, widzę, Betty, że cieszy się pani popularnością przy każdej pogodzie, wśród wyznawców różnych sekt i mimo konkurencji. Jakże się pani podobało kazanie?

–A bo to było kazanie? – obruszyła się gospodyni. – Muszę przyznać, że brzmiało rozsądnie, lecz modły nie były lekkie. Niełatwa to rzecz z sześćdziesiątką na karku ciągle skakać po kościele! Pan Grant wygląda na dobrego człowieka, a jego córka na cichą i pobożną dziewczynę... John, masz tu dzban z cydrem zaprawionym whisky. Indianin nigdy nie pogardzi cydrem, choćby mu się wcale nie chciało pić.

–Muszę przyznać -zauważył po namyśle Hiram – że kazanie

udało się i sędzę, że przypadło ludziom do gustu. Ale jeden ustęp lepiej było opuścić lub zastąpić czymś innym. W napisanym kazaniu trudniej chyba to zrobić, niż gdy się mówi z pamięci.

–O to właśnie chodzi, panie sędzio – znów zawołała gospodyni. – ; Jak kaznodzieja może mówić przekonywająco, jeżeli jest skrępowany tekstem jak dragon rozkazem?

–Dość, już dość! – krzyknął sędzia, ręką nakazując ciszę. – Dość już na ten temat. Jak zauważył pastor Grant, różnie się można zapatrywać na sprawy wiary, ale według mnie mówił z sensem. Jotha-mie, słyszałem, żeście sprzedali gospodarstwo nowemu osadnikowi i że przenosicie się do miasteczka, by otworzyć szkołę. Zapłaciliście wam gotówką czy towarem?

Zapytany przez sędziego poruszył się niespokojnie, pokręcił na krzeselku i wreszcie powiedział:

!- Częściowo gotówką, częściowo towarem. Sprzedałem gospodarstwo facetowi z Pumfret, któremu nieźle się wiedzie. Wszystko poszło za dwieście osiemdziesiąt sześć i pół dolara, po opłaceniu kosztów szacunku.

–Hm – rzekł sędzia. – Ale ile pan zapłacił za tę ziemię?

–Za ziemię? Nie licząc tego, co zapłaciłem panu sędziemu, dałem jeszcze memu bratu, Timowi, sto dolarów. Ale wystawiłem nowy dom, który mnie kosztował jeszcze sześćdziesiąt. Mojeszowi też dałem sto dolarów – za wykarczowanie, oczyszczenie pola i zasianie. Razem kosztowało mnie to około dwustu sześćdziesięciu dolarów. Zostaje mi więc nadwyżka dwudziestu sześciu i pół dolara, a do tego zebrany bogaty plon. Chyba dobry interes, co?

–Plon przecież i tak należał do pana. Za dwadzieścia sześć dolarów wyzbył się pan dachu nad głową.

–Bo pan sędzia nie wie – z chytrym spojrzeniem odparł Jo-tham – że wyszedłem z tego z zaprzęgiem, wartym co najmniej sto pięćdziesiąt dolarów, i zupełnie nowym wozem; z pięćdziesięcioma dolarami w gotówce, dobrym wekslem na dalsze osiemdziesiąt i damskim siodłem wartości siedmiu i pół dolara. Należało mu się zatem dwanaście szylingów.

–A co pan będzie robił z wolnym czasem w zimie? Przecież czasj to pieniądz.

–Ano, bakałarz wyjechał do matki, która podobno umiera. Zgodziłem się więc zająć szkołą do jego powrotu. Na wiosnę, jeśli czasy się

nie pogorszą-, zabiorę się do interesów albo wyjadę nad Genessee*. Mówią, że można-tam zrobić pieniądze. A w najgorszym razie wrócę do swego zawodu, do szewskiej manufaktury.

Marmadukowi najwidoczniej wcale nie zależało na osobie rozmówcy, bo go nie namawiał do pozostania w Templeton. Przerwał rozmowę i zajął się czymś innym. Po krótkiej pauzie Hiram odważył się zapytać:

–Co pan sędzia nam powie o sprawach publicznych? W czasie tej sesji Kongres się jakoś nie przemęczał. A jak Francuzi? Czy ciągle się jeszcze biją?

–Francuzi biją się bez przerwy od czasu, gdy ścięli swego króla – odparł sędzia. – Ten naród bardzo się zmienił. Podczas Wojny Rewolucyjnej poznałem wielu Francuzów i wszyscy byli bardzo dobrzy i ludzcy. Ale ci jakobini są krwiożerczy jak wilki.

–W mieście- Yorku znaleźmy niejakiego Rochambeu – głośno wtrąciła się gospodyni. – To był wspaniały chłop, a jego kawalerzyści nic mu nie ustępowali. Było to wtedy, kiedy przekłęci Anglicy postrzelili sierżanta w nogę.

–Ah, raon pauvre roi* – szepnął pan Le Quoi.

–Kongres uchwalił kilka bardzo potrzebnych ustaw – ciągnął Marmaduk. – Między innymi wprowadził ograniczenia połowów niewodem w niektórych rzekach i mniejszych jeziorach oraz ustalił okres ochrony dla zwierzyny. Czas już był, na to wielki, a ja spodziewam się jeszcze, że niebawem zakaże się bezmyślnego wyrębu lasów.

Myśliwy z zapartym oddechem słuchał sędziego, a gdy ten skończył, roześmiał się ironicznie.

–Panie sędzio, możecie sobie uchwalać wasze ustawy – wykrzyknął – ale kto upilnuje lasów w czasie długich, długich letnich dni albo jezior w nocy? Zwierzyna jest żfwierzyną i każdy może ją zabijać. Takie panowało tu prawo od czterdziestu lat, a ja myślę, że jedno stare prawo warte jest dwóch nowych. Tylko żółtodziób ubije łanię z młodym u boku, chyba że zdarły mu się mokasyny albo potrzebuje spodni, bo każdy wie, że mięso w tym czasie jest łykowate. Skały nad jeziorem oddają strzał stokrotnym echem, któż więc zgadnie, gdzie stoi strzelec.

–Panie Bumppo, czujny sędzia, zbrojny w powagę prawa, zdoła zapobiec szerzącemu się złu i obronić zwierzynę, której już jest skąpo – z powagą odparł sędzia. – Mam nadzieję, że dożyję dnia,

Genessee – rzeka w stanie Nowy Jork. Ach, mój biedny król (franc).

kiedy prawo człowieka do zwierzyny będzie równie szanowane, jak prawo do własnej farmy.

–Wasze prawa i wasze farmy to najnowszy wymysł! – zawołał Natty. – Prawa muszą być jednakie dla wszystkich. Nie, nie, panie sędzio... to przez farmerów brakuje zwierzyny, nie przez myśliwych.

–Nie ma już tyle jeleni, co w czasie wojny, Bumppo – powiedział major, który puszczając gęsty dym z fajki, pilnie słuchał rozmowy. – Ale Bóg stworzył ziemię dla ludzi, nie dla zwierząt.

–Jak to, majorze? Sądziłem, że pan jest zwolennikiem sprawiedliwości i prawa, choć tak często bywa pan we dworze! Boli człowieka, gdy ustawy zaprzeczają mu prawa do uczciwego rzemiosła, i to kiedy? Bo gdyby prawo naprawdę było prawem, można by łowić ryby i polować, gdzie i kiedy dusza zapragnie.

–Rozumiem pana, Skórzana Pończochy – odparł major, porozumiewawczo wpatrując się czarnymi oczami w myśliwego. – Ale pan nigdy jeszcze nie troszczył się tak o przyszłość.

–Nie* miewałem okazji – odparł myśliwy ponuro i umilkł na dłuższy czas. !. '

–Sędzia zaczął coś mówić o Francuzach – zauważył Hiram po dość długiej przerwie.

–Tak, mój panie – rzekł sędzia. – Francuscy jakobini popełniają jedną zbrodnię po drugiej. Zwykle i nieustanne morderstwa wybielają mianem egzekucji. Słyszeliście już, że powiększyli długą listę swych zbrodni ścinając królową?

–Les monstres* – syknął Le Quoi i konwulsyjnie podskoczył na krześle.

–Wojska republikańskie pustoszą Wandę i setkami rozstrzelują ludność przychylną królowi... Wanda to południowo-zachodnia część Francji wciąż oddana Burbonom. Ale pan Le Quoi potrafi nam lepiej o tym opowiedzieć.

–No, non, non, mon cher ami* – zduszonym głosem zatrajko-tał Francuz zasłaniając się prawą ręką, jakby błagał o łaskę, a lewą przykrywając oczy.

–Ostatnio stoczono wiele bitew – mówił dalej Marmaduk. – Niestety, ci wściekli republikanie za często zwyciężają. Nie mogą jednak

Potwory (franc).

Nie, nie, nie, mój drogi przyjacielu (franc).

powiedzieć, bym się martwił, że zabrali Anglikom Tulon, bo Anglicy nie mieli do niego żadnego prawa.

–Ach, ach – zawołał pan Le Quoi zrywając się na nogi i wymachując rękami. – Ces Anglais!*

Przez parę minut jak szalony biegał po sali powtarzając swój okrzyk oburzenia. Wreszcie, targany wewnętrzną rozterką, wybiegł z oberży. Brnął przez zasy do swego sklepiku z rękami wzniesionymi ku niebu, jakby wzywał księżyc do zwrócenia Francuzom utraconego honoru. Wszyscy tak przywykli do podobnych wybuchów pana Le Quoi, że nikt się nie zdziwił jego postępowaniu. Tylko major Hartmann roześmiał się na głos po raz pierwszy od swego przybycia do osady i zauważył podnosząc dzban:

–Francuz oszalał... słaby z niego kompan dó kieliszka. Upoiła go radość.

–Francuzi to dobrzy żołnierze – rzekł Hollister. – Porządnie nas wsparli pod Yorkiem. Ja się tam nie znam na manewrowaniu armiami, ale myślę, że bez nich jego ekscelencja* nie mógłby wyruszyć na Cornwallisa*.

–Święta prawda, sierżancie – wtrąciła się pani Hollister. – Chciałabym, żebyś i ty był taki. Francuzi to porządni ludzie. Właśnie przechodzili obok, gdy zatrzymałam swój wózek markietanki. Wyście poszli naprzód, by podtrzymać regularne oddziały. Sprzedawałam im wszystko, co chcieli. Czy płacili? Oczywiście. I to jak! Samym srebrem. Do licha, za żadne skarby świata nie znalazłbyś u nich strzępka naszych przeklętych papierków. Ale najlepsze interesy, panie sędzio, robi się tam, gdzie ludzie dobrze płacą i nie są małostkowi.

–Świetne interesy, pani Hollister – odparł Marmaduk. – Ale co się stało z Ryszardem? Ledwie usiadł, już wstał i wyszedł, a tak długo go nie ma, że boję się, czy nie zamarzł.

–Nie bój się, kuzynie – wchodząc zawołał Ryszard. – Prąca grzeje człowieka nawet w najzimniejszą noc w górach. Betty, pani mąż powiedział mi, gdy wyszliśmy z kościoła, że wasze świny parszywieją. Wyszedłem, by na nie spojrzeć, i widzę, że ma rację. Wstąpiłem do pana, doktorze, i kazałem chłopcu odważyć funt soli, którą dodałem

Ci Anglicy (franc). "" *

Pewnie chodzi o osobę Waszyngtona.

Cornwallis Karol (1738-1805) – brytyjski generał i mąż stanu, poddał się

Waszyngtonowi pod Yorktown w październiku 1781 roku.

do karmy. Stawiam comber jeleni przeciw szarej wiewiórcie, że świnię za tydzień będą zdrowe. A teraz, pani Hollister, proszę o kubek pieniącego się flipu.

–Wiedziałam, że tak będzie – odparła gospodyni. – Jest już zmieszany i trzeba go tylko lepiej zagrząć. Sierżancie, mój drogi, podaj mi kociołek...

Trunek zagrzano i Ryszard pociągnął z kubka z miną człowieka zadowolonego z siebie i nie wylewającego za kołnierz.

–Betty, świetnie przyrządzasz flip! – zawołał, odsapnąwszy po tęgim łyku. – Nawet żelazo nabrało aromatu. Masz," napij się, Johnie. Ty, ja i doktor dokonaliśmy nie byle czego, wyjmując kulę z rany młodzieńca. Duku, wiesz, gdy ciebie nie było, nie miałem nic do roboty i ułożyłem piękną piosenkę. Zaśpiewam ci ze dwie zwrotki, choć jeszcze nie podłożyłem melodii:

Życie jest pasmem wiecznych trosk I wiecznych trudów, bracie – Więc nim nas marny dotknie los, Gromadą zaśpiewajmy w glos, Że lepiej żyć i śmiać się!

Wesoło, hej!

A z trosk się śmieje! Bo żal skroń bieli, bracie!

–No, Duku, co myślisz? Mam gotową jeszcze jedną zwrotkę bez ostatniego wiersza, bo brak mi rymu. Stary Johnie, co powiesz? Nie gorsza od waszych pieśni wojennych, prawda?

–Nie gorsza – powiedział Mohegan, który nie tylko zdążył opróżnić dzban podany mu przez gospodynię, ale często zaglądał też do dzbanków majora i Marmaduka.

–Brawo, brawo, Ryszardzie! – wykrzyknął major, któremu oczy już zwilgotniały od trunku. – Bravissimo! Bardzo ładna piosenka, ale Natty Bumppo zna ładniejszą. Skórzana Pończocho, zaśpiewaj nam!

–Nie, majorze – odparł myśliwy smutnie kiwając głową. – Dożyłem widoku, którego nigdy nie spodziewałem się ujrzeć w tych górach, i zabrakło mi ochoty do śpiewu. Gdy jedyny prawy właściciel tej ziemi śniegiem gasi pragnienie, nie wypada ludziom, którzy żyją z jej

bogactw, cieszyć się i radować, jakby tylko słońce i lato panowały na! świecie.

Ciepło pokoju, trunek, od którego zmarznięty Ryszard bynajmniej' nie stronił,

zatarły różnice, stanu między nim a pozostałymi gośćmi. Wyciągnął więc dwa dzbany pełne musującego flifju ku Skórzanej Pończosze i zawołał:

–Wesołych Świąt, stary chłopie! Słońce i lato! Nie, Skórzana Pończucho, najwidoczniej oślepeś. Teraz świeci księżyc i jest zima. Nałóż moje okulary i spójrz.

Wesoło, hej!

A z trosk się śmieję!

Bo żal skroń bieli, bracie!

Posłuchaj, jak stary John zawodzi. Jakże to ponure, te indiańskie pieśni, majorze. Czy oni znają się na nutach?

Gdy Ryszard śpiewał i gadał, Mohegan monotonicznie nucił pod nosem kiwając do taktu tułowiem i głową. W koło powtarzał parę słów po delawarsku, zrozumiałych tylko dla Natty'ego. Śpiewał coraz głośniejsze, aż wreszcie wszyscy zwrócili na niego uwagę i przerwali rozmowy. Skórzana Pończucha uniósł głowę i w gorących słowach odezwał się do Indianina po delawarsku:

–Chingachgook, po co śpiewasz o stoczonych bitwach i zabitych przez ciebie wojownikach, skoro twój najgorszy wróg, który wyzuł z ojcowizny Młodego Orła, siedzi tuż przy tobie? Biłem się nie gorzej od najlepszego wojownika twego plemienia, a w takiej chwili nie mógłbym chęłpić się swymi czynami.

–Sokole Oko – odparł Indianin niepewnym krokiem ruszając z miejsca. – Jestem Wielkim Wężem Delawarów. Mogę sunąć za Mingami, jak wąż, który skrada się po jaja pod gniazdo kozojada, albo jak grzechotnik zabijać wrogów jednym ciosem. Biali chcą, by tomahawk Chingachgooka lśnił jak woda Otsego w promieniach odchodzącego słońca, ale krew Makaów wciąż jeszcze się na nim czerwieni.

–A po co zabijałeś Mingów? Czy nie po to, by te jeziora i lasy pozostały w rękach twych dzieci? I czy po uroczystej naradzie nie oddano ich Pożeraczowi Ognia? Czy krew wojownika nie płynie w żyłach młodego wodza, któremu wolno tylko szemrać zamiast odezwać się głośno?

Słowa myśliwego jakby otrzeźwiły Indianina. Odwrócił się i przy-tomniejszym wzrokiem spojrzął na sędziego. Ruchem głowy odrzucił włosy z twarzy i błysnął oczami pałającymi nienawiścią. Widocznie stracił panowanie nad sobą. Wzrok mu zmętniał. Ręką błyskawicznie usiłował sięgnąć po tomahawk wiszący u pasa. Ale gdy Ryszard postawił przed nim nowy dzban, uśmiechnął się głupkowato, porwał go w obie ręce, osunął się na ławę i wypił trunek duszkiem. Pijany do nieprzytomności, bezwładnymi rękami próbował odstawić próżne naczynie.

–Nie zabijaj! – krzyknął myśliwy, gdy dostrzegł mściwe spojrzenie Chmgachgooka. – Ależ on jest pijany, nikomu nie wyrządzi krzywdy- mówił do siebie. – Zawsze tak jest z dzikimi. Pokażcie mu tylko wędkę, zaraz zamieniają się w psy... Sprawiedliwość jeszcze zatriumfuje, czekajmy cierpliwie.

–Natty wciąż mówił po delawarsku i nikt go nie rozumiał. Ledwie skończył, Ryszard zawołał: '

–No, stary John się urznął. Kapitanie, połóż go gdzieś u siebie w'stodole...'ja płacę. Dziś jestem bogaty, dziesięć razy bogatszy od Duka z jego włościami, nadaniami, rentami i wierzytelnościami.

Wesoło, 'hej! A 2, trosk się śmieje! Bo żal...

Pij, królu Hiramie, pij, stary Małorobie*! Pij, mój panie! Dziś

Wigilia, a Wigilia jest tylko raz w roku.

–He, he, he! Pan Ryszard dziś jest w złotym humorze, jak się to mówi – odparł Hiram już wyraźnie rozkrochmalony. – Zdaje się, że z naszego gmachu będzie jednak kościół!

–Kościół, panie Doolittle? Katedra – nie kościół! Godna biskupów, księży, dziekanów. Wspaniała zakrystia, kancelaria kościelna, chóry, organy i miechy. U Boga Ojca, jak mówi Beniamin, nasadzimy jeszcze jedną dzwonnice na drugim końcu i zrobimy dwa kościoły z jednego. Duku, czy pokryjesz koszty? Mój kuzyn, sędzia, za wszystko płaci.

Gra słów: Do lit tle – po ang. oznacza: rób mało.

Tymczasem Hollister ułożył Indianina na słomie w jednej z przybudówek, gdzie okryty derką przespał do rana.

Majorowi Hartmannowi stopniowo przybywało humoru. Wychylano szklankę po szklance, opróżniano dzban za dzbanem. Pijatyka przeciągnęła się do późnej nocy, a raczej do białego rana. Wreszcie stary Niemiec począł się zbierać do domu. Większość gości już się dawno rozeszła, ale Marmaduk zbyt dobrze znał zwyczaje swego przyjaciela, by nastawać na wcześniejszy powrót. Gdy jednak major sam powiedział, że czas do domu, sędzia nie oponował i cała trójka zabrała się do wyjścia. Pani Hollister odprowadziła ich do drzwi.

Mężczyźni pożegnali się, jak mogli najprzystojniej, i idąc środkiem szerokiej, udeptanej ścieżki jakoś dobrnęli do dworu. Ale gdy mieli skręcić we wrota, powstały pewne trudności. Nie będziemy ich opisywali i powiemy tylko, że rano wykryto liczne kręte ślady na śniegu i że Marmaduk, który zgubił swych towarzyszy po drodze do drzwi dworu, tylko dzięki tym śladom zdołał ich odnaleźć, po głowy zagrzebanych w zaspach. Mimo tak przykrego położenia Ryszard śpiewał na całe gardło:

Wesoło, hej

A z trosk się śmieję!

Bo żal skroń bieli, bracie!

Gcety w dzień ten do Zatoki zawinął Biskajskiej

Zanim czterej panowie udali się pod "Śmiałego Dragona", odwieźli Elżbietę do domu. Zostawili ją tam samą; jako jedyna i wyłączna pani domu mogła robić, co chciała. Światła prawie już wygaszono. Beniamin przed wyjściem starannie jednak rozjaśnił cztery grube świece w czterech masywnych mosiężnych świecznikach, stojących w jednym szeregu na kredensie. W tym świetle przytulna i ciepła sień wydała się Elżbiecie niezwykle miła po ponurej sali akademii. "

Remarkable także była na nabożeństwie. Kazanie pastora i wspomnienia z dzieciństwa Elżbiety złagodziły niechęć Remarkable do niej, podnieconą ostrym napomnieniem sędziego. Myślała, że łatwo zdobędzie wpływ na młodą i niedoświadczoną dziewczynę i że w ten sposób pośrednio zachowa dawne stanowisko w domu. Nie mogła pogodzić się z tym, że ktoś może nią rządzić, że będzie musiała komuś podlegać. W duchu raz po raz powtarzała sobie, że musi się zdobyć na stanowczość i od jednego zamachu wyjaśnić sytuację. Wreszcie zdobyła się na odwagę i zaczęła z daleka na temat, który zacierając różnicę między panią i ochmistrzynią, pozwalał jej zabłysnąć inteligencją.

–Pastorowi bardzo się udało dzisiejsze kazanie – powiedziała; – Duchowni jego kościoła zwykle dobrze mówią. Spisują kazania i to im bardzo pomaga. Nie-sądzę,

aby byli wymowni, gdyby trzeba było mówić bez przygotowania, tak jak mówią księża "stojącego"

obrzędki.

–O jakim wyznaniu myśli pani mówiąc "stojący" obrządek? – zapytała Elżbieta zaskoczona tym określeniem.

–No jak to? O presbiterianach, kongregacjonalistach, anabaptystach i tych wszystkich, którzy nie klękają do modlitwy.

–A więc wyznanie mego ojca nazwałaby pani "siedzącym" oH rządkiem? – zapytała Elżbieta. |

–Zawsze słyszałam, że ich nazywają tylko kwakrami – odpar||J| speszona Remarkable. – Sama nie powiedziałabym inaczej, bo nigdy nie mówiłam lekceważąco, o panu sędzim, czy o kimkolwiek z jego rodziny. Zawsze poważalam kwaków, bo to ludzie uprzejmi i mądrzy. Nawet się dziwiłam, jak ojciec panienki mógł poślubić kobietę anglikańskiego wyznania, bo te dwie wiary bardzo się różnią. Kwakrzy cały. czas siedzą i prawie nic nie mówią, a tamci ciągle skaczą jak pajace. Przed przyjazdem do Templeton chodziłam czasem do ich kościoła.

–Pani dostrzegła coś naprawdę ładnego w naszym obrzędku, czego dawniej nie widziałam. Niech pani dopilnuje ognia w moim pokoju. Chętnie się położę.

Remarkable bez pośpiechu, by nie obniżyć swej powagi, wyszła z pokoju. Gdy wróciła, Elżbieta powiedziała dobranoc jej i Benjaminowi, który właśnie dokładał do ognia, i odeszła do siebie.

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, Remarkable wybuchnęła potokiem słów.

Benjamin milczał pilnie zajęty swą pracą. Kiedy skończył, spojrzął na termometr, otworzył kredens i wydobyl całą baterię butelek, których zawartość rozgrzałaby go dostatecznie bez pomocy ognia na kominku. Potem przyciągnął pod sam piec mały stolczyk, ustawił na nim butelki, szklanki, przysunął dwa krzesła i dopiero wówczas jakby dostrzegł Remarkable. •

–Patrzcie! – zawołał. – Panno Remarkable, niech no pani zarzuci kotwicę na tym krześle. Na dworze ostro dmucha z północnego wschodu, mówię pani, ale cóż to mnie obchodzi. Czy wicher, czy morka – staremu Benjaminowi wszystko jedno. Murzynów zapakowaliśmy do piwnicy przy tak gorącym piecu, że wół by się upiekł. Termometr wskazuje pięćdziesiąt pięć stopni, ale w klonowym drzewie jest tyle ciepła, że zanim wychylę szklankę, przybędzie jeszcze z dziesięć stopni. Gdy sędzia wróci z Gieplej oberży, będzie się czuł jak marynarska ręka w gorącej smole. Siadaj pani tu i powiedz, jak ci się podoba ' naszą nową pani.

–Uważam, panie Penguillam...

–Pomp, po prostu Pomp – przerwał jej Benjamin. – W Wigilię może mnie pani tak nazywać. Będzie krócej, a że rnam zamiar do dna wypompować tę butelczynę, i odpowiedniej.

–Naprawdę! – wykrzyknęła Remarkable podrygując z uciechy. – Pęknać można ze śmiechu, gdy się panu zbierze na wesołość. Ale mówię panu, że przyszedł na nas ciężki czas.

–Ciężki czas! – zawołał Beniamin spoglądając na butelkę, która poczyniała już świecić czystym szkłem. – Wszystko furda, dopóki trzymam w kieszeni klucz od piwnicy.

–Nie mówię, że zabraknie jadła i trunków... panie Beniaminie, poproszę o więcej cukru do szklanki... bo pan Ryszard pomyślał

o wszystkim. Ale nowe państwo to nowe porządki. Wcale się nie zdziwi, jeżeli przyjdzie nam z panem przeżyć parę ciężkich chwil niepewności..

–Całe życie jest niepewne jak wiatr – mentorskim tonem odparł Beniamin. – A nic bardziej niepewnego od wiatru, chyba że dostanie się pani w pasaty. Wtedy całe miesiące może pani pływać pod pełnymi żaglami z chłopcem okrętowym przy sterze.

–Wiem, że życie składa się z samych niepewności – odparła Remarkable dostosowując się do tonu Beniamina. – Ale czuję tu nowe porządki. Również i panu wszędzie na głowę jakiś młodzik, jak teraz mnie ta dzierlatka. Po długim, wygodnym życiu na pewno nie będzie to panu przyjemne.

–Awans winien iść w parze z latami służby – rzekł Beniamin – i jeżeli mają zamiar postawić nade mną bosmana, zrzeknę się ochmistrzostwa szybciej, niż łódź pilota dobija do okrętu. Pan Dickens – Beniamin zwykle przekręcał imię Dicka – to porządny chłop

1 trudno o lepszego kompana, lecz mimo to powiem mu dobitną angielszczyzną, moim językiem ojczystym, że nie zniosę żadnego żółtodzioba nad sobą i że zrezygnuję ze służby. No, piję za zdrowie naszej przyjaźni!

Remarkable podziękowała skinieniem głowy i pociągnęła ze szklanki stojącej przed nią.

–Pan jest doświadczonym człowiekiem. Ba! Nawet Pismo Święte mówi: "...którzy się pławiają na morzu w okrętach, pracujący na wodach wielkich,, ci widują sprawy Pańskie i dziwy Jego na głębi".

–Tak, jeśli o to chodzi, to na brygach i szkunerach także. Można by też dodać "i dzieło szatana". Na morzu człowiek się dużo uczy, bo poznaje zwyczaje narodów i widzi różne kraje. Znam całe wybrzeże tak dokładnie jak drogę do "Śmiałego Dragona". Hm, muszę przyznać, że dobry grog macie w tym kraju. Ale Indie Wschodnie leżą

tuż i po mm nie trzeba jeździć daleko. Kobieto, na Boga! gdyby Gurnsey leżało między przylądkiem Hatteras* i górą Logan*, jakże tani byłby rum! Wracając do Zatoki Biskajskiej, to morze jest tam spokojne, chyba że wieje z południowego zachodu, bo wtedy dopiero zaczyna się taniec. Ale wracając do morza, to prawdziwych fal nie ma co szukać na małych wodach.,Moja pani, byłem na Ażora'eh na fregacie Boadishey* i czasem widziałem nad sobą tylko skrawek nieba nie większy od wielkiego żagla, a pod. sobą na podwietrznej przepaść, w której zmieściłaby się cała brytyjska flota..– Wielkie nieba! I nic się pan nie bał?

–Czy się bałem? Któż by się, u diabła, bał odrobiny słonej wody nad głową. Nie skłamię mówiąc, że fregata skakała z fali na * falę Jak wiewiórka z drzewa na drzewo! Moja droga pani, niełatwo było wydostać się z tego kołowrotu. Fale tak się piętrzyły, że nie wiadomo było, gdzie morze, a gdzie, niebo. Płynęliśmy naprzód przez dobrą godzinę. Ale jak fregata szła! O, to był wspaniały okręt, proszę pani. Lepiej się na nim żyło niż w najwspanialszym domu na Wyspie Brytyjskiej. Gdybym był królem Anglii, kazałbym przyholować tę fregatę do mostu Londyńskiego i urządziłbym w niej pałac. Bo któż może żyć sobie wygodnie, jeśli nie król angielski?

–Ale, Beniaminie, co pan robił? – pytała Remarkable podnieco-j na tym opowiadaniem o strasznym niebezpieczeństwie.

–Co ja robiłem? Pracowałem co sił wraz z całą załogą. Gdyby' na pokładzie byli ziomkowie pana Le Quoi, rozbiliby fregatę o najbliższą wysepkę.

–Myślę sobie – powiedziała Remarkable – że to życie na morzu musi być okropne. Wcale się nie dziwię, że buntuje się pan na myśl o porzuceniu naszego wygodnego domu. Ja tam tak bardzo o to nie dbam, znajdują się inne dwory. Bo kiedy sędzia umawiał się ze mną, myślałam, że to na krótko. Trafiłam tu przypadkiem, w tydzień po śmierci pani Tempie, gdy przyjechałam odwiedzić rodzinę i sądziłam, że wrócę tegoż wieczoru. Ale dom był tak strasznie zaniedbany... musia-.

Hatteras – przylądek wyspy przy wschodnim wybrzeżu Północnej Karoliny. Bardzo niebezpieczny dla żeglugi.

Logan – góra' w zachodniej Kanadzie, druga pod względem wysokości w Ameryce Północnej.

Boadishey – spaczona imię Boadicea lub Boudicca. Tak nazywała się królowa Brytanii, która | wywołała powstanie przeciw Rzymianom.

łam pomóc. A że nie jestem zamężna i że tak bardzo mnie potrzebowali, więc zostałam.,

–Na długo się tu pani zakotwiczyła, moja pani. Dobrze się pani stało w tym porcie.

–Jak się pan wyraża, panie Beniaminie! Nie mą w tym słowa prawdy. Muszę przyznać, że sędzia i pan Jones byli bardzo przyzwoici przez cały czas. Ale teraz będziemy mieli próbkę czegoś wręcz przeciwnego. Przekona się pan, Beniaminie, jaka to wstrętna dziewczyna.

–Wstrętna! – powtórzył Beniamin szeroko otwierając oczy, które zaczęły mu się podejrzenie zamykać. – Na Boga! Kobieto, równie dobrze mógłbym nazwać moją fregatę szkaradnym okrętem. Toć w porównaniu z nią rzeźba na dziobie Boadishey była maskarą. Często słyszałem, jak kapitan mówił, że przedstawia wielką królową. A królowe to piękne kobiety, bo czy król położyłby się z brzydką babą!

–Niech pan nie gada świństw, Beniaminie – odparła gospodyni – bo wstanę i wyjdę. Nie mówię, że jej wygląd jest wstrętny, tylko charakter. Strasznie zadziera nosa. Nawet nie chciała ze mną mówić, gdy ją zapytałam, jak się czuje w domu i czy jej brak matki.

–Może nie zrozumiała, o co chodzi, bo pani ma nie najlepszy akcent, a ona wśród dam londyńskich przywykła do dobrej dworskiej angielszczyzny. Nasza pani jest. bardzo wykształcona.

–Nasza pani! – wykrzyknęła Remarkable. – Niechże pan ze mnie nie robi Murzyna. Wcale nie jest moją panią i nigdy nią nie będzie. A po angielsku mówię nie gorzej od każdego innego człowieka z Nowej Anglii. Urodziłam się i wychowałam w hrabstwie Essex i zawsze słyszałam, że stan Massachusetts słynie z dobrej wymowy.

–Nie zauważyłem, aby panna Elżbieta zrobiła pani coś złego. Łyknij więc, pocziwa duszo, jeszcze ze szklanki i zapomnij, i przebac, jak każda pocziwa dusza.

–Za nic na świecie! Nie przywykłam, Beniaminie, do takiego traktowania. Mam swoich sto pięćdziesiąt dolarów, łóżko i dwadzieścia owiec. Nie będę mieszkała w domu, gdzie zabraniają mi mówić po imieniu do dzierlatki. Chcę ją nazywać Betsy, ile razy mi się spodoba. Żyjemy w wolnym kraju i nikt mi tego nie zabroni. Myślałam, że pozostanę tu przez całe lato, ale wyniosę się jutro rano. A mówić* będę, jak i ile zechcę.

–Na to nie ma żadnej rady – odparł Beniamin. – Łatwiej bowiem powstrzymać wicher

koronkową chusteczką niż pani język, gdy

go pani rozpuści. Powiedz mi pani, czy dużo małp macie w waszyⁿ Massachusetts?

– Sam pan jest małpa, partie Penguillam! – krzyknęła rozwścieczona gospodyni. – A nawet niedźwiedź! Czarny, dziki niedźwiedź! Nie jest pan odpowiednim towarzyszem dla przyzwoitej kobiety. Słowem się do pana nie odezwę, nawet gdybym tu mieszkała trzydzieści lat. Tak rozmawia się w kuchni, a nie na pokojach przyzwoitego domu. – Remarkable wstała z oburzeniem i chwyciła świecę. – Nie będę dłużej słuchać pańskich obelg.

I wyszła, nieumiejętnie naśladowując godne ruchy młodej dziedziczki.

Beniamin próbował wstać, lecz opadł z powrotem na krzesło i niebawem zaczął niedwuznacznie sapać, zupełnie jak jego ulubiony zwierz – niedźwiedź. Ale zanim całkiem wpadł w objęcia Morfeusza, powtarzał głośno, z przerwami, pełne wyrazu określenia: małpa, papuga, stara miotła, piknik, lingwistka.

Przespał się ze dwie godziny, aż wreszcie zbudziło go hałaśliwe wejście Ryszarda, majora Hąrtmanna i sędziego Tempie. Wtedy oprzytomniał na tyle, by odprowadzić dwóch pierwszych do ich apartamentów, po czym ulotnił się, pozostawiając sędziemu troskę o drzwi.

8 – Pionierowie

ROZDZIAŁ

S Z E <S' N A S T. Y.

Strażnik:

Zdrada, panowie, ale stójcie cicho'

"Wiele hałasu o nic"

Na szczęście dla licznych birbantów, do późna zabawiających się pod "Śmiałym Dragonem", srogi mróz znacznie zelżał, gdy klucząc między ǫzaspami wracali do domów. Gęste, coraz grubsze chmury zaciemniały wstające słońce, a południowy wiatr, który wiał wzdłuż doliny, zapo-. wiadał nieuniknioną odwilż.

Dopiero późnym rankiem, gdy słońce oświeciło już szczyty na zachodzie i nieśmiało wyjrzało, zza wschodniego łańcucha gór, Elżbieta dostrzegła je i zdecydowała się wyjść z domu. Chciała przy świetle dziennym, zanim uczestnicy wczorajszej hulanki

zasiądą do stołu, przyjrzeć się okolicy. Tuż za domem, w miejscu gdzie dawniej rosły strzeliste sosny, ciągnął się mały i gęsty ogrodzony zagajnik. Chłód był dokuczliwy. Elżbieta' więc otuliła się szczelnie w futro i już chciała wejść do zagajnika, gdy- usłyszała za sobą wołanie Ryszarda:

–Wesołych świąt, wesołych świąt, kuzynko Bess – wołał. – Ale z ciefoie ranny ptaszek! Wiedziałem jednak, że uda mi się ciebie wyprzedzić. Jeszcze nigdy nikt mnie nie ubiegł w składaniu życzeń. Zaraz zejdem i przejdziemy się razem.

Elżbieta odwróciła się i ujrzała kuzyna Ryszarda w szlafmocy wychylonego z okna sypialni. Nie bacząc na chłód wyglądał przez okno, ogarnięty chęcią przodowania przy każdej okazji. Roześmiała się, obiecała zaczekać na niego i weszła do domu. Niebawem wyszła znowu z jakąś kopertą pokrytą łąkowymi pieczęciami, akurat na czas, by się spotkać z Ryszardem.

–Chodźmy, kuzynko, chodźmy! – wołał Ryszard biorąc ją pod ramię. – Śnieg już topnieje, ale jeszcze nas utrzyma. Czy czujesz

w powietrzu zapach dobrej, starej Pensylwanii? Podły mamy tu klimat. Wczoraj o zmierzchu mróz mógł ostudzić największy zapał, co u mnie możliwe jest dopiero przy zerze. Koło dziewiątej, dziesiątej, było już cieplej. O jedenastej zupełnie złagodniało, a przez resztę nocy było tak gorąco, że nie mogłem uleżeć pod kołdrą... Halo!... Wesółych świąt, Aggy, wesółych świąt!... Masz tu dolara i przybiegnij po mnie, gdyby panowie wstali, zanim wrócę. Głową mi za to odpowiesz! '

Murzyn podniósł dolara ze śniegu, przyrzekł, że się wywiąże z polecenia, podrzucając wysoko monetę, która koziółkując spadła mu wprost na podstawioną dłoń, i ucieszony, z rozpromienioną twarzą-pobiegł do kuchni, by się pochwalić otrzymanym prezentem.

–Bądź spokojny, kuzynie – powiedziała Elżbieta. – Zajrzałam do ojca, pośpi jeszcze co najmniej godzinę. Jeśli będziesz dość czujny, nikt cię nie pozbawi honoru pierwszeństwa.

–Duk jest twoim ojcem, kuzynko, ale pozwól sobie powiedzieć, że zawsze chce być pierwszy. Nawet w drobiazgach. Ja do tego nie przywiązuję wagi, chyba we współzawodnictwie.

–To zupełnie jasne – odparła Elżbieta. – Dla ciebie, kuzynie, wyróżnienie nie byłoby warte złamanego grosza, gdybyś był sam na świecie.

–Bardzo słusznie to określiłaś, kuzynko. Mądra z ciebie dziewczyna. Przynosisz zaszczyt swym wychowawcom. Właściwie to ja wybrałem ci szkołę, bo gdy ojciec wspomniał o twojej edukacji, napisałem do mego bardzo światłego przyjaciela w Nowym Jorku, który wskazał mi odpowiedni zakład. Duk, jak zawsze, najprzód oponował, ale kiedy już zrozumiał, o co chodzi, musiał ustąpić.

–Kuzynie, łaski dla wad Duka! Jest moim ojcem, i gdybyś wiedział, kuzynie,, co dla ciebie zrobił, gdy byliśmy w Albany, byłbyś oględni ej szy w krytyce. !

–Dla mnie! – wykrzyknął Ryszard i aż przystanął, by się zastanowić. – Ach, pewnie chodzi o te plany holenderskiego kościoła, które przywiózł. Na nic się nie zdadzą, bo człowiek utalentowany rzadko kiedy korzysta z obcych wzorów. Jego własny mózg jest najlepszym architektem.

–Nie o tym myślałam – powiedziała Elżbieta, z wyzywającą minką spoglądając na Ryszarda.

–Nie? Zaraz, niech się zastanowię... to może wystarczył się dl mnie o nominację na dyrektora nowej rogatki?

–Może. Ale myślałam o innym zajęciu.

–Innym zajęciu – powtórzył Ryszard zżerany ciekawością. Jeśli to ma' być w wojsku, to dziękuję.

–Nie, wcale nie – zawołała Elżbieta kokieteryjnie pokazując trzymaną w ręce kopertę i znów chowając ją za plecami. – Tu chodzi

0 urząd zaszczytny i bardzo intratny zarazem... Będziesz miał władzę wykonawczą w całym okręgu. Tak przynajmniej mówił ojciec dając mi tę kopertę jako świąteczny prezent dla ciebie: "z niczego Dickon się tak nie ucieszy – powiedział – jak z władzy wykonawczej w okręgu".

–Władzy wykonawczej! Co za nonsens! – zawołał niecierpliwie Ryszard i wyrwał kopertę z rąk Elżbiety. – Nie ma takiego urzędu w naszym okręgu. E... co?... widzę, że to nominacja na szeryfa. Szeryf! To pięknie brzmi, Bess, ale ja dodam splendoru temu tytułowi. Duk jednak to głowa i zna się na ludziach. Bardzo mu jestem wdzięczny – ciągnął Ryszard odruchowo wycierając oczy brzeżkiem palta.

–Teraz, Ryszardzie – śmiejąc się mówiła Elżbieta- masz ple dp popisu. Często słyszałam, jak się skarżyłeś, że w tym nowym kraju nie ma nic do roboty, gdy, jak widzę, pracy jest bez liku.

:- Pracy – powtórzył Ryszard. Wytarł nos w chustkę, wyprostował niepokaźną figurkę i dumnie wypiął pierś. – Najważniejsza rzecz to organizacja. Jeszcze dziś po południu podzielę okręg na podokręgi. W każdym będę miał wiceszeryfa, a jednego w mieście, gdzie będzie moja siedziba. Czekaj, Beniamin!... Tak, Beniamin będzie doskonałym wiceszeryfem.

–Tak, panie szeryfie – odparła Elżbieta. – Zna się też jak nikt inny na linach i pętłach,' gdyby więc zaszła potrzeba użycia sznura, zrobi to najlepiej..

–Nie. Pochlebiam sobie, że nikt lepiej nie'powiesi człowieka, niż.,, to jest... ha! tak, ale nigdy nie zmuszę go do wieszania i nie nauczę jeździć konno. Trzeba się rozejrzeć za kimś innym.

–Mój panie, masz dość czasu do namysłu. Zapomnij więc na chwilę o godności szeryfa i poświęć mi trochę uwagi. Gdzie są te cuda

1 wspaniałości, które miałeś mi pokazać?

–Gdzie? Wszędzie, na każdym kroku! Tu wytyczyłem nowe ulice. Gdy się powali drzewa i wybuduje domy, powstanie piękne"miasto. Tak, choć uparty jak koziół, Duk ma złote serce... tak, tak, muszę mieć przynajmniej czterech wiceszeryfów i jednego naczelnika więzienia.

–Nie widzę tu żadnych ulic – powiedziała Elżbieta – chyba że

– tak nazywasz króciutkie alejki w zaroślach. Trudno się spodziewać,! domy szybko wyrosły w lesie i na bagnach.

–Ulice muszą się rozchodzić gwiżdżicie mimo drzew, stawów i bagien, kuzynko. Obchodzą nas tylko przyszłe pokolenia, nic więcej. Taka jest wola twego ojca, a twój ojciec, wiesz...

–Zrobił cię szeryfem – przerwała Elżbieta wyraźnie dając odczuć Ryszardowi, że poruszył zakazany temat.

–Wiem, wiem – zawołał r~ i gdybym tylko mógł, zrobiłbym go królem. To złoty człowiek, szlachetny, i byłby świetnym królem... to znaczy, gdyby miał dobrego premiera... co to jest? Słyszę głosy w zaroślach... Założę się o swój urząd, że to jakieś ciemne sprawy. Podejźmy bliżej i zobaczymy, co się święci.

W czasie tej rozmowy Ryszard i Elżbieta wyszli za miasto na otwartą przestrzeń, gdzie, jak już wiemy, wytyczono kilka ulic, które w przyszłości miały być zabudowane. Naprawdę jednak była to tylko zapuszczona polana na skraju mrocznego, wysokopiennego lasu, porośnięta młodymi zielonymi jodełkami, wystającymi spod śniegu. Poszum wiatru w wierzchołkach zagajnika głuszył kroki, a młode gałązki znakomicie ukrywały nadchodzących. Dzięki temu Ryszard i Elżbieta mogli podejść niepostrzeżenie do miejsca, gdzie młody myśliwy, Skórzana Pończocha i Mohegan poważnie się nad czymś naradzali. Młodzieniec nalegał na coś, co uważał za ważne, Natty słuchał go z uwagą, a Mohegan stał w pobliżu z głową spuszczoną i włosami opadającymi na twarz – najwidoczniej był zgnębiony i zawstydzony.

–! Chodźmy stąd! – szepnęła Elżbieta. – Nie wolno wdzierać się | w cudze tajemnice.

–Nie wolno? – również szeptem, niecierpliwie podjął Ryszard i przycisnął jej ramię, jakby chciał zapobiec ucieczce. – Zapominasz, kuzynko, że muszę dbać o spokój i porządek. Włóczęgi często bywają przestępcami, chociaż nie podejrzewam Johna. Biedny stary! Wczoraj urznął się w pień i zdaje się, że jeszcze nie wytrzeźwiał. Przysuńmy się bliżej i posłuchajmy.

Opór Elżbiety na nic się zdał. Gorliwy w swej nowej godności, Ryszard zwyciężył. Podeszli tak blisko, że mogli wyraźnie słyszeć każde słowo.

–Musimy zdobyć ptaka – mówił Natty – uczciwie lub podstępem. Ech, chłopcze! Pamiętam czasy, kiedy nie brakowało tu dzikich indyków, a teraz musi się ich szukać aż w wąwozach Wirginii. Rano

w miasteczku dałem Francuzowi wszystkie miedziaki za proch. Został mi tylko ten szyling. A, że wy nic nie macie, możemy opłacić tylko jeden strzał. Mówiono mi, że Billy Kirby, jest w mieście i że będzie strzelał do indyka. John ma pewne oko, gdy chodzi o jeden strzał, a mnie się już tak ręka trzęsie w każdym poważniejszym wypadku, że nieraz pudłuję. Co prawda, jesienią położyłem niedźwiedzicę, a po niej niedźwiedziątka, choć szalały z głodu. Kładłem je jedno po drugim, za każdym razem uskakując za drzewa, by nabić strzelbę. Ale to było zupełnie co innego, panie Oliwerze.

–Oto cały mój skarb... to i ta strzelba! – spoglądając na monetę szylingową z goryczą powiedział młodzieniec, jakby zadowolony ze swego ubóstwa. – Teraz naprawdę już jestem leśnym człowiekiem i muszę żyć z polowania. Chodźmy, Natty, postawimy ostatni grosz na tego ptaka. Ty nie możesz chybić.

–Chłopcze, wołałbym, aby John spróbował. Ręka mi drży na myśl, że ci tak na tym zależy. Spudłuję, jestem pewien. Indianie zawsze strzelają jednakowo, nic ich nie wzrusza. Słuchaj, Johnie, masz tu szylinga, weź tooją strzelbę i pal do tłustego indora uwiązanego do pnia.

Indianin posępnie odwrócił się, bez słowa, przenikliwie spojrzął w oczy swym towarzyszom i powiedział po chwili:

–Kiedy John był młody, jego kule leciały prosto jak spojrzenie. Kobiety Mingów krzyczały na odgłos jego strzałów. Wojownicy Min-gów z przerażenia stawali się babami. Czy strzelał kiedy po raz drugi? Orzeł przelatując nad jego wigwamem krył się za chmury. Kobiety dostały mnóstwo orlich piór od Chingachgooka. Lecz spójrzcie... – wyciągnął ręce i podniósł głos przechodząc od niskich, ponurych tonów do najwyższych nut podniecenia – trzęsą się jak jeleni, gdy usłyszy wycie wilka. Czy John jest stary? Kiedy to Mohikanin zniedołężniał w siedemdziesiątym roku życia? To biali przynieśli mu starość swym rumem – rum posłużył im za tomahawk.,,

–Więc czemu pijesz, starcze? – zapytał młodzieniec. – Czemu człowiek tak szlachetny ulega diabelskim podszeptom i staje się zwierzęciem?

–Zwierzęciem! Czy John jest zwierzęciem? – wolno zapytał Indianin. – Tak, masz rację, dziecię Zjadacza Ognia, John jest zwierzęciem. Ongiś dymy były rzadkie w tych górach. Jelenie lizały ręce białych, a ptaki siadały na ich głowach. Nie znały ich. Moi ojcowie przywędrowali znad słonego jeziora. Uciekli przed rumem. Przyszli do

swych ojców i żyli w spokoju. A gdy wznosili tomahawk, to tylko po to, by ugodzić Minga. Zbierali się przy ognisku narad, a co powiedzieli, to zrobili. Wtedy John był mężczyzną. Lecz jasnoocy wojownicy i handlarze przyszli za jego ojcami. Jedni nosili długie noże. drudzy nieśli rum. Było ich więcej niż jodeł na górach. Rozpędzili nasze rady i zabrali sobie ziemię. Zły duch czał się w ich dzbanach i wypuścili go... tak, tak... prawdę mówisz, Młody Orle. John jest chrześcijańskim zwierzęciem.

–Przebacz mi, stary wodzu – zawołał młodzieniec chwytając rękę Johna. – Nie mam prawa robić ci wyrzutów. Przeklinam tych, którzy swą chciwością doprowadzili do upadku tak szlachetny naród. Pamiętaj, Johnie, że jestem tej samej krwi i że dumny jestem z tego.

Twarz Mohegana rozjaśniła się i powiedział już łagodniejszym tonem:

–Synu mój, ty jesteś Delawarem. Nie słyszałem twych słów... John nie może strzelać.

–Z tego, że się tak niezgrabnie obchodzi z końmi, od razu się domyśliłem, iż ma w sobie indiańską krew – szepnął Ryszard. – Wiesz, kuzynko, oni nie używają uprząży. Trzeba jednak zafundować biedakowi drugi strzał do indyka, skoro go tak pragnie. Dam mu szylinga, ale lepiej byłoby, gdybym ja strzelał do niego. Zdaje się, że w tamtych krzakach urządzono sobie świąteczne zawody. Słysząc tam śmiechy... a jednak podejrzany jest ten gust młodzieńca do indyka. Choć to wcale smaczne.jedzenie.

–Poczekaj, kuzynie- Elżbieta chwyciła go za ramię; – Czy to wypada dać szylinga temu panu?

–Panu? Sądzisz, że mieszaniec nie przyjmie pieniędzy? Nie, nie, dziewczyno. Weźmie, na pewno weźmie. Jak amen w pacierzu. I nawet z dodatkiem rumu, choć prawil* takie morały... Pomogę mu, bo Billy Kirby jest jednym z lepszych strzelców. Oczywiście, nie mówiąc o... tyni panu.

–A więc – powiedziała Elżbieta dość chętnie ulegając namowom – ja to zrobię. – Zdeterminowana wyszła z zarośli i wkroczyła na małą, okrągłą polankę między jodłami, gdzie stali trzej myśliwi. Młodzieniec ujrawszy Elżbietę drgnął i chciał się cofnąć. Ale się opanował, uchylił czapki i stał dalej oparty na strzelbie. Natty i Mohegan nie okazywali najmniejszego zdziwienia, mimo że zaskoczyło ich zjawienie się Elżbiety.

–Widzę, że1 zachowaliście dawny zwyczaj świątecznego strzelania do indyka – powiedziała. – I ja chciałabym spróbować szczęścia. Który z was zgodzi się wziąć pieniądze, opłacić mój udział i użyczyć mi swej strzelby?

–To nie jest zabawa dla kobiet! – żywo, bez namysłu zawołał młodzieniec.

–A to czemu, mój panie? Jeżeli takie strzelanie jest niehumanitarne, to dlaczego grzech ma obciążać tylko jedną płęć. Zresztą i ja mam swoje

•kaprysy. Nie proszę też o pomoc pana, tylko... – zwróciła się do Natty'ego i wcisnęła mu dolara do ręki – ten doświadczony myśliwy na pewno, jest dość szarmancki, by spełnić prośbę kobiety. v

Skórzana Pończocha wrzucił monetę, do sakiewki, podsypał prochu na panewkę, zarzucił strzelbę na ramię i śmiejąc się, jak zawsze cicho, powiedział:

— Jeśli Billy Kjrby jeszcze nie ustrzelił indyka, a proch Francuza zapali się na tej wilgoci, będzie pani miała za parę minut takiego pięknego ptaka, j*akiego jeszcze nie widziano w sędziowskiej chatynce. Chłopcze, niepotrzebnie byłęś szorstki dla pani. Nad Mohawkim i Schoharie nieraz widywałem Holenderki chętnie uczestniczące w takich zabawach. Chodźmy, bo gotowiśmy stracić najpiękniejszego indora.

–Ale, Natty, ja mam pierwszeństwo. Najprzód ja spróbuję szczęścia. Proszę mi wybaczyć, panno Tempie, dla ważnych powodów chcę zdobyć tego indyka. Może to niegrzecznie, ale obstaję przy swoim prawie. †

–Niech pan obstaje przy wszystkich swoich prawach – odparła Elżbieta. – Oboje stajemy w szranki. A to mój rycerz. Zawierzyłam jego oku-i ręce. Panie Natty, proszę, niech pan idzie naprzód. Pójdziemy za panem.

Natty zachwycony szczerymi słowami pięknej Elżbiety, która obdarzyła go takim zaufaniem, odpowiedział na jej pogodny uśmiech swym charakterystycznym śmiechem i na przelaj, wielkimi krokami myśliwego ruszył tam, skąd dolatywały wesołe głosy. Wszyscy bez słowa poszli' za nim, a młodzieniec co chwila ukradkiem, z zażenowaniem spoglądał na Elżbietę, którą Ryszard powstrzymywał znakami.

...–Myślę, panno Tempie – powiedział Ryszard, gdy pozostali w tyle – że gdyby pani naprawdę chodziło o, indyka, nie zwróciłaby się pani z tym do obcego, a w dodatku do Skórzanej Pończochy. Nie wierzę w to, bó w tej chwili mam w kurniku z pięćdziesiąt sztuk

indyków, jakich tylko dusza zapragnie. Sześć tuczę specjalnie, karmiąc je na próbę drobno tłuczoną cegłą z...

–Daj spokój kuzynie – przerwała mu Elżbieta. – Chcę tego indyka, nie innego, i dlatego zwróciłam się do Skórzanej Pończochy.

–Kuzynko, czy opowiadano ci, jak jednym strzałem położyłem wilka, który porwał owcę ze stada twego ojca? – zapytał Ryszard prostując się z niezadowoloną miną. – Wilk dźwigał owcę na karku

gdyby był odwrócił głowę w inną stronę, powaliłbym go trupem, a tak...:

–Zabiłeś owcę... Wiem o tym, drogi kuzynie. Ale czy wypada szeryfowi... brać udział w takiej zabawie?

–| Czy przypuszczasz, że sam bym strzelał? – odparł Ryszard. – _ Ale chodźmy, przyjrzyjmy się zawodom. W tym nowym kraju nic złego nie spotka kobiety, zwłaszcza córki sędziego, i to w moim towarzystwie.

–Córka sędziego niczego się nie obawia,"mój panie, tym bardziej gdy jej towarzyszy najwyższy piastun władzy wykonawczej tego okręgu.

Przyjęła podane jej ramię i za Skórzaną Pończochą oraz jego towarzyszami poszła labiryntem krzewów tam, gdzie zebrała się cała młodzież z osady, by uczestniczyć w świątecznym strzelaniu do indyka.

ROZDZIAW S I E D E M N A S T

Y

Strój uroczysty wszem obwieszcza, Że dziś zabawa naszych mieszczan

Scott

Osadnicy w nowym kraju wśród innych tradycyjnych zabaw niemal zawsze pamiętali o starym świątecznym zwyczaju strzelania do indyka. Łączyło się to z codzienną praktyką ludzi, którzy często musieli odrzucić na bok siekierkę lub kosę, a'chwycić strzelbę i zmierzyć do jelenia, co przemykał wśród ścinanych drzew, albo do niedźwiedzia wdzierającego się na świeże polany i ciekawym okiem spoglądającego na zwycięski pochód człowieka w głąb puszczy.

Murzyn, właściciel ptaków, przygotował na ten dzień taką wspaniałą kolekcję indorów, że nawet najwybredniejszy smakosz miałby w czym wybierać. Zawody już

się odbywały i jak dotąd z wielką korzyścią dla czarnego przedsiębiorcy. Regulamin był prosty i jasny. Ptaka przywiązywano xdo wielkiej jodły na płaskim tle zrównanego siekierą pnia. w którym, jak w tarczy strzelniczej, grzęzły kule świadcząc o celności strzelca. Strzelano ze stu jardów i zmianę tej odległości choćby o stopę traktowano jako naruszenie praw jednej ze stron. Murzyn wyznaczał cenę każdego^ptaka i ustalał warunki strzału.

Tłum strzelców składał się z dwudziestu do trzydziestu młodzieńców, przeważnie uzbrojonych w strzelby, oraz ze wszystkich chłopców osady. ! -.

Tym razem Billy Kirby, o którym mówił Natty, budził największe zainteresowanie. Billy, chłop wielki, hałaśliwy i zadzierzysty, był drwa-łem i karczownikiem, jeśli w ogóle pracował. Jego dobroduszne oczy kontrastowały zordynarną krzykliwą mową. Całymi tygodniami potrafił włóczyć się po knajpach (albo leniuchując bezprzykładnie, albo spełniając małe posługi za kieliszek wódki i strawę) i kłócić się zaciekle

mm

0 wysokość zapłaty za przyszłą pracę. Często wolał próżnować niż utracić choć odrobinę wolności lub ustąpić grosz z zażądaney zapłaty. Ale gdy się już raz umówił, zarzucał strzelbę i siekierę na ramię, worek na plecy i krokami Herkulesa szedł w puszczę. Teraz już całymi i dniami, tygodniami, a nawet miesiącami Billy Kirby trudził się z zapalem, a efekt jego pracy wydawał się niepojęty. Stosy bali piętrzyły się z szybkością równą zręczności i herkulesowej sile drwała. Wreszcie zbierał narzędzia, zgarniał szczapy i w blasku płomieni odchodził z pokonanego lasu jak zdobywca miasta, który ogniem wieńczy zwycięstwo. Długo potem widywano go, jak włóczył się po knajpach, brał udział w wyścigach na chłopskich konikach i występował w roli krzykacza podczas walki kogutów lub bohatera takich zawodów jak dzisiejsze.

Między nim a Skórczaną Pończochą z dawna istniała zaciekle rywalizacja w strzelaniu. Ogólnie uważano, że mimo długiej praktyki Natty'ego drwał dorównuje mu dzięki zdrowym nerwom i bystremu oku. Dotychczas jednak jedynym sprawdzianem zręczności konkurentów były ich przechwałki i porównywanie sukcesów z dawnych polowań. Teraz po raz pierwszy mieli się zmierzyć oko w oko. Billy już długo i zaciekle targował się z Murzynem o cenę wybranego indyka, gdy nadszedł Natty z towarzyszami. Właśnie dobito targu ustalając opłatę w wysokości szylinga* za strzał, co było jak dotąd najwyższą ceną osiągniętą przez Murzyna. Indyka przywiązano przed "tarczą" alev ukryto za nasypem śniegu, tak że widać mu było tylko czerwony wór

1 długą szyję. Gdyby ptaka trafiono kulą przez śnieg – pozostawał własnością Murzyna, ale gdyby go tylko draśnięto w szyję lub głowę – przechodził na własność zręcznego strzelca.

Kiedy filźbieta i Ryszard podeszli do hałaśliwego tłumu, Murzyn, który usadowił się w śniegu niebezpiecznie blisko ukochanego ptaka, ogłaszał warunki zawodów.

–^Chłopcy, na bok! – krzyknął drwał, który już stał na stanowisku. – . Na bok, łobuzy, bo was powystrzelam. No, Brom, pożegnaj się z indykiem. | • •

–Stój! – krzyknął młody myśliwy. – Staję do zawodów! Brom, masz szylinga, ja też chcę strzelać.

Przed rewolucją każda prowincja miała własny pieniądz obiegowy. Każda jednak była tylko miedziane monety. W Nowym Jorku hiszpański dolar miał osiem szylingów. Szyling wart był nieco więcej niż sześć pensów angielskich. Obecnie Stany Zjednoczone mają już dziesiętny system monetarny (przyp/ autora).

–Możesz sobie chcieć – odrzekł Kirby – ale jak to zrobisz, gdy dmuchnę indorowi w piórka? Czy masz za dużo pieniędzy w swej jeleniej sakiewce, że możesz je wyrzucać na darmo?

–Skąd pan wie, ile mam pieniędzy? – zaczepnie odrzekł młodzieniec.– Masz szylinga, Brom. Żądam prawa strzału.

–, Nie denerwuj się, chłopcze – odparł Billy, spokojnie ładując strzelbę. – Mówią, że chodzisz z dziurą w lewej łopatce. Sądzę więc, że Brom spuści ci cenę o połowę. Powiadam ci, chłopie, trzeba nie lada sztuki, by trafić tego ptaka, nawet gdybym ci go zostawił. A wcale nie mam tego zamiaru.

–Daj spokój przechwałkom, Billy* Kirby – wtrącił się Natty opierając się na lufie strzelby. – Strzelisz najwyżej raz, bo jeżeli młodzieniec chybi, co przy jego ranie nie będzie dziwne, znajdzie się po tobie ! w kolejce dobra strzelba i stare, wierne oko. Może już nie strzelam jak dawniej, ale sto jardów to drobiazg dla długiego sztucera.

–Co to, Skórzana Pończochy, wylazłeś na świat tego ranka? – zawołał jego zaciekle przeciwnik. – Gra warta świeczki! Mam pierwszy strzał, mój stary. Chodzi o obycie się ślinką albo o dobry obiad.

Murzyn nie tylko żywo interesował się spodziewanym zyskiem, ale po trochu i w nim zagrała żyłka sportowa, choć pragnął wręcz czego innego niż zawodnicy. Gdy więc drwał powoli unosił strzelbę, zawołał do niego.

(tm) Uczciwie, uczciwie, Billy... cofnij się trochę... odstępście wszyscy... nie krzywdzić Murzyna... uwa'żaj, indorze. Schyl głowę, wariacie. Czy nie widzisz, że celuje do ciebie?

Krzyczał, by zdenerwować strzelca, ale mu się to nie udało. Niełatwo było speszyć drwala, który mierzył z największą uwagą. Złożywszy się, na chwilę skamieniał i zaraz pociągnął za cyngiel. Indyk-przechylił głowę na bok, załopotał skrzydłami, ale po chwili spokojnie kucnął w śniegu i strwożony rozejrzał się wkoło. Na mgnienie oka zapadła grobowa cisza, którą nagle przerwały głośnie krzyki Murzyna. Trząśnięty w szalonym śmiechu, skakał i turlał się po śniegu z nieopanowanej radości.

. – ' Dobrze, indorze! – zawołał zrywając się i robiąc ruch, jakby chciał objąć ptaka. – Krzyknąłem mu, by uważał, i widzieliście, jak się uchylił. Billy, płac szylinga za drugi strzał.

–Nie, teraz na mnie kolej – odezwał się młody myśliwy. – Już ci zapłaciłem. Odejdź od celu. Spróbuję szczęścia.

–Wyrzucone pieniądze, chłopcze – wtrącił się Skórzana Pończocha. – Szyja i; głowa indora to zły cel dla niewprawnej ręki i zranionego ramienia. Ustąp mi, z panią nie pokłócimy się o indyka.

–Teraz moja kolej •- powtórzył młodzieniec.' – Usuńcie się. Spory o strzał drwala szybko ustały, a jego pretensje odrzucono,

bo przekonano się, że byłby trafił w ptaka, gdyby ten w ostatniej chwili nie poruszył głową. Przygotowania młodego strzelca nie obudziły większego zainteresowania. Młodzian szybko zmierzył i już miał pociągnąć za cyngiel, gdy Natty go zatrzymał.

–Ręka ci drży – powiedział – a temperament ponosi. Rany postrzałowe osłabiają mięśnie. Nie będziesz miał zwykłej pewności. Jeżeli już chcesz strzelać, strzelaj szybko, ledwie weźmiesz cel na muszkę,

–Uczciwie, tylko uczciwie – znów krzyknął Murzyn – nie oszukiwać Murzyna. Natty Bumppo nie ma prawa dawać rad. Niech* strzela... odsuńcie się. '

Młodzieniec wypalił błyskawicznie, ale indyk ani drgnął. A gdy obejrzano pień,, stwierdzono, że kula poszła bokiem.

Elżbieta patrzyła na zawiedzioną twarz młodzieńca i dziwiła się, że człowiek wyższy nad swe otoczenie może tak boleć nad małą stratą. Teraz jej rycerz przygotowywał się do strzału.

Radość Bromą, po drugim pudle już znacznie mniejsza, nagle zupełnie znikła, gdy Natty zajął stanowisko. Skórzana Pończocha był tak spokojny i niewzruszony, jakby był sam na placu.

–Tuż przed wybuchem ostatniej wojny – mówił, ostrożnie zdejmując pokrowczyk z zamka strzelby – byłem w holenderskiej osadzie nad Schohaire. Trafiłem na zawody strzeleckie i stanąłem do nich. Holendrom oczy wylazły na wierzch, gdy im sprzątnąłem sprzed nosa róg na proch, trzy pręty ołowiu i funt niezrówanego prochu. Święty Boże! Jakże klęli!

Przy ostatnim słowie stary myśliwy już był gotów do strzału: odstawił prawą nogę, lewe ramię wyciągnął na całą długość wzdłuż łoża lufy, którą powoli unosił W górę. Oczy wszystkich biegały od wylotu lufy do celu, lecz kiedy strzał miał paść, krzemień sucho stuknął o panewkę.

–Niewypał, niewypał! – krzyczał Murzyn zrywając się z miejsca jak szalony i zasłaniając sobą ptaka. – Niewypał liczy się za strzał... Strzelba Natty'ego nie

wypaliła... Natty chybił indyka.

–Natty trafi Murzyna, Brom, jeśli nie zejdziesz z drogi – odparł oburzony myśliwy. – Odkąd to niewypał liczy się za strzał! Bzdura. Krzemień nie wykrzesał iskry i nic więcej. Odsuń się, chłopie. Zaraz pokażę Billy'emu, jak się strzela, do świątecznego indyka.

–Nie krzywdzić Murzyna! – krzyczał Brom, nadal rozpaczliwie osłaniając ptaka. Jak każdy człowiek z upośledzonej kasty, apelował do widzów. – Wszyscy wiedzą, że niewypał to strzał. Niech massa Jones powie... niech pani powie...

–Racją – wtrącił się drwal -t- u nas obowiązuje taki zwyczaj. Jeśli chcesz drugi raz strzelać, Skórzana Pończochu, musisz zapłacić szylinga. Teraz moja kolej.

–Billy Kirby, widzę, że chcesz lepiej znać prawo puszczy ode mnie – odparł Natty. – Wraz z innymi osadnikami przyszedłeś tu z prętem poganiacza wołów w rękę. Ja zaś przywędrowałem jeszcze dobrze przed starą wojną w mokasynach na nogach i ze

strzelbą na ramieniu. Który z nas może więc lepiej znać prawo? Nikt mi nie powie, że gdy pociągnąłem za cyngiel, niewypał równa się strzałowi. ' <...

–Niech massa Jones powie – upierał się zaniepokojony Murzyn. – On wszystko wie.

Ryszardowi zbyt pochlebilo to odwołanie się do jego autorytetu, by pozostał głuchy na wezwanie. Odszedł więc od Elżbiety, która przez delikatność trzymała się z dala, i zabrał głos z powagą odpowiadającą jego nowej godności..

–Powstała różnica poglądów – zaczął – co do prawa Natanie-la Bumpo do ponownego, darmowego strzału do indyka, który jest własnością Abrahama Freeborna. – Stwierdzenie tego faktu było tak oczywiste, że nikt się nie odezwał. Ryszard wyczekał chwilę, by słuchacze mogli się rozsmakować w tym wstępie, i ciągnął dalej: – Słuszną jest rzeczą, bym o tym zdecydował, bo ja odpowiadam za spokój w tym (c)kręgu. Ludziom uzbrojonym nie można pozwolić, by się zapamiętywali w sporze i dali ponieść namiętnościom. W rzeczonym wypadku nie było umowy ustnej ani pisemnej, która normowałaby powstałe zagadnienie. Dlatego musimy uciec się do analogii, to znaczy do porównania. A więc w pojedynku, gdzie obie strony do siebie strzelają, niewypał uważa się za strzał. A skoro tak jest, wtedy gdy strona przeciwna ma prawo strzelać w odpowiedzi, nie widziałbym, czemu ktoś mógłby przez cały dzień 'Strzelać do bezbronnego indyka. Dlatego

uwążam, że Nataniel Bumppo straci[^] kolejkę i musi zapłacić za nowy strzał.

Pogląd tak miarodajnej osoby, wygłoszony pewnym tonem, uciszył szmery, wzbudzone tą tak poważną różnicą zdań. Tylko Skórzana Pończocha próbował protestować.

–Wysłuchajmy panny Elżbiety – powiedział. – Kobiety nieraz dawały mądre rady, gdy Indianie zachodzili w głowę, co począć. Jeśli ona powie, że mam ustąpić, nie będę się upierał.

–Uważam, że pan stracił prawo do strzału – powiedziała Elżbieta. – Niech pan zapłaci za nowy i nie wycofuje się.z zawodów, chyba że Brom sprzeda mi indyka za dolara. Chętnie zapłacę i uratuję biedne stworzenie.

Ta propozycja nie spodobała się nikomu, nawet Murzynowi, który hazardował się zawodami. Gdy Billy ładował strzelbę, Natty zszedł ze stanowiska mruczając pod nosem:

–Od czasu jak ci biali handlarze włóczą się po kraju, nie można dostać nawet porządnego krzemienia u źródeł jeziora. A jeśli się samemu pójdzie szukać w górskich dolinach wzdłuż rzeki, stawiam jeden przeciw dziesięciu, że nic się nie znajdzie, tak wszystko zorane. Zmienię krzemień, bo Billy na pewno chybi.

Drwał dobrze wiedział, że jego sława zależy od strzału, i przygotował się starannie. Podniósł strzelbę, zmierzył raz i drugi, jakby się bał pociągnąć za cyngiel. Wreszcie w ogólnej ciszy strzelił i znów spudłował.

Rozczarowanie drwala było tym większe, że zrobił wszystko, co mógł. Dokładnie obejrzał więc indyka, upierał się, że musnął mu pióra. Ale większość widzów była przeciwko niemu i stała po skronie Broma poruszona jego błaganiami: "nie krzywdzić Murzyna".

Widząc, że przegrał, Billy z gniewem zwrócił się do czarnego.

–Stul pysk, ty czarna wrono! Pokaż mi tego, kto ze stu jardów trafi w głowę indora!, Szaleństwem było próbować! Narobiłeś hałasu jak padająca sosna. Mówię ci, pokaż mi takiego.

–Patrz uważnie, Bili – odezwał się Skórzana Pończocha. – Niech mi odstłonią cel, a pokażę ci kogoś, kto już piękniej, trafiał, gdy go mocno przycisnęli Indianie lub dziki zwierz.

**–Może jeszcze ktoś ma prawo do strzelania przed panem, Skórzana Pończocho –
powiedziała Elżbieta. – W takim razie ustąpimy mu kolejki.**

–Wycofuję się z zawodów, jeśli pani myślała o mnie – rzekł młody myśliwy. – Widzę, że ze zranionym ramieniem nie dam rady.

Elżbieta spostrzegła, że młodzieniec jakby się zarumienił. Wstydził się swego ubóstwa. Zmilczała więc i pozwoliła Skórzanej Pończosze na nową próbę. Natty Bumppo nie raz, lecz setki razy w trudniejszych warunkach trafiał wrogów lub zwierzynę, ale nigdy nie celował tak starannie jak w tej chwili. Huk, dym i niespodziewany wystrzał nie pozwoliły widzom od razu dostrzec wyniku. Ale Elżbieta widząc, że Natty oparł kolbę o śnieg i śmiejąc się bezdźwięcznie zabiera się do ładowania strzelby, zrozumiała, iż tym razem trafił. Chłopcy popędzili do pnia i wysoko unieśli indyka z rozwaloną głową.

–Dajcie go tu i połóżcie u nóg pani – powiedział Skórzana Pończocha. – Byłem tylko jej zaufanym. Ptak należy do niej.

–Tak dobrze wywiązał się pan z zadania, że, Ryszardzie, radzę ci o tym pamiętać – rzekła Elżbieta. Umilkła na chwilę i przybrała poważną minę. Nawet się zarumieniła, gdy z kobiecym wdziękiem zwróciła się do młodego myśliwego. – Chciałam tylko na własne oczy ujrzeć przysłowiową zręczność Skórzanej Pończochy. Może więc zechce pan przyjąć tego indyka jako malutką rekompensatę za ranę, która przeszkadza panu w zwycięstwie.

Trudno opisać, z jaką miną młodzieniec przyjął ten dar. Najwidoczniej ustąpił Elżbiecie, choć nie przyszło mu to łatwo. Walcząc ze sobą schylił się do jej stóp i w milczeniu podniósł indyka.

Elżbieta zaś podała Murzynowi srebrną monetę, by mu wynagrodzić stratę, na co on uśmiechnął się szeroko, i oświadczyła Ryszardowi, że chce wrócić do domu.

–Chwilkę, kuzynko! – zawołał Ryszard. – Reguły tych zawodów nie są jasne i muszę temu zaradzić. Panowie, wybierzcie delegację, przyślijcie ją do mnie jeszcze dziś, a naszkicuję wam regulamin... – tu zatrzymał się oburzony, bo ktoś bez ceremonii położył mu rękę na ramieniu.

–Wesołych świąt, kuzynie Dicku – powiedział sędzia Tempie, który podszedł niepostrzeżenie. – Będę musiał sam roztoczyć opiekę nad córką, jeżeli mają ją spotykać podobne hołdy. Podziwiam gust młodej damy do takich zabaw. *

–To przez jej upór! – krzyknął Ryszard zrozpaczony, że uprzedzono go w złożeniu świątecznych życzeń. – Ale twierdzę, że zachowywała się, jak przystoi, a nawet dzielnie i godnie. Myślę, sędzio,

m

że takie niebezpieczne zabawy winny być zakazane ustawą, a może już są zabronione prawem zwyczajowym?

–Jako szeryf, mój panie, musi pan zbadać tę sprawę – śmiejąc się odparł Marmaduk. – Widzę, że Bess już się wywiązała z polecenia, i sędzę, kuzynie, żeś mile przyjął nominację.

Ryszard spojrział na kopertę, którą trzymał w ręku, i rozpromienił się zapominając o niedawnym niezadowoleniu.

–Ach, Duku, mój drogi kuzynie – powiedział – odejźmy trochę na bok, muszę ci coś powiedzieć.

Marmaduk zgodził się i obaj odeszli w głąb zarośli, gdzie szeryf mówił dalej:

–Przede wszystkim, Duku, niech mi wolno będzie podziękować ci za twą przyjazną protekcję u władz, bez której nawet największe zasługi – jestem tego pewien.– nie znalazłyby uznania. Jesteśmy przecież ciotecznymi braćmi... ciotecznymi braćmi... i możesz mnie zawsze użyć jak jednego ze swych koni: pod wierzch albo w zaprzęgu... jestem ci ślepo oddany. Ale, moim skromnym zdaniem, trzeba mieć oko na tego młodego towarzysza Skórzanej Pończochy. Ma bardzo niezdrowe zamiłowanie do indyków.

–Zostaw to mnie, Dickonie – odparł sędzia. – Wykuruję go z tego, nadziewając indykami do syta. Właśnie chciałem z nim pomówić, wróćmy więc do towarzystwa.

–Pionien

o

z

z

OS I. E M N A 5 T Y

Nawet rodzona jego matka, Gdyby ją wezwał ktoś na świadka, Ni w twarzy, ni w postawie ciała Swego by syna nie poznała.

Scott

Powaga propozycji, jaką sędzia zrobił młodemu myśliwemu, wcale nie ucierpiała przez to, że Elżbieta była przy niej obecna. Sędzia ujął córkę pod ramię, wyprowadził z koła zawodników, dokąd wszedł za Ryszardem, i zbliżył się do młodzieńca, który oparty na strzelbie patrzył na indyka u swych nóg. Osoba sędziego bynajmniej nie osłabiała zapału zawodników, którzy głośno dyskutowali nad warunkami dalszego strzelania do ptaka, o wiele gorszego od niedawno ubitego. Skórzana Pończocha i Mohegan przyłączyli się do swego młodego towarzysza. W pobliżu hałaśliwego tłumu odbyła się cicha rozmowa.

–Panie Edwards, wyrządziłem panu wielką krzywdę – zaczął sędzia i zatrzymał się nagle, zdziwiony wrażeniem, jakie jego słowa wywarły na młodzieńcu. Ale widząc, że ten milczy i powoli się uspokaja, ciągnął dalej. – Na szczęście, mogę panu choć trochę to wynagrodzić. Mój kuzyn, Ryszard Jones, obejmuje teraz nowe stanowisko, tracę więc sekretarza. Mimo prostego wyglądu ma pan dobre maniere, co dobrze świadczy o pańskim wychowaniu. Zranione ramię nie ucierpi od pracy piórem. Mój dom stoi przed tobą otworem, drogi przyjacielu. W tym młodym kraju nie jesteśmy podejrzliwi, bo i zresztą nie mamy nic, co budziłoby pożądanie złych ludzi. Zostań moim sekretarzem, bodaj do wiosny, a wynagrodzę cię odpowiednio.

Propozycja sędziego, choć uprzejma i grzeczna, oburzyła, a nawet przejęła wstrętem młodzieńca. Zdobył się jednak na wielki wysiłek, opanował się i odpowiedział po chwili:

–Chętnie pomógłbym panu, czy każdemu innemu, dla uczciwego zarobku. Nie chcę bowiem ukrywać, że jestem w gorszym położeniu, niż można by sądzić. Ale zajęcie sekretarza przeszkodzi mi w czymś

JLmm

znacznie ważniejszym. Muszę więc zrezygnować z pańskiej propozycji i dalej zarabiać strzelbą na życie.

W tym miejscu Ryszard skorzystał z okazji, by szepnąć kuzynce, która delikatnie usunęła się na bok:

–Widzisz, kuzynko Bess, to naturalne przywiązanie mieszańca do dzikiego życia? Nic nie pokona ich zamiłowania do włóczęgi.

–Takie zajęcie to niepewny kawałek chleba i może tylko pogorszyć twe położenie – zauważył Marmaduk, który nie słyszał słów Ryszarda. – Zaufaj mi, przyjacielu. Jestem bardziej doświadczony i mówię ci, że koczownicze życie nie przynosi doczesnych korzyści i odciąga od wzniosłej szych celów.

–~ Nie, nie, panie sędzio – przerwał Skórzana Pończocha, na którego nikt dotąd nie zwrócił uwagi. – Niech go pan zabierze do swej chatynki, ale niech mu pan mówi prawdę. Bez mała pół wieku żyję w puszczy, a swego czasu tyle widziałem nieba, 'co w wyrwach po drzewach obalonych przez wichry. Niechże nii pan powie, gdzie pan znajdzie człowieka koło siedemdziesiątki, który żyłby spokojniej niż ja mimo różnych waszych ulepszeń i praw łowieckich. A gdy chodzi o uczciwość albo sprawiedliwy stosunek do ludzi, nie ustąpię najbardziej wygadaniemu kaznodziei w pańskim patencie.

–Ty, Skórzana Pończochu, jesteś wyjątkiem, bo odznaczasz się niezwykłą wstrzeźliwością jak na myśliwego. Jesteś też nad wiek krzepki – odparł sędzia, przyjaźnie kiwając głową staremu. – Ale ten młodzian jest- zbyt cennym materiałem, by marnował się w puszczy. Proszę cię więc, młody przyjacielu, wejdź do mej rodziny, choćby do czasu, kiedy ci się rana zagoi. Moja córka, a zarazem pani domu, powie ci, że będziesz miłym gościem.

–Na pewno – powiedziała zażenowana Elżbieta. – Chętnie powitamy każdego nieszczęśnika, a cóż dopiero takiego, któremu wyrządziliśmy krzywdę.

–Tak – wtrącił się Ryszard. – A że lubisz indyki, powiem ci, że mamy ich pełno w kojcach, i to najlepszego gatunku.

Czując za sobą takie poparcie Marmaduk nalegał dalej.

Mohegan, na którym najsilniej znać było przygnębienie, słuchał sędziego z rosnącym zainteresowaniem. Podchodził coraz bliżej, a gdy byстрыm okiem

zauważył, że młodzieniec się waha, zapomniał o trawiącym go wstydzie, przybrał postać indiańskiego wojownika i dumnie wystąpiwszy naprzód, powiedział:

–Posłuchaj swego ojca. Jego słowa są stare. Niech Młody Orzeł i Wielki Wódz Kraju jedzą razem. Niech razem śpią bez najmniejszego lęku. Dzieci Mikuona nie kochają się we krwi. Są sprawiedliwe i chcą sprawiedliwości. Słońce musi nieraz wejść i zejść zanim ludzie utworzą rodzinę. To sprawa nie dni, lecz wielu zim. Mingowie i Delawarzy to urodzeni wrogowie. Ich krew nigdy nie zmiesza się pod wspólnym dachem. Nigdy w bitwie nie popłynie jednym strumieniem. Czemu brat Mikuona i Młody Orzeł mieliby być wrogami? Są z tego samego plemienia i mają jedną matkę i ojca. Synu mój, naucz się czekać. Jesteś Delawarem, a indiański wojownik umie być cierpliwy.

Ta obrazowa przemowa wywarła wielkie wrażenie na młodzieńcu, który wreszcie ustąpił Marmadukowi i przyjął jego propozycję. Miała to być jednak tylko próba i każda strona mogła rozwiązać umowę, gdy tylko zapragnie. Upór i widoczna niechęć do' propozycji, którą większość ludzi w tym położeniu uważałaby za niespodziewany awans, zaskoczyła nowych znajomych młodzieńca i nawet źle ich do niego usposobiła. Wracając do domu sędzia, Elżbieta i Ryszard o tym najwięcej mówili. Pierwszy zaczął sędzia:

–W rozmowie z tym zagadkowym młodzieńcem musiałem przez cały czas pamiętać święte przykazanie naszego Zbawiciela: "Kochajcie tych, co was nienawidzą". Nie wiem, czego młody człowiek w jego wieku może się u mnie lękać. Chyba Elżbiety!

–Nic podobnego – bez zastanowienia powiedział Ryszard. – Wcale nie kuzynki Bess. Czyś kiedy widział mieszańca, który by się dobrze czuł w cywilizowanych warunkach? Pod tym względem są nawet gorsi od dzikusów. Elżbieto, czyś zauważyła, jak mu nogi drżały i jakie miał dzikie spojrzenie?

–Nie patrzyłam ani ręką jego oczy, ani na nogi, ale mógłby stać w pokorniejszej postawie. Rzeczywiście, ojczec, musiałeś się zdobyć na maksimum chrześcijańskiej cierpliwości. Nie podobała mi się jego mina, zanim jeszcze zgodził się wejść do naszego domu. Sprawia nam wielki zaszczyt] Gdzie go ulokujemy i przy jakim stole będziemy mu dawali nektar i ambrozię?;

–Z Beniaminem i z panią Remarkahle – wtrącił się Ryszard. – Chyba nie chcesz, by jadł z czarnymi? Wprawdzie ma w sobie" indiańską krew, ale Indianie pogardzają Murzynami. Nie, nie, prędzej zagłodzi się, nim coś przełknie w towarzystwie czarnych.

jm

–Będę zadowolony, Dickonie, jeśli go skłonię do jądania z nami – rzekł Marmaduk. – Nie ma mowy, by się zgodził na twoją uwłaczającą propozycję.

–A zatem życzysz sobie – powiedziała Elżbieta, jakby podkreślając swą uległość wobec ojca – by go traktować jak dżentelmena?

–No tak. I mam nadzieję, że się odpowiednio zachowa. Dopóki nie sprawi nam zawodu, będziemy go uważali za równego.

–Oj, Duku, Duku! – zawołał szeryf. – Trudno będzie zrobić / . niego dżentelmena. Stare, przysłowie mówi: "Trzeba trzech pokoleń, by zostać dżentelmenem". Ja mam za sobą ojca, o którym każdy słyszał, dziadka – doktora medycyny i pradziadka – doktora teologii. A mój pradziad przybył z Anglii. Nigdy nie udało mi się ustalić jego pochodzenia, lecz był wielkim kupcem w Londynie albo słynnym prowincjonalnym adwokatem, albo też najmłodszym synem biskupa.

–Oto iście amerykański rodowód – śmiejąc się powiedział Marmaduk. – Zawsze sięga drugiego brzegu oceanu, a potem spowija go mgła, która pozwala nam jak najlepiej mówić o naszych przodkach. Dickonie, czy jesteś pewien, że twój angielski pradziad był wielkim człowiekiem niezależnie od zawodu?

–No pewnie – odparł Ryszard. – Moja ciotka bez przerwy o nim mówiła. Pochodzimy z dobrej rodziny, sędzio Tempie, i zawsze zajmowaliśmy odpowiednie stanowisko w świecie.

–Dziwię się, Dickonie, że kontentujesz się tak małym, gdy sięgasz w przeszłość. Większość Amerykanów zaczyna od dzieciennych bajeczek, od jakichś legendarnych trzech braci, i wkłada dużo wysiłku w to, by jeden z tego triumwiratu był założycielem ich rodu, ongiś jeszcze bardziej możnego niż oni. Lecz tu wszyscy przyzwoici ludzie są sobie równi. Oliwer Edwards będzie więc traktowany na równi z szeryfem i sędzią.

–Ja to nazywam demokracją, a nie republikanizmem. Milczę jednak. Ale niech ten młodzik przestrzega praw, bo pokażę mu, że nawet w tym kraju jest ktoś, kto potrafi ich upilnować.

–Dickonie, zanim ty wkroczysz, ja muszę skazać. Ale co powie Bess o naszym nowym domowniku? W takich sprawach musimy słuchać zdania kobiet.

7- Och, – ojciec – odrzekła Elżbieta. – Zdaje się, że pod tym względem przypominam niejakiego sędziego Tempie... niełatwo zmie-

niam zdanie. Ale bez żartów: wprowadzie przyjąłeś do rodziny niemal półdzikusa, będę jednak uprzejma dla każdego, kogo zechciałeś wyróżnić.

Sędzia przycisnął jej ramię do boku i uśmiechnął się. Idąc za Ryszardem, który bez ustanku mówił o swych podejrzeniach, weszli na małe podwórko za domem.

Tymczasem trzej mieszkańcy puszczy milcząc szli drogą po skraju osady. Dopiero gdy wydostali się na lód jeziora i ruszyli prosto ku podnóżu góry, gdzie stała ich chatka, młodzieniec zawołał:

–Kto by to pomyślał miesiąc temu! Zgodziłem się służyć Mar-madukowi Tempie... będę domownikiem największego wroga mego plemienia! Cóż miałem robić? Ta niewola chyba nie potrwa długo. A kiedy znikną przyczyny, które mnie do niej zmusiły, strząsnę ją jak pył z sandałów!

–Czyż jest Mingiem, że zwiesz go wrogiem? – zapytał Mohegan. – Delawarski wojownik czeka spokojnie, aż wielki duch wskaże mu chwilę. Nie jest babą i nie płacze jak dziecko.

–Nie podoba mi się to wszystko – wtrącił się Skórzana Pończocha, który przez cały czas miał minę niezadowoloną i nieufną. – Mówią, że teraz zapanowały nowe prawa, i niewątpliwie wszystko się zmieniło w górach. Z trudem poznaje się jeziora i rzeki. Ja nie wierzę takim gładkim słowom. Biali zawsze mają miód w ustach, gdy chcą zabrać ziemię Indianom. Przyznają to, choć sam jestem biały i urodziłem się w pobliżu Yorku z uczciwych rodziców.

–Ustąpię tym razem -• powiedział młodzieniec. – Zaprę się siebie. Stary Moheganie, zapomnij, że jestem potomkiem wodza Dela-warów, dawniejszego pana tych wspaniałych gór, pięknych dolin i jeziora, po którym teraz idziemy. Dobrze więc, będę mu służył... będę jego niewolnikiem. Starcze, czy to nie zaszczytne niewolnictwo?

–Starcze – uroczyście powtórzył Indianin i przystanął jak zawsze, gdy był wzburzony. – O tak, synu mego brata. John jest już stary. Czy jego strzelba milczałaby, gdyby był młody?... Czy zwierz ukryłby się przed nim? Ale John jest stary. Ręka Johna to ręka baby, jego tomahawk to zwykła siekiera, a jego jedynymi wrogami są gęsty janowiec i wiklina. Głód i starość idą w parze.

–Przyznaję, Chingachgooku, że nie mam już dawnych sił – rzekł Skórzana Pończocha – ale jeśli trzeba, jeszcze się obędę bez jedzenia.,

–Dość słów, przyjaciele – zawołał młodzieniec – czuję, /ifdacie ode mnie poświęcenia. Dobrze więc, ale już nic nie mówcie, bo nie wytrzymam tego dłużej.

Umilkli i niebawem doszli do chatki. Odsunęli wiele pomysłowych i skomplikowanych zamknięć, które miały chronić ich skąpy dobytek, i weszli do środka.

Reszta dnia upłynęła jak zwykle w nowym kraju. Osadnicy znów

/obrali się w akademii na nabożeństwie i asystowali pastorowi przy

logo nowych religijnych próbach. Mohegan był wśród nich, lecz mimo

uporczywego spojrzenia pastora, który wezwał wiernych do komunii,

nie ruszył się z miejsca. Zbyt wstydził się wczorajszego opilstwa.

Ledwie ludzie się rozeszli, chmury zbierające się od rana zbiły się

w ciemną, gęstą masę. A zanim połowa osadników zdążyła dojść do

wych domostw w wąskich dolinkach i górskich wąwozach lub też pod

kalnymi szczytami, spadł ulewny deszcz. Śnieg na drzewach powoli

począł tajać, a spod niego wyjrzały czarne, wilgotne pnie.

W ciepłej sieni ojcowskiego dworu Elżbieta i Luiza Grant z podziwem patrzyły na zachodzące zmiany. Nawet osada, dotychczas lśniąca mroźną bielą, opornie, lecz stale wyzbywała się zimowej szaty. Wciąż przybywało ciemnych dachów i okopconych kominów. Jodły otrząsały się ze śniegu i wszystko z bajeczną wprost szybkością powracało do naturalnych kolorów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jednak ten biedny Edward nie był złym

chłopakiem.

Beattie

Przy końcu pierwszego święta Bożego Narodzenia 1793 roku pogoda była burzliwa, choć dosyć ciepła. Gdy zmrok osłonił osadę, Elżbieta odwróciła się od okna. Nie nasycona widokiem, który tylko przelotnie oglądała rano, stała przed oknem, dopóki resztki światła dziennego nie znikły z wierzchołków sosen.

Ujawszy Luizę za rękę, przechadzała się po sieni, rozmyślając nad wydarzeniami dzisiejszego dnia. Dłużej w cichości ducha zastanawiała się nad dziwnym wypadkiem, który miał sprowadzić do ich domu młodzieńca o manierach tak nie licujących z jego wyglądem. Ciepło sieni, mimo dogasającego ognia (trzeba było całego dnia, by nieco wystudzić olbrzymi piec), nienaturalnie zarumieniło jej policzki. Łagodna i blada twarzyczka Luizy również nabrała kolorów, które jak leciutki rumieniec gorączki zaostrzyły jej subtelną i smętną urodę. Panowie siedzieli w końcu sieni przy stole suto zastawionym winami i często spoglądali na obie przechadzające się panienki. Ryszard był najweselszy, czasem nawet zbyt hałaśliwy. Major Hartmann nie osiągnął jeszcze szczytu dobrego humoru, a Marmaduk przez szacunek dla pastora hamował swe z natury wesołe usposobienie i nie pozwalał sobie nawet na niewinne żarty.

Tak upłynęło z pół godziny po zamknięciu okiennic i zapaleniu świec, do chwili kiedy wejście Beniamina uginającego się pod ciężarem wiązki drewna przerwało względną ciszę.

–Panie Pomp! – ryknął świeżo upieczony szeryf – u Boga Ojca, czy przy tej odwilży nie wystarczy nam na rozgrzewkę najlepsza madera sędziego? Pamiętaj, chłopie, że pan sędzia już teraz się trzęsie

/.. obawy, czy aby nie zabraknie w górach tak cennych klonów i buków! Cha, cha, cha! Duku, muszę oficjalnie przyznać, że z ciebie dobry i uczynny krewniak, ale masz swoje dziwactwa.

Wesoło, hej!

A z trosk się śmieję.

Nucił coraz ciszej, a Beniamin tymczasem złożył swój ciężar i z najpoważniejszą miną zwrócił się do Ryszarda:

–; Być może, panie Ryszardzie, że stół stoi w ciepłych szerokościach, chociaż to, co na nim widzę, nie mogłoby mnie rozgrzać. Na to trzeba prawdziwego jamajskiego rumu oprócz suchego drzewa lub newcastelskiego węgla. Jeśli się jednak choć trochę znam na pogodzie, warto by się wygodnie rozłusować, szczelnie pozamykać drzwi i podsycić ogień. Chyba nie na darmo, panowie, spędziłem dwadzieścia siedem lat na morzach, a siedem – w tej puszczy.

–Beniaminie, czy coś wróży zmianę? – zapytał Marmaduk.

–Wiatr zmienia kierunek, wielmożny panie – odparł stary marynarz – a w tym klimacie to zawsze niesie odmianę.

–Co się tam dzieje na dworze – przerwał Marmaduk.

–Na dworze? Ano wiatr cały czas dmuchał z południa, teraz zaś mamy ciszę, jakby kto siadł na miechy. Lecz na północy, nad górami, widać wąziutki pasek, nie szerszy od pańskiej dłoni. Chmury pędzą pod pełnymi żaglami, a gwiazdy migocą tak jasno jak światła kierunkowe i boje. Ostrzegają, że czas gromadzić opał. Tak, panie sędzio, jeśli się choć trochę znam na pogodzie, trzeba dołożyć do ognia, bo mróz rozsądzi panu z połowę butelek porteru i karafek z winem w kredensie, nim ranna wachta wejdzie na pokład.

–Przezorny szyldwach z ciebie – rzekł sędzia. – Użyjże sobie na drzewie przynajmniej^ dzisiejszego wieczoru.

Beniamin zrobił, co mu kazano, i w niecałe dwie godziny potem przekonano się, że miał rację. Wiatr południowy istotnie ucichł, a to zapowiadało poważną zmianę pogody. Na długo przed rozejściem się towarzystwa mróz zaczął brać porządnie. A gdy pan Le Quoi odchodził do siebie przy pełnym blasku księżyca, musiał poprosić o

koc i owinać się nim, mimo że przezornie ubrał się ciepło. Pastor z córką pozostał na noc u sędziego. Panowie zmęczeni wczorajszą hulanką na długo przed północą rozeszli się do swych pokoi.

Elżbieta i Luiza nie zdążyły jeszcze zasnąć na dobre, gdy zerwał się północno-zachodni wicher. Wyjąc przeraźliwie wokół domu powiększał tylko uczucie błogiej przytulności, jaką w taką pogodę daje ciepły dom, v szczelne okiennice, ogień na kominku i puchowe kołdry. Zanim Elżbieta na dobre zamknęła oczy, wicher przyniósł jej długie, płaczliwe wycie, zbyt dzikie jak na psa, a jednak podobne do głosu tego wiernego stworzenia. Tak odzywa się pies, gdy noc zaostri jego czujność. Luiza bezwiednie przytuliła się do Elżbiety, która widząc, że jej towarzyszka nie śpi, powiedziała cicho, by nie psuć nastroju:

–Ładne jest to odległe wycie, choć płaczliwe. Czy to mogą być psy z chaty Skórzanej Pończochy?

–To wilki, które zapędziły się z gór nad jezioro – szepnęła Luiza. – Nie podchodzą do osady, bo się boją światła. Pewnej nocy głód przygnał je pod nasze drzwi. Cóż to była za straszna noc! Ale tu się nie dostaną. Płoty, drzwi i zamki bogatego dworu to za wielka dla nich przeszkoda.

–Innowacje wprowadzone przez ojca ucywilizują puszcę – zawołała Elżbieta odrzucając kołdrę i siadając na łożku. ^- Jakże szybko cywilizacja wdziera się w królestwo przyrody! – ciągnęła rozglądając się po swym już nawet nie komfortowym, lecz luksusowym pokoju

i pilnie przysłuchując się odległemu i częstemu wyciu znad jeziora. Ale " powoli i ją zaczął ogarniać lęk, więc za przykładem Luizy położyła się i niebawem usnęła zapominając o wszystkim.

Rankiem obie panny zbudziła służąca, która przyszła rozniecić ogień. Wstały więc i szybko ubrały się w chłodnym pokoju, bo mróz zdołał przeniknąć nawet do ciepłej sypialni. Elżbieta, chcąc spojrzeć na osadę i jezioro, rozsunęła kotary i otworzyła okiennice. Zamróz na szybach przepuszczał wprawdzie światło, ale zasłaniał widok. Uniosła więc górną ramę i zamarła z zachwytem.

Śnieg zniknął z jeziora. Pokryła je gruba warstwa ciemnego lodu, w którym poranne promienie słońca odbijały się jak w lustrze. Oblodzone domy skrzyły się niczym polerowana stal. Z dachów zwisały olbrzymie sopele: każdy szał drugiemu brylantowe błyski. Lecz największą uwagę zwracały dalekie, bezgraniczne lasy, stopniami pnące się ku szczytom gór. Wszystko wkoło, góry, jeziora, osada i lasy jaśniało i skrzyło się swym własnym, odmiennym blaskiem.

–Patrz! – - zawołała Elżbieta. – Patrz, Luizo! Chodź tu do okna i spójrz, co za

cudowna zmiana! '

*...i

jWt^^^^^B^^^^M^^^BłtefitMliliteitffi^H^^ilklili3a^

Luiza usłuchała. Wychyliła się z okna, chwilę milczała, a potem powiedziała cicho, jakby się lękała własnego głosu:

–Doprawdy, cudowna zmiana! Dziwię się, że potrafił jej tak s/zybko dokonać.

Elżbietę zaskoczyła ta niezwykła uwaga jej bądź co bądź inteligentnej towarzyszki. Odwróciła się więc i spostrzegła, że Luiza nie odrywa swych łagodnych niebieskich oczu od postaci dobrze ubranego młodzieńca, który przed drzwiami dworu poważnie rozmawiał z jej ojcem. Musiała raz jeszcze spojrzeć, by się przekonać, że był to młody myśliwy, tym razem ubrany skromnie, ale jak przystoi dżentelmenowi.

–W tym cudownym kraju wszystko graniczy z bajką – powiedziała Elżbieta. – A między innymi przemianami ta chyba jest najbardziej niezwykła. Aktorzy w niczym nie ustępują dekoracji.

Luiza zaczerwieniła się i cofnęła głowę,

–Jestem prostą, wiejską dziewczyną, panno Tempie, i boję się, że nie będę dla pani odpowiednim towarzystwem – powiedziała. – Nie wiem, czy dobrze panią rozumiem. Myślałam, że woła mnie pani, abym zobaczyła jak się zmienił pan Edwards. Czyż to rzeczywiście nie cudowna zmiana, gdy się pamięta o jego pochodzeniu? Ludzie mówią, że jest pół-Iridianinem. '

–Jest cywilizowanym dzikim. Chodźmy jednak i poczęstujmy j filiżanką herbaty sachema*, bo przypuszczam, że pan Edwards jest potomkiem króla Filipa, jeśli nie wnukiem Pocahontas*.

W sieni obie panny powitał sędzia Tempie. Zaraz odciągnął na bok córkę, by jej powiedzieć o zmianie, jaka zaszła w wyglądzie ich nowego domownika, o czym zresztą już wiedziała.

–Nie chce nic zdradzić ze swej przeszłości – mówił -r ale z jego słów i wyglądu zgaduję, że pamięta lepsze czasy. Wiesz, może Ryszard ma rację, bo u Indian to niezwykła rzecz takie wykształcenie, wychowanie i...

–Tak, tak ojciec – przerwała mu Elżbieta, śmiejąc się i odwracając oczy. – Muszę przyznać, że to wszystko wygląda nieźle. Ale że nie znam języka Mohawków, będzie musiał mówić po angielsku. Nad jego zachowaniem ty będziesz czuwał.

S a c h e m – wielki wódz (ind.).

Pocahontas (Rebeka) 1595-1617 – Indianka, która miała rzekomo uratować od śmierci kapitana Johna Smitha, Brytyjczyka i kolonistę w Wirginii.

–Oczywiście, Bess – odparł sędzia, leciutko ją przytrzymując. – Pamiętaj jednak, żebyś nie pytała go o przeszłość. Bardzo na to nalegał. Jest przewrażliwiony, pewnie z powodu tej rany. Ale to nic poważnego i z czasem język mu się rozwiąże.

–Och, mój panie, wcale nie jestem taka ciekawa jego przeszłości i mało mnie ona obchodzi. Dla mnie jest on synem Żdźbła Zboża, Ostrego Sierpa czy jakiegoś innego słynnego wodza. Może nawet samego Wielkiego Węża. I tak go też będę traktowała, dopóki nie zgoli sobie swych pysznych włosów, nie pożyczy ode mnie z pół tuzina najładniejszych kolczyków, zarzuci strzelbę na ramię i zniknie tak nagle, jak się zjawił, Chodź więc, drogi ojczy. Pamiętajmy o gościnności na ten krótki czas, kiedy ten młodzieniec zechce u nas bawić.

Sędzia uśmiechnął się w odpowiedzi na żart córki, wziął ją pod rękę i razem weszli do jadalni. Młody myśliwy już siedział przy stole. Z jego miny widać było, że postanowił zadomowić się bez zbędnych ceremonii.

Major Hartmann pożegnał się i odjechał do siebie na nowe trzy miesiące. Obowiązki zmuszały pastora Granta do częstych i dalekich wyjazdów, nic więc dziwnego, że jego córka była prawie stałym gościem Elżbiety. Ryszard z wrodzonym sobie zapalem aż po uszy zatopił się¹ w nowych obowiązkach. Marmaduk miał moc roboty: bez ustanku rozmieszczał nowych osadników. Wśród pracy zima mijała szybko. Młodzi spędzali wolny czas przeważnie na jeziorze: Ryszard woził po nim panie w jednokonnych saneczkach, Edwards, gdy nie było śniegu, towarzyszył im na łyżwach. Obie panny spędzały dużo czasu na tych zabawach, korzystając z ruchu w czystym górskim powietrzu, on zaś już się oswoił ze swą nową sytuacją i ośmielił, choć czasem widać było, że coś mu dolega.

Elżbieta zauważyła, że w ostatnich trzech miesiącach przybyło w górach wiele świeżych poręb. To nowi osadnicy "rozbijali namioty".

Templeton wrzało życiem: Wraz ze wzrostem ogólnego dobrobytu rzemieślnicy obrastali w piórk[^]. Osada z każdym dniem coraz bardziej upodabniała się do cywilizowanego miasteczka. Poczmistrz przebąkiwał już o potrzebie prawdziwego urzędu i zimą raz czy dwa widziano go, jak w jednokonnych saneczkach wioził pasażera przez zasy ku Moha-wkowi. Brzegiem tej rzeki regularnie dwa razy na tydzień, pod wprawnym woźnicą, z szybkością błyskawicy mknęła poczta z Południa. Na wiosnę wiele rodzin powróciło z odwiedzin- u krewnych w starych

m.

lanach jeszcze na czas, by dojechać sanna. Powracającym często towa-/yszyły całe rzesze dawnych sąsiadów, którzy skuszeni opowiadaniem wrzucili farmy w Connecticut i Massachusetts, by próbować szczęścia. lasach.

Przez cały ten czas Oliwer Edwards, którego nagła kariera nie dziwiła nikogo w tym błyskawicznie rozwijającym się kraju, pomagał Marmadukowi rzetelnie pracując cały dzień. Wieczory jednakże spędzał przeważnie w chatce Skórzanej Pończochy. Trzej myśliwi wiedli jakieś zagadkowe rozmowy, które najwidoczniej niezmiernie ich interesowały. Mohegan rzadko odwiedzał dwór. Natty nie przychodził nigdy. I dwards zaś w każdej chwili wrywał się do jego chatki. Powracał }> zmroku lub nawet w nocy. A jeżeli było już zbyt późno i we dworze wszyscy spali, przychodził dopiero o świcie. Koło tych wizyt snuto oczywiście wiele domysłów, ale nikt o nich głośno nie mówił, tylko Ryszard czasem szepnął:

–Nic w tym dziwnego... mieszaniec nigdy się nie wyzbędzie dzikości... a jak na niego, jest bardziej cywilizowany, niż można się było }podziwiać.

ROZ D Z I A Ł

D

D Z

Naprzód! Już dłużej nie zwlekajmy

pieśni!

Tyle ścież stromych przed nami się

ściele!

Byron

Wiosna swymi ciepłymi podmuchami i łagodnym słońcem powoli topiła zaspy, które stwardniały w kolejnych odwilżach, mrozie i częstych burzach i wydawały się przeszkodą nie do pokonania. Te zmagania się zimy z wiosną z dnia na dzień przybierały na sile. Ziemia, ofiara tych walk, powoli traciła czar zimy, nie zyskując powabów wiosny.

W tak niewesołych warunkach upłynęło kilka tygodni. W tym czasie osadnicy z wolna przechodzili od ruchliwego, towarzyskiego, zimowego życia do znojnego,

gospodarskiej, wiosennej pracy. Tłum gości już wyjechał, kilkumiesięczny ożywiony ruch w sklepach zmaleł. Drogi, wolne od lśniącego śniegu, tonęły w błocie. Pusto na nich było i cicho, gdy zabrakło podróżnych, którzy zimą hałaśliwie i wesoło mknęli saniami po ich zakrętach.

Młodzież z dworu sędziego Tempie łącznie z panną Grant, która teraz tam mieszkała, nie przyglądała się beczynnemu tym spóźnionym zmianom kapryśnej aury.

Gdy śnieg pozwalał, młodzi korzystali z uciech zimy: jeździli saniami w góry, odwiedzali doliny w promieniu dwudziestu mil i chętnie zabawiali się na lodzie jeziora. Słowem, jak się dało, skracano sobie nudy zimy w górach. Elżbieta musiała się też przyznać ojcu, że z pomocą jego biblioteki spędzała czas przyjemniej, niż się spodziewała.

To ruchliwe życie tak już weszło im w krew, że gdy odwilż i przymrozki popsuły drogi czyniąc je niebezpiecznymi w najciekawszym czasie, nie zaniedbali wycieczek. Skóro nie można było korzystać z pojazdów, jeździli konno. Młody Edwards z godziny na godzinę coraz bardziej przyzwyczajał się do otoczenia i często przystawał do towarzyszy-

Potrafił być wesóły i chwilami jakby zapominał o trapiących go myślach. Nawyk i młoda krew brały górę nad tajemniczymi przyczynami smutku i żalu. Ale zdarzało się jeszcze, że rozmawiał z sędzią z tą, imą rażącą niechęcią na twarzy, co przy pierwszym spotkaniu.

Przy końcu marca szeryfowi udało się wreszcie namówić Mar-maduka i swych młodych przyjaciół, by mu towarzyszyli w wycieczce na niezwykle szczyt góry malowniczo wznoszącej się nad jeziorem.

–Poza tym, kuzynko Bess – nalegał niezmordowany Ryszard – obejrzymy po drodze cukrowy gaj, gdzie pracuje Billy Kirby. Siedzi na wschodnim krańcu posiadłości Ransona i warzy dla niego cukier. Trudno o lepszego warzelnika.

–Billy to dobry kawał drwala – zauważył Benjamin, który i/.ymał szeryfowi konia przy wsiadaniu. – A siekierą wywija nie gorzej niż szewc- dratwą albo krawiec żelazkiem. Ludzie mówią, że bez i udu sam jeden dźwiga kocioł potażu. Widziałem warzony przez niego ukier. Może i nie był taki biały jak żagiel na porządnym okręcie, ale

jak mówi moja przyjaciółka, pani Prettybones, smakował niczym najlepszy syrop. A chyba nie potrzebuję panu mówić, panie szeryfie, że panna Remarkable wie, co położyć na zębie.

Benjamin roześmiał się skrzekliwie ze swego kawału, a panna Remarkable zawtórowała mu głośno, co dowodziło bliskiego pokrewieństwa duchowego' tej pary. Pozostali nie słyszeli dowcipu Beniamina, bo albo wsiadali właśnie na konie, albo pomagali paniom przy wsiadaniu. Gdy byli już w siodłach, ruszyli zwartą grupką przez osadę. 1'rzęd drzwiami pana Le Quoi zatrzymali się na chwilę i poczekali, aż dosiądzie rumaka. Potem minęli parę domów i ruszyli główną ulicą.

Musieli jechać gęsiego twardszym poboczem, bo po silnych nocnych przymrozkach i ciepłych dniach droga była grząska. Skąpe pędy wyrzały już z ziemi, wciąż jeszcze chłodnej, wilgotnej i odpychającej. W górach, na dalekich porębach śnieg nadal leżał, choć tu i tam wyglądały, spod niego czyste poletka* pokryte runią kielkującej pszenicy – nadzieją i otuchą rolnika. Lecz najbardziej uderzał kontrast między ziemią a niebem, bo ziemia wyglądała smutnie i odrażająco, a niebo z jedną, samotną chmurką i jasno świecącym słońcem było pogodne i wesole. Ciepłe, ożywcze promienie słońca łagodziły kolor lazuru nadając niebieskiemu stropowi błękit morza.

Ryszard jechał przodem, jak zawsze, gdy droga była łatwiejsza, i ożywioną rozmową bawił towarzystwo.

–Wymarzona "cukrową" pogoda, Duku – wołał pewnym siebie głosem – mroźne noce i słoneczne dni. Ręczę, że przy takim cieple sok płynie z klonów jak woda spod młyńskiego koła. Szkoda, drogi sędzio, że nie każesz dzierżawcom stosować naukowych metod fabrykacji cukru. Można by to zrobić, doprawdy, i to bez głębokiej wiedzy doktora Franklina... na pewno można.

–Przede wszystkim, drogi Ryszardzie, muszę pomyśleć o ochronie wspaniałych źródeł tego bogactwa. Gdy się z tym uporam, będę mógł się zastanowić nad ulepszeniami produkcji. Wiesz, że robiłem już próby rafinowania i że otrzymaliśmy głowy białe jak śnieg, co leży na tych polach, i o wielkiej zawartości czystego cukru.

–Drogi sędzio, te twoje głowy nigdy nie były większe od landrynek – odparł szeryf. – I pozwól sobie powiedzieć, że tylko taka próba ma sens, która w końcowym rezultacie znajdzie praktyczne zastosowanie. Gdybym jak ty miał ze sto albo dwieście tysięcy akrów, zaraz był wybudował w osadzie cukrownię. Do badań zaprosiłbym paru uczonych. Zaręczam, mój panie, że takich nietrudno byłoby znaleźć. O tak, znalazłbym ludzi umiejących połączyć wiedzę z praktyką. Potem bym wyszukał młode i piękne drzewka i zamiast robić jakieś tam małe kostki, miałbym – niech to lichy porwie! – głowy wielkości stogów siana.

–I kupiłbyś do ich przewozu jeden z tych okrętów, które wożą towary do Chin – zawołała rozbawiona Elżbieta. – Zamiast filiżanek używalibyśmy kotłów warzelniczych, a zamiast cukierniczek. – barek z jeziora. Ciasto piekłbyś pewnie w tym piecu do wypalania wapna, a na herbatę spraszał całą okolicę.

–Śmieję się, śmieję, kuzynko – odparł Ryszard odwracając się w siodle do jadącego za nim towarzystwa i z godnością gestykułując pejczem. – Każdą rzecz można zrobić dwojako: dobrze i źle. Przyzna- ' ję, że robicie teraz cukier, ale pytam, czy robicie możliwie najlepszy cukier w możliwie najlepszych głowach?

–Masz rację, Ryszardzie – odparł Marmaduk, a powaga, z jaką to powiedział, dowodziła, że cała sprawa bardzo leży mu na sercu. – Racja, robimy cukier, ale trzeba się zastanowić, ile go robimy i jak. Mam nadzieję, że zobaczę jeszcze całe plantacje i farmy cukrowe. Dotąd prawie nic nie wiemy o drzewach, z których płynie to bogactwo. Motyka i pług, być może, pomogłyby w ich uprawie.

–Motyka i pług! – huknął szeryf. – Chciałbyś okopywać takie

–Inny jak ten? – Wskazał na szlachetne drzewo często spotykane w tej części kraju.
– Okopywać drzewa! Czyś ty zwariował, Duku? To "dobne do twojego poszukiwania węgla! Nie, nie, nie. Mój drogi ilio, pójdź za głosem rozsądku i zostaw mnie tę cukrową sprawę.

1 lamy tu pana Le Quoi, który był w Indiach Zachodnich i widział, jak K' robi cukier.

Pan Le Quoi siedział na małym, spokojnym koniku. Strzemiona

była tak skrócona, że na wąskiej i stromej ścieżynie kolana podeszły ni w niebezpieczne pobliże brody. W tym położeniu nie mógł sobie pozwolić ani na zwykłą uprzejmość, ani na gesty, tym bardziej że

ślózka była i stroma, i śliska.

–Cukier! Na Martynice robią cukier. Mais... mais ce n'est pas* drzew... ach, ach, jak się to nazywa! Je voudrais que ces chemins

menaient au diable*... jak się nazywa... taka laseczka na spacer?

–Trzcina – odpowiedziała Elżbieta śmiejąc się z ostrożności I rancuza, który klnąc po francusku myślał, że nikt, nie zrozumie.

–Oui, mam'selle*, trzcirfa.

–Tak, tak, trzcina to pospolite określenie, ale prawdziwa nazwa i łacińska: sacharum officinarum. A to, co my nazywamy cukrem, czyli ulżeniem klonowym, to: acer sacharinum. To są nazwy naukowe, mój I rogi, i pan niezawodnie je zna?

–Czy to po grecku, czy po łacinie? – szeptem zapytała Elżbieta I dwardsa, który torował obu paniom drogę przez zarośla. – A może i kreślenia w jakimś jeszcze bardziej uczonym języku, które pan zechce

nam przetłumaczyć.

Młodzieniec gniewnie spojrział na nią czarnymi oczami, lecz po chwili się rozchmurzył.

–Przy najbliższej wizycie u mego starego przyjaciela, Mohegana, przypomnę sobie pani pytanie. Może on albo Skórzana Pończocha dzięki swej wiedzy pomogą mi rozwiązać zagadkę.

–A ich język pan rozumie?

–Niezupełnie. Łatwiej rozumiem bardzo uczonego pana Jonesa albo nawet ugrzecznionego pana Le Quoi.

–Pan mówi po francusku? – żywo zapytała zdziwiona Elżbieta.

Ale... to nie jest (franc).

Żeby diabli wzięli te drogi (franc).

Tak, panienko (franc).

MI – Pionierowie

–To język powszechnie używany wśród Irokezów i w całej Kanadzie – uśmiechnął się młodzieniec.

–Ach, ale to przecież pańscy wrogowie, Mingowie.

–, Cieszyłbym się, gdybym nie miał gorszych wrogów – odparł. i wspiąwszy konia, skoczył naprzód, by przerwać drażliwą rozmowę.

Ryszard zaś plótł bez przerwy, dopóki wszyscy nie dotarli do rzadkiego lasu na szczycie góry. Tu sosny i jodły już znikły i rósł tylko gaj cukrowych klonów, prostych i strzelistych, dumnie rozkładających | szerokie gałęzie. Poszycie doszczętnie wytrzebiono, zapewne na opał. | Na przestrzeni wielu akrów pozostał tylko rzadki las. Każde drzewo nacięto nad korzeniami głęboko i bezlitośnie. W nacięcia wetknięto małe rurki z kory olchowej lub sumakowej, /a pod nimi ustawiono grubo ciosane lipowe koryta, w których zbierał się sok płynący z tych] prymitywnych, nieekonomicznych drenów.

Gdy jeźdźcy znaleźli się na szczycie, przystanęli, by dać wytchnąć koniom i przyjrzeć się metodzie ściągania soku, którą nie wszyscy jeszcze znali. Ciszę przerwał nagle czyjś silny głos. Skądś spod drzew | rozbrzmiały nieporównane, niezdarne strofy, które rozciągame do woli mogłyby sięgnąć od wód Connecticut po brzegi jeziora Ontario. Melodia była dobrze znana. Podobno miała służyć do ośmieszania Amery- j kanów, lecz tak się złożyło, że stała się sławna i dziś każdy Amerykanin nie bez wzruszenia słucha jej dźwięcznych kadencji.

Niech ludzi pełny będzie Wschód,: A Zachód gęstych borów.

Niech w górach bydła będzie w bród, Na drogach zaś taborów!

Więc płyn oskoło słodka z pnia, Ja sam cię będę prażył – A leśnik do białego dnia Stać będzie w noc na straży!

O jakież cenny jest nasz klon, Zeń strawa, opał, drewno – A jeśli nogi ci się gną, Uzdrowi cię na pewno,

Więc płyn, oskoło Ud...

Cóż wart bez szklanki chłop jak rydz, Cóż bez herbaty żona? Lecz szklanka też niewarta nic, Jeśli nie osłodzona! *

Więa płyn, oskoło Ud.:

–Brawo, brawo! – Ryszard wołał na całe gardło w tej samej lönacji. – Wspaniała pieśń, Billy, i doskonale wykonana.

Cukrowar, który pracował na swym "polu" niedaleko od jeźdźców, obojętnie odwrócił głowę i przyglądał im się z podziwu godnym spokojem. W miarę jak go mijali, kłaniał się każdemu dobrodusznie i uprzejmie.

–Co słyhać, szeryfie, co słyhać? – pytał. – Co się dzieje w osadzie?

–Nic nowego, Billy – powiedział Ryszard. – Jakże to? (idzie są twoje cztery kotły, koryta i żelazne chłodnice? Już tak teraz partaczysz? Myślałem, że jesteś najlepszym cukrowarem w całym okręgu.

–I jestem, panie Jones – odparł Kirby nie przerywając pracy. – W górach Otsego nikomu nie ustąpię w rąbaniu i karczowaniu, w cukrownictwie, ciesielce, wypalaniu cegieł, wyrobie potażu, a nawet w pracy na roli. Przyznaję jednak, że najchętniej biorę się do siekiery, bo mi leży w ręce jak ulał, choć pojętny jestem do wszystkiego.

–O! To się pan nie da tak łatwo kupić i sprzedać – wtrącił się pan Le Quoi.

–Jak pan mówi? – zapytał Kirby i spojrzał na Francuza z do-brodusznącią, zabawną przy jego olbrzymiej postaci i męskich rysach. – Jeżeli przyjechał pan coś kupić, zawsze znajdzie pan u mnie najlepszy cukier. Jest oczyszczony z brudu jak Niemiecka Dolina /. pniaków. A smak ma prawdziwie klonowy.

Francuz podjechał do daszka z kory, pod którym Kirby składał cegiełki cukru, i oglądał je okiem znawcy. Marmaduk zeskoczył z konia, uważnie badał drzewa i nie taił niezadowolenia na widok beztroskiego sposobu produkcji.

–Pan ma duże doświadczenie, Kirby – powiedział w końcu – ale jakże pan warzy swój cukier? Tylko w dwóch kotłach?

_JIL

–Dwa są równie dobre jak dwa tysiące. Nie warzę cukru dla arystokracji jak ten lub ów elegancki cukrowar. Ale jeżeli pan chce naprawdę dobrego cukru, to powiem panu, jak go robić. Po pierwsze,! wynajduję i nacinam drzewa, powiedzmy w końcu lutego, a w tych? górach najwcześniej w połowie marca. W każdym razie, kiedy sok właśnie zaczyna rażno...

–No dobrze – przerwał mu Marmaduk – ale jakimi znakami kieruje się pan przy wyborze drzewa?

–Trzeba się na wszystkim znać, panie sędzio – odrzekł Kirby, ostro mieszając płyn w kotłach. – Musi się też wiedzieć, kiedy i jak zamieszać w garnku. Tego się trzeba nauczyć. Nigdy nie tknę siekierą skarłowaciałego drzewa albo takiego, co nie ma świeżej, pięknej kory. Bo drzewa chorują jak stworzenia. Naciąć więc chore drzewo, to tak,-jak wprząc do pocztowego wózka podbitego konia albo ochwaconym wołem ciągnąć bale.

–To racja. Ale jakie są oznaki choroby? Jak pan rozróżni zdrowe drzewo od chorego?

–A jak lekarz poznaje, kto jest poważnie chory, a kto ma tylko katar? – przerwał tym razem Ryszard. – Oczywiście, badając skórę i puls.

–No tak – ciągnął Billy Kirby – pan Jones jest bliski prawdy. Oczywiście, najważniejszy jest wygląd... Gdy sok już dobrze cieknie, zawieszam kociołki i zabieram się do roboty. Pierwszy wywar robię prędko, by dojść do czystego soku. Ale kiedy sok zacznie gęstnieć jak | ten, zmniejszam ogień, bo syrop łatwo przypalić. A przypalony tracił smak i nie jest słodki. Potem przelewam go z jednego kotła w drugi,' dopóki na mieszadle nie zaczną ciągnąć się nitki. Wtedy trzeba uważać. Gdy syrop już zaczął się krystalizować, można wrzucić glinę do kotłów, by go całkiem odciągnąć. Ale to nie jest konieczne. Niektórzy tak robią, inni inaczej... – Tu zwrócił się do pana Le Quoi: – No jak, panie? Będzie handel?

–Dam panu dix sous* za funt.

–Nie, sprzedaję tylko za gotówkę, nie za towar – odparł Kirby nie rozumiejąc o co chodzi. Lecz po chwili dorzucił z przypochebnym uśmiechem: – Jednakże od pana zgodzę się wziąć galon* rumu i mate-

Dziesięć sous, czyli pięćdziesiąt centymów francuskich (franc.). Galon angielski równa się 4,54 litra, amerykańskiego – 3,78 litra.

IV

ual na dwie koszule. Syrop jest naprawdę doskonały. Nie oszukam ani I u na, ani nikogo. Sam go używam, bo jest najlepszy z klonowych.

–Pan Le Quoi daje po dziesięć pensów za funt – wyjaśnił I dwards.

Cukrowar nie krępując się wybałuszył na niego oczy, ale nic nie powiedział.

–Qui – potwierdził Francuz – dziesięć pensów. Je vours remer-de, monsieur. Ach, mon anglais, je 1'oublie toujours*.

Drwal z wyraźną niechęcią spoglądał to na jednego, to na drugiego i najwidoczniej "nabierał przekonania, że bawią się jego kosztem. 1'orwał olbrzymi czerpak leżący na jednym z kotłów, gwałtownie go okręcił i podał panu Le Quoi mówiąc:

–Jak pan spróbuje, to pan podniesie cenę. Sam syrop wart więcej.

Uprzejmy Francuz parę razy posłusznie spróbował przyłożyć usta do łychy czerpaka i wreszcie łyknął potężną porcję niemal wrzącego płynu. Ledwie przełknął począł się walić w pierś, żałośnie spoglądając na panie. Później drwal opowiadał: "Przez chwilę nogi mu latały szybciej niż pałeczki dobosza. Pluł i klął po francusku, jakżeście tego jeszcze nigdy nie słyszeli. Ale bezkarnie zadrwić z drwala mógłby tylko jakiś naprawdę tęgi chwał ze starego kraju!"

Kirby przez cały czas z miną niewiniątka spokojnie mieszał w kotle. I gdyby nie tłumiony śmiech, który wydał mu policzki, oraz przesadnie głupkowane spojrzenie, nikt by się nie domyślił, że zrobił bolesny kawał Francuzowi. Pan Le Quoi szybko ochłonał z wrażenia i odzyskał godną minę; w kilku słowach przeprosił panie za parę przekleństw, które wyrwały mu się w podnieceniu, i dosiadł swego konika. Odtąd przez cały czas trzymał się z tyłu. Żart drwala położył też kres dalszym targom o cukier. Tymczasem Marmaduk chodził po gaju, oglądał swe ukochane drzewa i przypatrywał się rabunkowej gospodarce drwala.

–Boli mnie marnotrawstwo panujące w tym kraju – powiedział wreszcie. – Ludzie, jak rozrzutni awanturnicy, którzy wpadli na złotą żyłę, zupełnie lekceważą sobie bogactwa natury. A pan, Kirby, wcale nie jest wyjątkiem. Okropnie rani pan drzewa, gdy wystarczyłoby małe nacięcie. Musi pan pamiętać, że trzeba było całych wieków, by te

Tak... dziękuję panu. Ach, mój angielski, stale go zapominam (franc).

1:it; II

drzewa urosły, i że gdy się je raz zniszczy, nikt z nas nie doczeka '-', nowych.

–Ja tam nie wiem, panie sędzio – odparł drwal – ale mnie się zdaje, że w tych górach mamy drzew pod dostatkiem. Miałbym ładny rachunek do wyrównania, gdyby ich wycinanie było grzechem, Tymi rękami wyrąbałem ponad pięćset akrów w obu stanach: w Vermont i Nowym Jorku. A zanim odłożę siekierę, wyrąbię chyba resztę. Choć pan się troszczy o drzewa niby o rodzone dzieci, mnie złości, gdy nie mogę z nimi robić, co chcę. Słyszałem od osadników ze starego kraju, że tam bogacze dla przyjemności patrzenia trzymają po majątkach i koło domów dęby i wiązy tak wielkie, że z każdego ' wyszłaby dobra beczka potażu. Dla mnie kraj, gdzie sterczą drzewa, wcale nie jest dobrze urządzone. Pnie – to inna sprawa: nie zacieniają; ziemi, a po wykarczowaniu można z nich zbudować mocne ogrodzenie: dla bydła. i

–W różnych krajach różnie na to patrzą – odparł Marma-duk – ale ja cenię nasze piękne drzewa nie dla ozdoby, lecz dla '! korzyści. Niszczymy lasy tak, jakby w rok mogły odrosnąć. Niebawem jednak prawo weźmie w ochronę nie tylko drzewa, lecz i zwierzynę. |

Z tymi pocieszającymi słowami na ustach Marmaduk dosiadł ko-1 nia i wszyscy odjechali, by obejrzeć wychwalany przez Ryszarda krajobraz. Drwal pozostał w lesie przy swym zajęciu. Gdy zaczęli zjeżdżać I z góry, Elżbieta się obejrzała. Zdawało jej się, że widzi obraz życia ludzkiego w początkach cywilizacji: na tle potężnych drzew z korytami stojącymi obok, nie opodal szałas nakrytego jodłową korą jakaś postać wielkoluda spokojnie, umiejętnie i z powagą krząta się koło wielkich kotłów przy wolno płonącym ogniu. Romantyczności tej sceny wcale nie mącił płynący przez las mocny, dźwięczny głos drwala, który z zapalem zabrał się do śpiewania innej, równie niewyszukanej piosenki. Z jej słów Elżbieta zrozumiała tylko tyle:

Gdy padł bór dumny pod toporem, Niech wczesnym rankiem i wieczorem Mój głos jak trąb zahuczy sto: Hej, moje woły – wista! wio!

Skończony trud, skończona praca, Z wołami człek do domu wraca,

Gdzie nocą orzechowy liść Moskitom w łoże nie da przyjść.

Niech kupiec, co o grunt się pyta, Wybiera dęby na gór szczytach Albo w dolinie sosny pień; Ja na to gwizdzę noc i dzień!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

PIERWSZY

Żwawo, Melisie! Pilniejsza przyczyna Twych stóp do biegu. nigdy nie podcina!

Scott

W; owych czasach drogi w Otsego, z wyjątkiem głównych traktów, były tylko trochę lepsze od leśnych ścieżek. Wysokie drzewa rosnące tuż nad koleinami prawie nie przepuszczały światła, chyba tylko w południe, a wieczna wilgoć przy grubym, kilkucalowym pokładzie butwiejących liści i roślin, zalegających ziemię, czyniła drogę śliską i niemal grząską. Ponadto nierówność terenu, liczne, wielkie, oślizłe i wystające korzenie oraz sterczące zewsząd pniaki nie tylko utrudniały przejazd, ale i robiły go niebezpiecznym. Jednakże nasi jeźdźcy nie zważając na te liczne przeszkody, które mogłyby przerazić niejednego nowicjusza, jechali spokojnie, choć konie raz po raz, aż po pęciny, zapadały w miękką grunt i niepewnie szły po mokrej drodze. Pełnokrwistej kobyłce Elżbiety nie w smak była taka powolna jazda. Ze dwa kroki postawiła ostrożnie, a potem przed największą wyrwą, przynaglona szpicrutą swej śmiałej pani, zwinnie jak wiewiórka przesadziła przeszkodę.

–Wolno, wolno, moje dziecko – powiedział Marmaduk, który jechał tak samo ostrożnie jak Ryszard. – To nie miejsce na hipiczne popisy.

–Jeśli tak, to mogę zrezygnować z konnej jazdy – odparła Elżbieta – bo zdążę się zestarzeć, zanim ten dziki kraj się ucywilizuje.

–Nie mów tak – rzekł sędzia – bo jeśli jeszcze raz zaryzykujesz jak przed chwilą na moście, możesz w ogóle nie doczekać starości. Twoja ambicja doprowadzi do tego, że będę musiał cię oplakiwać. Gdybyś tak jak ja widziała ten kraj nie tknięty ludzką stopą, a potem była świadkiem gwałtownych przemian, jakie wprowadził w nim czło-

wiek dążąc do zaspokojenia swych potrzeb, potrafiłabyś powściągnąć swą niecierpliwość, choć teraz nie chcesz powściągnąć konia.

–Przypominam sobie, coś opowiadał o swych pierwszych odwiedzinach w tych lasach. Ale szczegóły już mi się zatarty w pamięci wśród innych wspomnień z dzieciństwa. Te góry, wciąż jeszcze dzikie i nic zaludnione, wtedy były pewnie tysiąc razy straszniejsze. Powiedz, ojcze, coś wtedy czuł i myślał o stojącym przed tobą zadaniu?

Mówiła to żywo i czule, a Edwards słuchając jej podjechał do sędziego i począł wpatrywać się w niego czarnymi oczami, jakby chciał odczytać jego myśli.

–Byłaś wtedy jeszcze mała, moje dziecko, ale chyba musisz pamiętać, jak rozstałem się z matką i tobą, by po raz pierwszy spojrzeć na te bezludne góry – zaczął Marmaduk. – Niemało się nacierpiałem, musiałem znieść głód i choroby przy zakładaniu osady w tej puszczy, ale powodzenie wynagrodziło mi wszystko.

–Głód – powtórzyła Elżbieta. – Myślałam, że był to kraj mlekiem i miodem płynący. Czy rzeczywiście głodowałeś!

–Tak, córko, głodowałem – odparł sędzia. – Teraz gdy się człowiek rozejrzy wkoło i widzi łątem bogate plony płynące każdą górską ścieżką, nie chce wierzyć, że ledwie pięć lat temu osadnicy musieli żyć skąpymi owocami puszczy i polowali tak, jak umieli, by zdobyć trochę pożywienia dla swych głodujących rodzin.

–Właśnie! – krzyknął Ryszard, który tak był pochłonięty nuceniem piosenki drwala, że usłyszał zaledwie parę ostatnich słów. – To był okres głodu*, kuzynko Bess. Owe jesieni byłem chudy jak łasica, a blady, jakbym chorował na malarię. Pan Le Quoi przypominał wysuszoną dynię. Ja już prawie się zdecydowałem powiedzieć ci, Duku, do widzenia i pojechać podtuczyć się do Pensylwanii, ale pomyślałem sobie, że jesteśmy, u licha, synami rodzonych siostr i że nie opuszczę cię aż do śmierci.

–Nie zapomnę ci tego – rzekł Marmaduk – ani tego, że jesteśmy jednej krwi.

Na swe usprawiedliwienie z przerwania toku opowieści tą rozmową autor może tylko tyle powiedzieć, że opiera się ona na faktach. Przeglądając swe dzieło po wielu latach, musi też przyznać, że zbyt często nawiązywał w nim do wydarzeń, które mogły zawieść oczekiwania czytelnika. O jednym z nich wspomniał przelotnie na początku niniejszego rozdziału.

Z górą trzydzieści lat temu, bliska krewna autora – jego starsza siostra i niemal druga matka – zginęła spadłszy z konia w czasie przejażdżki w tych górach. Mało kobiet w jej wieku było tak znanych i cieszyło się taką sympatią jak owa szlachetna istota, która padła ofiarą puszczy (przyp. autora).

–Ojcie, naprawdę było aż tak źle? A cóż piękne i urodzajne doliny Mohawku? Czy nie mogliście znaleźć w nich dosyć żywności? – zapytała zdziwiona Elżbieta.

–Był to rok nieurodzaju. W Europie zboże bardzo zdrożało i czyhali na nie spekulanci. Ciągący ze wschodu na zachód przybysze szli doliną Mohawku i wszystko po drodze pożerali jak szarańcza. Ludzie na równinach również cierpieli biedę. A jednak choć sami potrzebowali, odłożyli skąpy nadmiar z iście niemieckim poczuciem sprawiedliwości. Nie wykorzystywali cudzej biedy. Wówczas nie znali jeszcze słowa "spekulant". Widywałem silnych mężczyzn, którzy uginali się pod ciężarem worka mąki i szli z młynów nad Mohawkim przez strome przełęczce, by nakarmić swe mrące z głodu dzieci.

–Jakże starałeś się zaradzić tej strasznej klęsce? – pytała Elżbieta, podświadomie, w przyływie czułości przejmując ton ojca. – Na ciebie spadła cała odpowiedzialność, najwięcej też musiałeś cierpieć.

–Bardzo cierpiełem, Elżbieto – jakby po chwili zastanowienia odparł sędzia. – W tym strasznym czasie setki ludzi spodziewały się ode mnie chleba. Cierpienia rodzin i rozpacz pozbawiły osadników przedsiębiorczości. W dzień głód pędził ich w lasy na poszukiwania pożywienia, a w nocy nie mogli usnąć, tak byli wyczerpani. Nie wolno było zakładać rąk. Wykupiłem pszenicę ze spichrzów w Pensylwanii. Ładowano ją w Albany i przewożono łódkami w górę Mohawku. Potem transportowano ją na jucznych koniach w puszcze i tu rozdawano ludziom. Wiązaliśmy sieci i łowiliśmy ryby w rzekach i jeziorach. Wydarzyło się coś na podobieństwo cudu, bo wykryliśmy wielką ławicę śledzi, która przewędrowała pięćset mil krętą i rwącą Sisąehanną i zapełniła jezioro. Udało nam się nałowić ryb, zasolić je i rozdać ludziom. Od tej chwili los się odwrócił*.

–Tak! – zawołał Ryszard. – Ja wydawałem ryby i sól. A kiedy ci biedacy przychodzili po racje, Beniamin, który mi pomagał, musiał odgrodzić mnie od nich sznurem. Tak śmierdzieli dziką cebulą, bo nic innego nie jedli, że aż mi się w głowie mąciło.

–Tak, tak, Bess – już weselej ciągnął sędzia, nie zwracając uwagi na słowa Ryszarda. – Ludzie, którzy znają historię osadnictwa tylko ze słyszenia, nawet sobie nie wyobrażają, ile z tym było trudów

i zmartwień. Teraz te góry wydają ci się dzikie i niecywilizowane, a jakie były, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy! W dzień mego przyjazdu, rankiem, zostawiłem towarzyszy koło dzisiejszych farm w Cherry Valley* i ścieżką wydeptaną przez dzikiego zwierza wjechałem na szczyt góry, którą od tego czasu nazwałem Mount Vision*, bo krajobraz wyglądał stamtąd naprawdę bajkowo. Po, drodze spotkałem

wiele jeleni, ale nie dostrzegłem śladu człowieka. Nie widziałem najmniejszej polanki, żadnej chatki czy krętej dróżki, których teraz pełno. Nic, tylko spiętrzone góry i jednostajnie zarośnięta, pocięta rzeczulkami dolina, ożywiona tu i tam pożółkłym drzewem, które z uporem nie chciało zrzucić liści. Nawet Susąuehannę trudno było dojrzeć w tym lesie.

–Byłeś sam? – pytała Elżbieta. – Spędziłeś całą noc samotnie?

–Nie, moje dziecko – odparł sędzia. – Z godzinę przyglądałem się temu widokowi ze smutkiem i radością zarazem, a potem zjechałem z góry. Pozwoliłem koniowi skubać gałązki, a sam zbadalem brzeg jeziora i miejsce, gdzie teraz stoi Templeton. Tu, gdzie dwór, rosła wtedy olbrzymia sosna. Przy tej sośnie posiliłem się samotnie i właśnie skończyłem, gdy dojrzałem dym u podnóża gór, na wschodnim brzegu jeziora. Był to jedyny ślad człowieka w tej okolicy. Po wielu trudach dostałem się tam i ujrzałem chatkę, skleconą z bali i przypartą do skały. Chatka była zamieszкана, choć nikogo w niej nie zastałem.

–Czy była to chatka Skórzanej Pończochy? – szybko zapytał Edwards.

–Tak, choć w pierwszej chwili przypuszczałem, że mieszkają w niej Indianie. Ale gdy wałęsałem się obok, zjawił się Natty uginając się pod ciężarem kozła, którego właśnie upolował. Wtedy poznaliśmy się, bo przedtem nic nie słyzałem o tym człowieku. Natty spuścił na wodę brzozowe czólenko i przewiózł mnie przez jezioro do mego konia. Wskazał mi też gdzie go puścić na paszę do rana. Potem wróciłem i nocowałem w chatce Natty'ego.

Elżbietę tak zdumiało zainteresowanie, z jakim Edwards słucał opowieści sędziego, że o nic więcej nie pytała. Ale młodzieniec sam pytał dalej:

–A czy Skórzana Pończocha był gościnny?

To wszystko szczerą prawdą (przyp. autora).

Cherry Valley – Wiśniowa Dolina (ang.). Mount – góra, v i s i o n – widok (ang.).

. ^ .fcjV. JHI^HL

–Był uprzejmy i prosty, a nawet serdeczny aż do późnego wieczoru, do czasu, gdy się dowiedział, kim jestem i co mnie tu sprowadza. Później nagle ochłódł. Uważał, że sprowadzenie osadników uszczupli jego prawa. Nie krył się z niezadowoleniem, które wyraził w swój zagadkowy i dwuznaczny sposób. Nie bardzo rozumiałem, o co mu idzie, ale przypuszczałem, że przede wszystkim boi się o swe łowy.

–Czy pan wtedy nabył te ziemie, czy tylko badał je pan przed kupnem? – szorstko zapytał Edwards.

–Należały do mnie już od paru lat. Chodziło mi teraz o ich zaludnienie.

–Czy Natty nic panu nie mówił o prawach Indian? Na ogół wątpi on, by roszczenia białych do tej ziemi były uzasadnione.

–Coś tam mówił, ale nie bardzo rozumiałem. Może już i zapomniałem, o co mu chodziło. Prawa Indian wygasły z końcem ostatniej wojny. A jeśli nawet nie, to ziemie te nadano mi patentem królewskiego gubernatora potwierdzonym przez nasze władze stanowe. Żaden więc trybunał nie może kwestionować moich praw.

–Nie wątpię, panie sędzio, że pańskie prawa są bezsporne i dobrze ugruntowane – zimno rzekł młodzieniec. Ściągnął cugle i pozostał w tyle.

Wkrótce jeźdźcy dotarli do miejsca, o którym Ryszard opowiadał takie cuda. Rozpościerał się stąd widok charakterystyczny dla Otsego, występujący jednak w całej krasie dopiero po przejściu zimy, w łagodnym ciepłym lata. Marmaduk uprzedził o tym córkę, toteż nie zatrzymali się tu dłużej i po krótkim zachwycie nad piękną krajobrazu zawrócili do domu. Obiecywali sobie w odpowiedniejszej porze wynagrodzić trudy nowej wycieczki cudownym widokiem.

–Wiosna to przykra pora roku w Ameryce – mówił sędzia – a zwłaszcza w tych górach. Zima uparcie trzyma się tu niby w twierdzy i ustępuje dopiero po żmudnym oblężeniu, podczas którego szala zwycięstwa chyli się to na tę, to na tamtą stronę.

–Bardzo trafne porównanie, panie sędzio – zauważył szeryf. – Załoga pod

dowództwem generała Mroza nieraz czyni wcale udane wypadki, pan wie, panie Le Quoi: wypadki to są takie ataki obłożonych na oblegających.

–Rozumiem, łaskawy panie – rzekł Francuz nie przestając śledzić wielkimi oczami ostrożnych ruchów swego konika, który umieję-

tnie wyszukiwał sobie drogę wśród niebezpiecznych korzeni i wyrw, przechodził po balach mostków, brnął po trzęsawiskach i szczęśliwie przebywał wszystkie przeszkody, jakich wówczas pełno było na traktach. – Je vous entendes*. Zima w Niderlandach trwa pół roku.

Ryszard nie spostrzegł błędu pana Le Quoi, który najwidoczniej pomylił Stany Holenderskie – Niderlandy czyli niskie kraje, z niżej położonymi Stanami Ameryki Północnej.

Reszta towarzystwa pod wpływem pogody, jak zawsze zmiennej na wiosnę, zapomniała o ożywionej, wesołej rozmowie i jechała w milczeniu i zadumie. Zewsząd, w pozornie nieruchomym powietrzu, ścigały chmury i coraz gęściej przysłaniały niebo. Przecinając jedną z poręb spotkanych po drodze baczny na wszystko sędzia zwrócił uwagę córki na zbliżającą się burzę. Zadymka zdążyła już przysłonić góry na północnym brzegu jeziora, a rześkie wiosenne ciepło, ożywiające bieg krwi w żyłach, poczęło ustępować przed mroźnym tchnieniem wichru.

Jeźdźcy ruszyli kłusem, ale zła droga często zmuszała ich do powściągnięcia koni, bo raz po raz trzeba było mijać miejsca, które można było przebyć tylko stępa. W ciszy zabrzmiał nagle głośny, wstrząsający, do głębi duszy mrozący krew w żyłach krzyk Edwardsa:

–Drzewo!... Drzewo!... Ma miłość Boską, bat... ostrogi!... Drzewo!

–Drzewo! Drzewo! – powtórzył Ryszard i zaciął konia, który dał potężnego susa jak huragan rozbryzgując wodę i błoto.

Elżbieta usłyszała trzask, który rozdarł ciszę lasu. Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa ściągnęła cugle swej kobyłce i zaniepokojona spojrzała w górę. Lecz w tej chwili usłyszała, że sędzia krzyknął chwytając jej konia za cugle: "Boże, zlituj się nad moim dzieckiem!" i uczuła, że jego silne ramię porywa ją za sobą.

Gałęzie zaszumiały jak wstrząśnięte wichrem, rozległ się huk podobny do piorunu, ziemia drgnęła, gdy potężne drzewo – jedna ze szlachetnych resztek wiekowego lasu – zważyło się w poprzek drogi, a przerażeni jeźdźcy pochylili się nad łękami siodeł.

Sędzia od jednego rzutu oka stwierdził, że Elżbieta, Ryszard i pan Le Quoi są zdrowi i cali. Przerażony obejrzał się na Luizę i Edwardsa. Młodzieniec był po drugiej stronie drzewa. Całym ciałem odchylił się

Rozumiem pana (franc).

w siodle, lewą ręką co sił ściągnął cugle swego konia, prawą zaś zdarł uzdę wierzchowca Luizy, tak że głowa zwierzęcia znalazła się niemal pod brzuchem. Oba konie trzęsły się i chrapały niespokojnie. Luiza puściła cugle, rękami zakryła twarz i zrezygnowana, zrozpaczona, pochyliła się w siodle.

–Nic wam się nie stało? zawołał sędzia przerywając straszną ciszę.

–Dzięki Bogu, nic – odparł młodzieniec. – Ale zginęlibyśmy, gdyby drzewo miało konary...

Przerwał, bo Luiza osunęła się zemdlona i gdyby jej nie pochwycił, spadłaby z konia.

–Takie nagłe upadki drzew – mówił Marmaduk – są największym niebezpieczeństwem w puszczy. Nie powoduje ich ani wiatr, ani nie wynikają z żadnej innej widocznej przyczyny, trudno więc je przewidzieć.

–Panie sędzio – rzekł szeryf – przyczyny tego są jasne. Drzewa są stare, spróchniałe, osłabione przez mróz. Gdy się więc pochyłą i środek ciężkości wyjdzie poza podstawę, stają się niepewne. Wszystko podlega matematycznym prawidłom. Studiowałem matę...

–Święta racja, Ryszardzie – przerwał mu Marmaduk. – Rozumujesz prawidłowo i jeśli mnie pamięć nie myli, sam ci to kiedyś tłumaczyłem. Ale powiedz mi, jak się ustrzec przed niebezpieczeństwem. Czy można chodzić po lesie i wymierzać wychylenie środka ciężkości drzew? Odpowiedz mi na to, a ja ci powiem, że wyświadczyłeś wielką przysługę krajowi.

–Odpowiem ci i na to, drogi przyjacielu – rzekł Ryszard – bo człowiek naprawdę wykształcony może odpowiedzieć na wszystko. Czy pada kiedy drzewo zdrowe, nie spróchniałe? Wystarczy więc trzymać się z dala od zbutwiałych drzew i nic się człowiekowi nie stanie.

–W takim razie musielibyśmy się trzymać z dala od lasów – odrzekł Marmaduk.

Tymczasem Luiza na tyle odzyskała siły, że jeźdźcy mogli przyspieszyć kroku. Lecz burza złapała ich, zanim się dostali do domu, i gdy zeskakiwali z siodła przed dworem, wilgotny śnieg przygiął czarne pióra na kapeluszu Elżbiety i ubielił odzież

panów.

Przy zsiadaniu z konia uczuciowa z natury Luiza gorąco uścisnęła dłoń, którą jej podał Oliwer, i szepnęła:

–Panie Edwards; teraz oboje, ojciec i ja, zawdzięczamy panu życie.

Zamieć rozszała się na dobre i zanim słońce zaszło, znikły wszystkie ślady wiosny. Jezioro, góry, osada i pola znów skryły się pod błyszczącą pokrywą śniegu.

i

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tłum mężczyzn, chłopców i dziewcząt

ucieka

Z bezludnej wioski. Dzikie ludu mrowie Płynie doliną – pędzone szaleństwem.

Somerville

Od tego ranka aż, do końca kwietnia pogoda nie mogła się ustalić. W końcu jednak śnieg stopniał i pługi poszły w ruch wszędzie, gdzie teren na to pozwalał, a nad gajami cukrowych klonów nie było już dymów. Jezioro straciło całe piękno gładkiej lodowatej tafli, ale jego wody wciąż spoczywały pod ciemną, wilgotno-gąbczastą, niemal roz- łażącą się masą. Ukazały się już wielkie stada dzikich gęsi, które krążyły nad niewidoczną wodą szukając miejsca wytchnienia.

Przez tydzień, dwa orły niezakłócenie królowały nad ciemną po- łą wólką jeziora Otsego. Siedząc na jego środku przyglądały się swym: włościom, którymi niepodzielnie władały. W tym czasie stada przelo- 1 tnego ptactwa omijały jezioro, gdzie panowali ci władcy przestworzy, i zbacząc w góry szukały schronienia w lasach. Gdy ostatnia kra zniknęła w dali, orły szerokim rozmachem skrzydeł wzbiły się nad chmury, a roztańczone fale, jakby ucieszone z wolności po pięciomiesięcznej niewoli, wysoko wyrzuciły w górę śnieżne strzępy piany.

Następnego ranka zbudził Elżbietę wesóły pisk jaskółek, zaciekle kłócących się przy gniazdach nad oknami sypialni, i rażne, prawdziwe wiosenne wołanie Ryszarda:

–Zbudź się, zbudź, królewno! Nad jeziorem pełno mew, a na niebie gołębi. Słońca spoza nich nie widać. Wstawajcie, wstawajcie, śpiące królewny! Beniamin już przygotował proch i śrut. Zaraz po śniadaniu wyruszamy w góry na gołębie.

Trudno się było oprzeć tak zachęcającemu wezwaniu. W parę minut obie panny ubrały się i zeszły na dół. Ryszard co chwila podchodził do drzwi w południowej ścianie domu i wołał:

–! Spójrz, kuzynko Bess! Spójrz, Duku! Na południu aż się roi i kłębi od ptactwa! Lecą coraz gęstszą ławą. Nie widać końca. Armia Kserksesa* dość miałybyjadła na cały miesiąc, a pierza starczyłoby nam na łoża dla całego okręgu. Kserkses, panie EdwaWs, był greckim królem, który... nie, był Turkiem albo Persem i chciał podbić Grecję zupełnie tak, jak te szelmy chcą spustoszyć nasze pszeniczne pola w czasie jesienno-go przelotu. Prędko, prędko, palę się z niecierpliwością, by kropnąć do nich!

Marmaduk i Edwards najwidoczniej dzielali to życzenie, bo rzeczywiście dla myśliwego widok był podniecający. Panie szybko więc przełknęły śniadanie i pozwoliły panom odejść.

W osadzie panował ruch nie mniejszy niż na niebie. Mężczyźni, kobiety i dzieci wylegli na ulice. Mężczyźni i chłopcy uzbroili się w broń palną wszelkiego rodzaju – od francuskich ptaszniczek o sze-ściostopowych lufach do zwykłych kawaleryjskich pistoletów. Dzieciarnia miała nawet łuki i strzały ze zwykłej leszczyny, a czasem najprostszą imitację prastarych kusz.

Widok dymu i ruchu w osadzie spłoszył ptaki, które zboczyły z prostej linii ku górom. Tu skupiły się u ich stóp i na zboczach w zwartą, gęstą masę, zadziwiając ludzi swą ilością i ruchliwością.

Na polach, na zboczach wschodniego pasma gór i wzdłuż stromych ścieżek ustawili się myśliwi i w parę minut później rozpoczęli generalny atak.

Wśród strzelców widać było wysoką,, szczupłą, postać snującą się po polu z bronią na ramieniu i psami u nogi: Hektor i suka węszyły zabite i postrzelone ptaki odpadające od stada i cisnęły się do nóg swego pana, jakby dzieliły jego pogardę do tego rodzaju barbarzyńskich łowów.

Strzelanina przybierała na sile, padały nawet całe salwy, gdy stada czy po prostu większa liczba gołębi leciała nad polami jak chmura przysłaniając słońce. Strzały z łuków i wszelkiego rodzaju pociski godziły w sam środek stada. A ptaków było tak wiele i tak nisko leciały, że ci, co stali na zboczach gór, strącali je długimi żerdziami.

Tymczasem Ryszard, który pogardzał zwykłymi i prostymi środkami zagłady, stosowanymi przez osadników, szykował się wraz z Benia-

Kserkses – -+85-465 p.n.e. król Persji, syn Dariusza I. Wojował z Grecją, zdobył i zniszczył Ateny. D<"iał porażki pod Salaminą.

minem do bardziej morderczego ataku. W okolicy Templeton, podobnie jak i w zachodnich częściach stanu Nowy Jork, gdzie nieraz znajdowano broń po dawnych wyprawach wojennych, wykryto ongiś małą jednofuntową wiwatówkę. Tę małą armatkę, oczyszczoną z rdzy i osadzoną na lawetce kołowej, ładowano teraz do strzału. Od wielu lat używano jej w tych górach dla wyrażenia niezwyklej radości. Słysząc ją było daleko każdego roku rankiem w dniu czwartego lipca*. Wiwatówkę zaprzężoną w konia przyciągnięto na polanę w miejsce, które szeryf uznał za najodpowiedniejsze na stanowisko baterii, a pan Pomp ładował ją teraz. Wpakował do lufy kilka garści śrutu na ładunek prochu i zameldował o gotowości działa do strzału.

Widok tak niezwyklego narzędzia śmierci ściągnął licznych gapiów, przeważnie chłopców, którzy aż krzyczeli z zachwytu. Wycelowano wiwatówkę w niebo, a Ryszard, trzymając w szczypcach żarzący się węgiel, siadł obok na pniu i cierpliwie czekał na stado warte zachodu.

Ptaków było tak wiele, że bezustanny huk wystrzałów, gwizd śrutu i krzyki chłopców mogły spłoszyć tylko mniejsze stada, a cała masa gołębi bez przerwy nadlatywała nad dolinę, jakby to była jedyna droga przelotu.

Skórzana Pończocha w milczeniu niechętnie przyglądał się tej rzezi; ale panował nad sobą do chwili, gdy ujrzał wyciągniętą na pole armatkę.

–Oto skutki kolonizacji kraju! – powiedział. – Od czterdziestu lat patrzę na ciąg ptaków. Nim powstały te wasze karczowiska, nikt ich nie krzywdził. Lubilem patrzeć, jak wracają do lasu, bo dobry z nich towarzysz. Nikomu nie robią krzywdy i są tak nieszkodliwe jak jaszczurka. Ale teraz bolesne myśli przychodzą mi do głowy, gdy słyszę ten straszny gwizd kul, bo wiem, że chodzi tylko o zabawę dla wiejskiej dzieciarni. Ha, trudno! Bóg nie będzie się spokojnie przyglądał tej bezecnej rzezi. Gołębie i inne bezbronne istoty doznają Jego sprawiedliwości. A pan Oliwer nie jest nic lepszy od innych, bo strzela do ptactwa, jakby to byli Mingowie.

Wśród strzelców znalazł się także Billy Kirby. '

–Ej, Skórzana Pończochu! – zawołał. – Nie zrzedź i nie roń łez nad tymi paroma ptakami. Nie byłbyś taki łaskaw dla nich, gdybyś musiał tak jak ja dwa albo trzy razy z rzędu siać pszenicę. Hura,

Narodowe święto Stanów Zjednoczonych.

nic

chłopcy! Walcie, ile wlezie! To lepsze, stary chłopie, niż strzelanie do głowy indora.

–Dla ciebie może i lepsze – odparł oburzony myśliwy. – A pewnie i dla tych, co nie wiedzą, jak przybić kulę w lufie i wysłać ją celnie. Niegodna to rzecz w tak barbarzyński sposób niszczyć całe stada. Nie zrobi tego żaden myśliwy, który zdoła w locie trafić ptaka.

–Nie pleć, stary grzybie! Zeschły badyłu! – krzyczał drwal, – Jakiś to wyszczekany od czasu tego indyka! Jeśli ci chodzi o celny strzał, to patrz, widzisz tego samotnego ptaka?

Gęsta palba na krańcu pola odstraszyła jednego gołębia, który oderwał się od stada i leciał teraz prosto na nich. Ptak kluczył i lecąc jak błyskawica ciął powietrze skrzydłami ze świstem pocisku. Na swoje nieszczęście, drwal dojrzał go za późno i strzelił, gdy go już miał za sobą. Gołąb, nie tknięty, szybko leciał dalej.

Natty podjął wyzwanie: opuścił strzelbę, chwilę wyczekał, aż prze-, rażony ptak znajdzie się na jednej linii z jego okiem i zniży lot nad brzegiem jeziora. Potem błyskawicznie się złożył i pociągnął za cyngiel, Wypadek czy zręczność, a może jedno i drugie, sprawiły, że ptak skoziółkował w powietrzu i spadł do wody z przestrzelonym skrzydłem. Psy na huk znajomej strzelby porwały się od nóg myśliwego i w parę minut później suka przyniosła żywego jeszcze ptaka.

Na wiadomość o wspaniałym strzale, która szybko się rozeszła wśród polujących, wszyscy przybiegli do Skórzanej Pończochy, by dowiedzieć się, jak to było.

–Jak to, Skórzana Pończochy? – pytał Edwards. – Naprawdę trafiłeś w skrzydło gołębia?

–Czy nie trafiłem już nurka, w chwili gdy nurkował? – odparł myśliwy. – Sto razy lepiej zabić zwierzynę, na którą masz ochotę, niż marnować proch i ołów, bezmyślnie i nieludzko strzelając do boskich stworzeń, jak wy to robicie. Wyszedłem, by upolować ptaka, a pan wie, Oliwerze, czemu lubię delikatną zwierzynę. Teraz skoro go już upolowałem, wracam do domu, bo wstręt mnie ogarnia na widok tego, co się tu dzieje. Każdą rzecz, nawet najmniejszą, Bóg stworzył po to, by była z niej korzyść, a nie na to, by ją bezmyślnie niszczone.

–Masz rację, Skórzana Pończochy – zawołał Marmaduk. – Czas już skończyć z tą rzezią.

–Niech pan skończy, panie sędzio, z wyrębem lasów. Czy i one nie są Jego dziełem, tak jak i te ptaki? Korzystajcie, lecz nie niszcźcie.

Czyż Bóg nie na to stworzył lasy, by zwierzęta i ptaki miały schronienie? Tam też człowiek "w razie potrzeby może sobie poszukać mięsa zwierząt, skór lub pierza. Zabieram upolowanego gołębia i wracam do chaty. Nie chcę patrzeć na te bezbronne istoty pdkotem leżące na ziemi i żałośnie patrzące na mnie, jakby im tylko brakło ludzkiej mowy do skargi.

Z tymi słowami pełnymi bólu zarzucił strzelbę na ramię i ostrożnie, by nie deptać zranionych ptaków, ruszył ku swej chatce. Psy biegły za nim. Niebawem doszedł do jeziora i znikł w zaroślach.

Nauki moralne Natty'ego zrobiły wrażenie na sędzim, ale Ryszard puścił je mimo uszu. Skorzystał z okazji, skrzyknął strzelców i wyłożył im swój plan "huraganowego ognia". Ustawił ich w bojowym, rozwiniętym szyku po obu stronach armatki i kazał im, czekać na sygnał.

–Uwaga, zuchy – mówił Benjamin występując w roli adiutanta. – Uwaga, moi drodzy: Kiedy pan Dickens wciągnie sygnał "ognia", strzelajcie całą burtą. Celujcie nisko, a wybijemy im dziurę w kadłubie.

–Celujcie nisko?! – ¡ ryknął Kirby. – Słyszycie starego wariata? Mierząc nisko trafimy w pnie, a nie w gołębie.,

–Dużo się na tym znasz, nieuku! – huknął Benjamin z podnieceniem, niewłaściwym jak na oficera przed bitwą. – Skąd możesz wiedzieć, ty morskie cielę! Pięć lat żeglowałem na Boadishy i zawsze kazano nam mierzyć nisko, by wybić dziurę w kadłubie! Cicho tam przy armatach! Czekać sygnału.

Ryszard swym autorytatywnym tonem uciszył głośnie śmiechy strzelców i kazał im uważać na znak.,

Obliczono, że tego ranka miliony ptaków zdążyły już przelecieć nad doliną Templeton, ale nic nie mogło się porównać z chmurą, która się teraz ukazała. Zbita niebieska masa gołębi wypełniła całe niebo nad doliną od szczytów do szczytów i daremnie wypatrywałyby się jej końca nad południowym pasmem gór. Ptaki leciały tak równo, że czoło kolumny tylko z lekka było sfałdowane. Na ich widok nawet Marmaduk zapomniał o pouczeniach Natty'ego i wraz ze wszystkimi złożył się do strzału.

–Ognia! – ryknął szeryf przykładając węgiel do zapalu armatki! W olbrzymim stadzie przerażonych ptaków zakotłowało się i zawrzało. Zwarta dotąd masa poszła w rozsypkę: jeden szereg starał się wzbić ponad drugi nad najwyższe sosny, a żaden nie ryzykował przelotu nad

niebezpiecznym miejscem. Nagle paru przewodników pierzastego ludu skręciło wprost ku osadzie, przecięło dolinę i porwawszy za sobą setki tysięcy gołębi odleciało ze wschodniej części równiny, pozostawiając za sobą strzelców i ofiary masakry.

–Zwycięstwo! – wrzeszczał Ryszard. – Zwycięstwo! Nieprzyjaciel zszedł z pola.

–Niezupełnie, Dickonie – rzekł Marmaduk. – Pokrył je ciałami. Tak jak Sokole Oko widzę 'wszędzie oczy tych nieszczęsnych ofiar wpatrzone we mnie. Przynajmniej połowa zestrzelonych ptaków jeszcze żyje. Uważam, że czas skończyć tę zabawę.

–Zabawę! – zawołał szeryf. – Ależ to królewskie łowy! Tu leżą tysiące wrogów w niebieskich kabacikach i każda wiejska baba będzie miała pyszny pasztet na zawołanie.

–Odstraszyliśmy ptactwo od tej części doliny – mówił Marmaduk – i musimy przerwać dalszą rzeź. Chłopcy, płacę sześć pensów za sto główek. Bierzcie się do roboty i znieście je do osady.

Pomysł był świetny. Malcy z zapalem zabrali się do ukręcania łebków zranionym ptakom. Sędzia wrócił do dworu trapiiony wyrzutami sumienia, jak człowiek, który ochłonawszy z chwilowego odurzenia zrozumiał, że bawił się kosztem nieszczęścia innych. Ptaki zwożono wozami, a po tej gremialnej zabawie, aż do końca sezonu, niemal nikt już nie, polo wał na gołębie. Ryszard długo jeszcze przechwalał się morderczym ogniem swego "świerszczyka", Benjamin zaś zapewniał, że lego dnia zginęło przynajmniej tyle gołębi, co Francuzów podczas sławnego zwycięstwa Rodneya*

Mowa o bitwie morskiej stoczonej 12 kwietnia 1782 roku, w której angielski admirał Rodney zwyciężył francuskiego admirała de Grassa, biorąc go do niewoli i mszcząc jego admiralski okręt.

R O Z D Z I A Ł. D W U D Z I E S

T. Y TRZECI

Ludzie, pomóżcie! Tu ryba trzepoce W sieci, jak racja biedaka przed sądem.

.•!!!! Perykles z Tyru

Wiosna, jak długo nie nadchodziła, tak teraz przyszła nagle. Nastaly łagodne ciepłe dni, a noce, jeszcze chłodne, wolne już były od przymrozków. Z brzegu jeziora

nadchodził melancholijny pogwizd kozodo-ja, a nad polami i stawami rozlegał się świergot tysięcy ptaków. W puszczy na topolach dygotały pierwsze listeczki. Zbocza gór traciły brunatną barwę, w miarę jak drzewom przybywało liści. Młoda, żywa zielen mieszała się z wieczną zielenią jodeł i sosen. Nawet nabrzmiące sokami pąki późniejszych dębów wieściły wiosnę. Wesóło roztrzepotana pliszka, towarzyska raszka i pracowity, mały mysikrólik ożywiły pola swym śpiewem. Wysoko nad wodami Otsego szybował żarłoczny jastrząb wypatrując łupu.

Jeziro słynęło z gatunku i liczby ryb. Ledwie więc znikła ostatnia kra, zaroilo się nad nim od rybaków. W małych łódeczkach po najodleglejszych zakątkach jeziora, nad największą głębinią czyhali na nieostrożne ryby kusząc je przynętą, jaką tylko przebiegły umysł ludzki wynaleźć potrafi. Ale powolne, choć pewne łowienie na wędkę nie odpowiadało niecierpliwiej i lekkomyślnej naturze osadników... Sięgali więc do radykalniejszych, choć bezwzględnych sposobów i gdy minął ustalony przez sędziego czas zakazu połowu siecią, szeryf oświadczył, że w pierwszą ciemną noc wyprawi się na ryby. –

–Musisz się wybrać z nami, kuzynko Bess – dorzucił. – Panna Grant i pan Edwards też się pewnie wybiorą. Pokażę wam, co ja nazywam łowieniem... nie takie tam ślęczenie i gapienie się na pławik, jakie uprawia Duk, gdy łapie pstrągi. Dajcie mi mocną kilkusetstopową sieć, dobrych, wesołych wioślarzy z Beniaminem u steru, a złowimy tysiące pstrągów. To dopiero jest rybołówstwo.

–Ach, Dickonie! – zawołał Marmaduk – nic się nie znasz na rybołówstwie. Czy wiesz, co to za przyjemność siedzieć z wędką w ręku? Gdybyś wiedział, bardziej byś dbał o ryby. Nieraz widziałem, jak w czasie nocnych łowów marnujesz ich tyle, że wiele głodujących rodzin miałyby z czego żyć.

–Nie sprzecajmy się sędzio. Wyruszam tej nocy i zapraszam wszystkich do towarzystwa. Niech sami zobaczą i osądzą.

Całe popołudnie zbiegło Ryszardowi na przygotowaniach do tego niezwykłego wydarzenia. Zaraz po zachodzie słońca, sędzia z córką, panną Grant i Edwardsem poszli trawiastym brzegiem nad spokojną taflą jeziora, przy jego ujściu.

–Musimy przyspieszyć kroku – zauważył sędzia. – Księżyc zajdzie, zanim będziemy na miejscu. A wraz z jego zejściem Dickon zacznie swój cudowny połów.

–Spójrzcie – odezwał się Edwards – już rozniecają ogień. Zariała się i gaśnie jak robaczek świętojański.

–O! Pali się jasno – zawołała Elżbieta – widać postacie krzątające się przy ogniu. Stawiam w zakład wszystkie moje klejnoty, że ten jasny płomień to dzieło zniecierpliwionego Dicka...

–Zgadłaś, Bess – rzekł sędzia. – Dick dorzucił wiązkę chrustu do stosu. Takie ognisko to prawdziwa latarnia morska rybaków. Spójrz, jakie ładne, małe, jasne kręgi kładą się na wodę.

Na widok ogniska ruszyli szybciej, bo nawet panie zapragnęły ujrzeć niezwykle łowy. Gdy wreszcie stanęli na skarpie, pod którą wylądowali rybacy, księżyc właśnie się skrył za wierzchołkami sosen na zachodzie, a że niebo było pochmurzone, tylko blask ognia i nieliczne gwiazdy rozjaśniały ciemności. Za radą Marmaduka wszyscy przystanęli, żeby przed zejściem nad wodę posłuchać i przyjrzeć się rybakom.

Cała ich grupa siedziała na ziemi wokół ognia z wyjątkiem Ryszarda i Beniamina. Ryszard rozsiadł się między korzeniami zbutwiałego pniaka, przywleczonego tu na spalenie, a Beniamin stał podparty pod boki.

–Widzi pan – mówił Beniamin – dla pana słodkowodna ryba, ważąca dwadzieścia lub trzydzieści funtów, to rzecz poważna. Ale dla człowieka, który wyciągał już z wody żarłaczę, to drobiazg niewart gadania.,

–Nie wiem, Beniaminie – odparł szeryf – ale wyznam ci, że połów tysięcy otsegowskich okoni, nie mówiąc już o szczupakach,

karpiach, linach, łosio-pstrągach i glowaczach, to rzecz niebłaha. Może to i zabawne dźgać rekina, ale co z tego, że się go zловиło? A każda z tych ryb, które wymieniłem, godna jest królewskiego stołu.

–Dobrze, łaskawy panie – odparł Beniamin – ale czy na zdrowy rozum można przypuścić, że w tym stawiku, za płytkim, by się człowiek w nim utopił, złapie się ryby, jakie żyją w oceanach, gdzie – każdy o tym wie – są wieloryby i morskie świnie nie mniejsze od tych jodeł w górach.

–Hola, Beniaminie! – powiedział szeryf, jakby chciał ratować honor swego faworyta – przecież niektóre z tych jodeł mają po dwieście stóp, a może i więcej.

–Dwieście czy dwa tysiące to jeden pies – wykrzyknął Beniamin z miną, która wskazywała że nie da się tak łatwo zbić z tropu. – Byłem tam i widziałem. Powtarzam: na oceanach można spotkać wieloryby tak wielkie jak te sosny, i nie cofnę tego!

Podczas tej rozmowy – najwidoczniej była ona zakończeniem dłuższego sporu – patrzący dostrzegli w pobliżu ogniska olbrzymią postać Kirby'ego, który wygodnie wyciągnięty na boku dłubał w zębach drzazgą odłupaną od jakiejś szczapy ze stosu' leżącego obok. Drwal słuchał zapewnień Beniamina i z powątpiewaniem kiwał głową.

–Powiem – oznajmił wreszcie – że w tym jeziorze jest dość głęboko dla największego wieloryba, jakiego wynaleziono. A co do drzew, to ta stara jodła, tam na górze Vision, tuż nad osadą... otóż gdyby tę jodłę zanurzyć w najgłębszym miejscu jeziora, pozostałoby nad nią jeszcze dość wody, by tamtędy spokojnie przepłynął największy okręt na świecie.

–A czyś ty widział kiedy okręt, mistrzu Kirby? – wrzasnął eks-marynarz. – Człowieku, czyś kiedy widział okręt, pytam? Jakąś łajbę większą od lipowego koryta albo brzozonego czółna na tej słodko wodnej sadzawce?

–Ano, widziałem – dumnie odparł drwal. – Mogę powiedzieć, że widziałem, i nie żelgać.

–Czyś widział brytyjski okręt? Angielski okręt liniowy, chłopie! Powiedz mi, jeśli możesz: gdzieś widział prawidłowo zbudowany pokładowiec z pełnym ożaglowaniem?

Towarzystwo było zaskoczony tym gradem pytań, a Ryszard mówił potem: "Jaka to szkoda, że Beniamin jest niepiśmienny. Byłby z niego wspaniały oficer marynarki

brytyjskiej. Nic dziwnego, że wyłóili

i rancuzów, jeżeli najprostszy majtek tak się zna na okrętach". Lecz Kirby nie pozwolił tak łatwo zapędzić się w kozi róg, a na dobitkę nie lubił, -gdy mu chciał przewodzić cudzoziemiec. W czasie tyrady przeciwnika zerwał się na nogi, odwrócił plecami do ognia i gdy Benjamin kończył, zadziwił wszystkich ciętą odpowiedzią:

–Gdzie? Na North River*, na jeziorze Champlain. Znajdziesz un statki, które dałyby dobrą odprawę najwspanialszym okrętom kró-

i.i Jerzego. Ich maszty mają pełne dziewięćdziesiąt stóp wysokości i są dobrych, mocnych, jodłowych pni. Niejedno drzewo zrąbałem dla nich w stanie Vermont. Chciałbym być kapitanem na takim statku, a ty obyś był na swoim kapciu, o którym tyle gadasz. Pokazałbym ci, jakiej gliny ulepiono Jankesów i kto potrafi lepiej bić: Vermontczyk /y Anglik.

Na to wyzwanie Benjamin roześmiał się na całe gardło.

–Zejdźmy nad faodę – szepnął Marmaduk – bo to może się k rwawo skończyć.

Widok sędziego Temple'a schodzącego z paniami pohamował, jeśli łańkiem nie poskromił,, wzburzenie przeciwników. Rybacy posł-u-v.ni rozkazowi Ryszarda zabrali się do spuszczenia łodzi.

Noc stała się tak ciemna, że poza kręgiem ogniska dosłownie nic mc było widać. Zatarły się nawet kontury przedmiotów. Ledwie można było dojrzeć połysk wody przy brzegu, muskanej czerwonym, rozedrganym blaskiem ognia.

Elżbieta patrzyła, jak rybacy oddalają się od brzegu i opuszczają %ieć, lecz niebawem wchłonęła ich ciemność, *więc tylko słuchem mogła śledzić ruchy łodzi. Wszystko odbywało się w wielkiej ciszy, by, jak mówił Ryszard, nie płoszyć okoni, które przyplływają na płyciznę i zbliżają, się do ognia, jeśli ich nie przestraszą hałasy.

Z mroku dolatywał czasem ochryply głos Beniamina, który wydawał komendy towarzyszące prawidłowemu zaciągnięciu niewodu. Zabrało to sporo czasu, bo ambitnemu Benjaminowi chodziło o jak najlepsze opuszczenie sieci, od czego istotnie zależało powodzenie połowu. W końcu głośny plusk poprzeczki i chrypliwy

okrzyk "gotowe" oznajmiły, że łódź wraca. Wówczas Ryszard porwał głównię i pobiegł w górę brzegu, do miejsca tak samo odległego od ogniska, jak odległe od niego było, leżące poniżej, miejsce odbicia łodzi.

North River – (Rzeka Północna) – nazwa części rzeki Hudson.

–Prosto na pana Jonesa, chłopcy – krzyknął Beniamin – zaraz zobaczymy, co rośnie w tej sadzawce.

Z miejsca, gdzie zarzucono niewód, dolatywały teraz szybkie uderzenia wiosł i szelest spuszczonej w wodę liny. Za chwilę łódź wynurzyła się z ciemności i przybiła do brzegu. Rybacy z zapalem wzięli się do dzieła. Żywo dzielili się uwagami: jedni twierdzili, że niewód jest lekki jak piórko, inni, że cięży, jakby w nim było pełno kłód. Ale że liny miały kilkaset stóp długości, szeryf nie wierzył żadnemu z tych sprzecznych zdań, dopóki się sam nie przekonał. Najprzód z lekka pociągnął jedną linę, potem drugą, by sprawdzić opór.

–Beniaminie – krzyknął przy pierwszym pociągnięciu – źle zarzuciłeś niewód. Wyciągnę go małym palcem. Lina idzie jak po maśle.

–Chciałby pan wyciągnąć wieloryba? – odparł Beniamin. – Powiem panu, że jeśli sieć nie jest pełna ryb, diabły mieszkają w tym jeziorze, bo tak starannie zarzuciłem niewód, jak mociuje się żagle na flagowym okręcie.

Ryszard odkrył swą pomyłkę dopiero, gdy zauważył, że przed nim w wodzie stoi u liny Billy Kirby, przechylony w tył pod kątem czterdziestu pięciu stopni, i mimo swej wielkiej siły, ledwie się trzyma na nogach. Poniechał więc dalszych p)tań i podbiegł do drugiej liny.

–Widzę poprzeczkę! – ryknął dobiegłszy do miejsca. – Bierzcie się ku środkowi i na brzeg! Dawać to na brzeg! Na brzeg!

Słyszając te radosne okrzyki Elżbieta wyteżyła wzrok i ujrzała dwa końce sieci wynurzające się z mroku. Ludzie u lin schodzili się do środka tworząc z sieci coś w rodzaju wielkiego wora. Ciągnęli coraz mocniej.

–Poprzeczka, ahój! – ryczał Beniamin.

–Poprzeczka, ahój! – odpowiadał mu Kirby u drugiej liny.

–Ciągnijcie, chłopcy, ciągnijcie! – krzyczał Ryszard. – Ależ szelmy skaczą! Chcą się wydostać. Ciągnijcie, a suto się wam to oplaci.

W okach sieci, w rriiarę jak ją wyciągano, ukazywały się najróżniejsze gatunki rzucających się ryb, ich niespokojne ruchy rozkołysały wodę przy brzegu. Całą gromadą wyskakiwały nad wodę świecąc w blasku ognia białymi bokami i zaraz, przerażone gwarem i niezwykłą zmianą, znów zapadały w głębię daremnie szukając uciezki.

-Hura! – wrzeszczał Ryszard. – Jeszcze dwa dobre pociągnięcia i będziemy je mieli.

–Rażno, chłopcy, rażno! – powiedział Beniamin. – Widzę pstrąga w sam raz do garnka!

–Zmykaj, łobuzie! – powiedział Kirby wyciągając zaplątanego w sieci głowacza i z pogardą wrzucając go do wody. – Ciągnijcie, chłopcy, ciągnijcie. Jest tu wszystkiego w bród i niech mnie Bóg skarże, jeśli nie złowiliśmy z tysiąc okoni.

Nieprzytomny z radości, nie bacząc na wczesną porę roku, skoczył w wodę i począł napędzać oporne ryby na brzeg.

–Mocno, chłopcy, mocno! – wołał Marmaduk ulegając nastrojowi i sam ciągnął linę wcale krzepkim ramieniem. Edwards już go w tym wyprzedził. Porwany widokiem pełnej sieci wolno sunącej po żwirze, porzucił panie i przyłączył się do rybaków.

Ogólne podniecenie udzieliło się nawet Elżbiecie i Luizie. Cieszyły się widokiem wydartej głębinom jeziora obfitej zdobyczy, która bezradnie leżała u ich stóp. Ale gdy pierwsze wrażenie minęło, Marmaduk wziął do ręki dwufuntowego okonia i przyjrawszy mu się w zamyśleniu, zwrócił się do córki:

–Jakże strasznie marnotrawimy najwspanialsze dary Boże. Te ryby, Bess, których całe stosy widzisz przed sobą i które już jutro wieczorem obrzydną nawet najbiedniejszym osadnikom w Templeton, są wspaniałe w gatunku i wyborne w smaku. W innych krajach byłyby przysmakiem książęcych stołów i największych znawców.

–Ach! ojciec – rzekła Elżbieta – muszą* więc być prawdziwym błogosławieństwem naszego okręgu i dobrodziejstwem dla ubogich.

–Ubodzy, moje dziecko, rzadko myślą o jutrze i zawsze są rozrzutni, gdy im czegoś zbywa. Ale jeżeli w ogóle można jakoś usprawiedliwić rabunkowe połowy, to wtedy gdy chodzi o okonie. Jak wiesz, w zimie lód chroni je przed nami, bo nie biorą przynęty, a latem – znikają. Pewnie kryją się w głębszych i chłodniejszych warstwach wody. Można więc łowić je tylko przez krótki czas jesienią i wiosną, kiedy da się dosięgnąć je siecią.

–Mamy tu przed sobą tysiące ryb, a ty ciągle narzekasz – wykrzyknął szeryf. – Ale z tobą zawsze tak: naprzód płaczesz nad drzewami, potem nad zwierzyną, potem nad cukrowym klonem i tak bez końca. Następnie napomykasz o kopalniach węgla, chociaż każdy, kto potrafi patrzeć jak ja, widzi naokoło tyle drzew, że starczyłoby ich Londynowi na opał przez pięćdziesiąt lat co najmniej, prawda Beniaminie?

–Ano, proszę pana – odparł Beniamin – Londyn to nieliczne miasteczko. Gdyby je tak wyprostować, jak takie miasto, co się ciągnie nad rzeką, opasałoby chyba jezioro. Pozwolę też sobie zauważyć, że lasy, które tu widzimy, na długo by mu starczyły, zwłaszcza że palą tam węglem.

–<- Skoro już się zgadało o węglu, drogi sędzio – przerwał Ryszard – mam ci coś ważnego do powiedzenia. Wiem, że wybierasz się do wschodnich części swego okręgu. Pojadę z tobą i zaprowadzę cię do miejsca, gdzie będziesz mógł zrealizować niektóre ze swych projektów. Nic więcej nie powiem, bo nie jesteśmy sami.

Marmaduk uśmiechnął się tylko słuchając tych ważnych wiadomości. Przywykł już do nich, i to do najróżniejszych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Z krawędzi statku – o, wieści żalosna – Spadło trzech majtków, a z nimi ich bosman

Faconer

Rybacy sprawiedliwie dzielili łup, a Elżbieta z Luizą przechadzały się nie opodal brzegiem jeziora. Gdy weszły w cień, poza blask ogniska, zawróciły i przystanąły zachwycone. Ujrzały przed sobą grupkę ludzi pilnie krzątających się na tle ciemności, które jak mrok zapomnienia obejmowały resztę świata.

–Widok godny pędzla – wykrzyknęła Elżbieta. – Czyż to nie piękny obraz, Luizo?

–Pani wie, że nie znam się na sztuce.

–Mów mi po imieniu '-'!; powiedziała Elżbieta. – Nie czas i nie miejsce na towarzyskie ceremonie.;

–Dobrze, powiem więc, co myślę – nieśmiało zaczęła Luiza. – Zdaje się, że byłby to ładny obraz. Pewna siebie, zarozumiała mina tego drwala nad rybą doskonale kontrastowałaby z wyrazem... z wyrazem... twarzy pana Edwardsa. Właściwie nie wiem, jak go określić, lecz to... coś... zresztą pewnie wiesz, co chcę powiedzieć.

–Za wysokie mniemanie o mnie – odparła Elżbieta, – Nie odgaduję niczyich myśli i nie czytam w cudzej twarzy.

Powiedziała to tonem wcale nie szorstkim, ani nawet nie chłodnym, a jednak rozmowa utknęła. Trzymając się pod rękę, bez słowa oddalały się od rybaków. Elżbieta, może zdając sobie sprawę, że odpowiedziała trochę za ostro, pierwsza przerwała niezręczne milczenie:

–Spójrz, Luizo. Nie jesteśmy same. Ktoś jest na jeziorze. Jacyś rybacy rozpalili ogień na drugim brzegu. To chyba przed chatką Skórzanej Pończochy.

W ciemnościach, u stóp wschodniego pasma gór migotał słaby płomyk, który przygasał i znów się rozpalał, jakby walczył o życie.

173

W niczym nie przypominał ogniska rybaków: był bardziej wyraźny, jaśniejszy i nie zmieniał ani kształtu, ani wielkości.

Bywają chwile, kiedy najbardziej trzeźwe umysły ulegają wpływom zasłyszanych w

dzieciństwie nedorzecznych bajek, od których mało komu udało się uchronić. Elżbietę ogarnął pusty śmiech, gdy uprzytomniła sobie, że mimo woli poddała się wpływowi opowieści krążących

0 Skórzanej Pończosze. Ale i Luizie przyszły podobne myśli do głowy, bo w tej samej chwili przytuliła się do niej i szepnęła, trwożliwie spoglądając na pobliskie drzewa i krzaki:

–Czy słyszałaś o dziwnych zwyczajach Natty'ego? Ludzie mówią, że za młodu był indiańskim wojownikiem albo, co na jedno wychodzi, białym sojusznikiem dzikich. Mówią też, że podczas dawnych wojen wraz z Indianami brał udział w niejednym napadzie.

–To być może – odparła Elżbieta. – Pod tym względem nie jest on wyjątkiem.

–No tak, ale czy to nie dziwne, że tak zazdrośnie strzeże swej chatki przed ludźmi? Wychodząc, zawsze zamyka ją starannie, a gdy dzieci lub dorośli zaskoczeni burzą próbowali szukać u niego schronienia, szorstko i bezlitośnie odpędzał ich od drzwi. W tym,kraju to naprawdę dziwne.

–Tak, to niezbyt gościnnie, ale nie zapominajmy o jego wstręcie do zwyczajów świata cywilizowanego. Zresztą musiałaś słyszeć, co ojciec mówił przed paroma dniami o tym, jak uprzejmie został przyjęty przez Natty'ego, gdy po raz pierwszy przybył w te strony. – Umilkła

1 uśmiechnęła się chytrze. Luiza w mroku nie dostrzegła tego zagadkowego uśmiechu. Po chwili Elżbieta dodała::- Poza tym często gości Edwardsa, a wiemy, że Edwards wcale nie jest dzikim.

Luiza nic nie odpowiedziała. Dalej patrzyła na tajemnicze światło, przyczynę ich rozmowy. Do jasnego, kulistego blasku dołączył się teraz nowy, słabszy, choć żywy o takiej samej szerokości w górze co pierwszy, lecz wydłużony na kilkanaście stóp w dół i zakończony spiczasto. Wyraźny, ciemny pas przegrodził oba światła.

–To robi wrażenie jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska – szepnęła Luiza cofając się ku reszcie towarzystwa.

–Jakże piękne! – zawołała Elżbietą.

Już dobrze widać było roztańczony płomień malowniczo sunący po jeziorze i muskający wodę jasnym blaskiem.

–Halo! Natty, to pan? – krzyknął szeryf. – Wiosłuj prosto

na nas, chłopie, a dostaniesz takie rybki, jakich nie jada sam gubernator. Światło

nagle zmieniło kierunek. Z mroku wychynęło długie, lekkie czólenko, a czerwony blask płomienia oświecił ogorzałą twarz Skórzanej Pończochy, który wyprostowany stał w kruchym stateczku i z wdziękiem doświadczonego wioślarza wymachiwał długim rybackim ościeniem. W głębi czólenka można było dostrzec jakąś ciemną sylwetkę. Skórzana Pończocha lekko uderzył ościeniem w żelazne rusztowanie ze starych obręczy, na których płonął stos sosnowych drewn. Płomień buchnął jaśniej i oświetlił poważne oblicze i czarne, lśniące oczy Mohegana.

–Chodź no tu, Moheganie – powiedział Marmaduk. – Chodź, Skórzana Pończochu. Naładujcie czółno okoniami. Wstyd byłoby łowić ryby ościeniem; gdy tyle ich leży na brzegu, że zabraknie gęb do jedzenia.

–Nie, nie, nie sędzio – odparł Natty przechodząc wyprostowany po wąskim wybrzeżu i zstępując w trawiastą nieckę, gdzie zwalono połów. – Nie będę korzystał z tego marnotrawstwa. Zabijam ościeniem węgorza lub pstrąga, gdy mam ochotę na ich mięso, ale nie przyłożę ręki do grzesznego połowu, nawet za najlepszą strzelbę ze starego kraju. Grzeszycie więc łowiąc ich tyle, ile zjeść nie możecie.

–Jestem tego samego zdania. Przynajmniej raz zgadzamy się ze sobą, stary myśliwce. Szczerze życzylbym sobie, byśmy nawrócili szeryfa. Sieć o połowę mniejsza i raz zarzucona, aż nadto pokryłaby tygodniowe potrzeby osady.

Skórzana Pończocha nie okazał najmniejszego zadowolenia z tej zbieżności poglądów. Z powątpiewaniem potrząsnął głową i powiedział:

–Nie, nie panie sędzio, różnimy się w zdaniach, bo inaczej nie obróciłby pan dobrych łowieckich terenów w zapniaczone pastwiska. A poluje pan i łowi ryby w sposób sprzeczny z dobrymi zwyczajami.

Szeryf słuchał tych słów z wielkim oburzeniem.

–Piękny związek dusz, nie ma co! Sędzia Tempie, właściciel włości i całego miasteczka, oraz Nataniel Bumppo, przybłęda i kłusownik, zawarli przymierze dla ochrony zwierzostanu. Duku, gdy ja łowię ryby, to łowię, jazda więc* chłopcy, ruszamy na połów, a jutro przyślemy tu wozy i wózki po zdobycz.

Marmaduk zrozumiał, że daremnie by się sprzeciwiał szeryfowi. Odszedł więc od ognia i zbliżył się do czólenka myśliwego, Obie panie i Edwards stali już w pobliżu.

Elżbietę i Luizę pociągnęła prosta ciekawość, ale młodzieńcem kierowały inne pobudki. Elżbieta z zainteresowaniem przyglądała się

jesionowym klepkom i cienkiemu poszyciu z kory pokrywającym czółenka. Podziwiała zgrabne, choć proste wykonanie i dziwiła się, że można zaufać życie czemuś tak wiotkiemu. Ale młodzieniec przedstawił jej niezwykłą statyczność czółenka i wyjaśnił, że przy wprawnym wiosłarzu jest ono zupełnie bezpieczne. Przy tym z takim zapalem' opisywał czar połowu z ościeniem, że Elżbieta przestała się lękać i zapragnęła wziąć udział w takim połowie. Odważyła się nawet powiedzieć

0 tym ojcu, śmiejąc się jednocześnie z własnego pomysłu i nazywając go kobiecym kaprysem.

–Nie mów tak, Bess – odparł sędzia. – Wcale nie chciałbym, abyś była głupio lękliwa jak inne naiwne dziewczęta. Takie czółenka są najbezpieczniejsze w rękach wprawnych i opanowanych ludzi. W jeszcze mniejszej łódeczce przepłynąłem Oneidę w najszerszym miejscu.

–A ja Ontario – wtrącił się Skórzana Pończocha -iw dodatku z kobietami. Ale delawarskie kobiety umieją wiosłować i są bardzo pomocne w manewrowaniu takimi łódeczkami. Jeśli młoda pani chce zobaczyć, jak starzec złowi sobie ościeniem pstrąga na śniadanie, proszę, niech wejdzie do czółenka.,

Zakończył to zaproszenie swym szczególnym, cichym śmiechem

1 uprzejmie schylił głowę przed Elżbietą. Mohegan natomiast z wdziękiem Indianina podszedł do niej, ujął jej białą, miękką dłoń w swą smagłą' pomarszczoną rękę i powiedział:

–Chodź, wnuczko Mikuona, John będzie szczęśliwy. Zaufaj Indianinowi. Jego głowa jest stara i doświadczona, a tylko ręka nie tak pewna jak ongiś. Młody Orzeł pojedzie z nami i ustrzeże siostrę przed niebezpieczeństwem.

–Panie Edwards – rumieniąc się zapytała Elżbieta – pański przyjaciel, Mohegan, zobowiązuje się w pańskim imieniu. Czy pan potwierdza tę propozycję?

–Nawet gdybym miał ją przyplacić życiem! – zawołał młodzieniec z zapalem. – Widok wart jest odrobiny strachu, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Pojadę jednak z panną Grant dla towarzystwa.

–Ze mną! – wykrzyknęła Luiza. – Nie, nie, tylko nie ze mną, panie Edwards. Nie zaryzykuję jazdy taką łupinką.

–Ja jadę. Już się nie boję – rzekła Elżbieta wchodząc do czółenka i siadając tam, gdzie jej wskazał Indianin. – Panie Edwards, pan może zostać, bo trzy osoby to dość na takie czółenko.

–Uniesie cztery! – krzyknął młodzieniec, tak gwałtownie ska-

cząc do środka, że o mało nie rozbił łódki. – Proszę mi wybaczyć, że nie pozwoliłem temu czcigodnemu Charonowi* zabrać pani do królestwa cieni bez jej geniusza* v

–Złego czy dobrego? – zapytała Elżbieta.

–Dobrego... dla pani.

–I dla moich bliskich – rzekła Elżbieta na pół z zadowoleniem, na pół z urazą. Zwinne ruchy łódeczki zwróciły jednak myśli jadących w innym kierunku i pozwoliły młodzieńcowi zmienić temat rozmowy.

Elżbiecie wydawało się, że jakaś tajemnicza siła unosi ich nad wodą, tak lekko i płynnie Mohegan prowadził czółenko. Skórzana Pończocha lekkimi ruchami ościenia wskazywał kierunek. Wszyscy milczeli, by nie płoszyć ryb.

Dziewczyna widziała wyraźnie te ryby pływające całymi stadami w płytkiej i ciepłej przybrzeżnej wodzie, bo światło ogniska płonącego na czólnie odkryło jej tajemnice jeziora tak, jakby jego przezroczysta toń była zwykłym powietrzem. Lada chwila spodziewała się też, że nieubłagany oścień Skórzanej Pończochy ugodzi w którąś z nich, lecz Natty ostrożnie obracał głowę na wszystkie strony, często pochylał się do przodu i wytężał wzrok, jakby chciał przebić wodę oświetloną blaskiem ogniska. Wreszcie jego cierpliwość zastała nagrodzona: ościeniem wskazał miejsce oddalone od brzegu i cicho powiedział:

–Johnie, pchnij czółno trochę w bok. Widzę tam mieszkańca jeziora, który "już wyrósł z wieku szkolnego.

Mohegan ruchem ręki dał znak, że rozumie, i za chwilę czółno znalazło się za "ciągiem okoni" nad dwudziestostopową głębią. Dorzucono gałęzi do ognia i jego blask sięgał aż do dna jeziora. Elżbieta ujrzała wówczas wielką rybę bujającą w wodzie nad kawałkami drzew i gałązek.

–Sza, sza! – szepnął Natty słysząc szmer, jaki wywołała Elżbieta, przez ciekawość wychyliwszy się za burtę. – To płochliwe zwierzę, a cios daleki jak na mój oścień. Ma tylko czternaście stóp, ryba zaś leży na głębokości dwudziestu co najmniej. Ale spróbuję, bo warto, waży dobre dziesięć funtów.

Staął mocno i zmierzył się ościeniem. Elżbieta widziała lśniące, wypolerowane ostrze powoli i cicho zanurzające się w wodę. Zdawało się, że ryba dostrzegła

niebezpieczeństwo, bo żywiej poruszyła ogonem

**Charon – w mitologii greckiej przewoźnik przez rzekę Styks do krainy duchów.
Geniusz – tu: duch.**

i płetwami, choć stała w miejscu. W następnej chwili Natty, raptownie pochyliwszy się naprzód całym ciałem, pchnął ościeniem tak, że rękojeść znikła pod wodą. Elżbieta wyraźnie ujrzała długą, ciemną smugę broni sunącej w dół i wiry małych bąbelków, towarzyszących jej ruchowi. Ale dopiero gdy oścień wyparty przez wodę wypłynął z powrotem, a Skórzana Pończocha pochwycił go i uniósł w górę, zdołała stwierdzić, jak celne było pchnięcie: na zazębionym ostrzu trzepotała się wielka ryba, którą Skórzana Pończocha zrzucił na dno czółenka.

–Wystarczy, Johnie – powiedział unosząc zdobycz i ukazując w pełnym świetle ogniska. – Dziś już nie łowię więcej.

–Dobrze – krótko i zwięźle odrzekł Indianin skinąwszy ręką. Ta scena i widok głębin jeziora wprawiły Elżbietę w odrętwienie, z którego zbudził ją dopiero ochryply głos Beniamina i plusk wiosła. To napływała łódź rybacka wlokąc za sobą ciężki niewód.

–Zjeżdżaj, Bumppo, zjeżdżaj! – krzyczał Benjamin. – Twoje światło masztowe płoszy ryby, które widzą sieć i schodzą z naszego kursu. Ryba nie jest głupsza od konia, a nawet mądrzejsza, jeżeli wziąć pod uwagę, że żyje pod wodą. Zjeżdżaj, Bumppo, zjeżdżaj, mówię ci, i zrób miejsce niewodowi.

Mohegan skierował łódeczkę tam, skąd można się było przyglądać rybakom nie przeszkadzając im w pracy. Tymczasem w rybackiej łodzi najwidoczniej panował duch niezgody, bo Benjamin bez przerwy komenderował, i to gniewnym głosem:

–Mistrzu Kirby, mówię: sztybork* – krzyczał. – Z całej siły sztybork. Najstarszy admirał brytyjskiej floty wściekłby się, gdyby miał zaciągnąć sieć na łodzi idącej jak korkociąg! Chłopie, sztybork, mocno sztyborkowym wiosłem!

–Słuchaj no, mistrzu Pomp – unosząc się gniewem i przestając wiosłować powiedział Kirby. – Mów do mnie ^grzecznie i jak do człowieka dorosłego, bo obaj jesteśmy w latach. Jeśli chcesz na prawo, to mów hejta, a jak na lewo, to wista. Ale nie przywykłem, by na mnie krzyczeli jak na głupiego bydlaka.

–Kto jest głupi bydlak? – spytał Benjamin urażony i odwrócił się tak, że światło z czółna padło na jego wykrzywione gniewem oblicze. – Niech cię diabli! Ładne to sterowanie, gdy łódź kręci się w kółko "zamiast iść naprzód! Trzeba jeszcze tylko raz podciągnąć sieć

Sztybork – prawa strona statku.

/ rufy i koniec. Bierz się do wiosła i pchnij łódź kilka stóp dalej. A jeśli leszcze kiedy wezmę takiego szczura lądowego na pokład, możecie mnie uważać za skończonego osła!

Drwał zapewne zachęcony perspektywą bliskiego końca pracy chwycił za wiosło i z takim zapalem pchnął łódź, że wyleciała z niej nie tylko reszta sieci, lecz i Benjamin, który stał nad nią na małym pomoście rufowym.

Gromki chóralny śmiech przetoczył się przez góry na wschodzie i szyderczym echem zamarł w oddali wśród lasów i skał. Benjamin powoli pogrążał się w wodę, jak się zresztą tego spodziewano, ale gdy lekko poruszone fale toni cicho zamknęły się nad nim, patrzących ogarnęło przerażenie.

–Jak ci tam idzie, Beniaminie?"- zawołał Ryszard z brzegu.

–Ten cymbał nie umie pływać! – krzyknął Kirby zrywając się z miejsca i szybko zrzucając odzienie.

–Naprzód, Moheganie! – wołał Edwards – przy naszym ogniu zobaczę, gdzie leży i wyciągnę go.

–Och, ratujcie biedaka, na miłość boską, ratujcie – błagała Elżbieta wychylając się za burtę.

Mohegan silnym i zręcznym pchnięciem wiosła skierował czółno na miejsce, gdzie znikł Benjamin, a Skórzana Pończocha głośnym krzykiem obwieścił, że widzi topielca.

–Stójcie w miejscu, gdy skoczę – zawołał Edwards.

–Spokojnie, chłopcze, spokojnie – powiedział Natty. – Ościeniem wyciągnę go szybciej i bez ryzyka.

Benjamin kołysał się w pół drogi do dna, kurczowo uczepiony obiema rękami połamanego sitowia. Elżbiecie krew zastygła w żyłach na widok bliźniego pod grubą warstwą wody, jeszcze sfalowanej, lecz coraz spokojniejszej. Lecz w tej chwili r ujrzała ostrze ościenia zbliżające się do głowy Beniamina. Zębata ostroga szybko i zręcznie zaczepiła o jego harcap i brzeg kołnierza. Ciało poczęło się teraz unosić, a twarz zwrócona w górę i coraz bliższa powierzchni wyglądała jak widmo.

W minutę druga łódź podpłynęła do ościenia. Ludzie zdjęli zeń Beniamina, wciągnęli go do łodzi i dobili do brzegu. Ryszard zaraz zatroszczył się o środki, jakimi w owych

czasach ratowano topielców.

–Billy, leć do osady! – wołał – i przynieś beczułkę po rumie, która stoi przy drzwiach. Piorunem, chłopcze! Wpadnij do pana Le

Quoi, kup paczkę tytoniu i pół tuzina fajek. Od Rerńarkable weź soli ! i jedną z jej flanelowych, spódnic. Doktor Todd niech ci da któryś ze i swych lancetów i sam niech tu przyjdzie i... ha!

Tymczasem Benjamin siedział sztywny, z zaciśniętymi ustami i rękami, w których trzymał resztki sitowia. W krytycznej chwili złapał się go prawdziwie marynarskim chwytem, co przeszkodziło mu wynurzyć się na powierzchnię. Oczywiście jednak miał otwarte i dzikim wzrokiem gapił się na ludzi zebranych przy ognisku.

Butelka, którą Marmaduk przyłożył do ust Beniamina podziałała jak czary.

–Beniaminie! – zawołał szeryf – zadziwiasz mnie! Z twoim doświadczeniem postępować tak głupio! W brzuchu masz pełno wody, a...

–Teraz mam pełno grogu – przerwał mu Benjamin. – Posłuchaj, Kirby! Większą część życia spędziłem na słonych wodach, ale żeglowałem trochę i po słodkich. I powiem ci, że jesteś najniezręczniejszym żółtodziobem, jaki kiedykolwiek siedział przy wiośle. Natty Bumppo, daj łapę. Mówią o tobie, że jesteś Indianinem i że skalpowałeś ludzi, ale mnie pomogłeś i odtąd będę ci przyjacielem, choć powinieneś być zarzucić pętlę lub podsunąć linę zamiast ciągnąć starego marynarza za włosy.

Marmaduk nie dopuścił do sprzeczki i taktownie, z godnością ujął sprawę w swoje ręce, z miejsca uciszając sprzeciwy Ryszarda. Beniamina wysłano piechotą do osady, a sieć wyciągnięto na brzeg z takim pośpiechem, że tym razem ryby uszły z niej bezkarnie. Połów podzielono w zwykły sposób: jeden z rybaków odwrócony plecami do dzielonej zdobyczy wymienił nazwisko tego, któremu miał przypaść stos wskazany przez drugiego. Potem Billy Kirby wygodnie wyciągnął się na trawie tuż przy ognisku by do rana pilnować połowu i sieci, a inni odpłynęli do osady..

Edwards rozpiął nad paniami daszek z szali. Elżbieta siedząc pod nim błędziła od młodzieńca do myśliwego i Indianina. Rosła w niej chęć odwiedzenia chatki, w której, połączeni jakimiś wspólnymi więzami mieszkali ludzie o tak odmiennej naturze i zwyczajach.

Przestań bajdurzyć o górach, dolinach, Nikt nie chce słuchać, pleciugo, twych

baśni

O dniach dzieciństwa, od których aż

uszy Bolą! Do rzeczy!

Następnego dnia Ryszard wstał o świcie, kazał osiodłać konie dla siebie i dla Marmaduka i z miną świadczącą o niezmiernie ważnych zamierzeniach udał się do kuzyna. Drzwi sypialni nie były zamknięte, wszedł więc bez pukania z właściwą mu bezceremonialnością.

–Na koń, Duku, na koń! – wołał. – Po drodze wyjaśnię ci, co miałem wczoraj na myśli. Dawid mówi w swych psalmach... nie, Salomon... zresztą wszystko jedno, bo to ta sama rodzina... a więc Salomon mówi, że wszystko ma swój czas. Otóż, moim skromnym zdaniem, nie można mówić o poważnych rzeczach przy łapaniu ryb. Ha! Co cię gryzie? Chory jesteś? Pokaż puls, wiesz, że mój dziadek...

–Zdrów jestem na ciele, Ryszardzie – przerwał sędzia, odpychając kuzyna, który właśnie chciał wejść w rolę doktora Todda – ale nie na duszy. Wczoraj wieczór pó powrocie odebrałem listy, a między nimi – ten..

Szeryf wziął list, ale nawet nie spojrzął na niego, tylko nie odrywał zdziwionych oczu od kuzyna. Wszystko świadczyło, że sędzia spędził noc bezsennie. Marmaduk odsunął kotary, otworzył okna i okiennice, by wpuścić świeże powietrze wiosennego ranka.

–Co to... list zza oceanu! – zawołał. – Iz Anglii! Ho, ho, Duku to muszą być nie byle jakie wiadomości.

–Przeczytaj – rzekł Marmaduk przechadzając się w podnieceniu.

Ryszard zwykle myślał głośno, nie umiał więc czytać po cichu. Zatem te fragmenty, które odczytał na głos, przedstawiamy tutaj z jego uwagami.

Londyn, 12 luty 1793, u licha długo szedł! Tak, przez sześć tygodni wiał wiatr południowo-zachodni i skończył się dwa tygodnie temu. J Łaskawy Panie! Potwierdzam odbiór pańskich listów z 10 sierpnia, 23 września i 1 grudnia. Na pierwszy odpowiedziałem odwrotną pocztą. Po ostatnim liście... tu zaczął czytać pod nosem i trudno było zrozumieć, o co chodzi. – ...Z przykrością muszę zawiadomić, że... hm, hm, tak to przykre...miejmy jednak nadzieję, że łaska Opatrzności... hm, hm, jakiś pobożny facet, Duku, pewnie należy do anglikańskiego koś- J ciota, hm, hm...okręt odpłynął z Falmouth około 1 września ubiegłego roku i... hm, hm...gdy tylko się czegoś dowiem w tej przykrej sprawie, nie omieszka... hm, hm, jak na prawnika, wcale przyzwoity człowiek...lecz w tej chwili nie mogę zakomunikować nic konkretnego. Hm, hm...konwent narodowy... hm, hm...nieszczęsny Ludwik... hm, hm...przykład waszego Waszyngtona... gość wcale do rzeczy. Żaden z tych waszych zwariowanych demokratów. Hm, hm...nasza wspaniała flota... hm, hm...pod naszym znakomitym królem... król Jerzy to niezwykle człowiek, tylko ma złych doradców. Hm, hm...proszę przyjąć zapewnienia mego szacunku... – hm, hm... Andrew Holt. Andrew Holt, porządny człowiek z czułym sercem, ale donosi diabelnie przykre rzeczy. Co zamierzasz począć, kuzynie?

–Cóż mogę począć, Ryszardzie. Muszę się zdać na łaskę czasu i wolę nieba. Tu masz inny list z Connecticut, ale zawiera podobne wiadomości. Z tych, które nadeszły z Anglii, można wyciągnąć tylko jeden pocieszający wniosek. Mianowicie, że odebrał mój list, zanim okręt odpłynął.

–Kiepska sprawa, Duku, naprawdę kiepska! Diabli wzięli moje: plany dobudowy skrzydeł. Właśnie chciałem ci pokazać coś bardzo ważnego i kazałem już nawet osiodłać konia. Tak ciągle myślisz o kopalniach...

–Nie mów mi o kopalniach – przerwał mu sędzia. – Tu chodzi o święty obowiązek, który na mnie ciąży i z którego chciałbym się jak najprędzej wywiązać. Dziś będę zajęty pisaniem, a ty musisz mi pomóc. Nie mogę korzystać z usług Edwardsa w tak poufnych sprawach.

–Duku! – zawołał Ryszard ściskając rękę sędziego – możesz;

miu mnie polegać. Jesteśmy ciotecznymi braćmi, a nic tak nie cementuje przyjaźni*jak wspólna krew. Kopalnie srebra mogą poczekać, nic się na lym nie straci. Trzeba chyba posłać po Dirky Vana – zakończył, jakby odpowiadając na własne myśli, a Marmaduk przytaknął mu.

W owym czasie w Templeton mogło się utrzymać tylko dwóch adwokatów. Jednego przedstawiliśmy czytelnikom w barze Pod, Śmiałym Dragonem, drugim był Dirck van

der School, którego Ryszard nazywał zdrobniale Dirky. Dobroduszość, dość duża zręczność w zawodzie i spora doza uczciwości były. głównymi jego zaletami.

Sędzia zamknął się z Ryszardem i adwokatem na całą resztę dnia. Nikt nie miał wstępu do jego gabinetu z wyjątkiem Elżbiety, której udzieliło się przygnębienie ojca. Dziewczyna przygasła i posmutniała. Hdwars ze zdziwieniem obserwował tę nagłą zmianę w humorach ojca i córki. Raz dostrzegł nawet łzy na policzku Elżbiety. Złagodziły one wyraz jej jasnych oczu nie zawsze łagodnych.

–Czy sędzia odebrał jakieś złe wiadomości? – zapytał z takim współczuciem, że Luiza mimo woli uniosła głowę znad robótki. Ale zaraz zawstydziła się swego pośpiechu i spiekła raka. – Jeżeli mogę coś pomóc, chętnie służę pani ojcu i pojedę, gdzie trzeba.

–Tak, otrzymaliśmy złe wiadomości – odrzekła Elżbieta – i pewnie ojciec będzie musiał wyjechać na krótko.

Młodzieniec milczał przez chwilę. Wreszcie zarumieniony po uszy, powiedział:

–Jeżeli jest to sprawa, w której mógłbym...

–Moglibyśmy powierzyć ją tylko komuś, kogo dobrze znamy... komuś z rodziny.

–Przecież pani mnie zna! – zawołał młodzieniec z zapalem, jaki okazywał tylko w chwilach szczerej rozmowy z Elżbietą. – Czy po pięciu miesiącach, spędzonych pod tym dachem, wciąż jestem dla pani obcy?

Elżbieta również siedziała nad robótką. Przechyliła głowę udając, że napina muślin. Ale ręka jej drżała, policzki pałały, a łzy -znikły z oczu. Zapłonęła w nich niepohamowana ciekawość, gdy spytała:

–Cóż my wiemy o panu?

–Co państwo wiecie o mnie? – powtórzył spoglądając to na Elżbietę, to na łagodną twarzyczkę Luizy, która słuchała z widocznym zainteresowaniem. – Co państwo wiecie? Tyle czasu mieszkam: w tym domu i pani mnie nie zna?

–Oczywiście, znamy pana. Nazywają pana Oliwer Edwards, i jak

słyszałam, powiedział pan mej przyjaciółce, pannie Grant, że jest pan Indianinem...

–Elżbieto! – wykrzyknęła Luiza rumieniąc się po uszy i dygocąc ja liść osiki. – Nie rozumiałaś mnie. Ja tylko... tylko... tak przypuszczałam. A poza tym, gdyby nawet pan Edwards był spokrewniony z Indianami, czy moglibyśmy mieć mu to za złe? Czy jesteśmy od nich lepsi? Przynajmniej ja, córka biednego, bezdomnego pastora, nie czuję się wcale lepsza.

–Nie, Luizo, pokora zawiodła cię zbyt daleko. Nikt nie może się wywyższać nad córkę duchownego. Ani ja, ani pan Edwards nie dorównujemy ci, chyba – dorzuciła z uśmiechem – że pan Edwards jest zakonspirowanym królem. •

–^ To racja. Wierny sługa Króla Królów nie ustępuje przed nikim na ziemi – powiedziała Luiza... – Ale tylko on sam, ja zaś jestem córką biednego, samotnego człowieka, i nic więcej. Czyż miałabym się uważać za wyższą od pana Edwardsa tylko dlatego... dlatego... że jest dalekim, bardzo dalekim krewnym Johna Mohegana?

Edwards wymienił z Elżbietą znaczące spojrzenia, gdy Luiza broniąc go, bezwiednie zdradziła się niechęcią, jaką budziła w niej myśl o pokrewieństwie ze starym wodzem.

–Po namyśle muszę przyznać, że moja sytuacja w tym domu jest dość dwuznaczna – powiedział Edwards – choć mogę powiedzieć, że okupiłem ją własną krwią.

–Niech pan doda: krwią jednego, z panów tej ziemi! – wykrzyknęła Elżbieta, najwidoczniej niezbyt wtórzając w indiańskie pochodzenie Edwardsa.

–Czy znać po mnie moje pochodzenie? Jestem smagły, ale nie czerwony... ponad miarę.

–W tej chwili jest pan bardzo czerwony.

--Sądzę – wtrąciła Luiza – że się pani dobrze nie przyjrzała panu Edwardsowi. Jego oczy nie są tak czarne jak Mohegana czy nawet pani. Tak samo włosy.

–A więc i ja mogę mieć tę samą krew w żyłach. To sprawiłoby mi wielką ulgę. Wyznam bowiem, że bali mnie widok starego Mohegana, który błąka się tutaj jak duch jednego z dawnych właścicieli tej ziemi i rozumiem, że moje prawa do niej są bardzo małe.

–Naprawdę? – wykrzyknął młodzieniec, a gwałtowność tego okrzyku zaskoczyła

obie panie.

–Naprawdę –! po chwili odparła Elżbieta ochłonawszy ze zdziwienia. – Ale cóż na to poradzę! Co poradzi mój ojciec? Gdybyśmy nawet, zechcieli przytulić starego pod naszym dachem, nie zgodziłby się na to. Nie jesteśmy też tak naiwni, by poważnie myśleć o obróceniu osad i pól w puszcę, o czym tak marzy Skórzana Pończocha.

–Pani ma rację – powiedział Edwards. – Cóż państwo możecie zrobić? Alę jest coś, co mogłaby pani uczynić po objęciu tych pięknych dolin... Niech pani użyje swych bogactw na złagodzenie doli biedaków i nędzarzy... tak, nic więcej nie może pani zrobić.

–Będzie to miłosierny czyn – powiedziała Luiza uśmiechając się z kolei. – Ale na pewno znajdzie się ktoś, kto panią w tym wyręczy.

–Nie wyrzekam się małżeństwa jak niejedna gąska, która zresztą

0 niczym innym nie marzy od rana do nocy. Ale tu żyję jak mniszka, choć ślubów nie składałam. Gdzie w tej puszczy znajdę męża?

–Tu, proszę pani, nie ma nikogo godnego pani – szybko zaczął Edwards. – Wiem też, że zaczeka pani na kogoś równego sobie albo umrze tak, jak pani żyła – kochana, szanowana i uwielbiana przez wszystkich.,,

Najwidoczniej przekonany, że powiedział to, czego wymagało dobre wychowanie, wstał, wziął kapelusz i szybko wyszedł z pokoju. Luiza sądziła jfednak, że powiedział więcej, niż trzeba, westchnęła bowiem lekko

1 znów pochyliła się nad robótką. W pokoju zapanowała cisza – dowód, jak wiele ożywienia może wprowadzić do rozmowy dwóch dziewcząt w osiemnastej wiośnie obecność dwudziestotrzyletniego młodzieńca.

Pierwszą osobą, którą Edwards spotkał, był adwokat, z grubym zwojem papierów pod pachą i zielonymi binoklami na nosie, zaopatrzonymi w boczne szkła, jakby po to, by łatwiej mógł przejrzeć wszelkie podstępny i oszustwa.

–Dzień dobry panu – powitał go Edwards., – Znosi się na gorący dzień we dworze.

–Dzień dobry, panie Edwards, dzień dobry, mój panie. Tak, istotnie znosi się na pracowity dzień.

–Czy ma pan jakieś ważne dokumenty do kopiowania i czy mogę panu w tym pomóc?

–Oczywiście mam dokumenty (jak pan sam to widzi, ma pan przecież młode oczy) w

tym pliku, które trzeba będzie skopiować.

–Pójdę więc z panem do biura i wezmę te, które są najbardziej potrzebne, W nocy skopiuję je, jeśli są naprawdę pilne.

–Zawsze chętnie pana widzę u siebie albo w jakim innym miejscu. Lecz dokumenty są ściśle poufne (a jako takie, nie mogą być przez każdego czytane) i jeśli nie będzie innej wskazówki' (a może ją dać tylko sędzia Tempie), nikt ich nie ujrzy, oczywiście z wyjątkiem tego, który z obowiązku (myślę o prawnym obowiązku) musi je widzieć.

–Rozumiem. Nie mogę się na nic przydać. Jeszcze raz zatem życzę panu powodzenia. Proszę jednak pamiętać, że teraz jestem zupełnie wolny, może więc pan zechce polecić moje służby panu sędziemu. Chętnie pojedę w każdą część świata byle... byle... niezbyt daleko od Templeton. ; '..

–Powtórzę mu to w pańskim imieniu (pańskimi słowami) jako pański pełnomocnik. Do widzenia panu... jeszcze chwila, panie Edwards. Czy pan życzy sobie, bym zaproponował panu sędziemu wysłanie pana na podstawie umowy o pracę (za którą wynagrodzenie otrzyma pan z dołu w ściśle ustalonych terminach), czy też na zasadzie umowy o dzieło. W tym wypadku wynagrodzenie (zależnie od umowy stron) przypadnie panu po wywiązaniu się z zadania.

–Jak pan sobie, życzy – odparł Edwards. – Jest strasznie zgnębiony i chciałbym mu pomóc.

–Pobudki są szlachetnej przynoszą panu zaszczyt. Tajemnica osnuwająca osobę Edwardsa czyniła go podejrzanym

dla adwokata, a sam Edwards zbyt już się przyzwyczaił do podobnych ostrożnych i dwuznacznych słów, by go one dotknęły. Wyczuł, że adwokat chce zachować tajemnicę nawet przed prywatnym sekretarzem sędziego. Pożegnali się przy bramie; adwokat z poważną ; miną podążył do swego biura.

" Edwards chwilę patrzył za adwokatem, a gdy drzwi zamknęły się za nim powrócił do dworu i starał się zapomnieć o wszystkim, pilnie oddając się swym codziennym obowiązkom.

Kiedy sędzia znów zjawił się wśród swych najbliższych, był dziwnie smutny. Lecz cudowne wiosenne zmiany w przyrodzie zrobiły swoje. Chwilowe przygnębienie sędziego ustąpiło i z nadejściem lata uśmiech' znów zawitał na jego ustach.

W czasie gdy sędziego trapiło zmartwienie, Ryszard starannie' unikał najmniejszej

wzmianki o swym tajemniczym projekcie, który najwidoczniej jednak nie dawał mu spokoju. Sprawa musiała być paląca

sądząc z częstych poważnych i poufnych konferencji z jothamem, którego poznaliśmy w oberży Pod Śmiałym Dragonem.

Wreszcie szeryf odważył się napomknąć sędziemu o swym projekcie. Pewnego wieczoru, na początku lipca, Marmaduk zgodził się wybrać nazajutrz na upragnioną przez Ryszarda wycieczkę.

Mów, najdroższy ojcze! Słowa twe szumią jak wietrzyk zachodu.

Ciepłego i pięknego ranka obaj panowie dosiedli koni i właśnie mieli ruszyć na wyprawę, która tak długo korciła Ryszarda, gdy Elżbieta i Luiza wyszły z sieni ubrane do pieszej wycieczki.

–Co to, wybierasz się na spacer, Bess? – • zapytał sędzia wstrzymując na chwilę konia i uśmiechając się z ojcowską dumą na widok pięknej i czarującej córki, – Gdzie masz parasolkę, dziewczyno? Słońce i wiatr opalą ci czoło, jeśli nie będziesz uważała.

–To tylko wyjdzie na dobre naszemu pokrewieństwu – uśmiechnęła się Elżbieta. – Każda kobieta mogłaby pozazdrościć rumieńców kuzynowi Ryszardowi. Na razie nie ma między 'nami wielkiego podobieństwa i nikt nie powie, że jesteśmy dziećmi rodzonych sióstr.

–Wnukami, chcesz powiedzieć, kuzynko -. rzekł szeryf. – W drogę, sędzio! *Czas nie czeka. Posłuchaj mojej rady, a za rok zamówisz dla córki parasolkę z jej wielbłądziej chustki na szczerosre-brnym stelażu. Dla siebie niczego nie żądam. Zawsze byłeś mi dobrym przyjacielem, a poza tym wszystko, co mam, i tak pewnego smutnego dnia odziedziczy Bess.

–Cierpliwości, Dickonie, cierpliwości – odparł sędzia ściągając cugle i znów zwracając się do córki.:- Jeśli idziesz w góry, kochanie, nie zagłębiaj się w las, bo choć to czasem uchodzi bezkarnie, jest jednak niebezpieczne.

–Ale nie latem, ojcze – rzekła Elżbieta. – Chciałyśmy pospacerować po górach. *

–Teraz jest bezpieczniej niż w zimie, kochanie, lecz lepiej nie zapuszczać się daleko.

Edwards, uważnie przysłuchiwał się tej rozmowie. W rękę trzymał wędkę, bo piękny dzień i jego wyciągnął z domu. Gdy jeźdźcy odjechali, podszedł do dziewcząt, które już szły w stronę bramy, i właśnie miał coś powiedzieć, gdy Luiza przystanęła i odezwała się:

–Elżbieto, pan Edwards czegoś sobie od nas życzy.

Elżbieta Zatrzymała się i odwróciła. Ruch był uprzejmy, lecz nieco chłodna mina zbiła młodzieńca z tropu.

–Pan sędzia jest niezadowolony, że pani sama idzie w góry. Jeżeli moja opieka...

–Czy mój ojciec polecił panu Oliwerowi Edwardsowi wyrazić mi swe niezadowolenie? – przerwała mu Elżbieta.

–Na Boga! Pani mnie źle zrozumiała. Niezręcznie się wyraziłem. Powinienem był powiedzieć, że sędzia lęka się o panią. Służę jemu, a więc i pani. Powtarzam, że jeśli pani sobie życzy, zostawię wędkę, wezmę strzelbę i pójdę z panią.

–Dziękuję, panie Edwards, ale gdzie nie ma niebezpieczeństwa, nie trzeba ochrony. Nie sądzę, byśmy musiały chodzić po tych górach ze strażą przyboczną. A gdybyśmy nawet potrzebowały opieki, to ją marny.*. Zuch do nogi... Chodź tu, mój dzielny Zuchu!

Olbrzymi brytan wyszedł z budy.

Elżbieta ruszyła dalej, ale po paru krokach przystanęła i dorzuciła pojednawczo:

–Może nam pan oddać równie wielką usługę, i chyba w przyjemniejszy dla siebie sposób, przynosząc do obiadu wiązkę pańskich ulubionych okoni.

Nawet się nie obejrzała, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobiła na Edwardsie jej odmowa, ale zanim doszły do bramy, Luiza obróciła się kilkakrotnie i spojrzała na troskliwego o ich los chłopca.

–Boję się, Elżbieto, żeś go uraziła. Stoi na miejscu oparty o wędkę. Pewnie myśli, że jesteśmy bardzo dumne.

–Słusznie tak myśli! – wykrzyknęła Elżbieta, jakby budząc się z zadumy. – Słusznie myśli. Jesteśmy zbyt dumne, by jakiś młodzian niewyraźnego pochodzenia tak nam nadskakiwał. Dobry sobie! Chce nam towarzyszyć w naszej intymnej przechadzce. Tak, Luizo, to duma, ale duma kobieca.

Oliwer przez kilka długich minut stał oparty na wędce, tak jak Luiza widziała go po raz ostatni. Potem z władczą miną wyszedł na ulicę i udał się nad jezioro do miejsca, gdzie stały łódki sędziego. Tu

skoczył w jedną z nich, chwycił za wiosła i silnym szarpnięciem mocnych ramion skierował ją ku chatce Skórzanej Pończochy.

Wyciągnął wiosła z wody, a łódka z rozpędu wcięła się w ląd i stanęła kołysząc się lekko na poruszonej wodzie. Wtedy uważnie rozejrzał się na wszystkie strony i przyłożył do ust małą gwizdawkę. Długi, ostry świst przeciął powietrze i skonał echem w skałach z chatką. Na ten głos psy Natty'ego wybiegły z budy i zaczęły wyć przeciągle i żałośnie szaleńczo szarpiąc się na mocnych smyczach z kozłowej skóry.

–Leżeć, Hektor, leżeć! – uspokoił je i gwizdnął jeszcze przeraźliwiej. Nie dostał żadnej odpowiedzi, a psy słysząc znajomy głos powróciły do budy. Młodzieniec wepchnął łódkę dalej na brzeg, wyskoczył i podszedł do chatki.

Po kwadransie wyszedł, mocno zamknął drzwi i łagodnie przemówił do psów, które słysząc znajomy głos wyszły z budy. Stary Hektor uniósł łeb począł węszyć i wyć żałośnie. Słysząc go było chyba o milę.

–Ha, co ty tam czujesz, weteranie puszczy? – zapytał Ed-wąrd. – Jeśli to zwierz, to śmiałek, a jeśli człowiek – to zuchwalec...

Mówiąc to przeskoczył przez wierzchołek obalonej sosny leżącej obok i wdrapał się na skalny występ osłaniający chatę od południa. Zdążył jeszcze dojrzeć Hirama, który z niezwykłą jak na architekta chyżością znikł w krzakach.

–Co go tu sprowadza? – mruknął Oliwer. – Chyba tylko ciekawość, ta nagminna choroba lasów. Ale przed tym potrafię się ustrzec, nawet gdyby psy nabrały sympatii do jego wstrętnego oblicza i wpuściły go bezkarnie.

Tak monologując wrócił do drzwi i zamknął je dodatkowo na łańcuch i kłódkę.

–Taki kauzyperda musi wiedzieć, czym pachnie włamanie – powiedział.

Zszedł na, brzeg, zepchnął łódkę, chwycił za wiosła i wypłynął na jezioro.

Z minutę siedział niezdecydowany, czy łowić tutaj nie spuszczać chatki z oczu, czy też, w poszukiwaniu lepszej zdobyczy, płynąć dalej. Rozglądając się wkoło dostrzegł małe, jasne czółno swych towarzyszy, kołyszące się na drugim ze wspomnianych przez nas łowisk. W czółenku dojrzał Mohegana i Skórzaną Pończochę.

Stary Indianin przyjaźnie skinął mu głową, ale nie wyciągnął węd-

ki z wody ani nie przerwał swego zajęcia. Edwards bez słowa przymo- epwał łódkę do czołna, założył przynętę i zarzucił wędkę.

–Czyś zajrzał po drodze do chatki? – zapytał Natty.

–Tak. Wszystko w porządku, tylko ten cieśla i sędzia, pokoju w jednej osobie, pan Doolittle, myszkuje w pobliżu. Odchodząc zabezpieczyłem drzwi. Chyba będzie się bał podejść do psów.

–! To marny człowiek;- odparł Natty wyciągając okonia i zakładając na haczyk nową przynętę. – Diabełną ma ochotę dostać się do chatki i niemal mi to powiedział prosto w oczy.

–Boję się, że większy z niego szelma niż głupiec – powiedział Edwards. – Zrobił sobie powolne narzędzie z tego ograniczonego człowieka, szeryfa, i zobaczycie, że swoim wścibstwem sprawi nam jeszcze dużo kłopotu.

–Jeśli się będzie ciągle włóczył koło chatki, zastrzelę łajdaka – spokojnie odparł Skórzaną Pończocha.

–Natty, pamiętaj o prawie – ostrzegł go Edwards. – Napytasz sobie Jbiedy, a to, człowieku, byłoby dla nas wszystkich wielkim zmartwieniem. ! ! •. –

–Naprawdę, chłopcze? – zapytał wzruszony, myśliwy przyjaznym okiem patrząc na młodzieńca. – Masz w sobie szlachetną krew.

–Jest Delawarem i moim bratem – rzekł Mohegan. – Młody Orzeł jest dzielny i będzie dobrym wodzem. Nie spotka go nic złego.

–Dobrze, już dobrze! – zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.– Dajcie spokój, przyjaciele. Wcale nie jestem taki, za jakiego mnie macie, ale jestem wam szczerze oddany. Na śmierć i życie. Mówmy o czym innym.

Dla starych myśliwych wola młodzieńca była jakby prawem. Zamilkli więc i przez chwilę panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w pławiki, aż Edwards, zdając sobie sprawę, że to on powinien przerwać milczenie, odezwał się, byle coś powiedzieć:

–Pięknie wygląda to. spokojnie i połyskujące jezioro.

–Znam Otsego od czterdziestu pięciu lat- – odparł Natty – i muszę powiedzieć, że w całym kraju nie ma wód czystszych i bogatszych w ryby! Ongi miałem. Je tylko dla siebie. Cóż to.były za czasy! John tu bywał i może zaśwιάczyć.

,Na to wezwanie Mohegan odwrócił swe ciemnie oblicze. Ładnym, płynnym ruchem ręki przytaknął Natty'emu i odezwał się po dela-warsku:

–Kraj należał do mego narodu, a myśmy oddali go naszemu bratu na radzie przy ognisku... daliśmy go Pożeraczowi Ognia. A co Delawarzy raz komuś dali, nie odbiorą mu, póki woda płynie w rzekach. Sokole Oko palił fajkę przy owym ognisku rady, bośmy go kochali.

–Nie, nie, Johnie – rzekł Natty. – Nie byłem żadnym wodzem, bo jestem prostak i białą mam skórę. Mówię ci, chłopcze, że wtedy było tu gdzie polować i tak by zostało, gdyby nie pieniądze Marmadu-ka i różne prawne kruczki.

–Włóczyć się po tych górach lub pływać po cudnej tafli wody i nie widzieć żywej duszy, do nikogo się nie odzywać i od nikogo nie usłyszeć złego słowa... Musiała to być prawdziwa rozkosz, nie pozbawiona jednak smutku – powiedział Edwards błędząc wzrokiem po brzegu jeziora i po górach, gdzie złociste pola pszenicy – widomy znak ludzkiego życia-urozmaicały zieloność puszczy.

–Kiedy po raz pierwszy przybyłem do puszczy, dręczyła mnie samotność. Wtedy szedłem w góry Catskill* i parę dni spędzałem na szczycie, by spojrzeć na ludzi. Ale teraz od lat już mam spokój, a na łażenie po górach jestem za stary. Mam też tu kącik, niecałe dwie mile za tą górką, w którym ostatnio lepiej się czuję niż w górach. Więcej w nim drzew i bardziej jest dziki.

–Gdzie to jest? – zapytał Edwards szczerze zaciekawiony słowa-ni Natty'ego. x

–Jest to wodospad w górach. Wody dwóch małych sąsiadujących stawów występują z brzegów i poprzez skały spływają w dolinę. Nurt mógłby poruszyć młyn, gdyby kto potrzebował takiej rzeczy, na nic w puszczy niezdatnej. A przecież ręka, która stworzyła wodospad, nigdy nie stworzyła młyna. Woda wije[^] się tam i kręci między skałami.

–Nigdy nie słyszałem o takim wodospadzie. Żadna książka

o nim nie wspomina.

–Jak żyję, nie czytałem książki – odrzekł Skórzana Pończocha. – Skąd jakiś mieszczuch lub uczonek mógłby wiedzieć o cudach puszczy? Nie, mój chłopcze. Rzeka ta płynie od stworzenia świata

1 widziało ją tylko paru białych. Skały wkoło niej wznoszą się jak półkolisty mur i piętrzą się nad pięćdziesięciostopową głębią. Kiedy więc siedzę u stóp pierwszego progu, a moje psy myszkują po jaski-

niach pod drugim progiem, wydają mi się nie większe od królików. Na mój rozum,

chłopcze, jest to najpiękniejszy zakątek puszczy, jaki kiedykolwiek widziałem.

–Pięknie mówisz, Skórzana Pończocha! – wykrzyknął młodzieniec. – Krew w tobie zagrała na wspomnienie tego widoku. Kiedyś tam był po raz ostatni?

Myśliwy nie odpowiedział. Schylił się nad wodą, powstrzymał oddech i uważnie słuchał jakiegoś oddalonego dźwięku. W końcu uniósł głowę i rzekł:

–Gdybym sam nie uwiązał psów nowiutkim rzemieniem kozłowym, przysięgłbym na Biblię, że słyszę w górach szczekanie Hektora.

–To niemożliwe – rzekł Edwards. – . Nie dalej jak przed godziną widziałem go w budzie.

Mohegan również dosłyszał szczekanie. Młodzieniec nic jednak nie słyszał prócz odległego ryku bydła w górach na zachodzie, choć pilnie i w ciszy nadstawiał ucha. Spojrzał więc na obu starców: Natty'ego z -dłonią zwiniętą przy uchu i Mohegana, który pochyliwszy się w przód uniósł rękę na wysokość twarzy i zadarł wskazujący palec na znak uwagi. Na ten widok roześmiał się głośno i drwiąc sobie z ich wybujałej fantazji.

–Śmieję się, śmieję – rzekł Skórzana Pończocha. – Psy się wyrwały i tropią jelenie. W tych rzeczach się nie mylę. A nawet za bobrową skórę nie chciałbym, by tak było. Mniejsza o prawo, ale mięso o tej porze jest łykowate. Głupie psiska zmordują się daremnie. Czy teraz je słyszysz?

.Edwards drgnął na głośne ujadanie, które dotąd odzywało się wśród gór, a teraz, zbliżając się coraz bardziej, wyraźnie rozlegało się w lesie, tuż nad brzegiem jeziora. Rozgwar wzrastał i rósł z przeraźliwą szybkością. Przebiegając oczami po gładzi przybrzeżnej wody,, Edwards nagle dostrzegł, jak rozsuwają się gałęzie olszyny i derenia. Po chwili wielki jeleni wybiegł z gęstwiny i skoczył w jezioro. Hektor i suka wypadły za nim i śmiało rzuciły się w pogoń do wody.

Góry Catskill – część Appalachów w stanie Nowy Jork.

13 – Pionicrowic

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Często próbował ślad zgubić

w strumieniu I żar ochłodzić pulsującej krwi.

Thomson

Wiedziałem, wiedziałem! – wołał Natty ujrawszy zwidzę i oba psy. – Koziół szedł z wiatrem i poczciwe psiska nie wytrzymały. Muszę im to wytłuc ze łbów, bo mi ładnego piwa nawarzą. Do nogi..., na brzeg... łajdaki... do nogi! Do nogi! Hektor, do nogi! Czekaście, już ja wam dam... – Psy poznały głos pana i niechętnie, ze strachu zaniechały pościgu. Zatoczyły koło i wróciły na brzeg, gdzie napełniły powietrze głośnym ujadaniem.

Tymczasem jeleni gnany ślepym strachem przepłynął połowę drogi między brzegiem i łódkami i popłynął na ukos, ku środkowi jeziora, najwidoczniej z zamiarem wylądowania na zachodnim brzegu. Gdy mijał łódź z wzniesionymi chrapami i dumnie wygiętą szyją, niczym galera tnąca wodę dziobem, Skórzana Pończocha zaczął się wiercić niecierpliwie.

–Piękne stworzenie! – zawołał. – Co za rogi! Byłoby na czym rozwiesić całą odzież. Czekaście... Lipiec to ostatni miesiąc ochronny i mięso nabiera smaku – mówiąc to, instynktownie odwiązał linę trzymającą czółno w miejscu, przyczepił jej wolny koniec do wiosła, zerwał się na nogi, odrzucił tę boję i krzyknął:

–Naprzód, Johnie! Co sił naprzód! Wariat z tego jelenia! Tak kusić człowieka!

Mohegan błyskawicznie odczepił linę łodzi Edwardsa i uwolnione czółno za jednym pociągnięciem wiosła pomknęło jak meteor.

–Stójcie – krzyczał Edwards. – Pamiętajcie o prawie. Widać was z osady, a sędzia postanowił ścigać każdego, kto. upoluje jelenia w czasie ochronnym. •.,

To napomnienie przyszło za późno. Skórzana Pończocha uniósł strzelbę, podsypał prochu i stał niezdecydowany.

–Co robić, Johnie? – spytał. – Nie godzi się wykorzystywać takiej przewagi nad głupim zwierzęciem. Nie, nie chcę. Wiedziony instynktem, tym Bożym darem, skoczył do wody szukając w niej ratunku. Dajmy mu więc szansę. Złapiemy go, ale będzie się

wykręcał jak wąż. •..

Indianin roześmiał się z tej swoistej ambicji swego przyjaciela i żwawo pchał czółenko, choć w jego rękach więcej było zręczności niż siły. Po chwili wykrzyknął, jak Skórzana Pończocha po delawarsku:

–Hugh! Jeleń odwraca głowę. Sokole Oko, rzuć ościeniem. Natty wychodząc z chatki zawsze zabierał broń, która mogłaby

mu się przydać w łowach. Nigdy nie rozstawał się ze swoją strzelbą. Obecnie usłuchał rady Mohegana, podniósł oścień i puścił go przed siebie niby strzałę. Ale w tej samej chwili jeleń zawrócił. Długa rękojeść broni przemknęła obok niego, stalowe ostrze musnęło róg i chybiwszy celu znikło pod wodą.

–W tył wiosłem! – krzyknął Natty, gdy czółno przesunęło się nad miejscem, gdzie zapadł oścień. – Stój Johnie!

Broń, wypchnięta przez wodę, wyskoczyła w górę. Myśliwy zdążył schwycić ją w locie. Indianin zawrócił w miejscu lekkie czółenko i pchnął je w pogoń za zwierzyną. Przez ten czas jeleń zdążył się oddalić, a Edwards – przybliżyć.

–Natty, stój na Boga! – wołał. – Opamiętaj się! Teraz jest okres ochronny.

Rzucił te ostrzeżenia już na miejscu, gdzie jeleń bohatersko walczył z falami to ukazując nad nimi płowy grzbiet, to zanurzając się w wodę aż po szyję. Ten widok porwał młodzieńca.

–Hura! – krzyknął nie bacząc już na głos rozsądku. – Uważajcie na niego... uważajcie. Moheganie, bardziej w prawo, bardziej w prawo, a schwycę go za rogi. Zarzucę mu linę na wieńce.

Czarne oczy Mohegana biegały niespokojnie. Znikła jego starcza gnuśność, z jaką do niedawna siedział w czółnie.

Teraz ruszał się żwawo i zwinnie, a orientował się w lot. Czółno w jego wprawnych rakach kręciło się na wodzie jak bańka powietrzna w wirze. Chyba ze dwadzieścia razy ścigany zwierz i uganiający się za nim myśliwi przemknęli tuż koło jego łodzi, niemal w zasięgu wiosła, nim wreszcie Edwards wpadł na myśl, że najlepiej nie ruszać się z miej-

sca, uchwycić odpowiedni moment i wtedy dopiero pomóc myśliwym.

Nie czekał długo. Ledwie wpadł na ten pomysł i stanął w łódce, zobaczył, że zwierzę śmiało płynie wprost na niego, chcąc najwidoczniej wydostać się na ląd nieco dalej od psów, które warcząc i szczekając uwijały się po brzegu. Schwycił więc linę łodzi, zadzierzgnął na niej pętlę i silnym rzutem zdołał oplatać jeden z rogów jelenia.

Przez chwilę jeleni ciągnął łódkę, ale czólenko błyskawicznie przecięło mu drogę. Natty wychylił się za burtę i poderżnął gardło pojma-nemu zwierzęciu. Krew trysnęła z rany i zabarwiła wody jeziora. Jeleń resztkami sił walczył o życie, a myśliwi tymczasem złączyli łódki i po chwili Natty wyciągnął nieżywe już zwierzę i roześmiał się w swój szczególny sposób. •

–Co mi tam prawa Marmaduka Tempie! – zawołał. – To rozgrzewa krew, co Johnie? Od dawna już nie upolowałem kozła w jeziorze. Chłopie, co to będzie za pieczeń! A znam ludzi, którzy gotowi są oddać wszystkie nowomodne cuda tego kraju za taki wspaniały comber. | ' t

Podniecające polowanie ożywiło starego Indianina. Ręką drżącą ze zmęczenia po tak niezwykłym wysiłku lekko dotykał jelenia i wreszcie powiedział, jak to mówią Indianie – z naciskiem i znacząco:

–Dobre.

–Obawiam się, Natty – rzekł Edwards, gdy minęło pierwsze podniecenie -| że zadarliśmy z prawem. Trzymajmy jednak język za zębami, bo nie ma tu nikogo, kto by nas zdradził. Ale jak psy wydostały się na wolność? Były mocno przywiązane. Sam próbowałem rzemie- j ni, gdy byłem przy chacie.

–Zwęszyły jelenia i pokusa była za silna – odparł Natty. – Patrz, resztki rzemieni jeszcze wiszą u szyi. Johnie, podjedźmy tam. Zawołam je i zbadam sprawę.

Wysiadłszy na brzeg obejrzał strzępy rzemieni i zmarszczył brwi. Kiwając głową powiedział:

–Tu nóż był w robocie. Ani ich nie zerwano, ani ich psy nie przegryzły. Nie, Hektor nie zawinił.

–Przecięto rzemienie! – wykrzyknął Edwards.

–Nie mogę tego twierdzić z całą pewnością, ale powiadam, że ich ani nie rozdarło, ani nie przegryziono.

–Czyżby się ten hultaj cieśla, na to odważył?

–Odważy się na wszystko, jeśli nic nie ryzykuje – rzekł Nat-

ty. – Jest ciekawski i lubi wsadzać nos w cudze sprawy. Ale lepiej zrobi trzymając się z dala od chaty.,

Tymczasem Mohegan z prawdziwie indiańską przenikliwością badał koniuszki rzemieni. Obejrząwszy je na wszystkie strony, odezwał się po delawarsku:

–Przeięto go nożem... ostrym nożem na długiej rączce... człowiek bał się psów.

–Skąd to wiesz, Moheganie? – spytał Edwards. – Przecież tam nie byłeś! Jakże możesz wiedzieć?

–Posłuchaj, synu – odrzekł wojownik, – Nóż był ostry, bo brzegi przecięcia są gładkie. Osadzono go na długiej rączce, bo człowiek nie sięgnąłby ramieniem od tego przecięcia do tamtego zadrapania. A gdyby sprawca nie był tchórzem, przeciąłby rzemień tuż przy szyi.. !

–Na Boga! – wykrzyknął Natty. – John jest na tropie. To zrobił cieśla. Wlazł na skałę za budą i przeciął rzemień nożem przywiązany do kija. Nietrudną to sprawa, gdy się ma złe zamiary.

–Po co by to zrobił? – pytał Edwards. – Czego może chcieć od dwóch starców?

–Trudno odgadnąć, chłopcze, co kieruje ludźmi, od czasu gdy osadnicy wprowadzili tu swoje nowe zwyczaje. Ale czy ten człowiek rzeczywiście nie ma u nas nic do szukania? Może działa w cudzym imieniu, jak to już nieraz robił.

–Masz rację. Dajcie mi czołno. Jestem młody i silny i może jeszcze zdążę pokrzyżować jego plany. Niech Bóg broni, byśmy się znaleźli na łasce tego nicponia.

Prędko przenieśli jelenia na łódkę i nie minęło pięć minut, jak lekkie czołenko, zwolnione od ciężaru ubitego zwierzęcia, pomknęło po lśniącem jeziorze. Niebawem, płynąc wzdłuż brzegu, skryło się za występem lądu..

Mohegan wolno ruszył łódką za czołnem, a Natty przywołał psy, zarzucił strzelbę na ramię i począł wchodzić na górę, by lądem dojść do chatki.. "

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

O, nie pytajcie, co czuje dziewczyna W strasznej godzinie tak bardzo samotna
Może jej rozum burzyć się zaczyna,
A może – lęku gdy bije godzina – Jakaś w niej rozpacz wraz się ustokrotnia.

Scott

Podczas tego polowania na jeziorze Elżbieta z Luizą spacerowały po górach. Nie potrzebowały męskiej opieki, bo nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby ktoś zaczepił tu kobietę, która nie dała do tego powodu.

Szły drogą biegnącą nieco powyżej chatki Skórzanej Pończochy, skąd doskonale było ją widać.

Wiedzione jakimś silnym instynktem, obie przyjaciółki w częstych i szczerych zwierzeniach unikały rozmowy na temat młodzieńca, który dziwnym trafem wszedł w ich życie. Młodzieniec początkowo okazywał pewien chłód, a nawet szorstkość, gdy więc potem jego maniery nieco straciły na ostrości, sędzia przypisał to zbawiennemu wpływowi swego domu. Kobiety pod tym względem są bardziej przenikliwe: to, czego nie dojrzał swym zimnym okiem sędzia, łatwo dostrzegła jego wrażliwa córka. W tysiącu drobiazgów cywilizowanego życia stwierdziła ona, że Edwards wie, jak się znaleźć, choć nieraz miewał wyskoki, które przypisywała jego pierwotnej i niepohamowanej naturze. Warto może wspomnieć, że Luiza знаła inną miarę człowieka niż jego salonowe maniery. Kierując się odmienną oceną wyciągnęła własne wnioski.

*- Wiele bym dała, by się dowiedzieć, co widziały te bierwione ściany – powiedziała Elżbieta odrzucając w tył ciemne loki i śmiejąc się z dziecinną prostotą, rzadko widoczną na jej twarzączce.

Obie patrzyły na samotną chatkę pod nimi. Panna Grant po chwili uniosła swe łagodne oczy i rzekła:

–Jestem pewna, że nie powiedziałyby nic złego o panu Edwar-dsie.

–Być może.,Ale kto wie, czyby nie powiedziały nam, kim jest.

–Przecież wiemy wszystko. Słyszałam, jak pani kuzyn tłumaczył...

–Nasz szeryf! On zawsze wszystko wie. Gotów nawet pewnego dnia odkryć kamień filozoficzny. A co mówił?

–Co mówił? – powtórzyła zdziwiona Luiza. – Coś bardzo przekonującego i sędzę, że miał rację. Mówił, że Natty większość życia spędził w lasach wśród Indian i u nich poznał starego Johna, wodza Delawarów.

–Naprawdę? To mi wygląda na Dickona. I co dalej?

–Ich przyjaźń przypisywał temu, że Skórzana Pończocha ocalił Johnowi życie w jakiejś bitwie.

–Bardzo prawdopodobne – rzekła Elżbieta zaczynając się niecierpliwić. – Lecz co to ma do rzeczy?

–Elżbieto, musisz się pogodzić z moją naiwnością. Bądź cierpliwa. Opowiem ci wszystko, co pamiętam z ostatniej rozmowy szeryfa z moim ojcem. Szeryf mówił, że angielscy królowie mieli swych agentów wśród Indian i że byli to ludzie lepszego stanu, czasem nawet oficerowie armii królewskiej, którzy nieraz połowę życia spędzali w puszczy.

–Zadziwiająca historyczna ścisłość! No, i co dalej?

–Och! Nic... Szeryf mówił, że agenci rzadko się żenili i... że byli to niemoralni ludzie. Mówił, że owi agenci nieraz bardzo dbali o wykształcenie swych dzieci i że często posyłali je nawet do Anglii, do szkół. Tym tłumaczył dobre maniere i wykształcenie Edwardsa. Przyznawał, że pod względem wiedzy nie ustępuje on twemu ojcu, mnie czy nawet jemu samemu.

–To już szczyt wiedzy! Według szeryfa zatem Mohegan byłby stryjecznym dziadkiem albo i dziadkiem Oliwiera Edwardsa?

–Wspominał ci już o tym?

–Mówi różne rzeczy. Ale nie o tym. Ryszard, jak wiesz, o wszystkim ma swoje własne teorie. Czy może jednak wytłumaczyć, czemu ta chata jest jedyną w promieniu pięćdziesięciu mil siedzibą ludzką szczelnie zamkniętą dla każdego?

–Nigdy nic o tym nie mówił. Ale ja myślę, że oni po prostu są bardzo biedni i boją się o swój uczciwie zapracowany dobytek. Czasem niebezpiecznie jest być bogaczem, ale ty na pewno nie wiesz, co to jest bieda, ciężka bieda.

–Sądzę, że i ty nie wiesz. W tym kraju obfitości chyba żaden sługa kościoła nie zna biedy.

–Och, Elżbieto, widać, że życie cię oszczędzało. Mój ojciec długie lata był misjonarzem w nowym kraju wśród biednych parafian i często brakło nam chleba. Nie mieliśmy za co go kupić, a wstydziliśmy się prosić, by nie poniżyć świętego stanu. Ojciec często wyjeżdżał w imię obowiązku, którego nie mógł zaniedbywać dla spraw domowych, i zostawiał nas głodnych i chorych. Wydawało się nam, że opuszcza nas jedyny przyjaciel na ziemi.

–'! Ale teraz już to minęło. Dochody twego ojca z pewnością wystarczają na wszystkie wasze potrzeby... chyba... powinny...

–Wystarczają – rzekła Luiza opuszczając głowę, by ukryć łzy, które mimo głębokiej religijności spływały jej po policzkach. – Bo już tylko o mnie musi się troszczyć.

Myśl przyjaciółek pobiegła teraz w zupełnie innym kierunku. Przejęła je litość i ból, Elżbieta objęła Luizę, która nie mogła już powstrzymać głośnego łkania. Gdy się trochę uspokoiła, otarła łzy z łagodnej twarzyczki i obie dziewczyny ruszyły dalej.

Kiedy wspięły się na szczyt, zeszły z dróżki i znalazły się w cieniu majestatycznych drzew. Dzień był upalny, toteż, rozgrzane drogą pod górę, z przyjemnością zoczyły w chłodny las. Nagle Elżbieta przystanęła i zawołała:

–Słyszysz? Dziecko płacze w górach! Czy jest tu w pobliżu jakiś wyręb? A może jakiś malec zabłądził?

. – r. Takie rzeczy rzadko się zdarzają – odparła Luiza. – Chodźmy zobaczyć. Może to jakiś wędrowiec kona z głodu "na tej górze. Naglone obawą, szybkim krokiem poszły w kierunku płaczliwych głosów dolatujących z głębi lasu. Niecierpliwa Elżbieta parę razy omal nie krzyknęła, że widzi dziecko, gdy nagle Luiza schwyciła ją za rękę i wskazała na psa idącego za nimi.

–Spójrz! – krzyknęła.

Zuch przez cały czas, od chwili gdy opuścił budę na wezwanie swej pani, ani na krok, jej nie odstępował. Dawno już się zestarzał i zgnu-śniał, kładł się więc, ilekroć jego pani przystawała, ale kiedy Elżbieta odwróciła się na krzyk Luizy, ujrzała, że pies bacznie się wpatruje w coś przed sobą. Łeb spuścił prawie do ziemi, a sierść'nastroszył ze strachu czy gniewu. Był raczej zły, bo głucho warczał i pokazywał zęby tak groźnie, że mógłby przestraszyć nawet swą panią, gdyby go

dobrze nie znała.

–Cicho, Zuchu! – powiedziała Elżbieta. – Cicho, co tam widzisz?

Głos pani tylko podniecił psa. Skoczył przed obie dziewczyny i siadł u stóp Elżbiety warcząc jeszcze głośniej i wyrażając gniew w groźnych, krótkich szczęknięciach. Odwróciła głowę i ujrzała Luizę bladą jak trup i drżącą ręką wskazującą w górę. Spojrzała więc szybko w tym kierunku i zobaczyła groźny pysk i pałające, okrutne, wpatrzone w nią ślepie rysicy, czającej się do skoku.

–Uciekajmy! – krzyknęła chwytając Luizę za rękę. Ale Luiza osunęła się zemdlna na ziemię.

Elżbiecie nawet przez myśl nie przeszło, że mogłaby uciec i zostawić przyjaciółkę w takim niebezpieczeństwie. Uklękła przy zemdlonej i szybkimi ruchami rozpięła jej sukienkę, by ułatwić oddech, a jednocześnie głosem dodawała odwagi psu, swemu jednemu obrońcy.

–Śmiało, Zuchu! – wołała drżącym głosem. – Odwagi, odwagi, Zuchu!

Czteromiesięczne rysiątko, dotąd ukryte w listowiu, zeskoczyło z konaru drzewka rosnącego w cieniu buka, na którym siedziała stara. Niedoświadczone, ale zło stworzenie podeszło do psa, ruchami i pomrukiwaniem naśladując matkę. Była to dziwna mieszanina kocich przymi-lań z dzikością rysia. Zbliżywszy się do Zucha stanęło na tylnych łapach i darło korę pazurami przednich jak figlujący kociak. A potem bijąc ogonem po bokach, mrużąc i drapiąc ziemię, poczęło udawać gniew, tak straszny u starych drapieźników.

Zuch stał nieruchomo, nieulękły, lekko poddany do tyłu, z krótkim ogonem zadartym do góry. Bacznym okiem śledził obu przeciwników. Każdy nowy figiel rysiątko przybliżał je do niego i wywoływał coraz groźniejszy ryk trojga zwierząt. Aż wreszcie młode przeholowało w skoku i spadło wprost przed pyskiem brytana. Błyskawicznej walce towarzyszył straszliwy ryk. Zuch pochwycił rysiątko w swe potężne szczęki, potrząsnął nim i cisnął z taką siłą, że uderzywszy o drzewo padło na ziemię nieżywe.

Elżbieta widziała każdy szczegół tej krótkiej walki. Dumna była ze swego wiernego przyjaciela. Ale w tej samej chwili dostrzegła rysicę w skoku, z dwudziestostopowej wysokości spadającą wprost na grzbiet psa. Trudno opisać furię tego ataku. Na ziemi pokrytej butwiejącymi liśćmi zakotłowało się, a straszny ryk wstrząsnął powietrzem. Ruchy

rysicy były tak szybkie, a skoki tak zwinne, że wprost fruwała w powietrzu. Pies dzielnie stawiał jej czoło przy każdym nowym zwrocie. Czasem rysicy udało się wskoczyć mu na barki, ale zawsze strząsał ją jak piórko. Szarpany jej pazurami, obficie krwawiąc z licznych ran, stawał na tylnych łapach i bez lęku, z obnażonymi kłami śmiało atakował. Z nowej, dogodnej pozycji rysicy udało się skoczyć na grzbiet sędziwego przeciwnika. Sukces był jednak krótkotrwały, bo pies resztkami sił strząsnął ją z siebie. Elżbieta zdążyła dostrzec, jak Zuch, już konając, wbił zęby w bok rysicy tak mocno, że mosiężna obroża na jego szyi, migocąca w czasie walki, spłynęła krwią. Ale zaraz potem osunął się na ziemię i leżał wyciągnięty, bez ruchu..

Elżbieta znalazła się na łasce straszego zwierza. W twarzy człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, jest podobno jakaś moc, która napawa lękiem niższe istoty. Rzec można, iż i w tym wypadku ta tajemnicza moc wstrzymała groźny cios. Kiedy rysica podeszła do pokonanego wroga, jej oczy spotkały się ze wzrokiem klęczącej Elżbiety. Rysica opuściła łeb i poczęła obwąchiwać swoje małe. Znow porwał ją gniew.

Elżbieta nie chciała – czy nie mogła – się ruszyć. Uporczywie wpatrywała się w straszego wroga. Policzki miała białe jak kreda, usta w pół otwarte z przerażenia. Myślała, że wybiła jej ostatnia godzina. Pochyliła się więc i pokornie czekała na śmierć, gdy nagle raczej wyczuła, niż usłyszała, szelest liści za sobą.

–Pst, pst – doleciał ją szept. – Schyl się, dziewczeczko. Twój kapelusz zasłania mi głowę bestii.

Odruchowo usłuchała niespodziewanego rozkazu i opuściła głowę na piersi. Uszy jej rozdarł huk wystrzału, świst kuli i wściekły ryk rysicy, która tarzając się po ziemi gryzła własne boki i darła pazurami gałęzie pobliskich drzew. W tej samej chwili Skórzana Pończocha podbiegł do Elżbiety i zawołał:

–Hektor, do nogi! Do nogi, stary wariacie! To twarde zwierzę i może jeszcze skoczyć.

Natty bez lęku stał przed dziewczętami i spokojnie ładował strzelbę, mimo że zraniona rysica rzucała się szaleńczo i groźnie, jakby siły jej wracały. Potem podszedł do rozwścieczonego drapieżnika, przyłożył mu lufę do głowy i zabił go drugim strzałem.

Elżbiecie wydało się, że zmartwychwstała wraz ze śmiercią rysicy.

Tymczasem Luizę ocucono odrobiną wody, którą Natty w czapce przyniósł z jednego z licznych górskich źródełek. A podziękowania były tak gorące, jakich można się było spodziewać po charakterze Elżbiety. Natty przyjął te wybuchy wdzięczności dobrodu-

szenie.

–Dobrze już, dobrze – mówił. – Dajmy spokój, panienko. Chodźmy... wyprowadzę panie na drózkę, bo pewnie najadłyście się tyle strachu, że chcecie jak najprędzej być w domu.

Mówił to już w drodze, gdy dostosowując krok do słabszych sił Luizy, szli ku drężce. Gdy doszli tam, dziewczęta pożegnały się ze swym wybawcą oświadczając, że dalej mogą już iść same. Widok osady, niby obraz leżący u ich stóp z przeźroczytym jeziorem na pierwszym planie, wijącymi się strumieniami po bokach i licznymi białymi kominami, dodał im odwagi.

Skórzana Pończocha stał na szczycie i patrzył za odchodzącymi, dopóki nie skryły się za zakrętem dróżki. Potem gwizdnął na psy, zarzucił strzelbę na ramię i zawrócił w las.

–Jak się masz, Natty! – wykrzyknął pan Doolittle, jak oparzony wyskakując z krzaków na widok wycelowanej w siebie strzelby. – Co to? Polujesz latem? Człowieku, pamiętaj o prawie.

–Prawo, mój panie? Od czterdziestu lat żyję w przyjaźni z prawem – odparł Natty. – Bo i cóż, żyjąc w puszczy, mógłbym zrobić bezprawnego.

–Niewiele, istotnie, niewiele – rzekł Hiram. – Ale czasem trudnisz się polowaniem. Chyba wiesz, że ustawa przewiduje karę pięciu funtów albo dwunastu i pół dolara według systemu dziesiętnego, dla każdego, kto poluje między styczniem a sierpniem. Sędzia wziął sobie do serca tę ustawę i nie daruje nikomu.

–Czegóż mógłbym się spodziewać od człowieka, który się tu rządzi jak szara gęś.

–Prawo jest wyraźne. Zdaje mi się, że słyszałem twoje psy ujadające w pogoni za zwierzem. Oby tylko nie wpędziły cię w biedę.

–Znają swoje obowiązki – beztróska odparł Natty. – Ale ile z tej kary dostaje donosiciel?

–Ile? – powtórzył Hiram drżąc mimo woli pod szczerym, choć ostrym spojrzeniem

**Natty'ego. – Za dostarczenie wiadomości otrzymuje połowę kary, tak...
przypuszczam... tak, myślę, że połowę. Widzę krew na twym rękawie... nic dziś nie
upolowałeś?**

'i i

–Upolowałem, owszem – Natty znacząco kiwnął głową. – I był to dobry strzał.

–Hm... – chrząknął głośno sędzia pokoju. – A gdzie zwierzyna? Myślę, że to coś dobrego, bo twoje psy nie rzucą się na byle co.

–Rzucą się na wszystko, na co im każę! – ^ wykrzyknął Natty zaszczycając Doolittle'a swym szczególnym śmiechem. – Nawet na pana skoczą, gdy je poszczuję. Do nogi, Hektor, do nogi! Do nogi, suko, chodźcie tu, małe... tu.

–Och, zawsze słyszałem, że pańskie psy to dobre stworzenia – odrzekł Doolittle, niespokojnie przebierając nogami, gdy psy węszyły koło niego. – A gdzie masz pan zwierzynę?

–Tam leży. Smakowałoby panu to mięso?

–To! – wykrzyknął Doolittle. – Przecież to Zuch, pies sędziego! Skórzana Pończocho, uważaj. Nie zadzieraj z panem Tempie. Chyba nie zrobiłeś psu nic złego.

–Niech się pan sam przekona – odrzekł Natty i wyjąwszy nóż z pochwy począł go zręcznie wecować o skórzane spodnie. – Czy wygląda na to, żem mu poderżnął gardło?

–Fatalnie rozdarła gardziel! Straszna rana... nie od noża. Kto go tak urządził?

–Rysie, które leżą za panem.

–A gdzie jeleni? – krzyknął oszołomiony Hiram rozglądając się wkoło. – Czyś nie zabił jelenia?

–Jelenia? Kiedy prawo zabrania? – pytał stary myśliwy. – Ale rysia chyba można zabić?

–Za skalp rysia wyznaczono nawet nagrodę...

Tymczasem Natty siadł na ziemi, położył sobie groźny łeb rysia na kolanach i wprawną ręką przeciągnął nożem po skórze wokół uszu. Potem jednym ruchem ściągnął zwierzęciu cały skalp wraz z uszami.

–Jak to, panie – mówił przy tym – czyś pan nigdy nie widział skkalpu rysia? Jest pan przecież sędzią i chciałbym, by mi pan kazał wypłacić nagrodę.

–Nagrodę – powtórzył Hiram biorąc skalp w koniuszki palców, jakby się wahał, co dalej począć. – A więc dobrze – rzekł nagle. – Chodźmy do twojej chatki, Skórzana Pończocho. Złożysz przysięgę, żeś zabił rysia, a ja napiszę ci polecenie wypłaty. Chyba masz w domu Biblię? Będą nam potrzebne tylko cztery ewangelie i Modlitwa Pańska. Więcej prawo nie wymaga.

–Nie mam żadnych ksiąg – chłodno odparł Natty. – takiej Biblii, jakiej wymaga prawo. Ale po co panu przysięga, kiedy pan był świadkiem? Przyglądał się pan, jak skalpowałem rysia i jeszcze panu mało? Jeśli już mam przysięgać, to przed sędzią Tempie.

–I Ale nie mamy ani papieru, ani pióra. Musimy więc pójść do chatki, bo jakże napiszę zlecenie?

Natty obrócił swe szczere oblicze ku chytremu podsędkowi i znów roześmiał się cicho.

–A cóż ja bym robił z piórem i papierem? Nie umiem się z nim obchodzić. Nie, najlepiej zrobię przynosząc skalpy do osady, tam w biurze wystawi mi pan dokument według pańskich prawniczych ksiąg. Niech diabli porwą ten rzemień na szyi psa! Gotowe się psisk^o udusić. Może mi pan pożyczyć noża.

Hiram, który za wszelką cenę chciał pozostać w dobrych stosunkach ze Skórczaną Pończochą, usłuchał bez namysłu. Natty uciął resztki rzemienia na szyi Hektora i zwracając nóż właścicielowi zauważył obojętnie:

–Dobry kawałek stali. Pewnie przedtem przecinał podobny rzemień.

–Posądzasz mnie o 'spuszczenie twoich psów! – wykrzyknął Hiram, w poczuciu winy zapominając o ostrożności.

–Spuszczenie psów... – powtórzył Natty. – Sam to zrobiłem-Zawsze je spuszczałem przed wyjściem z domu.

Oslupienie, z jakim Hiram wysłuchał tego kłamstwa, zdradziłoby jego winę, gdyby Natty jeszcze o niej wątpił. Teraz, oburzony do głębi, przestał panować nad sobą.

–"Niech no pan posłucha, panie Doolittle <- powiedział uderzając kolbą o ziemię. – Nie wiem, czego pan szuka u takiego biedaka jak ja. Ale oświadczam panu stanowczo, że za moją zgodą pańska noga nigdy nie przekroczy progu tej chatki, a jeżeli nie przestaniesz pan wałęsać się w pobliżu, spotka pana gruba przykrość.

–A ja panu powiem, Bumppo -• rzekł Hiram cofając się szybko – żeś pan złamał prawo. Wiem o tym i jako człowiek trybunału zapewniam pana, że jeszcze dziś pan za to odpowie.

–Kicham na pańskie prawo i pańską osobę! – krzyknął Natty pogardliwie przytykając palcami. – Zmykaj, nędzna glisto, nim diabeł mnie skusi, bym ci dał, na coś zasłużył.

W szlachetnym oburzeniu zawsze jest coś, co nakazuje posłuch-

Hiram wolał nie prowokować dalej myśliwego. Wziął więc nogi za pas i zniknął w lesie. Natty wrócił do chatki. Na podwórzu zastał wszystko w zupełnym porządku. Przywiązał psy, zastukał do drzwi, a gdy Edwards mu otworzył, zapytał:

–Czy wszystko w porządku, chłopcze?

–Tak – odparł młodzieniec. – Ktoś próbował zamków, ale nie dał im rady.

* – Wiem kto – odrzekł Natty.– Ale teraz przez jakiś czas będzie się trzymał z dala od mojej strzelby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Trąbią naokół, że skarbów nia góry.

„Tymon Ateńczyk”

Marmaduk wyjechał z kuzynem za bramę z sercem przepelnionym taką miłością do córki, że wolał milczeć, Ryszard zaś był niezwykle poważny i godny.

–No, więc co, Dickonie – powiedział. – Ustąpiłem bez sprzeciwu, sądzę więc, że powinieneś mi już powiedzieć, dokąd to jedziemy tak uroczyście.

Szeryf chrząknął głośno i rzekł:

–Od urodzenia, że tak powiem, nie zgadzaliśmy się pod jednym względem, drogi sędzio. Nie mówię, że to twoja wina, bo człowiek ani nie może odpowiadać za wrodzone wady, ani nie powinien się szczyścić przyrodzonymi zaletami.

–Zastanawiam się, pod jakim to jednym względem możemy się różnić. Bo mnie się wydaje, że różnimy się tak bardzo i tak często.

–Zupełnie logicznie – przerwał szeryf. – Wszystkie nasze małe nieporozumienia wynikają z jednej przyczyny. Z odmiennych poglądów na potęgę geniusza. †

–Na co?

–Chyba mówię wyraźną angielszczyzną. A przynajmniej powinienem, bo mój ojciec, który mnie uczył, mówił...

–Po grecku i łacinie – tym razem Marmaduk przerwał szeryfowi.– Wiem doskonale, jakich to poliglotów miałeś w rodzinie. Ale... do rzeczy. Dokąd dziś jedziemy?

–Nie trzeba ograniczać mówcy, jeśli sprawę na się rozpatrzyć wszechstronnie – ciągnął szeryf. – Ty sędzio, uważasz, że człowiek z natury czy z racji wykształcenia może tylko jedną funkcję pełnić dobrze: Natomiast ja twierdzę, że geniusz może wynagrodzić wszystkie braki i że są ludzie, którzy z każdego zadania wywiążą się doskonale.

m

\$mm 2o|||

–Tak jak ty, co? – uśmiechnął się Marmaduk.

–Nie mówię o obecnych, Marmaduku. O sobie milczę, ale w twoim okręgu jest aż trzech ludzi obdarzonych przez naturę wszechstronnym talentem, alć działających na różnych polach. Jednym z tych ludzi jest Hiram Doolittle. Jotham Riddel, to drugi.

–Ten wiecznie niezadowolony niedołęga i leń. Spekulant, który co trzy lata przenosi się do innego stanu, co sześć miesięcy z farmy na farmę, a co kwartał zmienia zajęcia. Wczorajszy rolnik, dzisiejszy szewc i jutrzejszy nauczyciel? To żywe wcielenie wszystkich złych skłonności osadnika bez żadnych ich dodatnich cech dla przeciwwagi? Nie, Ryszardzie, to miernota... A kto trzeci?

–Trzeci nie przywykł do słuchania podobnych krytyk i dlatego nie wymienię nazwiska.

–Wniosek z tego taki, że trio, w którym ty grasz pierwsze skrzypce, dokonało jakiegoś wielkiego odkrycia.

–Wcale nie mówiłem, że należę do tej trójki. Jak ci już powiedziałem, drogi sędzio, nie mówię o sobie. Ale odkrycia dokonano, a ciebie powinno ono bardziej zainteresować. – Wiesz, Duku – ciągnął dalej Ryszard – że w twoim okręgu jest pewien jegomość znany pod nazwiskiem Natty Bumppo. Ten człowiek mieszka tu, jak się dowiedziałem, z górą czterdzieści lat... do niedawna samotnie, a teraz w dość dziwnym towarzystwie. W ciągu ostatnich paru miesięcy jego towarzyszami byli: pewien indiański wódz, ostatni albo jeden z ostatnich członków swego plemienia, ongi zamieszkującego te ziemie, oraz pewien młodzieniec, o którym mówią, że jest synem agenta białych i Indianki. Otóż ten młodzieniec jest bardzo uzdolniony... Tak. Ma to, co ja nazywam wielkim talentem... jest też wykształcony, nie brak mu towarzyskiej ogłady i umie się zachować, gdy chce. Powiedzże mi teraz, drogi sędzio, co mogło zetknąć razem takich trzech ludzi, jak Natty Bumppo, Indianin John i Oliwer Edwards?

Marmaduk w najwyższym stopniu zdziwiony odwrócił się do kuzyna i bez namysłu odpowiedział:

–Poruszyłeś sprawę, nad Którą sam się nieraz zastanawiam. Ale czy udało ci się uchylić rąbka tajemnicy, czy też są, to tylko bezpodstawne domysły?

–Nic bezpodstawnego, Duku, wcale nie bezpodstawne. Same fakty, nieodparte fakty. Jak wiesz, w tych górach są cenne kruszce. Sam nieraz o tym mówiłeś. (

–Rozumując analogiami, Ryszardzie. Bez żadnych konkretnych dowodów.

–Mówiono ci o tym i pokazywano próbki kruszców, mój panie. Ternu nie zaprzeczysz. A rozumując analogiami, jak sam mówisz, czemu nie miałyby być cennych złóż w Ameryce Północnej, skoro są w Południowej?

–Wcale się nie spieram, kuzynie. Nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że jest tu cyna i srebro albo, co ważniejsze, węgiel...

–Do licha z węglem! – krzyknął szeryf. – Kto tam będzie szukał węgla w lasach. Nie, Duku, srebro. Tylko srebro wchodzi w rachubę i srebra musimy szukać. Słuchaj: nie potrzebuję ci mówić, że Indianie od dawna znali srebro i złoto, któż więc lepiej od starych mieszkańców kraju może wiedzieć, gdzie szukać tych kruszców. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że i Mohegan, i Skórzana Pończocha od dawna znają sekret jakiejś starej kopalni w tych górach.

Szeryf dotknął czulego miejsca. Marmaduk zaczął słuchać uważniej, a on wyczekał chwilę, by ujrzeć, jakie wrażenie wywarło jego niezwykle odkrycie, i ciągnął dalej:

–Nadstaw ucha – mówił Ryszard bacznie rozglądając się wokoło, czy ich aby kto nie podsłuchuje zza drzewa, choć nie przystanęli nawet na chwilę. – Widziałem na własne oczy Mohegana i Skórzaną Pończochę, idących w góry ze szpadlami i motykami. Inni widzieli, jak o zmroku chyłkiem nieśli coś do chaty. To był kruszec. Teraz pytam cię, mój drogi, kim jest ten pan Oliwer, którego od świąt przyjąłeś w poczet najbliższych domowników?

Marmaduk wznosił oczy, potrząsnął głową i milczał.

–Wiemy, że jest mieszańcem, bo Mohegan otwarcie nazywa go swym krewnym. Wiemy też, że jest wykształcony. Ale co go tu sprowadza... Pamiętasz, na jakiś miesiąc przed jego zjawieniem się Skórzana Pończocha znikł na dłużej. Niezawodnie pamiętasz, boś się nawet o niego pytał. Potrzebowałeś trochę zwierzyny dla swych przyjaciół, gdyś wyjeżdżał po Bess. Nie można go było znaleźć. W chatce został tylko stary John, a kiedy Natty wrócił, wrócił także nocą ciągnąc za sobą saneczki, takie jakimi się wozi ziarno do młyna. Bardzo ostrożnie wyładował z nich coś okrytego niedźwiedzią skórą. Pozwól, że cię zapytam, kochany sędzio, co za powody mogły skłonić takiego człowieka jak Skórzana Pończocha do zrobienia sobie saneczek i ciągnięcia ich

14 – Pioniero

z ładunkiem przez góry, jeśli cały jego ruchomy majątek to strzelba, proch i kule?

–Takimi saneczkami często przewozi się ubitą zwierzynę, a sam' mówiłeś, że nie było go przez parę dni.

Czymże by ją zabił? Jego strzelba była w osadzie w naprawie. Nie, mój drogi, on był na niezwykłej wyprawie, to pewne. Że przywiózł sobie coś tajemniczego, to jeszcze pewniejsze. A że nikomu nie pozwala zbliżyć się do swej chatki, to już absolutny pewnik.

–Zawsze był odludkiem...

–O tym wiem – przerwał Ryszard. – ! Ale czy przedtem odpędzał ludzi od drzwi aż tak opryskliwie? W dwa tygodnie po jego powrocie zjawia się Edwards. Całe dni spędzają razem w górach niby to polują, ale naprawdę – szukając kruszcu. Mróz przeszkadza im kopać, młodzieniec korzysta więc ze szczęśliwego dla Siebie wypadku, by się wygodnie ulokować we dworze. Ale nawet teraz połowę czasu spędza w chatce Skórzanej Pończochy – wiele godzin co noc. Wytapiają srebro, Duku. Gdy ty biedniejesz, oni się bogacą.

–Ile w tym jest twego własnego zdania, a ile pochodzi od innych? Chcę oddzielić ziarno od plew.

Marmaduk starannie począł więc rozważać rzecz całą... Po zastanowieniu się przypomniał sobie parę dziwnych wydarzeń, które jakby potwierdzały podejrzenia, a że sprawa łączyła się z jego słabostką, chętnie dał wiarę Ryszardowi. Czerpiąc zachętę z pionierskiej pracy zawsze wybiegał myślą naprzód marząc o innowacjach, jakie przyszłe pokolenia dokonają w jego włościach. Tam gdzie inni widzieli tylko bory, on oczami duszy widział miasta, fabryki, mosty, kanały, kopalnie i cały postęp cywilizacji, mimo iż zdrowy rozsądek nie pozwalał mu zbytnio się nad tym rozwodzić.

Szeryf słówkiem nie przerwał sędziemu rozmyślań, a ten coraz głębiej zastanawiając się nad wszystkim zaczynał wierzyć, że to interes łączy Edwardsa z mieszkańcami chatki. Ale że zwykł starannie rozpatrywać wszystkie za i przeciw, począł głośno myśleć: 1 – Gdyby tak było, młodzieniec nie znalazłby się na skraju nędzy.

–Nędza właśnie pobudza do szukania pieniędzy! – zawołał szeryf.

–Poza tym godność osobista, którą Oliwer zawdzięcza swemu | wykształceniu, nie pozwoliłaby mu na podstępne działanie.

–Czy człowiek niewykształcony potrafiłby wytapiać srebro?

–Ryszardzie – rzekł sędzia odwracając się do kuzyna. – Wiele przemawia przeciw tym domysłom, ale trzeba wyjaśnić twoje podejrzenia. Dokąd jedziemy?

–Ostatnio Hiram i ja kazaliśmy myszkować Jothamowi po górach. Zrobił on pewne odkrycie, o którym nie chce mówić, bo, jak twierdzi, jest związany słowem. Jednakże z jego półsłówek wynika, że wie, gdzie szukać kruszcu. Dziś zaczął kopać, ale że ziemia należy do ciebie, Duku, nie mogę na to zezwolić bez twojej wiedzy. Teraz już wiesz, po co jedziemy. Ha! Nazywam to założeniem kontrminy!

!- Gdzieś jest to cudowne miejsce"? – pół żartem, pół serio zapytał sędzia.,,

–Tuż, tuż. A gdy je obejrzymy, pokażę ci inne, znalezione przez nas przed tygodniem i eksploatowane od sześciu miesięcy przez naszych myśliwych.

–Rozmawiali dalej, a ich wierzchowce przedzierały się pod konarami drzew, kłusując po nierównym, górskim terenie. Wkrótce ich droga dobiegła kresu. Jeźdźcy stanęli na miejscu, gdzie Jotham aż po szyję siedział w wykopanym dole.

–Marmaduk drobiazgowo wypytał go, czemu przypuszcza, że właśnie tu znajdują się złoża cennego kruszcu. Kopacz za nic w świecie nie chciał zdradzić tajemnicy. Zapewniał, że dobrze wie, co robi, i z pełną wiarą, poważnie pytał, jaki dostanie udział, jeżeli jego poszukiwania się powiodą.

Jotham szukał srebra na przeciwległym stoku góry, wznoszącej się nad chatką Skórzanej Pończochy. Ten zaś wraz z towarzyszem obrał sobie miejsce po drugiej stronie tej samej góry, tuż nad drogą i w przeciwległym kierunku niż wybrany przez obie panienki na przechadzkę.

–Nikt nam nie przeszkodzi – powiedział Ryszard, gdy zeskoczyli z *siodeł i przywiązali konie. – Rozstając się z Jothamem spojrzałem przez lornetkę i zobaczyłem Johna ze Skórzaną Pończochą łowiących ryby na jeziorze. Oliwer robi to samo. Ale to może być podstęp. Musimy więc szybko się uwijać, bo przykro byłoby, gdyby nas tu zastali.

–Na mojej własnej ziemi? – obruszył się Marmaduk. – Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, muszą mi wyjaśnić, czemu kopią.

–Śza! – Ryszard przyłożył palec do ust i stromym zejściem sprowadził Marmaduka do naturalnej skalnej jaskini, z kształtu przypominającej wielkie palenisko. Całe wnętrze było niewątpliwie świeże:

wyraźnie widać było ślady motyki, tam gdzie -illCKt ołowianego stawiała opór kopaczom. Jaskinia miała J* skała kol°ru szerokości, a w głąb sięgała około czterdziestu stóp J^dzieścia stop jak na zwykłą kopalnię, ale to przez czysty przypadku ^a za wysoka stanowiła lita skała wybiegająca w postaci okapu dalek' stroP bowiem ziemią. Całość robiła wrażenie czegoś dzikiego, surow **ac^ wydoby^ czonego, bo szeryf, rozglądając się wkoło po krzakach * n*e dok°n' narzędzia, którymi się posługiwano. ' Odkrył jeszcze

Pozwoliwszy sędziemu napatrzeć się do syta, Rys?. czystym tonem: r<4 zapytał

–Sędzio Tempie, czy teraz już się pan przekon

–Tak. Dzieje się tu coś dziwnego. To tajemnic>

trze ukryte. Ale nie widzę śladu srebra. tniejsce i

–Czy pan liczy, że znajdzie pan złoto i srebro w

jak piasek? Wybite dolary i srebrne dziesięciocentówu- e na wierZ U

–Sędzia dokładnie przyjrzał się jaskini, zanotow i " ^ §ot°W?' ły w notesie, by w razie czego trafić tu bez Ryszard So':)ie szczeg0" ciii do koni. Uą, i obaj wró-

Na drodze rozstali się: szeryf pojechał zebrać d\vi "sprawiedliwych" jako sędziów przysięgłych na ponie{7^estu czterecn której miał przewodniczyć Marmaduk. On zaś podążvi^a^cow3 seS^' myślając nad tym, co słyszał i widział. *3o domu r°z~

W miejscu, gdzie droga schodziła w dolinę, ujrzał ny widok, który tak niedawno podzielał kojąco na w ejl sam dziewcząt, ale w zamyśleniu nie dostrzegł jego piękn ^rzone cugle, zdał się na pewnego w nogach konia i roz\va> Puścił tym może być coś więcej, ni* "•!"- *

ROZDZIA Ł T R Z Y D Z I E S T

–W

niż

głośno:

y ęj, pyp^s^

się ponieść sentymentom przyjmując nieznanego młOci. dach... ale my tu nie jesteśmy podejrzliwi. Muszę ^ I^ńca pod Pończochę i paroma sprytnymi pytaniami wydobyć ^^

W tej chwili dostrzegł Elżbietę i Luizę wolno Sci eg p Dał więc ostrogę koniowi, podjechał do obu panienki ^dzące z ziemię i poprowadził wierzchowca wąską ścieżynką.O* zeskoczył słuchając opowiadania o strasznym niebezpieczeństw] Elżbiecie, i o jej niespodziewanym ocaleniu, zapomniał 5 szcach o pfi h i i

wzruszeniem gr°zi °

y, pniał

szcach, o pogwałceniu swych praw i zamierzonym ślecj o Nattym widział już w nim nie kłusownika i i^ swego'dziecka.'

cennych

lecz zbawcę

Choć dwór nagradza, prawo nie pozwala.

"Kupiec wenecki"

Pannie Remarkable Pettibone, która dla własnej wygody wolała zapomnieć o zranionej dumie i została we dworze sędziego, kazano odprowadzić Luizę do skromnego domku pastora, szumnie przezwanego przez Ryszarda plebanią, i oddać ją pod opiekę ojca.

Tymczasem Marmaduk ponad godzinę rozmawiał sam na sam z córką.

–Uratował cię w ostatniej chwili! Naprawdę w ostatniej, moje dziecko! – powtarzał sędzia. – A więc nie opuściłaś przyjaciółki, dzielna Bess?

–Starczyło mi odwagi, choć wątpię, czy ucieczka by mi pomogła – odparła Elżbieta. – Nie myślałam jednak o ratunku.

–Nigdy nie przypuszczałem, że podobny drapieżnik żyje jeszcze w naszych lasach. Widocznie głód wyciągnął go z ostępów i...

Przerwało mu głośne pukanie do drzwi, a gdy zawołał, że można wejść, na progu stanął wyraźnie niezadowolony Beniamin, jakby czuł, że ze swoją wiadomością

przychodzi nie w porę.

–Panie sędzio, na dole czeka pan Doolittle – zaczął. – Już z pół klanga dryfuje w pobliżu, bo coś ma do pana. Czy to jest chwila, mówię mu, by przeszkadzać panu sędziemu, który odzyskał córkę wprost z paszczy lwa. Ale ten chłop tyle się zna na delikatności, co Murzyn na kuchni. Dobił już do progu, myślę więc sobie: trzeba panu zameldować, że stoi na redzie.

! – Musi mieć coś ważnego – rzekł Marmaduk. – Pewnie jakąś urzędową sprawę, bo sąd zbierze się niebawem.

–Tak, tak, trafił pan w sedno – wykrzyknął Beniamin.'- Chce

jmm

się poskarżyć na Skórzaną Pończochę, który, na mój rozum, więcej jest wart od niego.

–Na Skórzaną Pończochę! – zawołała Elżbieta zrywając się z miejsca.

–Spokojnie, Elżbieto, spokojnie. Ręczę ci, że to jakieś głupstwo. Chyba wiem, o co mu chodzi. Wierzaj mi, Bess: nie pozwolę zrobić nic złego twemu rycerzowi. Beniaminie, wprowadź pana Doolittle'a.

Elżbieta uspokoiła się, ale nie spuszczała swych czarnych oczu z architekta, który natychmiast wszedł do pokoju.

Przekroczywszy próg Hiram z miejsca pozbył się swej niecierpliwości. Przywitał się z sędzią i z Elżbietą, usiadł na wskazanym mu krzeselku i z minutę, w milczeniu, z godnością odpowiadającą swemu urzędowi, gładził się po czarnej czuprynie. Wreszcie powiedział:

–Słyszałem, że panna Tempie miała dziś w górach niebezpieczne spotkanie z rysiem i że- ledwie uszła śmierci.

Marmaduk nie odpowiedział, tylko uprzejmie skinął głową. Hiram zaś mówił dalej:

–Podobno za ubicie rysia ustanowiono nagrodę. Skórzana Pończocha gotów nieźle zarobić.

–Dopilnuję, by mu wypłacono nagrodę – odparł sędzia.

–O tak. Nikt tu nie wątpi o sprawiedliwości pana sędziego. Czy pan szeryf zdecydował już, co będziemy robili: czy pulpit, czy stalle pod ambonę?

–Nic mi kuzyn o tym nie mówił.

–Zdaje się, że. najbliższa sesja sądu będzie nudna. Słyszałem, że Jotham Riddel i człowiek, który nabył jego gospodarstwo, zgodzili się na sąd polubowny. Pozostanie więc na wokandzie najwyżej ze dwie sprawy cywilne.

–Ogromnie się z tego cieszę – rzekł sędzia. – Nic mnie tak nie martwi jak pieniactwo osadników. Szkoda na to czasu i pieniędzy. Miejmy więc nadzieję, że ma pan rację. Czy są jakie sprawy karne?

–Fałszerzy pieniędzy – odparł Hiram. – Przyłapano ich na gorącym uczynku, chyba więc pójdą pod sąd. A w czasie ostatniego Dnia Niepodległości doszło do różnych scysji. Nie jestem pewien, czy nie wynikną z tego jakieś prawne konsekwencje.

Ludzie też przebaczą o jednym czy dwóch jeleniach upolowanych w czasie ochronnym przez' myśliwych gdzieś na zachodzie okręgu.

–Tego nie można puścić płazem! – zaperzył się sędzia. – Już

ja dopilnuję, by szanowano prawo, i nie przebaczę żadnemu z tych rabusiów.

–Wiedziałem, że pan sędzia tak myśli, i po części to mnie tu sprowadza.

–Pana! – wykrzyknął Marmaduk błyskawicznie orientując się, że wpadł w sprytnie zastawione sidła. – A cóż pan ma do powiedzenia.

–Ano wydaje mi się, że Natty Bumppo ma tej chwili w swej chatce ubitego jelenia. Przychodzę więc po to, by uzyskać nakaz rewizji.

–Ach, o to panu chodzi! Ale pan wie, że prawo wymaga, aby mi ktoś przysięgą poparł zarzut, zanim wydam nakaz rewizji. Mieszkanie obywatela to rzecz święta.

–Chyba mógłbym sam przysiąc – Hiram miał minę niewzruszoną – a na dworze czeka Jotham, gotów do złożenia takiej samej przysięgi.

–A więc niech pan wystawi nakaz. Jest pan przecież sędzią. Po co mi pan zawraca tym głowę.

–Bo jest to pierwsza sprawa tego rodzaju, a wiem, jaką pan sędzia przywiązuje wagę do nowych praw. Myślałem, że najlepiej będzie, jeśli pan podpisze nakaz. Poza tym całymi dniami siedzę w lesie w sprawie budulca i nie chciałbym mieć wroga w Skórzanej Pończosze. Panu zaś, przy pańskim autorytecie, nic nie może grozić.

Elżbieta odwróciła się od nieubłaganego oskarżyciela i powiedziała:

–Czegóż uczciwy człowiek mógłby się obawiać ód tak szlachetnej istoty jak Natty Bumppo?

–Równie łatwo, panienko, wycelować w sędziego jak w rysia. Ale jeśli pan sędzia nie chce wystawić nakazu, wrócę do domu i sam go sporządzę.

–Nie odmawiam panu – rzekł Marmaduk widząc, że może narazić na szwank swą opinię sprawiedliwego i bezstronnego człowieka. – Niech pan idzie do mego biura, zaraz tam przyjdę i podpiszę nakaz.

Hiram wyszedł, a sędzia powstrzymał protesty Elżbiety kładąc jej dłoń na ustach.

–To brzmi groźniej, niż wygląda – powiedział. – Myślę, że Skórzana Pończocha istotnie ustrzelił jelenia, bo sezon łowiecki już się niemal zaczyna, a mówiłaś, że polował w górach z psami, gdy tak szczęś-

liwie przyszedł ci na ratunek. Chodzi tylko o przetrząśnięcie jego chatki i znalezienie ubitej zwierzyny. Nikt ci nie zabroni zapłacić kary z własnej kieszeni. Widzę, że ta pijawka się nie uspokoi, dopóki nie wysie dwunastu i pół dolara. Chyba moje opinia sprawiedliwego sędziego warta jest tej sumy.

Uspokojona Elżbieta pozwoliła ojcu odejść i dotrzymać obietnicy danej Hiramowi.

Wychodząc z gabinetu Marmaduk spotkał Edwardsa, który wielkimi krokami, podniecony, szedł ku dworowi ścieżką wysypaną żwirem. Ujrawszy sędziego podszedł bliżej i zapominając o swej zwykłej powściągliwości wobec niego zawołał żywo:

–Z głębi duszy wieszuję panu, panie sędzio. Włosy stają mi dęba na myśl, co mogło się stać. Właśnie idę z chatki, gdzie stary Natty pokazał mi skalpy i na samym końcu powiedział, jak uratował obie panie. Doprawdy, nie mogę znaleźć słów dla wyrażenia mych uczuć... – umilkł nagle, jakby zdał sobie sprawę, że przekroczył dopuszczalne granice i zakończył zaferowany -...uczucie na myśl, co groziło panie... Grant i... pańskiej córce.

–Dzięki ci, Oliwerze. Jak sam powiedziałaś, strach o tym myśleć. Chodź, pójdziemy do Elżbiety. Luiza już poszła na plebanię.

Młodzieniec żywo skoczył naprzód, szarpnął drzwi* z trudem powstrzymał się, by nie wejść pierwszy, i w jednej chwili znalazł się przed Elżbietą.

Dwie godziny minęły im na swobodnej, żywej, szczerzej i prawdziwie przyjacielskiej rozmowie. Elżbieta zupełnie zapomniała o chłodzie, którego przestrzegano w obcowaniu z Edwardsem, a sędzia – o podejrzeniach podjętych dzisiaj rana. Wreszcie Edwards po raz trzeci powtórzywszy, że chce pójść na plebanię, by pogratulować Luizie, pożegnał się i wyszedł.

W tym krótkim czasie przy chatce rozegrały się wypadki, które zniweczyły dobre zamiary sędziego i za jednym zamachem zamknęły krótki okres harmonii pomiędzy nim a Edwardsem.

Uzyskawszy nakaz rewizji Hiram przede wszystkim rozejrzał się za dobrym wykonawcą. Szeryf wyjechał, by osobiście zebrać przysięgłych na sesję. Jego zastępca, który stale rezydował na miejscu, wyszedł w tym samym celu i zawieruszył się gdzieś w ówdzie, a konstabl*

Konstabl tu: policjant.

piastował ten urząd nadany mu tylko przez litość, bo był kulawy. Hiram w tej całej sprawie chciał się ograniczyć do roli widza i zupełnie. nie uśmiechała mu się myśl stanięcia oko w oko ze Skórczaną Pończochą. Jak na złość była to sobota, słońce chyliło się już ku zachodowi, w niedzielę bogobojny sędzia nie wzięby na siebie grzechu przeprowadzenia rewizji, a w t poniedziałek nie byłoby już czego szukać. Na szczęście Hiram dostrzegł leniuchującego Billy Kirby'ego. Na ten widok spryt od razu podpowiedział mu, co robić. Jotham, wspólnik Hirama w tej intrydze, ściągnięty przez niego z gór, nie mniej od swego mistrza podszyty tchórzem, chętnie skoczył po drwala.

Wezwany Billy wszedł do domu Hirama. Ten uprzejmie wskazał mu krzesło, na którym zresztą Billy już się zdążył usadowić, i potraktował go grzecznie jak równego sobie.

–Sędzia Tempie przykłada wielką wagę do prawa- o ochronie zwierzyny – powiedział po wymianie wstępnych uprzejmości. – Właśnie doniesiono mu o ubitym jeleniu. Wydał więc nakaz rewizji i kazał mi wyszukać kogoś, kto by go wykonał.

Kirby, który uważał, że jego umysł idzie w parze z siłą, uniósł w zadumie kosmaty łeb i po kilku chwilach namysłu odpowiedział paroma pytaniami:

–Czy to nie jest sprawą szeryfa?

–Nie ma go.

–A jego zastępca?

–Obaj wyjechali.

–Z godzinę temu widziałem konstabla, włączącego się po osadzie.

–No tak – odparł Hiram uśmiechając się przymilnie i porozumiewawczo kiwając głową – ale to sprawa dla zdrowego mężczyzny, nie dla kaleki.

–Jak to – roześmiał się Billy. – Może dojść do bitki?

–Facet jest skory do zwady, a uważa się za najlepszego w każdej bijatyce.

–Słyszałem, jak się raz chwalił – wtrącił Jotham – że od równiny Mohawku do pensylwańskiej granicy nie ma takiego, kto by mu poradził. ›.

–Naprawdę? – wykrzyknął Kirby podrywając się z miejsca i prostując swą olbrzymią postać, jak lew wstający z legowiska. – Chyba nigdy nie skosztował pięści

–To – powiedział Jotham – to... Prawo nie pozwala nam zdradzić ci nazwiska, dopóki nie podejmiesz się zadania. A nikt tego lepiej nie robi. Jeżeli chcesz zarobić parę groszy, zaraz ci wystawię upoważnienie.

–Ile się za to dostaje? – zapytał Billy kładąc wielką dłoń na otwartym kodeksie, który Hiram wyłożył na stole dla dodania powagi swemu urzędowi. – Czy mi się opłaci skórka za wyprawkę?

–Wcale pokażna kwota.– odparł Hiram.

–Pal lichy pieniądze – roześmiał się Billy. – Czy ten gość naprawdę uważa się za najmocniejszego w pięści? Jakiego jest wzrostu?

–Jest wyższy od ciebie – znów wtrącił Jotham – i jeden z największych...

Gadułów – chciał dodać, lecz niecierpliwy Kirby nie dał mu skończyć. Drwal nie wyglądał ani na brutala, ani na zabijakę. W jego powierzchowności przeważała dobroduszna próżność. Dumny był ze swej siły, jak każdy, kto się nie może pochwalić niczym lepszym. Wyciągnął więc przed siebie potężną rękę dłonią w dół i powiedział, przyglądając się napiętym mięśniom i wystającym kościom:

–Jazda! Dawajcie waszą'książkę. Złożę przysięgę i zobaczycie, że jej dotrzymam.

Hiram nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać i czym prędzej odebrał przysięgę. Zaraz potem trzech mężczyzn wyszli z domu i najbliższą drogą udali się ku samotnej chatce. Doszli do jeziora, zboczyli z gościńca i dopiero wówczas Billy połapał się, że teraz może już żądać ujawnienia tajemnicy.

–Dokąd idziemy, mój panie, dokąd? – zawołał. – Sądziłem, że chce pan, bym przeszukał dom, nie las. Tu, po tej stronie jeziora nikt nie mieszka w promieniu sześciu mil, jeśli nie liczyć chatki Skórzanej Pończochy i starego Johna. Powiedzcie mi, o kogo chodzi, a ręcę, że was przeprowadzę krótszą drogą, bo znam każde drzewko na dwie mile od Templeton.

–Dobrze idziemy – odparł Hiram wskazując przed siebie i przyspieszając kroku, jakby się bał, że Kirby gotów się rozmyślić.'- Chodzi o Bumpo.

Kirby stanął jak wryty i wybałuszył oczy na swych towarzyszy. Po chwili roześmiał się na całe gardło i zawołał:

–O kogo? O Skórzaną Pończochę? Chłop może się chwalić strzelbą i okiem. W tym

nikt mu nie dorówna. Od czasu kiedy ustrzeł

gołębia, oddaję mu pierwszeństwo. Ale w bójce!... Zegnę go w dwóch palcach i owinę sobie koło szyi. Ma już siedemdziesiątkę, a nigdy nie był za mocny.

–To skryty człek jak każdy myśliwy – powiedział Hiram. – Jest silniejszy, niżby się zdawało... i ma strzelbę.

–Strzelbę! – wykrzyknął Billy. – Ani mnie nie postrzeli, ani ucieknie. To dobry człowiek i muszę powiedzieć, że w całym okręgu on ma największe prawo do jelenia. Z tego tylko żyje. A w naszym wolnym kraju każdy może pójść za swoim powołaniem.

–Gdyby tak było, to każdy mógłby zabijać jelenie – wtrącił się Jotham.

–To jest jego powołanie, mówię – odparł Kirby – a prawa nie stworzono dla takich jak on.

–Prawo obowiązuje wszystkich jednakowo – odezwał się Hiram, przerażony, że mimo chytrego podstępu ryzyko wyprawy może spaść na niego – i jest bardzo surowe dla tych, którzy łamią przysięgę.

–Niech no pan posłucha, panie Doolittle – rzekł beztroski drwal – mało dbam o pańskie groźby i przysięgi. Ale skoro się już tego podjąłem, pójdę i pogadam ze staruszką, a może upieczemy sobie razem porządny kawał jeleniego mięsa.

–Jeżeli się panu uda załatwić wszystko pokojowo, tym lepiej – odparł Hiram. – Wcale nie przepadam za bijatyką i zawsze wolę rozsądek od pięści.

Szli szybko, niebawem więc znaleźli się przed chatką Skórzanej Pończochy. Drwal przyłożył ręce do ust i huknął całą pierśią, aż psy wyskoczyły z budy, a Natty wysunął łysawą głowę zza drzwi.

–Hej, Skórzana Pończochy! Mam tu interes do ciebie – zawołał Kirby. – Urzędnicy napisali mały liścik i zapłacili mi, żebym ci go doręczył.

–Co możesz mieć do mnie? – zapytał Natty. Wszedł za próg i osłoniwszy oczy ręką przed zachodzącym słońcem, uważnie przyglądał się swemu gościowi. – Nie mam lasu do wyrębu i Bóg mi świadkiem, że wolałbym zasadzić sześć drzew niż wyciąć jedno. Do nogi, Hektor! Marsz do budy!

–Naprawdę, mój stary? – huknął Billy. – Dla mnie to lepiej. Ale wróćmy do sprawy. Oto pismo dla ciebie, Skórzana Pończochy. Czytaj go, jeżeli umiesz, a jeżeli nie – mamy pod ręką pana Doolit-

tle'a. Powie nam, o co chodzi, ale zdaje mi się, żeś się pomylił w datach. Wzięłeś dwudziestego lipca za pierwszego sierpnia.

Tymczasem Natty dojrzał już chudą postać Hiram ukrytą za obaloną sosną i od razu zeszywniał. Wyraźnie stał się nieufny i zły. Wsadził głowę do chaty i szepnął parę słów, a potem znów się odwrócił i powiedział:

–Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Wynoście się, pókim dobry. Nic mi do ciebie, Billy Kirby, po co więc nachodzisz starego człowieka, który nie zrobił ci nic złego?

–Pokonałeś mnie w strzelaniu, przyznaję to bez wstydu – powiedział drwal. – Nie mam o to najmniejszego żalu, Natty, ale wydaje się, że dziś strzeliłeś o jeden raz za dużo. Ludzie mówią, że zabiłeś kozła.

–Dziś strzeliłem tylko dwa razy i oba razy do rysia – odparł Skórzana Pończocha. – Spójrz, oto skalpy. Właśnie miałem je zanieść do sędziego, by mi wypłacił nagrodę.

To mówiąc podał drwalowi uszy rysia zdarte wraz ze skórą. – Hiram, ośmielony przykładem swego konstabla, odważył się podejść bliżej. Przybrał godną minę odpowiadającą jego urzędowi i wtrącił się do rozmowy. Przede wszystkim głośno odczytał nakaz rewizji z patosem akcentując najważniejsze fragmenty i kładąc nacisk na podpisie sędziego.

–Czy rzeczywiście sędzia Tempie podpisał się na tym świstku? – pytał Natty kiwając głową. – Ano, widać ten człowiek kocha nowe prawo, różne swoje ulepszenia i ziemię bardziej niż rodzone dziecko. Nie mam żalu do dziewczyny, oczy ma jak sarna! Biedactwo, nie wybierała sobie ojca i nic na to nie może poradzić. Nie znam się na prawie, panie Doolittle, co pan teraz chce robić po odczytaniu tego dokumentu?

–Pozostała nam tylko zwykła formalność, Natty – przyjacielsko zaczął Hiram. – Pozwól nam wejść i obgadać sprawę spokojnie. Mogę ci powiedzieć, że nie będzie trudności z karą, bo jak wywnioskowałem, sędzia zapłaci za ciebie.

Stary myśliwy, nie ruszając się z progu chatki, od samego początku bacznie śledził każdy ruch swych niezwykłych gości, a jego stanowcza mina wskazywała, że łatwo nie ustąpi. Gdy Hiram podsunął się bliżej, jakby liczył na zgodę, Natty ruchem ręki kazał mu odstąpić.

–Czy panu już nie mówiłem, byś mnie nie kusił? – powie-

dział. – Nikomu nie wchodzę w drogę, czemu więc prawo nie pozostawia mnie w spokoju? Odejdźcie, odejdźcie i powiedzcie sędziemu, że może sobie zatrzymać nagrodę za rysie, ale niech nie wprowadza swoich wstrętnych praw do mojej chaty.

Ta propozycja zamiast uspokoić zapał Hirama, tylko go podnieciła. Kirby zaś krzyknął:

–To rozumiem! Natty, rezygnuje z nagrody, a władza z kary! To dopiero uczciwe i szybkie ubicie "interesu. Lubię, jak coś idzie od ręki, solidnie i po męsku.

–W imieniu narodu amerykańskiego, na podstawie prawomocnego dokumentu i mego urzędu żądam, by mnie wraz z tym konstablem wpuszczono do tego domu – powiedział Hiram uzbrajając się w całą oficjalną powagę.

–Niech się pan cofnie, niech się pan cofnie, bo nie ręczę za siebie – groźnie odparł Natty, rozkazującym ruchem popierając swe słowa.

–Opamiętaj się, byś nie ściągnął na siebie biedy – próbował perswadować Hiram. – Billy, Jotham! Do mnie... będziecie świadczyć.

Pomylił się jednak biorąc łagodną, choć stanowczą minę Natty'ego za rezygnację. Już stawił nogę na progu, gdy Natty niespodziewanie schwycił go za ramiona, uniósł w górę i przerzucił przez niewielki nasyp tak, że odleciał o jakieś dwadzieścia stóp. Gwałtowność tego czynu i siła Natty'ego zaskoczyły przybyszów. Oniemieli na chwilę, ale niebawem Billy wybuchnął śmiechem płynącym z głębi duszy.

–Zuch, stary grzyb! – krzyczał. – Pan sędzia znał cię lepiej. Stawajcie na ubitą ziemię! Po męsku. Ja i Jotham posędzujemy wam.

–Williamie Kirby, spełnij swój obowiązek! – krzyknął Hiram spod nasypu. – W imieniu prawa rozkazuję ci aresztować tego człowieka.

Tymczasem Skórzana Pończocha przybrał groźną postawę. Strzel-, ba zjawiała się w jego ręku, a jej lufa wymierzona była w pierś drwala.

–Mówię wam, idźcie precz! – powiedział. – Billy, znasz moje oko. Nie łaknę twej krwi, ale ta trawa gotowa zaczerwienić się od twojej krwi i mojej, nim wejdiesz do chatki.

Dopóki sprawa wyglądała komicznie, drwal stał po stronie słabszego, ale pod lufą strzelby zmienił nagle postawę. Wstał, wyprostował się i patrząc w oczy Skórzanej Pończosze, powiedział:

–Nie jestem ci wrogiem, Skórzana Pończocho, ale tyleż dbam

0 ten kawał wydrążonego żelaza w twym ręku, co o złamane stylisko. Panie sędzio, niech pan powtórzy rozkaz, a zobaczymy, czy sobie nie poradzę.

Ale po Hiramie nie było już śladu. Ujrawszy strzelbę w ręku Natty'ego ulotnił się wraz z Jothamem. Kiedy więc drwal zdziwiony brakiem odpowiedzi rozejrzał się wkoło, dostrzegł ich obu uciekających co sił do osady, jakby liczyli się nie tylko z szybkością kuli, ale

1 nośnością broni.

–Napędziłeś im strachu, nie ma co -> powiedział i uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego szerokie oblicze. – Ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Opuść strzelbę Bumpo, żeby nie doszło do zwady między nami.

Natty opuścił strzelbę i powiedział:

–Nie życzę ci nic złego, Billy, ale sam osądź, czy podobni łajdacy powinni napastować starego człowieka w jego chatce? Nie zapieram się przed tobą, że ubiłem jelenia. Możesz sobie wziąć skórę i pokazać jako dowód. Nagroda za rysia wyrównuje karę i to powinno wystarczyć.

–Wystarczy, mój stary! – wykrzyknął Billy, a jego twarz wypogodziła się zupełnie na tę pokojową propozycję. – Rzuć mi skórę, prawo musi na niej poprzestać.

Natty po chwili wyniósł z chatki dowód rzeczowy, a drwal zabrał go i odszedł całkowicie pogodzony ze swym niedawnym przeciwnikiem. Idąc brzegiem jeziora śmiał się co chwila na wspomnienie koziołka, którego fiknął Hiram. Cała sprawa bardzo go ubawiła.

Zanim jednak doszedł do osady, obiegła ją już wiadomość o zamachu na jego życie, o nieposzanowaniu przez Natty'ego władzy i o klęsce Hirama. Poważnie zastanawiano się nad sprowadzeniem szeryfa, wspomniano nawet o użyciu siły zbrojnej dla pomszczenia znieważonego prawa. Obywatele zbierali się i omawiali to wydarzenie. Zjawienie się drwala niosącego skórę zmieniło sytuację całkowicie, bo odpadła konieczność przeprowadzenia rewizji. Należało już tylko ściągnąć karę i uratować godność narodu.

;rozdział. trzydziesty pi"erwszy

Miałbyś odwagę w takim dniu – po prostu w paszczę włożąc lwa – Douglasa szukać w zamku?'

Marmion

Ogólne poruszenie poczęło cichnąć, grupki osadników rozpraszały się powoli, każdy wracał do domu i zamykał się w nim z poważną miną świadomego swych obowiązków obywatela, kiedy Oliwer Edwards, wracając od pastora Granta, spotkał młodego adwokata Lippeta.

–Piękny dziś wieczór, panie Edwards – zaczął adwokat zawsze skory do rozmowy. – Ale deszcz bardzo by się przydał... paskudny klimat, albo susza, albo leje... Zastanawiam się, co sędzia przedsięweźmie w sprawie tego Bumppo.

–O czym pan mówi? – spytał zdziwiony Edwards.

–To pan nie słyszał? Stary dziś rano wybrał się w góry i zastrzelił jelenia, a to, jak pan wie, jest w oczach sędziego ciężkim przestępstwem.

–No cóż, zapłaci karę.

–Pięć funtów żywą gotówką. Czy ma tyle pieniędzy?

–Czy ma? – powtórzył młodzieniec. – Panie Lippet, nie jestem bogaty, co mówię... jestem ubogi i odkładam swoją pensję na święty dla mnie cel. Gotów jestem jednak oddać wszystko co do grosza, byleby stary nawet godziny nie siedział w więzieniu. Poza tym zabił dwa rysie i nagroda za to znacznie przewyższy karę.

–Oczywiście, oczywiście – powiedział adwokat zacierając ręce z jawnym i szczerym zadowoleniem. – Załatwimy to, załatwimy, jestem tego pewien.

–Załatwimy? Jak pan to rozumie?

–Ubicie jelenia to drobiazg w, porównaniu z tym, co się wydarzyło po południu – ciągnął Lippet, przyjacielskim tonem jednając

sobie Oliwera, który zapomniał o swej niechęci do niego. – Wpłynęła skarga na Skórczaną Pończochę, że wykroczył przeciw ustawie, i powstało podejrzenie, że ukrył zwierzynę w chatce. Fakt ten potwierdzono przysięgą, jak wymaga prawo. Na tej podstawie sędzia Tempie kazał przeprowadzić rewizję...

–Rewizję! – powtórzył Edwards z przerażeniem i tak pobladł, że znów musiał odwrócić twarz od rozmówcy. – I cóż znaleziono? Co tam ujrano?

–Strzelbę starego Bumpo, a był to widok, który mógł pohamować ciekawość niejednego człowieka w tych lasach.

–A zatem dzielny starzec przepędził ich precz? – zawołał Edwards śmiejąc się nerwowo.

–Nie ma się z czego śmiać, mój panie. Mocno trzeba będzie nadszarpnąć te czterdzieści dolarów nagrody i pańską sześciomiesięczną pensję, żeby sprawę załatwić. Napad na urzędnika w czasie pełnienia obowiązków i zagrożenie bronią policjantowi to nie byle co. Taka rzecz grozi grzywną i więzieniem.

–Więzieniem! Zamknąć Skórczaną Pończochę? Nie, mój panie! To wpędziłoby starego do grobu. Nie, nie zamkną go.

–Panie Edwards – Lippet odrzucił na bok wszystkie względy – uchodzi pan za człowieka wykształconego, ale jeżeli pan twierdzi, że sąd uwolni Skórczaną Pończochę od winy i kary wobec niezaprzeczalnych dowodów, przyznam, iż zna się pan lepiej na prawie ode mnie, mimo mojej trzyletniej praktyki.

Tymczasem zdrowy rozsądek Edwardsa począł brać górę nad wzburzeniem. Coraz jaśniej widział powagę sytuacji, chętnie więc słuchał adwokata. Minał pierwszy poryw wzruszenia i choć podniecenie nie ustąpiło, młodzieniec wziął się w karby i uważnie wysłuchał rad Lippeta. Potem wielkimi krokami pobiegł do dworu.

Wszedłszy do sieni Edwards natknął się na Beniamina zajętego zwykłymi domowymi czynnościami i w gorączkowych słowach zapytał, gdzie teraz znajdzie sędziego.

' – Sędzia właśnie poszedł do gabinetu z tym mistrzem ciesielskim, Doolittle'em, ale panna Elżbieta jest w pokoju. Powiadam, że z tym rysiem mielibyśmy przykrą sprawę...

–Dobrze, już dobrze – przerwał mu Edwards. – Muszę się widzieć z panną Tempie..

*.

-To się pan zobaczy. Jest u siebie. Święty Boży, co by to była za

iStrata dla sędziego! Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, skąd wzięłoby taką drugą córkę... taką już dorosłą, oczywiście. Mówię panu, że porządny człowiek z tego Bumppo i zręczny. Umie się posłużyć strzelbą i bosakiem. Jestem jego przyjacielem, a także i pańskim, panie Oliwe-rze, i obaj możecie na mnie liczyć.

–Być może będziemy potrzebowali pańskiej pomocy, drogi przyjacielu – odrzekł Edwards, kurczowo ściskając rękę Beniamina. – fedy będziemy musieli odwołać się do pańskiej przyjaźni, powiemy panu.

I nie czekając na odpowiedź, nad którą Beniamin się namyślał, Wyrwał rękę z mocnego uścisku i wszedł do bawialni. Elżbieta sama wespół leżała na kanapie. Zdawało się, że popadła w głęboką zadumę. Oliwer, zachwycony tym pięknym widokiem, pohamował niecierpliwość i ostrożnie, z szacunkiem podszedł do dziewczyny.

–Proszę pani... proszę pani... -powiedział. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałbym panią prosić o parę minut rozmowy.

Elżbieta uniosła głowę. Łzy szklily się w jej czarnych oczach.

–Ach, to pan? – powiedziała łagodnie i z taką samą słodyczą, z jaką mówiła do ojca, a która dla Oliwera była tak nowa, że poczuł zawrót głowy. – Jak się ma biedna Luiza?

–Jest ze swym ojcem, szczęśliwa i wdzięczna losowi – odparł. – Niezwykle czule podziękowała mi za gratulacje. Nigdy nie widziałem jej równie wzruszonej. Panno Elżbieto, kiedy dowiedziałem się o niebezpieczeństwie, które pani groziło, byłem tak przejęty, że nie znalazłem słów dla wyrażenia mych uczuć. Zdaje mi się... tak, na pewno... dopiero pannie Grant zdołałem wypowiedzieć, co czuję, bo słuchając mnie nawet się rozplakała.

–Pański przyjaciel, Skórzana Pończocha, stał się odtąd także moim przyjacielem. Zastanawiałam się, co mogłabym dla niego zrobić. Może pan, znając jego zwyczaje i życzenia, mógłby mi w tym pomóc...

–Mogę! – wykrzyknął młodzieniec, a jego zapał zadziwił Elżbieto. – Mogę... Niech Bóg panią wynagrodzi za jej dobroć; Natty był na tyle nieostrożny, że zadarł z prawem i ubił dziś jelenia. Muszę się przyznać, że ja też zawiniłem i powinienem ponieść karę, bo mu w tym pomagałem. Poskarżono się pani ojcu, który kazał przeprowadzić rewizję...

–Wiem o tym – przerwała mu Elżbieta. '- Wiem wszystko. formalności musi się stać

zadanie: należy zrewidować chatkę, znaleźć

1 " Pionierowie

skórę i nałożyć karę pieniężną. Ale muszę panu zadać jego własne pytanie: czy żyjąc tak długo w naszym domu, jeszcze nas pan nie poznał? Niech pan na mnie spojrzy? Czy wyglądam na kogoś, kto pozwoli zamknąć do więzienia swego zbawcę dla takiej błahostki?

–Pani słowa zdjęły mi wielki ciężar z serca! – zawołał Ed-wards. – Pani ojciec go obroni! Mam pani słowo i ufam pani.

–Usłyszysz pan to z ust mego ojca – odpowiedziała Elżbieta – bo właśnie wchodzi.

Ale mina Marmaduka przeczyła nadziejom Elżbiety. Czoło miał zmarszczone, a twarz zafrasowaną. Młodzi zamilkli. Patrzyli, jak sędzia przechadza się po pokoju, aż wreszcie przystanął i wykrzyknął:

–Na nic wszystkie nasze plany! Skórzana Pończocha swym uporem ściągnął na siebie gniew prawa. Nie sądziłem... nie mogłem przypuszczać, że taki stary, samotny człowiek odważy się stawić opór urzędnikowi w służbie. Myślałem, że nie sprzeciwi się rewizji, że zapłacimy nałożoną na niego grzywnę i sprawiedliwości stanie się zadość. Ale teraz nie uniknie kary.

–Jakaż to będzie kara? – zapytał Edwards siląc się na spokój. Marmaduk nagle odwrócił się ku niemu i zawołał:

:- Pan tu jest? Nie wiedziałem. Trudno mi powiedzieć, co go czeka. Sędzia nie może wyrokować przed wysłuchaniem stron i orzeczeniem winy przez ławę przysięgłych. Jednego może pan być pewny: wymierzę mu karę zgodnie z prawem mimo, mej chwilowej słabości, którą ten nieszczęśnik zawdzięcza temu, że uratował mi córkę.

–Nikt nie wątpi w prawość sędziego Tempie – z goryczą rzekł młodzieniec. – Ale pomówmy spokojnie. Czy wiek, zwyczaje... raczej nieświadomość nie usprawiedliwiają mego starego przyjaciela?

–W żadnym wypadku. Mogą złagodzić karę, lecz nie uwalniają od winy. Myślisz, młodzieńcze, że społeczeństwo może pozwolić, by jego członek stawiał zbrojny opór prawu? Czy po to cywilizowałem ten kraj?

–Gdyby pan ucywilizował tego rysia, który tak niedawno zagrażał życiu panny Tempie, pańskie argumenty bardziej trafiłyby mi do przekonania.

–! Oliwerze! – - wykrzyknęła Elżbieta.

–Cicho, moje dziecko – powiedział sędzia. – Oliwer jest niesprawiedliwy. Nie ma racji. Puszczam ci płazem te słowa, chłopcze,

hn wiem, że jesteś przyjacielem Skórzanej Pończochy i że cię poniosła

/ipalczywość.

–Tak, to racja. Natty jest moim przyjacielem i szczycę się ihm! – zawołał Edwards. – To prostak, nieoświecony, niewykształcony, pełen przesądów nawet, choć jego poglądy na świat są aż nadto słuszne. Ale ma serce, panie sędzio, które starczy za tysiące braków. Nie wypiera się swych przyjaciół, nie opuszcza ich, nawet gdyby to były jego psy.

–To prawy charakter – łagodnie odparł Marmaduk. – Ja nigdy nie cieszyłem się jego sympatią. Zawsze traktował mnie niechętnie, ale znośłem te kaprysy starego człowieka. Lecz gdy stanie przede mną, swym sędzią, ani ten fakt, ani fakt uratowania – mej córki nie zaważy na karze za popełnioną zbrodnię.

–Zbrodnię? – powtórzył Edwards. – Nazywa pan zbrodnią odpędzenie od drzwi wścibskiego nicponia? Zbrodnia? O nie, mój panie, jeśli ktoś tu jest zbrodniarzem, to nie Skórzana Pończocha.

–A któż, mój panie? – zapytał sędzia, ze zwykłym spokojem patrząc na młodzieńca.

. To pytanie wyczerpało cierpliwość Edwardsa. Dotąd mówił wzburzony, teraz wybuchnął:

–Kto? Pan mnie o to pyta? Niech się pan zapyta siebie. Niech pan podejdzie do drzwi i spojrzy na dolinę, ciche jezioro i ciemne góry i zapyta własnego sumienia, jeśli je pan ma, skąd przyszły panu te bogactwa, rta dolina i góry. Widok Mohegana i Skórzanej Pończochy, zubożałych i opuszczonych, błakających się po tym kraju, powinien kłuć pana w oczy.

Marmaduk początkowo słuchał z głębokim zdziwieniem. Ale gdy młodzieniec skończył, ruchem ręki nakazał milczenie zdenerwowanej Elżbiecie i powiedział:

–Oliwerze Edwards, zapominasz, do kogo mówisz. Uprzedzano mnie, że uważasz się za potomka pierwotnych właścicieli tej ziemi. Na nic się jednak zdała twa edukacja, jeśli nie nauczono cię szanować

"ustaw, mocą których prawo własności tych ziem przeszło do białych. Ziemie te są moje, bo mi je odstąpili twoi przodkowie, jeżeli istotnie od tych pochodzisz. Bóg widzi,, że ze swych praw dobry zrobiłem użytek. Po tym, coś powiedział, musimy się rozstać. Przyjdź do mego gabinetu, wypłacę, co ci się należy, a jeżeli usłuchasz wskazówek człowieka zna-

cznie od ciebie starszego,, nieogłędne słowa, które przed chwilą wypowiedziałeś, nie zwichną ci kariery.

Młodzieniec ochłonął już ze wzburzenia i zaskoczony własnym wybuchem gniewu stał patrząc bezmyślnie za odchodzącym lytarmadu-kciem. Wreszcie oprzytomniał, wolno rozejrzał się wkoło i dostrzegł Elżbietę, która z opuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach wciąż siedziała na kanapie.

–Panno Tempie – powiedział beznamiętnym głosem. – Panno Tempie... zapomniałem się... i zapomniałem o pani. Słyszała pani, co powiedział jej ojciec: dziś opuszczam ten dom, ale z panią przynajmniej chciałbym rozstać się w zgodzie.

Elżbieta wolnym ruchem uniosła głowę.

–Przebaczam panu i mój ojciec panu przebaczy – powiedziała już przy drzwiach. – Pan jeszcze nas nie zna, ale przyjdzie czas, kiedy może zmieni pan zdanie...

|- Q pani nigdy. Ja... – przerwał jej młodzieniec.

–: Teraz ja mówię. – Nie pozwoliła mu dokończyć. – W tej całej sprawie tkwi jakaś tajemnica. Niech pan powie Skórzanej Pończosze, że ma w nas nie tylko sędziów, lecz i przyjaciół. Niech starzec niepotrzebnie nie boleje nad tym zerwaniem. Pańskie słowa ani nie powiększyły jego roszczeń i praw, ani ich nie zmniejszyły. Życzę panu szczęścia i wierniejszych przyjaciół.

Edwards chciał coś powiedzieć, ale Elżbieta zniknęła tak szybko, że gdy wyszedł do sieni, już jej nigdzie nie dojrzał. Zmieszany przystanął na chwilę, a potem, zamiast pójść do gabinetu Marmaduka, wybiegł jak szalony i popędził do chatki myśliwego.

Kto zmierzył ziemię, gwiazd opisał sfery, Nakreślił dzieje księżycowej ery...

* Pope

Ryszard powrócił ze swej podróży służbowej dopiero następnej nocy. W czasie tego wyjazdu miał również przychwycić bandę fałszerzy'pieniędzy, Jctórzy w leśnych kryjówkach już wówczas wyrabiali i puszczali w obieg po całych Stanach podrabiane monety. Wyprawa się powiodła.

–Hej, Aggy! – krzyknął, gdy stanął przed drzwiami. – Gdzie się podziewasz, czarny kundlu? Chcesz mnie całą noc trzymać za drzwiami? Hej, Aggy! Zuch!... Gdzieś się zapodział, Zuchu? Nie pilnujesz domu?! Wszyscy śpią, tylko ja czuwam!

Monologując tak zdążył już zsiąść z konia i zauważył jakiś ciemny kształt wysuwający się z budy. Nagle, ku jego zdziwieniu, domniemany pies stanął na dwóch nogach. W blasku gwiazd ujrzał kudłatą głowę i czarną twarz Murzyna.

–Co tam robisz, czarny nicponiu? – zdumiał się Ryszard. – Zimno ci w domu tej ciepłej nocy i wypędziłeś psa z budy, by się zagrzać

na słomie?

Murzyn ocknął się już zupełnie i łkając usiłował odpowiedzieć

swemu panu.

–Och, massa Ryszard! Co się stało! Co się stało! Nigdy bym nie pomyślała! Nigdy nie myślałam, że umrze. O Boże. I nie pogrzebany... czekaliśmy na powrót massy Ryszarda... żeby wykopać mu grób...

Tu biedak zupełnie załamał się z żalu i zamiast jasno wytłumaczyć, o co chodzi, rozszlochał się głośno.

–+ Grób!... Umarł! – powtarzał Ryszard drżącym głosem. – Czy to coś poważnego? Chyba nie z Beniaminem?

–O, coś gorszego! Znacznie gorszego – łkał Murzyn. – O Bo-

że!x Panna Elżbieta z panną Grant wybrały się... w góry... biedny Zuch... zabił rysia... O Boże, Boże! Natty Bumpo... poderżnął gardło... niech pan zobaczy... tu jest... tu...

Szeryf nic nie rozumiał. Chciał szczegółowo zapytać, co zaszło, ale zrozpaczony Aggy nie mógł się zdobyć na rozsądną odpowiedź: Na szczęście drzwi dworu otworzyły się i Benjamin wysunął swe szorstkie oblicze. Ryszard wszedł do sieni.

–Co się stało psu? – zawołał od progu. – Gdzie jest panna Tempie.

Benjamin zwykłym sobie, prostackim ruchem ręki wskazał wielkim palcem lewej ręki przez prawe ramię i powiedział:

–Lula spokojnie.

–A gdzie sędzia?

–W swoim hamaku.

–Gadajże, co się stało psu? Czemu Aggy tak rozpacza?

–Wszystko pan znajdzie tu – odparł Benjamin wskazując na łupkową tabliczkę obok dzbana z toddy, tłącej Się krótkiej fajeczki i książki do nabożeństwa.

Ryszard przy wszystkich swych zajęciach miał jeszcze pasję prowadzenia dokładnej kroniki. Jak w dzienniku okrętowym zapisywał w niej wszystko: nie tylko wydarzenia, które dotyczyły jego osoby, lecz i rodziny, często, gęsto – osadników, a nawet notował stan pogody. Po objęciu stanowiska szeryfa, z czym wiązały się częste wyjazdy, kazał Benjaminowi zapisywać ważniejsze wypadki na tabliczce łupkowej, a po powrocie wciągał je do dziennika z zaznaczeniem godzin, towarzyszących okoliczności i innych szczegółów. W pofuczeniu tej pracy Benjaminowi istniała jedna zasadnicza przeszkoda, którą tylko geniusz zdołał pokonać: stary marynarz umiał czytać jedynie na książce do nabożeństwa, sylabizował przy tym mozolnie i potykał się na trudniejszych słowach. Z piórem nie potrafił sobie poradzić. Ryszard wynalazł więc coś w rodzaju hieroglificznego alfabetu dla prostych notatek, takich jak: skąd wiał wiatr, czy świeciło słońce, czy padało, dla zaznaczenia godzin itd.

Ryszard przede wszystkim wychylił szklankę toddy. Potem wyciągnął z ukrycia swój dziennik i usiadłszy wygodnie przygotował się do przeniesienia do niego hieroglifów z tabliczki łupkowej, a zarazem – zaspokojenia ciekawości.

Pierwszą rzeczą, jaką zajął się szeryf, był rysunek kompasu na

stałe wyryty w jednym rogu tabliczki. Zaznaczono na nim wyraźnie cztery strony świata i podziałkę, tak że nikt, kto choćby raz stał przy sterze okrętu, nie mógł się pomylić.

– O!– powiedział, wygodnie poprawiając się na krześle – mieliście wiatr południowo-wschodni ubiegłej nocy. Pewnie napędzi nam. deszcz.

–Djabła tam, panie – odparł Beniamin. – Myślę, że wszystkie zbiorniki pokładowe już się wyczerpały, bo od trzech tygodni tyle padało, co kot napłakał. Dziś wiatr wiał ze wszystkich kierunków, hulał po całym kompasie, tylko koło południa zadął wietrzyk, co znajdzie pan zaznaczone u dołu. Raz "w Kanale przez trzy tygodnie miałem taki południowo-zachodni wiaterek z czystym deszczykiem. Mógł pan w nim myć twarz i ręce nie kłopotując się o nabranie wody.

–Dobrze, Beniaminie – rzekł Ryszard pisząc w dzienniku. – Zdaje się, że rozumiem, o co chodzi. Co to? Widzę chmurę nad wschodzącym słońcem... mieliście mgłę rano?

–Tak, panie.

–Aha, niedziela...'te znaki wskazują, jak długo trwało kazanie... jeden, dwa, trzy, cztery... co? Pastor Grant kazał czterdzieści minut?

–Coś jakby. Według mej klepsydry – dobre trzydzieści minut. Trochę czasu poszło na jej obrócenie, trochę zaś dołożyłem, żeby nie być drobiazgowym.

–Beniaminie, prezbiterianin nie kazałby dłużej. Nie mogłeś tracić dziesięciu minut na obrócenie klepsydry!

–Widzi pan, pastor mówił bardzo uroczyście. Przymknąłem oczy, by się dobrze skupić, tak jak się przysłania światło lampy dla lepszego nastroju, a gdy je otworzyłem, wszyscy już wychodzili. Skalkulowałem więc sobie, że upłynęło z dziesięć minut od przesypania się piasku. To była tylko taka mała drzemka.

–Ho, ho, mój panie. Zasnąłeś. Spałeś jak suseł. Nie, nie wciągnę tego czasu uwłaczającego duchownemu prawowiernego kościoła. – Ryszard zapisał dwadzieścia dziewięć minut na kazanie i ciągnął dalej. – Coś tam wstawił naprzeciw dziesiątej godziny? Klepsydrę?

–To? – zapytał Beniamin patrząc przez ramię szeryfa i z filuterną miną żując prymkę. – To taka osobista sprawa. To nie księżyc, proszę pana, tylko twarz Betty Hollisterowej. Widzi pan, dowiedziałem się, że otrzymała świeży transport rumu i

**wstąpiłem na szklaneczkę po drodze do kościoła. O dziesiątej rano, w sam raz!
Zapisałem to sobie**

dla pamięci, bo jestem uczciwy i nie chciałbym zapomnieć o zapłacie.

–Kupię ci oddzielną tabliczkę dla twoich prywatnych spraw, Beniaminie. Nie chcę, żebyś mi smarował dziennik takimi rzeczami.

–Nie trzeba, panie, nie trzeba. Dopóki baryłka się nie skończy, częściej będę zaglądał do Hollisterowej, ustaliliśmy więc, że ona będzie karbowala wypite szklaneczki na drzwiach baru, a ja na tym kiju.

–A to co? Sobota, druga po południu... jakaś uczta rodzinna... dwa przewrócone kieliszki.

–To dwie kobiety: jedna, o ta, panna Bess, a ta druga dziewczuszka pastora.

–Kuzynka Bess i panna Grant! Cóż one robią w twoim dzienniku – zawołał zdziwiony szeryf.

, – Dość miały roboty, by się wydobyć z paszczy rysia – odparł

niewzruszony Beniamin. – A to jest Natty Bumppo. Zastrzelił rysia, który zabił psa i chciał pożreć nasze obie panienki albo zrobić im co gorszego.

Szeryf nie pozwolił mu mówić dalej. Paroma prostymi pytaniami wydobył z niego prawdę. Kiedy ochłonął ze zdziwienia, i oddajmy mu sprawiedliwość, z przerażenia wywołanego relacją Beniamina, znów wrócił do dziennika i spotkał się z jeszcze większymi zagadnieniami.

–Cóż mamy tutaj?

–To pan sędzia i młody Edwards – uprzejmie przerwał Beniamin.

–Cooo!... Duk walczy z Oliwerem? Poszaleliście! Przez te* trzydzieści sześć godzin wydarzyło się więcej rzeczy niż w całym ubiegłym półroczu.

–Zupełna racja, proszę pana. Zdarzyło mi się widzieć zgrabny okręt w ucieczce i nieliczną bitkę na jego rufie, a mniej było o tym do zapisania, niż wciągnąłem na tę tabliczkę. Ale nie skoczyli na siebie, tylko sobie nagadali.

–Mów, mów, o co poszło?! – wołał Ryszard.

–Poszło o kopniaka, jakiego Skórzana Pończocha dał Doolit-tle'owi. Z tego, co wiem, szczerze mówili ze sobą. Słyszałem coś niecoś, bo okna były otwarte, a stałem w pobliżu. Po tym wszystkim młodzian podniósł kotwicę i odpłynął z przystani.

Ryszard prowadził dalej przesłuchanie i po długich, dokładnych badaniach wyciągnął od Beniamina tyle, ile ten wiedział, nie tylko o kłótni sędziego z Edwardsem, lecz i o próbie rewizji w chatce i o po-

tażce Hirama, a ledwie Benjamin skończył swe opowiadanie, w którym, jak umiał, usiłował wybielić Skórczaną Pończołę, kazał mu starannie zamknąć drzwi i iść spać, i nie bacząc na jego zdumienie sam wyszedł z domu. t

Wspomnieliśmy już, że nazajutrz miało się odbyć posiedzenie sądu, któremu z urzędu przewodniczył sędzia Tempie. Ryszardowi w jego powrocie do osady towarzyszyli stróże prawa, przybywający tu służbowo, a jednocześnie jako eskorta ujętych fałszerzy. Ryszard dobrze znał zwyczaje tych ludzi i wiedział, że wszyscy albo niemal wszyscy siedzą teraz w więziennej kantynie dyskutując nad zaletami trunków, przyrządzonych przez dozorcę aresztu.

Skinieniem głowy wywołał swych dwóch zastępców, a ci z kolei zawezwali sześciu czy siedmiu policjantów. Ryszard powiódł te siły przez osadę nad brzeg jeziora. Szli w głębokiej ciszy. Przekroczyli Susquehannę, po mostku z nie ociosanych bali zbiegli z gościńca i weszli na pole,, gdzie tak niedawno odniesiono zwycięstwo nad gołębiami. Niebawem wkroczyli do lasu. Tu Ryszard zatrzymał się i zebrał swój oddział wokół siebie.

—! Wezwałem was do pomocy, przyjaciele – zaczął cichym głosem – po to, by ująć Nataniela Bumpo, powszechnie zwanego Skórczaną Pończołą. Człowiek ten napadł na urzędnika w służbie, sprzeciwił się rewizji i zagroził bronią policjantowi. Krótko mówiąc, dał przykład oporu wobec władz, znieważył prawo i tym samym popełnił przestępstwo. Wykonując swój obowiązek, będziecie musieli wykazać odwagę i przeczność. Otoczcie chatkę i na moją głośną komendę "naprzód" wdrzyjcie się do niej, zaskoczcie przestępcę i ujmijcie go. Rozstawcie się, a ja z zastępcą zejdzę na brzeg i będę pilnował tamtej strony. Wszystkie meldunki składajcie tylko mnie. Moje miejsce będzie na brzegu, na wprost wejścia do chatki.

To przemówienie, które Ryszard ułożył sobie po drodze, wywołało taki sam efekt jak wszystkie podobne wystąpienia: uświadomiło słuchającym grożące im niebezpieczeństwo. Wszyscy rozmyślali nad tym, jak uniknąć ataku psów lub kuli Skórczanej Pończoły. Była to chwila pełna napięcia i niepokoju.

Wreszcie Ryszard uznał, że jego siły musiały się już skoncentrować i gromko wydał umówiony rozkaz, który donośnym-echem rozbrzmiewał wśród cichych drzew.

Ale gdy ostatnie tony zamarły w oddali, nie odpowiedziało irn

szczękanie psów. Zamiast niego słyhać było tylko trzask suchych gałązek pod nogami policjantów.

I te dźwięki urwały się jak na komendę, gdy szeryf gnany ciekawością, zapomniawszy o przezorności, stanął na malej polance, gdzie Natty od tak dawna mieszkał. Na miejscu chatki osłupiały Ryszard ujrzał tylko tlejące zgliszcza.

Ludzie powoli otoczyli dymiące popioły i zwęglone bale. Zdumie-, nie po tak silnym napięciu odebrało wszystkim mowę.

Cała grupka stała w niemej ciszy, gdy z mroku wyłoniła się jakaś wysoka postać. Twardą stopą idąc poprzez gorące popioły i gasnące zgliszcza weszła w koło i uchyliwszy czapki stanęła przy płomyku. W słabym świetle poznano ogorzałą twarz Skórzanej Pończochy. Przez chwilę stary myśliwy ze ąmutkiem, bez odrobiny gniewu, przyglądał się otaczającym go ludziom, a potem powiedział:

–Czego chcecie od starego, bezradnego człowieka? Wypędziliście z puszczy stworzenia boskie, gdzie żyły z woli Opatrzności. Przynieśliście z sobą szatańskie wymysły prawa i wnieśliście niezgodę tam, gdzie nikt przedtem nie wchodził w drogę drugiemu. Na tym miejscu przeżyłem czterdzieści lat mego doczesnego życia. A teraz pozbawiliście mnie dachu nad głową i wygnaliście z mej chatki, którą musiałem spalić, by wasza niecna noga i przebrzydłe prawo nie przekroczyły jej progu. Czegóż chcecie więcej? Stoję tu przed wami – sam przeciw wielu. Przyszedłem tu płakać, nie walczyć. Jeśli taka jest wola boska, czyńcie ze mną, co chcecie.

Skończył i stał w blasku migotliwego światła igrającego wokół jego prawie łysej czaszki. Za sobą Skórzana Pończocha miał mroczne i gęste krzaki, gdzie po nocy nikt by go nie schwytał. Po krótkiej pauzie Ryszard ochłonął, opanował się, postąpił krok naprzód i usprawiedliwiony się prawem zaaresztował Natty'ego. Ludzie okrążyli jeńca i prowadzeni przez szeryfa ruszyli ku osadzie.

R

D Z 5 • ! Ł

tjej! Przynieś tu dyby, uparty łotrze, szanowany pyszałku – A wraz dostaniesz nauczke!...

"Kró! Lear"

Słońce w lipcu wstaje wcześnie, toteż gawieź mogła się zebrać przed więzieniem na długo przedtem, nim zegar na akademii obwieścił nadejście godziny sprawiedliwości i kary.

O dziesiątej rano ulice wypełniły się ludźmi przejętymi ważnością dnia. W tłumie było parę kobiet, przeważnie z dziećmi na ręku, obojętnie i, opieszale człapiących za swymi mężami osadnikami.

Przy pierwszym uderzeniu zegara Ryszard wynurzył się z drzwi karczmy Pod Śmiałym Dragonem i rozkazującym tonem wołał: "przejdźcie dla sądu!" Wezwania usłuchano chętnie, choć bez służalczości, a z tłumy poufale kiwano członkom przechodzącej procesji. Grupa policjantów ze swymi emblematami władzy w ręku szła za szeryfem tuż przed Marmadukiem i czterema prostodusznymi farmerami, którzy stanowili ławę przysięgłych. Sędziowie ci różnili się od lepszej części gawiezi tylko przybraną powagą. Trzech czy czterech, gładko wygolonych adwokatów szło za nimi jak jagnięta na rzeź. Jeden lub dwóch usiłowało za pomocą okularów nadać sobie uczony wygląd.* Pochód zamykał drugi oddział zmobilizowanej policji, a za nim szedł tłum zmierzający do sali sądowej.

Niski parter gmachu sądu zbudowany był z kwadratowych belek, tu i tam poprzecinanych okratowanymi okienkami. Wyzierało stamtąd na tłum kilkfa posępnych twarzy. Wśród nich widać było zgnębione oblicza fałszerzy i uczciwą szczerą twarz Skórzanej Pończochy.

Gdy sędziowie usiedli, adwokaci rozgościli się przy stole i ucichł szurgot nóg, otwarto sesję, zaprzysiężono sędziów, pouczono ich i przystąpiono do rozpatrywania spraw. Nie będziemy nudzić czytelników

! opisem. pieniackich rozpraw, które zajęły sądowi całe dwie godziny. Sędzia Tempie z racji swego urzędu nalegał na przysięgłych, by się szybko z nimi uwinęli i z ludzkich względów jak najprędzej przystąpili do rozpatrywania spraw więźniów. Dlatego po dwóch godzinach rozległ się okrzyk: "drogę dla grand jury"* zapowiadający wejście tego organu. Po zwykłych ceremoniach starszy grona grand jury podał sądowi dwa oskarżenia. Sędzia Tempie od razu zauważył nazwisko* "Natanie-la Bumpo na obu aktach i w czasie krótkiej pauzy szeptem wymienił kilka uwag z szeryfem, który zaraz dał znak swym podkomendnym. W kilka minut potem ogólną ciszę przerwało poruszenie wśród publiczności: to wszedł Skórzana Pończocha, którego dwaj policjanci przyprowadzili na ławę oskarżonych. Szmery umilkły, tłum znów się zwarł i w końcu zapadła cisza tak głęboka, że wyraźnie słyhać było ciężki oddech oskarżonego. ';

Natty miał na sobie spodnie z kozłowej skóry, koszulę z grubego płótna związaną pod gardłem jelenim ścięgnem i odsłaniającą czerwoną szyję. Wyraźnie było widać jego-ogorzałe oblicze. Był wzruszony, ale i ciekawy, bo po raz.pierwszy w życiu znalazł się na sali sądowej. Spojrzał na sędziów, na grand jury, adwokatów i tłum. Wszędzie ujrzał utkwione w nirm ciekawe spojrzenia. Zlustrował więc własną osobę, jakby chciał dociec, co w nim budzi takie zaciekawienie ludzi, raz jeszcze prześlizgnął się wzrokiem po całym zgromadzeniu i roześmiał się w' swój zwykły, cichy sposób.

–Oskarżony, proszę zdjąć czapkę – powiedział sędzia Tempie. Natty puścił mimo uś*zu to wezwanie.

–Nataniełu Bumpo, zdejm czapkę – powtórzył sędzia. Natty drgnął na dźwięk własnego nazwiska i unosząc w górę

poważną twarz patrzył przed siebie.

Lippet podniósł się ze swego, miejsca przy stole i coś szepnął staremu do ucha. Natty skinął głową w odpowiedzi i zdjął skórzany czapkę.,.

–Panie prokuratorze okręgowy, oskarżony czeka, proszę odczytać akt oskarżenia – rzekł sędzia.

Na to wezwanie Dick van der School, który pełnił obowiązki prokuratora, włożył na nos okulary, uważnie spojrzał na swych ko-

Grand jury (franc.)- zespół 12-13 sędziów, który orzeka, czy są dostateczne podstawy do przekazania sprawy sądowi przysięgłych.." –

łęgów przy stole, przychylił głowę i patrząc ponad szklami zaczął czytać akt. •

Natty uważnie wysłuchał oskarżenia.

–Słyszeliście wniesioną przeciw wam skargę. Co macie w "związku z nią do powiedzenia? – zapytał sędzia Tempie. | ('

Natty na chwilę opuścił głowę w zamyśleniu, a potem uniósł ją, roześmiał się i powiedział:.

–Nie zaprzeczę, że dość ostro, czy jak tam. potraktowałem tego człowieka. Ale to czyste łgarstwo, bym dó tego użył wszystkich rzeczy, które wymienił ten pan. Stary jestem i kiepski ze. mnie zapaśnik, ale pewnego razu...

–Panie Lippet. jeżeli pan broni oskarżonego, niech go pan pouczy, jak ma odpowiadać. Jeżeli pan nie jest jego adwokatem, sąd wyznaczy mu obrońcę z urzędu – przerwał Natty'emu sędzia Tempie.

Adwokat oderwany tą uwagą od studiowania aktu oskarżenia wstał, po cichu zamienił parę zdań z Nattym i poinformował sąd, że rozprawę można prowadzić dalej.

–Czy przyznajecie się do winy? – pytał sędzia.

–Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że nie jestem winien. – odparł Natty. – Jakaż to wina, jeśli się postąpiło słusznie. A ja raczej bym zginął na miejscu, niżbym go przepuścił przez próg.

Ryszard drgnął i znacząco spojrział na Hirama, a ten odpowiedział mu wzrokiem i wzniesieniem brwi.

–Udzielam panu głosu, panie prokuratorze okręgowy – oznajmił sędzia Tempie. – Panie sekretarzu, niech pan zaprotokołuję oświadczenie oskarżonego.

Van der School powiedział parę słów, po czym wezwano Hirama do złożenia zeznań. Złożył je wiernie, ale ubarwił takimi zwrotami jak: "bez złych zamiarów", i "uważając za swój obowiązek", jako osoby "urzędowej" i "widząc, że. konstabl spotkał się z oporem..." Po tym oświadczeniu, gdy prokurator zrzekł się dalszych pytań, wstał Lippet i z wielce chytrą miną począł badać Hirama.

–Czy pan jest konstablem tego okręgu?

–Nie. Jestem tylko sędzią1 pokoju.

–Pytam pana, panie Doolittle, w obliczu sądu, czy w pańskim sumieniu i1 przy pańskiej znajomości ustaw miał pan prawo wejść do domu tego człowieka?" –

–Hm – mruknął Hiram, w którego duszy chęć zemsty walczyła

z obawą o dobrą sławę sędziego pokoju. – Przypuszczam... że... właściwie..., w ścisłym znaczeniu prawa... być może nie miałem.– Ale tak, jak rzeczy wyglądały... Billy spotkał się z oporem... Sądziłem więc, że mogę wkroczyć. v '

–Pytam pana ponownie – ciągnął adwokat wykorzystując swą przewagę – czy ten stary, samotny człowiek już kilkakrotnie nie zabraniał panu wstępu do swego domu?

–Muszę przyznać, że pod tym względem był uparty jak kozioł. Moim zdaniem, postępował niemądrze, bo przecież chodziło o zwykłą, sąsiedzką wizytę. /

–A, więc przyznaje pan, że z pańskiej strony były to tylko odwiedziny nie poparte prawem. Panowie sędziowie, zwracam uwagę panów na to oświadczenie: "chodziło o zwykłą sąsiedzką wizytę". I jeszcze raz pytam pana, czy Nataniel Bumpo kilkakrotnie nie zabraniał panu wstępu do swego domu?

–Doszło do słownej utarczki między nami – rzekł Hiram !- ale odczytałem mu nakaz rewizji.

–Powtarzam pytanie:" czy nie zabronił panu wejść do swego domu?

–Pokłóciliśmy się... ale przecież miałem nakaz. Może sąd zechce go zobaczyć?

–Czy oskarżony zabronił panu wejść do chatki? Proszę odpowiedzieć wprost: tak, Czy nie – ostro przerwał mu sędzia Tempie.

–Tak.

–I czy mimo tego zakazu próbował pan wejść?

–Próbowałem, ale miałem nakaz.

–Panie Lippet, niech pan pyta dalej.

Adwokat spostrzegł jednak, że odpowiedzi Hirma przychylnie nastroiły sędziów do oskarżonego,– machnął więc tylko ręką, jakby nie chciał nadaremnie męczyć sądu i rzekł:

–Dziękuję. Rezygnuję z dalszych pytań.

–Panie prokuratorze, czy ma pan jakieś pytania? – powiedział sędzia.

Van der School spojrział na trzymane w ręku drugie oskarżenie i patrząc ponad szklami odpowiedział:

–Zrzekam się dalszego oskarżenia w tej sprawie. Sędzia Tempie wstał i zreferował sprawę.

–Panowie przysięgli – mówił. – Słyszeliście zeznania świadka,

238

nie będę więc długo zaprzętał waszej uwagi. Jeżeli przedstawiciel 'władzy przy spełnianiu swych obowiązków spotyka się z oporem, może wezwać na pomoc pierwszego lepszego obywatela, który wówczas siłą rzeczy korzysta z ochrony prawa jako osoba urzędowa. Na podstawie zeznań, których wysłuchaliście, musicie zdecydować, czy w tym wypadku można świadka uznać za osobę urzędową. Nie waham się odstąpić nieco od formalności, albowiem mamy tu jeszcze jeden, o wiele cięższy" zarzut pod adresem oskarżonego.

Powiedział to tonem łagodnym, sugerującym odpowiedź, a że pozornie mówił zupełnie bezstronnie, słowa jego odniosły pożądany skutek. Poważni farmerzy sędziowie przysięgli pochylili się ku sobie i nie opuszczając sali naradzali się przez parę minut. Wreszcie starszy ławy przysięgłych wstał i zachowując przyjęte formy orzekł: "Niewinny".

–Natanielu Bumpo w tej sprawie został pan uniewinniony – rzekł sędzia Tempie.

–Jak? – zapytał Natty.

–Sąd orzekł, że nie jest pan winny napaści i pobicia pana Ioolittle'a.

Twarz Natty'ego zajaśniała radością. Zrozumiał nareszcie, o co chodzi. Nasadził czapkę na głowę, odsunął barierkę i powiedział wzruszony:

–Muszę panu przyznać, panie sędzio, że nie potraktował mnie pan tak ostro, jak myślałem. Bóg panu wynagrodzi pańską dobroć.

Straż zatrzymała go jednak, a Lippet szepnął mu parę słów do ucha. Na to stary myśliwy osunął się na miejsce, znów zdjął czapkę i / bólem, zrezygnowanym ruchem nasunął sobie resztę siwych włosów na twarz.

–Panie prokuratorze – rzekł sędzia Tempie udając, że czegoś s/.uka w swych aktach – proszę odczytać drugie oskarżenie.

Van der School z całą gorliwością postarał się, by ani jedno słowo drugiego oskarżenia nie umknęło uwagi sędziów. Oskarżył Natty'ego o stawianie zbrojnego oporu władzy i w mglistym, prawniczym języku wspomniał o użyciu strzelby obok innej broni. To były już poważniejsze wykroczenia niż zwykła zniewaga i bójka i wywołały większe zainteresowanie. Po wstępnych ceremoniach znów zapytano

oskarżonego, co ma do powiedzenia, a Lippet, uprzedzając jego odpowiedź, szeptem doradził mu, co mówić. Natty jednak czuł się dotknięty niektórymi /wrotami
^prokuratora, że zapomniał o ostrożności i zawołał:

–To wierutne łgarstwo. Nie łaknę niczyjej krwi. Nawet te łobuzy Irokezi nie powiedzieli mi w oczy, że jestem łasy na ludzką krew. Zawsze walczyłem jak żołnierz, który lęka się Stwórcy i szanuje swych przełożonych, i nigdy nie strzelałem do bezbronych, zaskoczonych znienacka. Nikt mi nie zarzuci, że kiedy zabiłem śpiącego, nawet gdyby to miał być jakiś podły Mingo. Są widać ludzie, którzy myślą, że w puszczy nie ma Boga.

–Do rzeczy, Bumppo – powiedział sędzia. – • Jak słyszeliście, oskarżają was o użycie broni przeciw przedstawicielowi władzy i prawa. Czy przyznajecie się do winy?

Natty zdążył już trochę się uspokić. Przez chwilę stał rozmyślając, potem uniósł głowę, roześmiał się cicho, i wskazując na drwała, powiedział: "

–Czy Billy Kirby stałby tu, gdybym był strzelił?

–A więc pan zaprzecza? – wtrącił się Lippet. – Nie przyznaje się pan do winy?

–Naturalnie – odparł Natty. – Billy wie najlepiej, że nie strzeliłem;

–Proszę zaprotokołować, że oskarżony nie przyznaje się do winy – rzekł sędzia Tempie, szczerze wzruszony naiwnością Natty'ego.

Ponownie zaprzysiężono Hirama przed złożeniem zeznań w drugiej * sprawie. Odkrył on swój błąd i tym razem zeznawał ostrożniej. Jotham potwierdził jego słowa. Lippet krzyżowymi pytaniami usiłował obalić te zeznania, ale straciwszy tylko wiele czasu musiał zrozpaczony zrezygnować z 'próby.

Wreszcie prokurator wezwał drwała przed ławę przysięgłych. Billy zeznawał mętnie, choć usiłował trzymać się prawdy, aż wreszcie van der Schoo! pomógł mu paroma prostymi pytaniami:

–Z aktów wynika, że świadek domagał się wpuszczenia do chaty na mocy prawa i mimo to zagrożono świadkowi słowem i bronią.

–Człowieku, mało się tym przejąłem – rzekł Billy pstrykając palcami. – Cóż bym był wart, gdybym się bał starego.

–Zrozumiałem jednak (z poprzednich słów świadka, wypowiedzianych tu, przed sądem, na początku zeznania), że świadek myślał, iż oskarżony zamierza go zastrzelić.

Naturalnie, że tak myślałem. Pan też by tak myślał, gdyby pan widział wycelowaną w siebie strzelbę, która nigdy jeszcze nie chybiła.

Myślałem, że dojdzie do bójki i już mnie poniosło, ale Skórzana Pończocha dał mi skórę i na tym się skończyło.

–Ach, Billy – Natty potrząsnął głową – dobrze, że mi przyszło do głowy rzucić ci tę skórę, boby się nie obeszło bez rozlewu krwi. Gdyby to była twoja krew, pewnie gryzłoby mnie sumienie przez resztkę żywota.

!- Skórzana Pończucho – rzekł Billy i nic sobie nie robiąc z sądu, przyjaźnie, bez skrępowania spojrział na starca – skoro już o tym mowa, może nie masz...

–Niech pan pyta dalej, panie prokuratorze – rzekł sędzia. Prokurator, z jawną dezaprobatą patrzący na te serdeczności między świadkiem i oskarżonym, oznajmił, że nie ma pytań.

–A więc pan się nie bał, panie Kirby? – zapytał teraz obrońca.

–^Ja? Nie! – odparł Billy z jawną satysfakcją spozierając na swą olbrzymią postać. – Nie przelęknię się byle czego.

–Wygląda pan na siłacza. Skąd pan jest rodem?

–Ze stanu Vermont. To górzysty kraj i ziemia tam jest ciężka, gęsto porośnięta bukiem i klonem.

–Zawsze mi tak mówiono – pojednawczo rzekł Lippet. – Musi pan być obyty ze strzelbą.

–Uchodzę za drugiego z kolei strzelca w okręgu. Ustępuję tylko Natty'emu Bumpo, po tym, jak zastrzelił gołębia.

Natty uniósł głowę, znów się zaśmiał i wyciągnąwszy nagle pomarszczoną rękę powiedział:

–Młody jeszcze jesteś, Billy, i nie widziałeś takich zawodów jakich ja byłem świadkiem. Masz moją rękę, nie mam do ciebie żalu.

Lippet pozwolił na ten przyjacielski uścisk dłoni i przezornie umilkł na czas, gdy duch pokoju unosił się nad świadkiem i oskarżonym, ale sędzia wtrącił się w tę scenę z całą powagą swego urzędu.

–To nie jest miejsce na podobne rozmowy – powiedział. – Panie Lippet, niech pan pyta dalej świadka albo każę wezwać następnego z kolei.

Adwokat drgnął, jakby ta uwaga była niesprawiedliwa, i ciągnął dalej:

–Więc załatwi pan całą rzecz z Nattym Bumppo po przyjacielsku, na miejscu, tak?

–Dał mi skórę, a ja nie chciałem się kłócić ze starym człowiekiem. Na mój rozum, nie ma nic złego w zabiciu jelenia.

Id Pionierowie

241

–Rozstaliście się jak przyjaciele? I nigdy pan nie pomyślał, że sprawa oprze się o sąd, gdyby pana tu nie wezwano?

–Chyba nie pomyślałbym. Natty oddał mi skórę i ja do niego nic nie miałem, ale z panem Doolittle'em obszedł się szorsko. *

–Skończyłem, panie sędzio – rzekł Lippet, który zapewne liczył na przychylność sędziego Tempie, i usiadł z miną człowieka pewnego sukcesu.

Van der School wstał i zwracając się do sądu, rozpoczął:

–Panowie przysięgli! Powinienem był przerwać naprowadzające pytania pana adwokata (przez naprowadzające pytania rozumiemy takie, które sugerują odpowiedź), gdybym nie był pewien, że prawo zwycięży nad adwokackimi kruczkami (oczywiście legalnymi kruczkami!). Obrońca, panowie przysięgli, usiłował przekonać was, wbrew waszemu zdrowemu rozsądkowi, że wycelowanie strzelby w konstabla (wybranego lub z nominacji) to drobiazg i że społeczeństwo (mam na myśli państwo, panowie) nie poniosło przez to żadnego szwanku. Niech mi wolno będzie zaprzątnąć waszą uwagę szczegółowym rozpatrzeniem tego ohydneho przestępstwa.

W tym miejscu van der School zaszczyił sąd streszczeniem zeznań świadków, które podał w tak zawilej formie, że znakomicie zmącił słuchaczom w głowach. Po tym popisie krasomówstwa zakończył:

–A teraz, panowie, gdy już jasno, jak na dłoni, widzicie cały ogrom zbrodni popełnionej przez tego nieszczęśliwego człowieka, (nieszczęśliwego tak pod względem nieuctwa, jak i winy), osądźcie go zgodnie z waszym sumieniem. Ani chwili nie wątpię, że zdajecie sobie sprawę (mimo że obrońca, który niewątpliwie liczy na wasz poprzedni wyrok, wydaje się pewien powodzenia) z konieczności ukarania winnego w imię znieważonego majestatu prawa.

Z kolei zabrał głos sędzia Tempie. Zwięźle podsumował zeznania świadków, bez pardonu zdemaskował podstęp obrońcy i tak jasno przedstawił fakty, że nie można było mieć żadnych złudzeń co do winy Natty'ego.

–Żyjąc, jak my żyjemy, panowie, na krańcach cywilizacji – mówił – musimy szczególną opieką otaczać stróżów prawa. Jeżeli wierzycie świadkom, obowiązkiem waszym jest skazać winnego, ale jeżeli uważacie, że ten starzec, który stoi przed

wami, nie zamierzał zrobić nic złego konstablowi i działał raczej w myśl swych zwyczajów, pod

wpływem impulsu, nie w złej woli, powinniście go również ukarać, lecz o wiele łagodniej.,

Przysięgli z grand jury jak poprzednio naradzili się nie opuszczając sali. Po chwili starszy ławy przysięgłych wstał i powiedział:

–Winien.

To orzeczenie nie wywołało zdziwienia, bo zeznania świadków, tylko częściowo przez nas przytoczone, niezbitnie obciążały Natty'ego. Sędziowie najwidoczniej dobrze się orientowali w nastrojach, bo naradzili się w tym samym czasie, co ich koledzy z grand jury, i zaraz wszczął się między nimi ruch zapowiadający ogłoszenie wyroku.

–Natanielu Bumpo – powiedział sędzia Tempie robiąc zwykłą pauzę..

–Jestem!

Sędzia ruchem ręki nakazał milczenie i ciągnął dalej:

–Ferując wyrok sąd wziął pod uwagę waszą nieznajomość prawa z jednej strony, a z drugiej zaś +- konieczność nałożenia surowej kary za przestępstwo, które popełniście. Ze względu na wasz wiek sąd nie zastosował przewidzianej kodeksem kary chłosty. Ale że powaga prawa wymaga publicznej kary, sąd postanowił skazać was na godzinne zamknięcie w dybach zaraz po rozprawie na placu miejskim. Prócz tego zasądza się od was grzywnę w wysokości stu dolarów i zamknięcie w miejscowym więzieniu na czas jednego kalendarzowego miesiąca. Z więzienia nie zostaniecie zwolnieni, dopóki nie uiścicie grzywny. Uważam za swój obowiązek, Natanielu Bumpo...

–A skąd wezmę pieniądze?;- przerwał Natty niecierpliwie. Skąd wezmę pieniądze? Zabraliście mi nagrodę za rysia, bo zabiłem jelenia. Gdzie stary człowiek znajdzie tyle złota i srebra w puszczy? Nie, nie, panie sędzio, niech się pan zastanowi i nie mówi o zamknięciu mnie w więzieniu u schyłku mego życia.

–Jeżeli macie co do powiedzenia przeciw wyrokowi, sąd was wysłucha – łagodnie odrzekł sędzia.

–O, mam dużo do powiedzenia! – zawołał Natty, kurczowo drapiąc palcami barierkę. – Skądże wezmę tyle pieniędzy? Puśćcie mnie w lasy i góry, gdzie zwykłem oddychać czystym powietrzem, a choć już mi stuknęła siedemdziesiątka, dniami i nocami będę gonił zwierzynę, jeśli zostawicie jej dość. Zdobędę potrzebną kwotę

jeszcze przed zimą.

–Muszę się kierować prawem...

–Niech mi pan nie mówi o prawie, sędzio Tempie – przerwał mu myśliwy. – Czy dzika bestia zważała na prawo, gdy szykowała się do skoku na pańskie dziecko?! Klęczało ono, błagając Boga o większą łaskę niż ta, o którą ja proszę. I Bóg je wysłuchał. Myśli pan, że teraz nie słyszy pańskiej odmowy?

–Moje prywatne uczucia nie mogą wpływać...

–Niech pan mnie posłucha – znów przerwał mu starzec z powagą i smutkiem. – Niech pan posłucha własnego rozsądku. Przebiegałem te góry, kiedy pan jeszcze r/ie był sędzią, lecz niemowlęciem przy piersi, i wydaje mi się, że mam prawo chodzić po nich do końca moich dni. Czy pan zapomniał, jak przybył pan nad brzeg jeziora, kiedy nie było tu nawet więzienia, w którym by można było spędzić noc. Czy nie odstąpiłem panu skóry niedźwiedzia, by się pan mógł przespać, i czy nie dałem panu kawałka mięsa z dobrego kozła, by pan zaspokoił głód? Wówczas zabicia kozła nie uważał pan za grzech! Zrobiłem to, choć nie miałem pana za co kochać, bo czynił pan tylko krzywdę tym, którzy mnie kochali i udzielali mi schronienia. A teraz tak; mi pan odpląca, że chce mnie pan zamknąć w swojej ciemnicy! Sto dolarów! Skąd ja wezmę? Puśćcie mnie, przyjaciele. Odwykłem już od ludzi i chcę jak najprędzej znaleźć się w lesie. Niech się pan nie boi, panie sędzio. Niech się pan nie boi. Jeśli w strumieniach są jeszcze bobry, a za skóry jelenia płacą po szylingu, uiszczę karę do ostatniego grosza.

Nie trzeba chyba mówić, że konstabl znów zatrzymał Skórczaną Pończoche. A zanim ten zdołał zaprotestować, jakieś poruszenie w tłumie i głośne chrząknięcie zwróciło uwagę wszystkich w inną stronę.

Beniamin precyzyjnie przeszedł przez tłum i balansując w powietrzu swym krótkim korpusem stał teraz jedną nogą na oknie, a drugą na barierce przed przysięgłymi. Ku zdziwieniu sądu najwidoczniej zabierał się do wygłoszenia mowy. Z wielkim trudem wydobył z kieszeni sakieweczkę, po czym odzyskał dar słowa.

–Jeśli waszej dostojności się spodoba – mówił – zezwolić biedakowi na jeszcze jeden rejs wśród dzikich bestii, to jest tu coś, co zmniejszy ryzyko zezwolenia. Mam przy sobie trzydzieści pięć hiszpańskich talarów, a z całego serca pragnąłbym dla starego, by to były angielskie gwinee. Ale nic na to nie poradzę. Niech pan Pickens będzie łaskaw wyjąć z sakiewki tyle, ile trzeba na zapłacenie długu u pani

Holi i sterowej, a resztą niech zatrzyma na poczet grzywny, dopóki Skó-i/ana Pończocho nie nałapie tych bobrów albo i na zawsze. I kwita. Skończywszy, jedną ręką wyciągnął przed siebie patyk z zakarbowanym długiem w "Śmiałym Dragonie",

a drugą podał sędziemu sakiewkę z pieniędzmi. Zdziwienie było tak wielkie, że w sali zapanowała grobowa cisza, którą dopiero przerwał szeryf uderzając szablą w stół i wołając:

–Cisza!

–Dość tego -: powiedział sędzia walcząc ze wzruszeniem. – Proszę zakuć więźnia w dyby. Panie sekretarzu, niech pan wywoła następną sprawę.

Natty pogodził się z losem. Opuścił głowę na piersi i w milczeniu wyszedł za konstabiem. Ludzie rozstępowali się przed nim, a gdy jego wysoka postać znikła za drzwiami, tłumnie rzucili się na miejsce hańby.

_I

I

ROZDZIAŁ T R Z Y D. Z I E S T Y G Z W A R T Y

Patrz, ma na nogach okrutne podwiązki

"Król Lear"

W czasach naszej opowieści w stanie Nowy Jork stosowano zwyczajowe kary publiczne. Pręgieryza i dybów nie zastąpiono jeszcze "bardziej ludzką" karą pozbawienia wolności. Wspomniane zabytki stały tuż przed więzieniem w Templeton jako ostrzeżenie dla osadników, którzy odważyliby się zdrzeć z prawem.

Otoczony tłumem gapiów Natty, pokornie chyląc głowę przed potęgą, której nie mógł się sprzeciwić, przeszedł za konstabłem 'na miejsce kary. Spokojnie, bez słowa protestu siadł na ziemi i pozwolił włożyć sobie nogi w dyby. Rozejrzał się jednak wkoło, jakby czekał na jakiś znak współczucia, jakiego niezmiennie szukają ludzie w cierpieniu.

Konstabl właśnie opuszczał górę dybów, kiedy Beniamin, który precyzyjnie przycisnął się tuż do więźnia, powiedział zaczepnie:

–Po licha zakładać człowiekowi na nogi takie kajdany? Czy to przeszkodzi w picciu grogu albo może pokiereszkuje mu plecy? Na co pan to robi?

–Taki był wyrok, panie Penguillam. Jest to zgodne z prawem.

–Wiem, że to jest zgodne z prawem. Ale co z tego za korzyść? Nie sprawia to bólu i tylko unieruchamia człowiekowi nogi na dwa klangi.

–Nie sprawia bólu, powiadasz, Benny Pomp? – odezwał się Natty, żałośnie patrząc na Beniamina. – Nie sprawia bólu siedemdziesięcioletniemu starcowi, gdy się go wystawia na widok publiczny, jak jakiego tresowanego niedźwiedzia! Według ciebie to nie boli, gdy starego żołnierza, który walczył w wojnie pięćdziesiątego szóstego foku

i potykał się z nieprzyjacielem w siedemdziesiątym szóstym, sadza się na miejscu, gdzie dzieciaki mogą go sobie pokazywać palcami i potem mówić: "pamiętam, jak był pośmiewiskiem wszystkich", To nie ma boleć, gdy się kpi z człowieka jak z dzikiego zwierza?

Beniamin groźnie rozejrzał się wkoło i gdyby dostrzegł choć jedno ilrwiące oblicze, wszcząłby zwadę. Lecz wszędzie widział tylko trzeźwe spojrzenia, a czasem nawet współczucie. Z rozmysłem siadł więc obok myśliwego i wsadziwszy nogi w dwa wolne otwory, powiedział:

–Niech pan opuszcza. Mówię panu, niech pan opuszcza, panie konstablu! Jeśli ktoś chce tu zobaczyć niedźwiedzia, to niech patrzy, i szlag niech go trafi. Zobaczy dwa niedźwiedzie, a z nich jednego, co lak samo dobrze gryzie, jak ryczy.

–Ale ja nie mam rozkazu, żeby pana zamknąć! – zawołał konstabl. – Niech pan wstanie i nie przeszkadza.

–Ma pan mój rozkaz i po diabła panu inny, gdy chodzi o moje własne nogi. Niech pan opuszcza. Chciałbym zobaczyć człowieka, który by się na to skrzywił.

–Jak kto chce, to proszę bardzo – śmiejąc się odparł konstabl i zamknął dyby.

Dobrze się stało, że zrobił to szybko, bo gawieź widząc Beniamina wchodzącego w dyby wpadła w wesoły nastrój, a kilka osób pozwoliło sobie nawet na dowcipy. Beniamin spróbował się wydostać, by pięścią poczęstować tych, co byli pod ręką, ale daremnie. Klucz już się obrócił w zamku.

–Hej, konstablu! – krzyknął. – Niech no pan rozluźni te kajdany na chwilę, na jeden klang, a wybije im wesołość z głowy!

–Jakoś pan tam wlaź, to posiedzi pan do końca kary. Stwierdziwszy, że próby wydobycia się i pogróżki na nic się nie

/.dadzą, Beniamin znalazł w sobie dość rozsądku, by wziąć przykład /. rezygnacji Skórzanej Pończochy. Usadowił się przy nim wygodnie, wyrzekł się zemsty i tylko pogardą reagował na dowcipy. A gdy się już nieco uspokoił, zwrócił się do swego towarzysza niedoli i wciąż jeszcze podminowany zabrał się do zbożnej roli pocieszyciela.

–! Właściwie mówiąc, mistrzu Bumpo, nie ma o co robić tyle krzyku – powiedział. – Na pokładzie Boadishey widywałem ludzi wcale do rzeczy zakutych w dyby, tylko dlatego, że wypili za dużo o jedną szklankę grogu, która im wlaźła w drogę. To zupełnie tak, jakbyśmy stojąc nad piaszczystym dnem na dwóch kotwicach i mając

dość miejsca na manewr czekali na przypyływ lub zmianę wiatru. Jak już mówiłem, widziałem niejednego człowieka, co się pomylił w rachunku, tak mocno przycumowanego, że się nawet nie mógł obrócić na drugą burtę. A język w dodatku miał zastopowany kołkiem od pompy, tkwiącym w gębie niczym poprzeczka w nadburciu.

Myśliwy widocznie ocenił dobre zamiary swego towarzysza, choć nie rozumiał tego języka.

–To tylko taki szkwalik, który zaraz ucichnie – ciągnął Benjamin. – Tobie to nic, bo masz długą stępkę, ale ja jestem znacznie krótszy. Jak mi więc przyszczypnęli nogi, to się trochę przechyliłem na burtę. Ale co to znaczy, mistrzu Bumppó, jak się okręć nawet trochę naciągnie na kotwicy. Przecież to tylko na jedną wachtę, a potem niech mnie dunder świśnie, jeśli nie ruszę z tobą na bobry. Nie umiem się wprawdzie obchodzić z małokalibrową bronią, bom służył pod pokładem, dozorował hamaków i pomagał w komorach amunicyjnych, ale mogę nosić zwierzynę i pomóc ci w stawianiu sideł. Jeśli zaś umiesz tak zręcznie się z tym obchodzić jak z ościeniem, szybko załatwimy sprawę. Dziś rano rozliczyłem się z panem Dickensem. Poślę mu słówko, żeby mnie skreślił z listy na czas, póki się nasz rejs nie skończy.

–Przywykłeś żyć z ludźmi, Benny – ze smutkiem rzekł Natty – ciężko ci będzie w puszczy...

–Ani trochę, ani trochę... – zawołał Benjamin. – Nie należę do tych chłopaków, co to żeglują tylko w pogodę. Jak mam przyjaciela, to przy nim stoję. Weź na przykład pana Dickensa. Nie ma lepszego człowieka i tak go kocham, jak baryłkę rumu pani Hoilisterowej. – Umilkł i zwróciwszy swe nieokrzesane oblicze ku myśliwemu szelmowsko przyglądał mu się spod oka. Powoli jego surowa twarz rozpromieniła się uśmiechem. Błyskając białymi zębami dorzucił szeptem. – Mówię, mistrzu Bumppo, że ten z Guernsey lepszy jest, od każdego holenderskiego. Ale trzeba posłać po kapichnę do Hoilisterowej, bo mi nogi drętwieją-w kajdanach i muszę się rozgrzać od góry.

Natty ciężko westchnął i rozejrzał się po tłumie, który rozpraszał się i malał, bo ludzie rozchodzili się do swych zajęć codziennych. Spojrzał więc smętnie na Beniamina, ale nic nie powiedział.

Benjamin w myśl starej zasady przyjął milczenie za zgodę i sięgnął po kieskę, gdy

nagle Hiram Doolittle w towarzystwie Jothama przedostał się przez tłum, wyszedł na otwarty 61ac i zbliżył się do dybów. Wyminął Beniamina i trzymając się w bezpiecznej odległości od niego

stanął na wprost Skórzanej Pończochy. Nie mógł jednak wytrzymać jego śmiałego spojrzenia i spuścił wzrok. Najwidoczniej zaskoczyła go własna, niespodziewana konsternacja. Opanowawszy się trochę spojrzął na niebo, na zamglony horyzont i jakby chodziło tylko o zwykłą rozmowę z przyjacielem, powiedział z właściwą sobie obłudą i niepewnym tonem:

–Deszczu wciąż nie ma. Posucha długo będzie trwała. – Beniamin, zajęty rozsypywaniem sakiewki, nie zauważył Hirama, a Natty bez słowa odwrócił się z obrzydzeniem. Hiram niL zrażony, lecz raczej ośmielony tym przejawem niechęci, chwilę milczał, potem zaś mówił dalej:

–Chmury wyglądają, jakby nie miały w sobie kropli wilgoci, ziemia wyschła na pieprz. Kiepskie będą zbiory, jeżeli deszcz nie spadnie w najbliższych dniach.

Mina, z jaką wygłaszał tę przepowiednię, była charakterystyczna dla ludzi jego pokroju. Jezuicko zimna, nieczuła, samolubna, zdawała się mówić "trzymałem się ściśle litery prawa" człowiekowi, którego tak okrutnie skrzywdził. Wzburzyło to starego myśliwego. Nie panując nad nerwami i zapominając o spokoju, który sobie z takim trudem nakazał, wybuchnął z głębi serca:

–Czemu deszcz miałby spaść z nieba, kiedy wyciska pan łzy z oczu starca, chorego i biednego! Precz, precz! Stworzonyś na wzór Boga, ale szatan w tobie mieszka. Precz! Smutek mnie trapi, a na twój widok przychodzą mi gorzkie myśli do głowy.

Beniamin przestał grzebać w pieniądzach i spojrzął w górę w chwili, kiedy Hiram, zapomniawszy o ostrożności pod potokiem obelg, za bardzo zbliżył się do niego. Błyskawicznym ruchem jak obcęgami chwycił nagle Hirama za nogę i obalił, zanim ten zdążył się spostrzec i obronić, bo wcale nie był ułomkiem. Beniaminowi nie brakło sił. Zręcznie skorzystał z całej mocy swych ramion. A że zaskoczył przeciwnika, szamotanie szybko się skończyło i Hiram siedział teraz uwięziony naprzeciw Beniamina w takiej samej pozycji.

–Ładny z pana gagatek, panie Doolittle! – ryczał Beniamin. – Gagatek. Znam to twoje gadanie o ładnym dzionku przed panem Dickensem i pyskowanie za jego plecami. Nie dość ci chrześcijańska duszo, żeś zamknął uczciwego starca w dyby? Jeszcze chcesz puścić na dno nieboraka, gdy spokojnie stoi na kotwicy? Sporo już sobie zakar-bowałem przy twoim nazwisku, mój panie, i czas załatwić porachunki. Stawaj, stawaj, zobaczymy, kto komu da radę.

–Jotham! – wołał przerażony Hiram. – Jotham! Zawołaj kon-stabla. Panie Penguillium, przywołuję pana do porządku... Zabraniam panu zakłócać spokój! "

–Więcej dotąd dbaliśmy o spokój niż o miłość między nami! – krzyczał Beniamin zabierając się do bicia. – strzeż się i stawaj! Powąchaj no tej piąstki.

–Tylko mnie rusz! – Hiram ledwie mógł dobyć głosu z gardła zdławionego żalaznyn} uściskiem Beniamina. – Tylko mnie tknij palcem!...

–Ja nie tykam palcem, tylko kuję pięścią! – ryczał Beniamin. Przykry obowiązek zmusza nas do stwierdzenia, że Beniamin do

reszty przestał panować nad sobą. Jego pięść raz po raz gwałtownie spadała na twarz Doolittle'a. Na placu w mgnieniu oka powstało zamieszanie. Tłum zwarł się wokół dybów, a kilka osób co tchu pognęło, by zaalarmować sąd. Paru młodzieńców na wyścigi pomknęło do domu Hirama, by mieć szczęście powiadomienia żony o przykrej przygodzie męża.

Beniamin młócił wytrwale i umiejętnie. Jedną ręką stawiał na nogi przeciwnika, a drugą walił go z nóg, uważał bowiem za rzecz niegodną bić leżącego. Dzięki tej umiejętnej metodzie zdołał zniekształcić oblicze Hirama, zanim Ryszard przedostał się na miejsce walki. Ryszard później nieraz przyznawał, że ten widok zmartwił go nie tylko jako oficjalnego stróża porządku. Nic go bowiem tak nie zabolęło, jak potiozny rozdźwięk między jego faworytami. Hiram był mu potrzebny do zaspokojenia próżności, a Beniamina, choć może się to wydać dziwne, naprawdę bardzo kochał. To uczucie wyraziło się w jego pierwszych słowach:

–Panie Doolittle! Panie Doolittle! Wstyd mi, że taki człowiek i na stanowisku aż tak się zapomniał. Że zakłóca spokój, obraża-sąd i znęca się nad Beniaminem.

Stary marynarz na głos Ryszarda zaprzestał bicia. Hiram zaś skorzystał z tego, uniósł obolęte oblicze i spojrzał na rozjemcę. Ośmielony widokiem szeryfa, znów uciekł się do swych płuc.

–Odpowiesz mi za to przed prawem! – wrzeszczał jak opętany. – Odpowiesz mi przed prawem. Panie szeryfie, żądam aresztowania tego człowieka!

Tymczasem Ryszard połapał się, o co chodzi, i zwracając się do Beniamina powiedział z wyrzutem:

-Beniaminie, jakżeś się dostał w dyby? Swym bezwstydnym po-

ślepkim zhańbiłeś nie tylko siebie, ale i swych przyjaciół. Na, Boga! P;inie Dooiittle, zmasakrował panu jedną stronę twarzy.

Hiram tymczasem zdążył już stanąć na nogi i odskoczyć dość ilaleko od Beniamina. Z bezpiecznego miejsca znów domagał się sprawiedliwości. Wina Beniamina była zbyt widoczna, by przejść nad nią do porządku. Szeryf pamiętając o" bezstronności, jaką jego kuzyn wykazał w sprawie Skórzanej Pończochy, przyszedł do przykrego wniosku, że musi zamknąć winowajcę w więzieniu. Tymczasem skończyła się już kara Skórzanej Pończochy, a Beniamin zgadł, iż zamkną ich razem, pozwolił się aresztować i nie ofiarował kaucji. Jednakże, gdy szeryf na c/ele grupy policjantów prowadził go do więzienia, pozwolił sobie na taką przemowę:

–Nić sobie z tego nie robię, że mnie zamkną na jedną noc lub dłużej z mistrzem Bumppo, bo go uważam za człowieka pocziwego i umiającego obchodzić się z ościeniami i strzelbami. Ale nie sądzę, bym sobie zasłużył na coś gorszego od podwójnej dawki rumu za to, że cięli zmasakrował jedną stronę twarzy,'jak pan to, określił. To sprzeciwiałoby się zdrowemu rozumowi i chrześcijańskim uczuciom. Bo jeśli jest tu jakaś pijawka – to on. Cóż takiego się stało, że się pan tak przejął? Była to zwykła bitka, burta w burtę, tylko że walczyłem zakotwiczony. | –

Całe popołudnie Beniamin zza kraty w oknie przyjacielsko konferował z różnymi ludźmi. Jego towarzysz zaś, bezszelestnie stąpając nogami obutymi w mokasyny, szybkim, niecierpliwym krokiem przemierzał wąską celę. Zwiesił głowę na piersi i tylko czasem, gdy podniósł twarz ku gapiom za oknem, uśmiechał się dziecinnie i ze starczą bezradnością. Ale i ten uśmiech ustępował miejsca jawnej i głębokiej trosce., Wieczorem widziano przy oknie celi Edward sa pogrążonego w rozmowie ze swym przyjacielem. Widocznie zdołał pocieszyć myśliwego, bo gdy odszedł, ten rzucił się na posłanie i głęboko zasnął. Beniamin, który przynajmniej z połową swych znajomych gęsto pociągał z dzbana, wreszcie zmęczył się gadaniem.'A że Natty spał już od dawna, Billy Kirby – ostatni gość przed kratą – odszedł koło ósmej do Templetońskiej Kawiarni. Wtedy Natty wstał, 'zawiesił okno kocem i w więzieniu zapanowała nocną cisza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

1 IS

By ścigającym umknąć wrogom, Raz po raz konia dźgał ostrogą, Tak cała czwórka gna co sił I nikt się nie ogląda w tył.

„1-iudibras”

Z zapadnięciem mroku, świadkowie i strony poczęli się rozchodzić do domów i już przed dziewiątą w mieście zapanowała cisza, a ulice opustoszały. O tej porze sędzia Tempie z córką i Luizą Grant, która trzymała się o parę koków z tyłu, wolno szli ulicą pod młodymi topolami i rozmawiali. ”

–Ty mogłabyś najlepiej go pocieszyć – mówił Marmaduk. – Ale nie tykaj sedna przestępstwa. Świętość prawa musi być uszanowana.

__ Ależ ojcze! – wykrzyknęła zniecierpliwiona Elżbieta. – Prawo, które skazuje takiego człowieka jak Skórzana Pończocha na podobnie ciężką karę za, moim zdaniem, błahe przestępstwo, nie może być dobre.

–Mówisz o rzeczach, na których się nie znasz – odparł Marmaduk – Społeczeństwo nie może istnieć bez zbawczych dla niego prawnych ograniczeń. A rygorów prawa nie da się utrzymać, jeśli nie będzie poszanowania bezpieczeństwa i godności osób, które ich strzegą. Ukarano go nie za napaść na Doolittle'a, lecz za porwanie się na konstabla, gdy ten spełniał swój obowiązek...

__ Nie o to chodzi, za co – przerwała mu Elżbieta, w swej logice

kierując się przede wszystkim uczuciem. – Wiem, że Natty był niewinny, a jeśli tak, skrzywdziliście go wszyscy.

–A więc i sędzia! Twój ojciec, tak Elżbieto?

–Nie, nie, nie. Nie stawiaj takich pytań. Powiedz, co chcesz ode mnie.

Sędzia chwilę milczał, z miłością uśmiechając się do córki. Potem czule położył dłoń na jej ramieniu i powiedział:

–Masz rację, Bess, i być może masz jej nawet dużo. Ale za bardzo dajesz się ponieść sercu. Posłuchaj: w tej sakiewce jest dwieście dolarów. Idź do więzienia, nikt

ci nie zrobi nic złego, pokaż tę kartkę dozorczy i pomów z biednym Bumpo. Nie wstydź się okazać mu, co czujesz, ale pamiętaj, że tylko prawo strzeże nas od zdziczenia, że Natty popełnił przestępstwo i że sądził go twój ojciec.

Elżbieta bez słowa przycisnęła sakiewkę do piersi i wzięwszy przyjaciółkę pod ramię wyszła na główną ulicę osady.

Szły milcząc wzdłuż domów, ukryte w ich głębokim cieniu. Ciszę przerywał tylko skrzyp kół i wolne stąpanie wołów, w jarzmie ciągnących wóz w tym samym kierunku. Poganiacza ledwie było widać w gęstym mroku. Szedł przy zwierzętach powłócząc nogami, pewnie zmęczony całodzienną pracą. Na rogu, tuż przy więzieniu, zaprzęg na chwilę zagroził paniom drogę, bo skręcił pod ścianę i przystanął. Elżbieta nie zwróciła uwagi na zaprzęg. Nagle doleciał ją głos poganiacza cicho mówiącego do wołów:

–No, no, wolno, Pręgowaty, wolno, mój panie!

Nie te dziwne słowa skierowane do wołów, z którymi każdy obyty jest w nowym kraju, lecz sam głos mówiącego zastanowił Elżbietę. Po skręceniu za róg wyszła wprost na poganiacza i od razu pod prostacką odzieżą poznała Oliwera Edwardsa. Gdy oczy ich spotkały się, mimo ciemności i olbrzymiego płaszcza Elżbiety Oliwer również ją poznał.

–Panna Tempie!

–Pan Edwards! – skrzyżowały się okrzyki instynktownie rzucone półgłosem.

(- Czy to możliwe? – spytał Edwards po chwili zdumienia. – Pani przy więzieniu? Pewnie idzie pani na plebanię. Przepraszam, panno Grant, nie poznałem pani w pierwszej chwili.

Luiza westchnęła tak cicho, że usłyszała ją tylko Elżbieta, która zaraz powiedziała:

–Jesteśmy nie tylko przy więzieniu, ale właśnie tam idziemy. Chcemy dowieść Skórzanej Pończosze, że nie zapomnieliśmy, co dla nas zrobił, i że choć sprawiedliwości musiało się stać zadość, pamiętamy o wdzięczności. Pan pewnie też tam idzie. Mój ojciec...

–Pani będzie łaskawa wejść – chłodno przerwał jej młodzieniec. – Tylko proszę, niech pani nic nie mówi, że tu jestem.

–Dobrze – odparła Elżbieta, lekkim skinieniem głowy odpowiadając na ukłon Oliwera i pociągając za sobą ' Luizę. Gdy weszły do domu dozorca, Luiza szepnęła:

— A może by połowę tych pieniędzy dać Oliwerowi? Połowa wystarczy na pokrycie grzywny'za Bumpo, a Oliwer nie przywykł.do ciężkiej pracy. Mój ojciec na pewno poświęci znaczną część swych skąpych dochodów, by mu umożliwić zdobycie odpowiedniejszego zajęcia.

! Elżbieta, uśmiechnęła. się, ale w tym przelotnym uśmiechu widać było głęboką troskę. Nic nie powiedziała, a zjawienie się dozorca znów skierowało myśli dziewcząt na cel ich wizyty.

Dozorcę nie zdziwiło, że. obie panny zażądały widzenia się ze Skórczaną Pończochą. Gdyby jednak miał nawet jakieś zastrzeżenia, kartka sędziego rozwiałaaby je z miejsca. Bez wahania więc poprowadził obie panie do celi więźniów. Ale gdy włożył klucz w zamek, Beniamin zawołał ochryplym głosem:

–Ahoj! Kto idzie?

–Goście, którym będziecie radzi – odparł dozorca. – Coście zrobili z zamkiem, że się nie chce otworzyć?

–Wolno, wolno, majsterku – rzekł marynarz. – Zagwoździłem zamek, by pan Doolittle tu nie wpadł kńie wywołał nowej awantury. Czuję, że trzeba będzie niebawem zacisnąć pasa. Już ten sąd wypompuje ze mnie hiszpańskie talary, jak za pobicie jakiego, jungi okrętowego. Dryfujcie chwilę z wiatrem, zaraz wam otworzę.

Głośnie uderzenia potwierdzały prawdę słów Beniamina. Zamek niebawem ustąpił i drzwi się otwały.

* Beniamin poważnie liczył się z grzywną i konfiskatą pieniędzy, toteż tego popołudnia i wieczora 'często zamawiał swój ulubiony trunek w Śmiałym Dragonie. Teraz więc, jak się to mówi, miał dobrze w czubie. Starego"marynarza trudno było zbić z nóg, bo,jak sam o sobie mawiał: głęboko siedział, w wodzie i w każdą pogodę mógł żeglować pod. pełnymi żaglami, teraz 'był, jak mówiliśmy,1 pod dobrą. datą. Ujrzawszy, kto przyszedł, wrócił na swoje postanie i nic sobie nie robiąc z młodych pań, z oajtrzeźwiejszą miną siadł opierając się •plecami o ścianę... '

–O dziewiątej zamykam więzienie – rzekł dozorca. – Teraz jest ósma czterdzieści dwie. – Postawił, świeczkę na surowym sosnowym stoliku i wyszedł.

–Skórzana Pończucho – powiedziała Elżbieta, ' gdy klucz znowu przekręcił się w zamku. – Drogi przyjacielu! Sprowadza mnie tu uczucie wdzięczności. Czemuż nie zgodził się pan na rewizję! Ubicie jelenia to drobiazg, już byłby pan wolny...

–Zgodzić się na rewizję? !*'- przerwał Natty. Uniósł głowę znad kolan, ale nie ruszył się z rogu, gdzie siedział. – Myślisz dziewczeczko, że wpuściłbym takiego nędznego robaka do mej chatki? Nie, nie, wtedy nawtfrt przed panią, słodka dziewczuszko, nie uchylilibym drzwi. Niechże teraz szukają do woli wśród zgliszcz i popiołów. Znajdą tyle, co w każdym ognisku w górach po wypaleniu potażu.

I znów ukrył twarz w dłoniach i zamyślił się głęboko.

–Chatkę można odbudować jeszcze piękniejszą – odparła Elżbieta. – Dopilnuję tego, gdy odbędzie pan karę.

–Czy potrafi pani wskrzesić umarłych? – Ze smutkiem rzekł Natty. – Czy można zebrać popioły ojców, matek i dzieci i wskrzesić je do życia? Czy pani wie, co to znaczy przez czterdzieści lat kłaść się do snu pod tymi samymi belkami i w najlepszych latach swych patrzeć na te same rzeczy? Pani jest jeszcze młoda, moje dziecko, ale jest pani jednym z najcenniejszych stworzeń, jakie Bóg powołał na świat. Marzyłem o czymś dla pani, ale teraz już po wszystkim. Ta historia i tamta /niweczyły moje nadzieje.

Elżbieta lepiej od innych zrozumiała słowa starca, bo gdy Luiza współczując mu spokojnie stała obok, ona odwróciła głowę chcąc ukryć twarz. Ale trwało to tylko chwilę.

–Znajdziemy lepsze, ładniejsze belki, mój obrońco – powiedziała Elżbieta. – Pańska kara szybko się skończy, a my tymczasem odbudujemy panu domek, gdzie w dostatku i wygodach dokona pan cnotliwego żywota. ' v '

–Dostatku i wygodach – powoli powtórzył Natty. – Dobrze są pani zamiary i żałuję, że się tak stać nie może. Ale on widział mnie wystawionego na pośmiewisko, jak ludzie tylko dybali...

–Do licha z dybami! – wtrącił się Benjamin wywijając butelką, z której często gęsto pociągał, i pogardliwie gestykułując drugą ręką. – Kto by tam dbał o kajdanki?

–Cicho, Benjaminie... masz być cicho – rozkazała Elżbieta.

–Słucham, panienko. Ale niech mi pani nie zabrania pociągnąć / butelki.

–Natty, nie mówmy o innych, lecz o panu – zwróciła się

Elżbieta do myśliwego. – Uważam za swój obowiązek dopilnować, by reszta życia minęła panu w dostatku i wygodach.

–Dostatku i wygodach – raz jeszcze powtórzył Natty. – Czyż zazna wygod starzec, gdy musi przejść milę otwartym polem, by uciec w cień przed palącym słońcem? A jakież dostatek może być tam, gdzie przez cały dzień nie spłoszy się jelenia, a ujrzy łasicę lub zbłąkanego lisa? Ciężko będzie z tymi bobrami na grzywnę. Przyjdzie mi chyba wędrować sto mil, aż na pensylwańską granicę. Tu się już bobrów, nie znajdzie. Tak jakby człowiek mógł zawracać wodę z drogi, którą jej Bóg wyznaczył... Benny, nie' zaglądał tak często do butelki, bo nie wstaniesz, gdy nadejdzie pora.

–Słuchaj, mistrzu Bumpo – odrzekł Benjamin. – Nie bój się o Bena. Jak wezwą wachtę, postaw mnie na nogi, podaj kurs, a nie zejść z niego na ćwierć rumba.

–Już czas – powiedział myśliwy nadśluchując. – Słyszę, jak woły trą rogami o ścianę.

–Powiedz, bracie, słowo i odbijamy.

–NiL zdradzisz nas, dziewczyno? – zapytał Natty szczerze patrząc na Elżbietę. – Nie zdradzisz starego, który pragnie odetchnąć czystym powietrzem lasu? Nie robię nic złego. Jeśli prawo każe mi płacić sto dolarów,, muszę mieć całe lato przed sobą. Ale wydołam, a ten dobry człowiek mi pomoże.

–Nałapiesz tych bobrów, nałapiesz... – powiedział Benjamin zagarniając rękami powietrze przed sobą – a jeśli ci znowu uciekną, możesz mnie nazwać pokurczem.

–Co chcesz zrobić? – spytała zdziwiona Elżbieta. – Musisz odsiedzieć trzydzieści dni. Pieniądze na grzywnę mam w kieszeni. Weź je. Zapłać jutro karę i uzbrój się w Cierpliwość. Będę cię często odwiedzała wraz z przyjaciółką. Uszyjemy ci nowe ubranie. Zobaczysz, będzie ci zupełnie dobrze.

–Naprawdę, drogie dzieci? – rzekł Natty, z rozczuloną miną przechodząc przez całą celę i biorąc Elżbietę za rękę. – Naprawdę będziecie takie dobre dla starca tylko dlatego, że zabił dziką bestię, co go przecież nic nie kosztowało? Widać niewdzięczności się nie dziedziczy, bo pani pamięta o oddanej usłudze. Te małe paluszki nie poradzą sobie z kozłową skórą i nie nawykły do nici ze ściągien. Jeżeli nie słyszał pani słów, usłyszy je ode mnie. Niech także wie, że jest tu ktoś, kto umie być wdzięczny.

–Niech mu pan nic nie mówi! – poważnym tonem zawołała

Elżbieta – jeśli pan mnie lubi... jeśli pan szanuje moje uczucia, niech

nie milczy. Mówiłam tylko o panu i tylko dla pana coś zrobię. Boleję

tylko tym, że prawo nakłada aż tak długie kary. Ale przecież chodzi

tylko o jeden krótki miesiąc i...

–Miesiąc! – zawołał Skórzana Pończocha uśmiechając się od ucha do ucha. – Ani jednego dnia, ani jednej mocy, ani godziny. Władca Tempie mógł mnie skazać, ale nie potrafi zatrzymać nawet w najlepszym więzieniu. Kiedyś ujęli mnie Francuzi i razem z sześcioma innymi ciornymi dwoma towarzyszami zamknęli w warowni tuż pod starym Montonakiem. Dla ludzi obytych z drzewem fraszka było wyciąć dziurę w sosnowych belach... – umilkł, uważnie rozejrzał się po celi i znów uśmiechnął się szeroko. Potem odsunął na bok Beniamina, uniósł kilka koców i pokazał otwór świeżo wycięty w ścianie młotkiem i dłutem. – Wystarczy szturchnąć i reszta wyleci. A wtedy...

–Lecimy, lecimy! – krzyknął Beniamin ocknąwszy się z oszołomienia. – Lecimy. Tak, tak, ty będziesz łapał bobry, a ja je zaniosę do kapelusznika.

–Będę miał kłopot z tym chłopcem – powiedział do siebie Natty. – Trzeba będzie ostro uciekać w góry, jeśli od razu wpadną na trop, a w tym stanie nie pobiegnie naprzód.

–Naprzód – powtórzył Beniamin. – Nie zбочz z kursu, idź burta w burtę i będziemy mieli piękną walkę wręcz.,,

–Cicho! – nakazała Elżbieta.

–Słucham panią. !: !

–Skórzana Pończochu, niech pan nie myśli o ucieczce – ciągnęła Elżbieta. – Zaklinam pana, niech pan pomyśli, że nie będzie pan mógł wyrzeć z puszczy. W pańskim wieku! Trochę cierpliwości, a wyjdzie pan stąd jawnie i z honorami.

–A czy tu znajdę bobry?

–Nie, ale ma pan pieniądze na grzywnę. Za miesiąc będzie pan wolny. Proszę, samo złoto.

–Złoto – powtórzył Natty wprost z, dziecinną ciekawością. – Od dawna już nie widziałem złotej monety.

–To są angielskie gwinee i należą do pana – rzekła Elżbieta. – • Zadatek na to, co jeszcze zrobimy dla pana.

Myśliwy wziął pieniądze i przez jakiś czas obracał je w rękę, sztuka po sztuce, mówiąc przy tym:

17 – Pionierowie

–Słyszałem, że w Cherry Calley jest strzelba, która celnie niesie na pięćset jardów. Widywałem już dobre sztuki, ale takiej nie. Ho, ho, celny strzał na pięćset jardów!... Cóż, stary już jestem i moja strzelba mi wystarczy. Niech pani weźmie to złoto. Na mnie czas: słyszę, że mówi do wołów. Muszę już iść. Pani nas nie wyda, prawda?

–Wydać was!... – powtórzyła' Elżbieta. – Niech pan weźmie pieniądze. Przydadzą się^ panu nawet w górach.

–Nie, nie – Natty uprzejmie odmówił ruchem głowy. – Nie ograbiłbym pani nawet dla dwudziestu strzelb. Ale pani może coś dla mnie zrobić, bo do kogóż się z tym zwrócę...

–Co... co?

–Chodzi o kupno puszek prochu. Kosztuje dwa srebrne dolary. Ben Pomp ma odliczone pieniądze, ale nie możemy ryzykować i pokazać się w mieście. Musi pani kupić tylko u Francuza. Ma najlepszy i najodpowiedniejszy proch do strzelb. Załatwisz to, dziewczuszko, załatwisz? \

–Przyniosę go, choćbym miała pana szukać w puszczy cały boży dzień... Gdzie pana znajdę?

–Gdzie? – Skórzana Pończocha zastanawiał się chwilę. – Jutro na górze Vision... Będę na panią czekał, gdy słońce stanie wprost nad naszymi głowami.

–Załatwię to – stanowczo rzekła Elżbieta.

Natty usiadł, wsadził nogi w otwór w ścianie i lekkim pchnięciem wybił dziurę na zewnątrz.

–Chodź, Benny, ciemniej już nie będzie. Za godzinę wzejdzie księżyc – powiedział Natty.

–Czekajcie! – zatrzymała ich Elżbieta. – Nie można pozwolić, aby mówiono, że uciekliście w obecności córki sędziego Tempie. Niech pan czeka, Skórzana Pończochu. Najprzód wyjdziemy, a później uciekajcie.

Natty chciał coś odpowiedzieć, ale przeszkodziły mu kroki dozorczy. Miał tyle tylko czasu, ile trzeba, by wyciągnąć nogi z otworu i zakryć go pościelą. Benjamin bardzo szczęśliwie przewrócił się na bok i jeszcze lepiej zamaskował' dziurę. W tej chwili skrzypnął zamek i drzwi się/ otworzyły.

–Czy panna Tempie już gotowa? – c uprzejmie zapytał dozorca. – O tej porze zwykle zamykam więzienie.

–Jestem gotową – odparła Elżbieta. – Dobranoc, Skórzana

! 'u/ocho.

Elżbieta pierwsza wyszła z celi. Dozorca przekręcił klucz w zamku i]ewniwszy, że jeszcze wróci, by dokładnie zaryglować drzwi celi, prowadził obie panie na ulicę. Tu pożegnał się i odszedł, a Elżbieta i li/a z biciem serca skierowały się ku rogowi więzienia.

–Teraz, kiedy Skórzana Pończocha zrzekł się pieniędzy, można 'ie dać panu Edwardsowi – szepnęła Luiza -a to razem z...

–Cicho! – przerwała Elżbieta. – Uciekają... Och, na pewno h;i/ ich złapią.

Przyszły akurat na róg, gdy Edwards i Natty wspólnymi siłami s yciągnęli przez wyłom niezbyt przytomnego Beniamina, Woły odstąpiły i Kiry kroków od swego siana i stanęły tak, że między ścianą i wozem po/ostało dość wolnego miejsca.

–Pozbieraj siano i rzuć je na wóz, by zatrzeć ślady – rzekł l dwards. – Szybko, bo nas zauważą.

Ledwie Natty skończył, światło świecy ukazało się w wybitym

!>iworze i rozległ się głos dozorca wołającego więźniów.

–Co robić? – zapytał Edwards. – ten opój nas zgubi. Każda i-hwila jest droga.

–Jaki opój, szczeniaku! – mruknął Beniamin.

–Więźniowie uciekli! Więźniowie uciekli! – krzyczało już z pięć lub sześć głosów w środku więzienia.

–Musimy go zostawić j- zdecydował Edwards.

–To nie wypada, chłopcze – rzekł Natty. – Podzielił ze mną liańbę dybów i ma dobre serce.

W tej chwili paru mężczyzn głośno rozmawiając wyszło ze Śmiałego Dragona. Najwięcej słyhać było Billy Kirby'ego.

–Co to? Jakieś wrzaski w więzieniu! Chodźmy zobaczyć.

–Zgubi nas, jeżeli go nie zostawimy – denerwował się Edwards. Elżbieta podeszła do

niego i szybko szepnęła mu niemal do ucha:

–Włóżcie go na wóz i popędźcie woły. Nikt się nie spostrzeże.

–Prawdziwie kobieca intuicja – rzekł młodzieniec. Zbiegowie w mgnieniu oka usłuchali rady. Posadzili marynarza na

sianie, kazali mu być cicho, wepchnęli kij poganiacza do ręki i popędzili woły. Potem przekradli się parę kroków pod murami domów i znikli w bocznej uliczce wiodącej na tyły zabudowań. Woły rażno

ruszyły naprzód. Z głębi ulicy dolatywały coraz głośniejsze krzyki. W ogólnym gwarze wybijał się głos drwala, który gromko przysięgał, że złapie zbiegów, i obiecywał, że Natty'ego przyniesie w jednej kieszeni, a Bena w drugiej.

–W rozsypkę, ludzie – wołał. – Rozsypcie się i idźcie w góry. Za kwadrans tam będą. A wtedy strzeżcie się strzelby Skórzanej Pończochy..

Ze dwadzieścia głosów powtórzyło tę komendę, bo ludzie wybiegli nie tylko z więzienia, lecz i z szynków. Jedni, by ścigać więźniów, drudzy, by się trochę zabawić.

Elżbieta skręcając w bramę dworu ujrzała jeszcze przystającego przy wozie, na którym siedział Benjamin, pozostawiony własnemu losowi. A gdy obie panienki szybko szły ścieżką, dostrzegły dwie postacie żywo i ostrożnie skradające się w cieniu drzew. Za chwilę Edwards i Natty przecięli drogę dziewczętom.

–Może już nigdy się nie zobaczymy – zwrócił się młodzieniec do Elżbiety. – Niechże więc wolno mi będzie podziękować pani za jej dobroć. Pani nie zna, pani nie może znać pobudek, które mną kierują.

–Uciekajcie, uciekajcie! – krzyknęła Elżbieta. – Cała osada jest na nogach. Nie powinni was złapać rozmawiających ze mną tutaj ilw takiej chwili.

–Muszę z panią pomówić nawet za cenę wolności.

–Drogę przez most już wam. odcięli. Pościg dotrze do lasu przed wami, jeżeli nie...

–Jeżeli co? – zawołał młodzieniec. – Już raz uratowała mnie pani rada. Będę więc pani ślepo posłuszny.

–Ulica jest teraz pusta – powiedziała Elżbieta po chwili namysłu. – Przetnijcie ją, a nad jeziorem znajdziecie łódkę ojca. Na niej wylądujecie, gdzie będziecie chcieli.

Młodzieniec powiedział coś tak cicho, że usłyszała go tylko Elżbieta, i zawrócił posłuszny jej wskazówkom. Gdy się rozchodzili, Natty podszedł do kobiet i powiedział:

–Pamiętajcie o prochu. Muszę zdobyć bobry, a ja i moje psy już jesteśmy starzy. Potrzeba mi najlepszego prochu.

Panienki zaczekały, aż zbiegowie znikli im z oczu, i weszły do dworu. Tymczasem

Kirby, jak już mówiliśmy, dopędzał wóz, który był jego własnym wozem. Edwards nie pytając właściciela o pozwolenie

zabrał go z placu, na którym cierpliwe woły co wieczór czekały, aż ich pan ugasi pragnienie.

–Hej! Moje złotka! – wołał drwal. – Jakżeście się tu dostały z końca mostu, gdzie was zostawił?

–Ster prosto! – zamruczał Benjamin i machnąwszy kijem na oślep, zawadził o ramię drwala.

–Kto tam siedzi, u diabła? – ryknął zdziwiony Billy odwracając się błyskawicznie. W ciemnościach jednak nie poznał twarzy wyglądającej z wozu.

–Kto? Sternik tego okrętu. A utrzyma go na kursie. Tak, tak. Most mam przed dziobem, a dyby za rufą. To się nazywa sterowanie. Jazda!,, ;

–Niech pan odłoży kij, panie Pomp, albo panu-natrę uszu. Dokąd pan zamierza moim zaprzęgiem? – pytał drwal.

–Zaprzęgiem?

–No tak. Moim wozem i wołami.

–Przecież pan musi wiedzieć, mistrzu Kirby, że Skórzana Pończocha i ja... Ben Pomp... Zna pan Bena?... A więc Ben i ja... nie, ja i Ben... Niech mnie diabli, jeśli wiem, jak to jest. Ale ktoś z nas musi się udać po ładunek bobrów. Potrzebowaliśmy więc wozu. Z wiosłem kiepsko panu idzie mistrzu Kirby... tak się pan z nim obchodzi jak krowa z muszkietem albo kobieta z piką.

Billy połapał się, że Benjamin jest pijany, i przez jakiś czas szedł obok wozu głęboko zamyślony. Potem wyjął kij z ręki Beniamina, który przewrócił się na siano i usnął, i popędził woły ulicą, przez most, w góry na wyrąb, gdzie miał zacząć pracować od rana. Nikt go nie zatrzymał, tylko czasem po drodze policjanci ścigający zbiegów rzucali mu jakieś gorączkowe pytanie.

u

I ja bym płakał – takimi to słowy Wódz szczepu pieśń swą posępnie

zaczyna –

Lecz oby żal mój nie zmaćcił grobowej. Żałobnej skargi płaczącego syna.

"Gertruda z Wyoming"

Nazajutrz wczesnym rankiem Elżbieta i Luiza spotkały się i poszły do sklepu pana Le Quoi, by spełnić obietnicę daną Skórzanej Pończosze. Ludzie zabierali się już do swych codziennych zajęć, ale w sklepie było jeszcze pusto. Zostały więc tam tylko ugrzecznionego Francuza, drwala, jakąś klientkę i młodziutkiego sprzedawcę.

Pan' Le Quoi z widoczną satysfakcją przeglądał pocztę. Drwal z jedną ręką przyciśniętą do piersi, z drugą ukrytą w fałdach kurtki, z siekierą pod prawą pachą, przyglądał mu się życzliwym okiem. Proste zwyczaje panujące w nowych osadach równały wszystkich bez względu na majątek, stanowisko i wykształcenie. Pan Le Quoi nie dostrzegł wchodzących pań i właśnie mówił do drwala:

–Ach, ach! Monsieur Billy, ten list mnie uszczęśliwił ponad wszelką miarę. Ach, ma chere France*! Znów cię niebawem zobaczę!

–Cieszę się ze wszystkiego, mój panie, co pana raduje – rzekła Elżbieta – ale mam nadzieję, że nie stracimy pana na zawsze.

Grzeczny sklepikarz nie przestając obsługiwać drwala, który przyszedł po tytoń, opowiadał eleganckim klientkom po francusku o szczęśliwej dla niego zmianie w nastrojach swych rodaków w kraju.

Elżbieta skorzystała w tym czasie z dogodnej chwili i zdążyła nabyć puszkę prochu od sprzedawcy o pospolitym imieniu Jonatan. Przy pożegnaniu jednak pan Le Quoi, uważając, że nie powiedział jeszcze wszystkiego, co należało, z namaszczeniem świadczącym o powadze sprawy prosił Elżbietę o osobistą rozmowę. Elżbieta wysłuchiwała

Ach, moja droga Francjo! (franc.)

jego prośby i po ustaleniu odpowiedniej na tę rozmowę godziny zdołała nareszcie wyjść ze sklepu.

Obie panie szły w milczeniu. Ale na moście Luiza przystanęła, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie śmiała.

Źle się czujesz, Luizo? – zapytała Elżbieta. – Może lepiej wrócimy i poszukamy innej okazji spotkania się ze Skórzaną Pończochą?

–Nie, nie jestem chora, tylko się boję! Och, nigdy już chyba nie odważę się pójść z tobą na tę górę. Nie mogę się na to zdobyć, nie

mogę!

Elżbieta stała zaskoczona. Nie bała się niebezpieczeństwa, którego już nie było, ale rozumiała dobrze dziewczęcą nieśmiałość Luizy.

–: A więc pójdę sama. Możemy zawierzyć tylko sobie, bo inaczej mogłybyśmy zdradzić Skórzaną Pończochę. Zaczekaj na mnie na skraju lasu, żeby się nie wydało, że sama poszłam w góry. Trzeba unikać plotek, jeżeli... jeżeli... Zaczekasz na mnie, prawda, moja droga?

–Nawet cały rok, byle w pobliżu osady – odrzekła podniecona Luiza.

Elżbieta wiedziała, że jej towarzyszka nie przesadza. Pozostawiła więc ją ukrytą przed oczami przechodniów tuż koło drogi, w miejscu skąd widać było całą dolinę, i dalej poszła sama.

Na szczycie góry, nazwanej przez sędziego Vision, wyrąbano widok na osadę i dolinę. Elżbieta spodziewała się, że na tej polanie będzie czekał myśliwy. Szła więc tak szybko, jak iść mogła, stromym wzniesieniem i przez dziewiczy las. Musiała omijać skały, wykroty i leżące wszędzie olbrzymie konary. Z uporem pokonywała wszystkie przeszkody i według swego zegarka przyszła na miejsce parę minut przed umówioną godziną.

Chwilę wypoczęła na jakimś pniu, a potem rozejrzała się szukając starego przyjaciela. Nie zobaczywszy go, wstała i obeszła polankę badając miejsca, gdzie przez ostrożność mógłby się ukryć. Daremnie. Gdy się zmęczyła i wyczerpała już wszystkie domysły postanowiła zaryzykować i zawołać.

–Natty! Skórzana Pończochu! Stary przyjacielu! – wołała na cztery strony świata. Suche drzewa puszczy drżącym echem odpowiedziały na jej czysty głosik.

Podeszła do skraju przepaści, skąd lekki dźwięk, jakby kto dłonią tłumił oddech, odpowiedział na jej wołanie. Nie wątpiła, że Skórzana Pończocha czeka na nią w ukryciu i daje znaki. Zeszła więc jakieś sto

stóp w dół i dotarła na mały taras skalny słabo porośnięty drzewami, zakorzenionymi w wątlej warstwie ziemi wypełniającej szczeliny. Podeszła na brzeg i spojrzała w pionową niemal przepaść, gdy nagle szmer suchych liści skierował jej uwagę w inną stronę. W pierwszej chwili zaskoczył ją widok, który ujrzała. Ale szybko otrząsnęła się ze zdziwienia i bez wahania, a nawet z ciekawością podeszła bliżej. _

Na pniu obalonego dębu siedział Mohegan. Smagłą twarz zwrócił ku Elżbiecie i nie odrywał od jej oblicza dzikich, rozplamionych oczu. To spojrzenie mogłoby przerazić najśmielszą kobietę, lecz Elżbiety nie przstraszyło. Opończa spadła z ramion Mohegana i obnażywszy mu pierś, ręce i większą część ciała sfałdowała się wokół tułowia. Z szyi zwisał mu medal z popiersiem Waszyngtona – wyróżnienie, które stary, jak Elżbieta dobrze wiedziała, nosił tylko w uroczystych chwilach. Sędziwy wódz przystroił się z większą starannością, niż zwykły, a niektóre szczegóły w jego wyglądzie przejmowały zgrozą. Pomarszczone czoło przecinały liczne czerwone krechy schodzące aż na policzki. Malowidła te krzyżowały się z sobą i wiły, tak jak nakazywał zwyczaj i fantazja. Ciało pomalowane było w ten sam sposób, a całość ukazywała oczom Elżbiety indiańskiego wojownika gotowego do jakiegoś niezwykłego czynu.

–Johnie! – Co się z tobą dzieje, drogi Johnie? – zapytała Elżbieta zbliżywszy się do Indianina. – Dawno nie widzieliśmy się w osadzie. Obiecałeś mi nowy koszyk wiklinowy, a perkalowa koszula czeka na ciebie.

, Indianin czas jakiś uporczywie patrzył na nią i milczał. Potem potrząsnął głową i odpowiedział swym niskim, gardłowym głosem: –Ręka Johna nie dotknie już wiklinowych koszyków... John nie potrzebuje koszuli.

–Ale jeśli będzie potrzebował, wie, gdzie ją znaleźć. Doprawdy, stary Johnie, serce mi mówi, że masz prawo żądać od nas wszystkiego, czego potrzebujesz.

–Słuchaj, córko. Sześć razy dziesięć gorących słońc minęło od czasu, gdy John był młody, smukły jak sosna, prosty jak lot kuli Sokolego Oka, silny jak bawół, zwinny jak ryś. Był mocny i był wojownikiem jak Młody Orzeł. Gdy jego plemię tropiło Makaów przez wiele słońc, on najpewniej odnajdywał ślady ich mokasynów. Gdy radowało się ono i cieszyło zwycięstwem licząc skalpy wrogów, wisiały one na jego palu. Gdy kobiety płakały, bo brakowało mięsa dla dzieci,

on był pierwszy na łowach, a jego kule mknęły szybciej niż jeleń... Córko, wtedy Chingachgook tomahawkami znaczył drzewa, by ospali i leniwi wiedzieli, gdzie szukać jego i Mingów... Ale koszyków nie wyplatał.

–Te czasy minęły, stary wodzu – odparła Elżbieta. – Nie ma już twego plemienia, a ty zamiast gonić za wrogiem nauczyłeś się lękać Boga i żyć w pokoju.

–Stań tu, córko. Stąd ujrzysz wielkie źródło, wigwamy twego ojca i kraj nad krętą rzeką. John był młody, gdy jego plemię przy ognisku narad oddało tę ziemię (od niebieskiej góry nad wodą po miejsce, gdzie drzewa zasłaniają Susguehannę) i wszystko, co na niej rośnie, na niej żyje, przez nią przechodzi – Pożeraczowi Ognia, bo go kochało. Oni byli babami, a on silnym mężczyzną i pomagał im. Żaden Delawar nie podniósł ręki na zwierzynę w jego lasach, nie zastrzelił ptaka w locie nad jego ziemią, bo wszystko należało do niego. Czy John żył w pokoju? Córko, od swej młodości John stale widywał białych nadchodzących od Frontenaku, by uderzyć na swych braci w Albany. Czy oni lękali się Boga? John widział swych angielskich i amerykańskich ojców, jak rozbijali sobie głowy tomahawkami po to, by zdobyć tę ziemię. Czy oni lękali się Boga i żyli w pokoju? Widział, jak wydarto ten kraj Pożeraczowi Ognia i dzieciom jego dzieci i osadzono nowego wodza. Czy ci, co to zrobili, żyli w pokoju, czy lękali się Boga?

–To są zwyczaje białych, Johnie. Czy Delawarzy nie walczą, czy nie sprzedają swej ziemi za proch, koce i inne towary? Gdybyś znał lepiej nasze prawa i zwyczaje, inaczej byś sądził o naszych czynach. Nie myśl źle o moim ojcu, stary Moheganie, bo to człowiek sprawiedliwy

4 i dobry.

–Brat Mikuona jest dobry i chce sprawiedliwości. Powiedziałem to Sokolemu Oku... Powiedziałem Młodemu Orłowi, że brat Mikuona będzie sprawiedliwy.

–Kogo nazywasz Młodym Orłem? – zapytała Elżbieta odwracając się od Indianina. – Skąd jest i jakie ma prawa?

–Czy po to moja córka tak długo mieszkała z nim pod jednym dachem, by mnie o to pytać? – przebiegle odparł Indianin. – Starość ścina krew, jak mróz nurt rzeki w zimie. Ale młodość pobudza wartki bieg krwi, jak słońce rozkwit kwiatów, Młody Orzeł ma oczy, czyż nie miał języka?

Ta daleka aluzja do kobiecych wdzięków Elżbiety była jednak dość wyraźna. Gęsty rumieniec pokrył policzki panienki, a jej ciemne oczy zapłonęły. Po chwili jednak pokonała wstyd i jakby nie chcąc zrozumieć starego wodza uśmiechnęła się i odpowiedziała żartobliwie:

–Przynajmniej nie po to, by mi się zwierzyć z tajemnicy. Nie będzie się spowiadał kobiecie. Za bardzo jest na to Delawarem.

–Córko, Wielki Duch stworzył twego ojca z białą skórą, mnie zaś z czerwoną, ale naszym sercom dał taką samą krew. Za młodu jest ona gorąca i wartka, na starość – chłodna i leniwa. Czy pod skórą kryje się jeszcze jaka różnica? Nie. John miał kiedyś żonę. Była matką tylu synów – podniósł rękę z trzema wzniesionymi palcami – i miała córki, które uszczęśliwiłyby młodych Delawarów. Była dobra i posłuszna. Wy macie inne zwyczaje. Ale czy myślisz, że młody John nie kochał swojej żony... matki jego dzieci? John dożył dnia, kiedy wszyscy odeszli w krainę duchów. Teraz jest gotów pójść za nimi, bo nadeszła jego godzina.

Zakrył twarz skrajem opończy i popadł w zadumę. Elżbieta nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała jakoś odciągnąć myśli Indianina od ponurych wspomnień, ale w jego smutku i stanowczości była duma, która kazała jej milczeć. Jednakże po dłuższej przerwie znów zapytała:

–Johnie, gdzie jest Skórzana Pończocha? Przyniosłam mu puszkę prochu, o który prosił, ale nie mogę go znaleźć. Weź proch ode mnie i nie zapomnij mu oddać.

Indianin w zamyśleniu uniósł głowę i z powagą przyjrzał się paczce, którą Elżbieta włożyła mu do ręki.

, ' – Oto wielki wróg" mego narodu. Bez jego pomocy biali nie wypędziliby Delawarów z ich ziemi. Córko, Wielki Duch nauczył twych ojców robić strzelby i proch, by mogli wyprzeć Indian z ich kraju. – Wkrótce nie będzie już tu czerwońskórych. Gdy John odejdzie, odejdzie ostatni Indianin z tych gór i nikt tu nie pozostanie z jego rodu. Mam tylko jednego syna, Młodego Orła, a i w jego żyłach płynie biała krew.

– Powiedz mi, Johnie – zaczęła Elżbieta chcąc oderwać starego wodza od ponurych rozmyślań, a jednocześnie zaspokoić własną ciekawość – kim jest ten pan Edwards? Czemu go tak lubisz i skąd on przybył?

Indianin drgnął na te słowa, które najwidoczniej znów go ściągnęły

na ziemię. Wziął Elżbietę za rękę, posadził koło siebie i wskazując na widok w dole,

powiedział:

–Spójrz, córko – pokazał na północ – kraj ten, jak daleko możesz sięgnąć młodymi oczami, należy do niego...

Potężna chmura dymu przesunęła się nad ich głowami, zakłębiła się w dolinie, przysłoniła im widok i przerwała starcowi. Zdziwiona Elżbieta zerwała się na równe nogi, spojrzała ku wierzchołkowi góry i zobaczyła, że pokrywa ją gęsty dym. Las powyżej huczał, jakby targany potężnym wichrem.

–Co się dzieje, Johnie? – zawołała. – jzym otacza nas zewsząd i czuję takie gorąco, jakby buchało z pieca.

Zanim Indianin odpowiedział z puszczy nadleciało wołanie:

–Johnie! Gdzie jesteś? Stary Johnie! Lasy płoną! Nie ma chwili do stracenia! " / –

Indianin przyłożył rękę do ust i poruszając palcami po wargach wydał taki sam dźwięk, jakim niedawno ściągnął do siebie Elżbietę. Odpowiedział mu szelest szybkich, gwałtownych kroków po suchych liściach i za chwilę ukazał się Edwards z twarzą wykrzywioną prze-

rażeniem.

U Ł i

3 I/I AŁ

Miłość w zamku króluje, na polach

i gajach.

"Opowieść ostatniego minstreUi"

Stary przyjacielu, straszne byłoby stracić cię w takich okolicznościach – mówił Oliwer z trudem łapiąc oddech. – Wstawaj i uciekajmy. Kto wie, czy już nie jest za późno. Ogień podchodzi do skały pod nami i jeżeli nie zdążymy się tamtędy przedostać, będziemy musieli próbować drogi przez przepaść. Rusz się, rusz, Johnie, dość tej apatii. Czas nagli!

Mohegan wskazał mu Elżbietę, która słysząc Edwardsa zapomniała o niebezpieczeństwie i cofnęła się za skalny występ, i powiedział żywszym tonem:

–Ratuj ją... Johnowi pozwól umrzeć.

–O kim mówisz? – wykrzyknął młodzieniec błyskawicznym ruchem odwracając się

ku skale, za którą stała Elżbieta. A gdy ujrzał chylącą się ku niemu młodą dziewczynę, zaleknioną i zawstydzoną niespodziewanym, spotkaniem zaniemówił z wrażenia!

–Panna Tempie! – zdołał wreszcie wykrzyknąć. – | Pani tutaj? Czyż taka śmierć jest pani pisana?

–Nie, nie... chyba nikt z nas nie zginie – Elżbieta starała się mówić spokojnie. – Pełno tu dymu, ale nie widzę jeszcze płomieni. Próbujemy ucieczki.

–Nie, nie! – wołał młodzieniec podniecony do najwyższych granic. – Nie, nie, nic nam nie grozi... Niepotrzebnie panią nastraszyłem.

Czy zostawimy Indianina... czy zostawimy go, jak mówi, na

śmierci:

śmierci?

Ból wykrzywił rysy Edwardsa. Przystanął i pełnym miłości

spojrze-

niem objął Mohegana. Ale po chwili, ciągnąc za sobą Elżbietę niemal wbrew jej woli, wielkimi krokami ruszył tam, skąd przyszedł.

–Niech się pani o niego nie boi – mówił z rozpaczliwym spokojem. – Zna puszcę, a taki pożar dla niego nie nowina. Przedostanie się szczytami... ponad skałą... albo bezpiecznie przeczeka na miejscu.

–Przed chwilą mówił pan co innego... Niech go pan nie skazuje na taką śmierć! – wykrzyknęła Elżbieta wpatrując się w Edwardsa wzrokiem, który zachwiał jego pewność.,

–Indianin ginący w pożarze lasów! Kto o tym słyszał? To śmieszne. Szybko, szybko. Zemdleje pani w tym dymie. Jeżeli dobiegniemy do tamtej skały i wyprzedzimy ogień, będziemy ocaleni – odparł młodzieniec nie panując już nad nerwami. – Biegnijmy, tu chodzi o życie.

Olbrzymie białe chmury dymu spowiły szczyt góry i przestaniały zbliżające się rozszalałe płomienie. Ale jakiś głośny trzask zwrócił uwagę Elżbiety, gdy podtrzymywana przez Edwardsa biegła ku linii dymu. Widać tam już było języki ognia, żywe i ruchliwe, strzelające w górę, przypadające do ziemi, ogarniające płomieniem każdą dotkniętą gałązkę, każdy krzak. Widok ten przynaglił młodych do jeszcze szybszego biegu. Na nieszczęście stosy chrustu zalegały drogę przed nimi i gdy myśleli, że już są bezpieczni, rozwidlony jęzor ognia musnął kupę suszu, która od razu buchnęła płomieniem. Kiedy nareszcie dobiegli do przejścia, ujrzeli przed sobą ścianę ognia, buchającą żarem niby rozwarty piec. Cognęli się i stanęli na skałę patrząc z przerażeniem na płomienie, morze ognia ogarniające cały stok.

Widok był piękny, ale straszny. Edwards i Elżbieta z podziwem przyglądali się niszczącemu pochodowi ognia. Młodzieniec szybko jednak zerwał się do nowego wysiłku i ciągnąc za sobą Elżbietę pobiegł wzdłuż granicy dymu. Często zagłębiał się w jego gęste kłęby szukając wyjścia. Niestety i te próby spełzły na niczym, obiegli taras wzdłuż zbocza, dotarli nad brzeg przepaści, naprzeciw miejsca, skąd przyszedł Edwards, i przekonali się z przerażeniem, że nie ma ratunku. Dopóki nie spróbowali drogi w dół zbocza, mieli jeszcze nadzieję. Ale gdy i ta droga zawiodła, Elżbieta wpadła z jednej krańcowości w drugą.

–Ta góra jest dla mnie fatalna – szepnęła. – Tu znajdziemy grób:

–Niech pani tak nie mówi, jeszcze jest nadzieja – również szeptem odparł młodzieniec, "ale jego bezradny wzrok zadawał kłam

słowom. – Wracajmy na poprzednie miejsce, przecież musi być jakieś wyjście.

–Chodźmy – zawołała Elżbieta. – wypróbujmy wszystko. – Nie czekała na towarzysza, odwróciła się i pobiegła nad brzeg przepaści.

Edwards dopędził ją w mgnieniu oka. Wzrokiem wyteżonym aż do bólu badał każdą rozpadlinę, szukając zejścia. Lecz na równych i gładkich skałach noga nie znalazłaby oparcia i nie było występow, po których można by zejść na dół. Szybko przekonał się więc, że zawodzi i ta deska ratunku. Z gorączkową rozpaczą, która dodawała mu siłę, uczepił się nowej myśli.

–Nie pozostaje nam nic innego – mówił – jak tylko spuścić panią na skałę poniżej. Gdyby Natty był z nami lub gdyby Indianin ocknął się z apatii, ich pomysłowość i doświadczenie wskazałyby nam jakiś sposób. Ale ja w tym wypadku jestem dziecięco bezradny, nie brak mi tylko odwagi. Jak to zrobić? Moje ubranie jest za słabe i nie wystarczy... Opończa Mohegana... musimy spróbować... musimy spróbować... wszystko lepsze, niż pozwolić pani zginąć taką śmiercią.

Edwards był już przy Moheganie, który bez słowa dał mu opończę, ale nie ruszył się z miejsca. Siedział dalej z indiańską godnością i spokojem, choć jego położenie było jeszcze gorsze. Opończę podarto i związane w jeden długi pas. Luźny, płócienny zakątek Oliwera i chustka Elżbiety podzieliły ten sam los i przedłużyły improwizowaną linę. Ale gdy ją Edwards opuścił, przekonał się, że sięga zaledwie połowy urwiska. ^.

–Na nic, na nic! – łkała Elżbieta. – Jestem zgubiona. Ogień zbliża się powoli, ale stale. Niech pan patrzy, pożera wszystko po drodze.

Cienką warstwę gleby na skalnym tarasie porastała skąpa, zwiędła trawa, a większość wątych drzewek zdążyło już uschnąć w znojnym upałam lata. Te, które jeszcze wegetowały, pokryte były nielicznym, suchym, pożółkłym listowiem. Obok nich pozostały tylko szkielety sosen. Trudno było o lepszy żer dla ognia, gdyby się tylko zdołał tu przerzucić. Zabrakło jednak poszycia, po którym gdzie indziej przenosił się z szybkością huraganu. W dodatku jedno z licznych górskich źródeł tryskało ze zbocza powyżej. Leniwie wiło się łagodnym spadkiem, zwilżało porosty i mech, i opływając podstawę stożkowatego szczytu uchodziło do jeziora przy zboczu góry, teraz zasłoniętego dymem. Nie

spadało jednak kaskadami, lecz nikło w ziemi, wynurzając się tu i tam w okresach dżdżystych. W suchych latach jednak jego łożysko rozpoznać można było tylko po mchach i grząskim gruncie. Pożar napotkawszy tę przeszkodę musiał się zatrzymać, dopóki żar nie zmoże wilgoci. Z całej trójki uwięzionych ludzi najbardziej podniecony był Oliwer. Elżbieta straciwszy resztkę nadziei popadła w tę rezygnację, z jaką czasem najsłabsze kobiety potrafią patrzeć w oczy nieuchronnemu nieszczęściu. *

–W obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi – szepnęła Elżbieta Edlyardsowi. – Niech pan powie Johnowi, by usiadł przy nas... umrzemy razem.

–To na nic... nie ruszy się z miejsca – odparł młodzieniec tym samym wstrząsającym szeptem. – Dla niego to najszczęśliwsza chwila w życiu. Jest już po siedemdziesiątce i ostatnio bardzo się postarzał... Coś mu się stało, gdy ścigał tego nieszczęsnego jelenia na jeziorze. Och, panno Elżbieto. To było naprawdę nieszczęśliwe polowanie! Od tego się wszystko zaczęło.

Elżbieta uśmiechnęła się słodko.

:- Nie mówmy o takich błahostkach w chwili, gdy kończy się nasza ziemską egzystencja.

–Jedyna pociecha, że umrę razem z panią! – wykrzyknął młodzieniec.

–Nie mów tak, Oliwerze – powstrzymała go Elżbieta... – Nie jestem tego warta.

–Umrzeć! – z rozpaczą zawołał młodzieniec. – Nie... nie, musi być jeszcze jakiś ratunek... Pani w żadnym wypadku nie umrze.

–Nie widzę ratunku – myślami już daleko od ziemi powiedziała Elżbieta i wskazała na pożar szalejący wokół. – Spójrz, płomienie rzedarły się przez strumień,, zbliżają się stale, choć wolno. Ach, patrz! Drzewo! Drzewo już płonie.

Nie było w tym słowa przesady. Buchające żarem płomienie pokonały ostatnią przeszkodę i poczęły już lizać na pół suchy mech. Długimi, rozszczepionymi jęzorami sięgały martwej sosny, spowiły ją, zakoły-sały się i strzeliły w górę. Obalony pień, na którym siedział Mohegan, zapalił się z jednego końca. Morze ognia w jednej chwili otoczyło Indianina, ale on nawet nie drgnął. Na pół nagi, niczym nie osłonięty przed żarem, musiał niewymownie cierpieć; lecz duch silniejszy był od ciała. Nawet teraz, w tak strasznej chwili nie przerwał swego śpiewu.

Elżbieta odwróciła się od tego widoku i spojrzała w dolinę. Podmuchy wiatru wzbudzonego niesamowitym żarem właśnie rozerwały zasłonę dymu. Dolina z cichą osadą leżała jak na dłoni.

Z tej odległości, zresztą niedużej, doskonale widać było sędziego, jak stał na swym polu i nieświadomy niebezpieczeństwa grożącego córce przyglądał się pożarowi. Ten widok bardziej wstrząsnął Elżbietą niż myśl o grożącej jej zgubie. Raz jeszcze spojrzała na | górę.

–To moja niesforność doprowadziła do tego! – krzyknął zrozpaczony Edwards. – Gdybym miał choć połowę pani nieziemskiego spokoju, wszystko byłoby inaczej.

–Nie mówmy o tym... nie mówmy. Teraz to już nie ma znaczenia. Musimy zginąć, Oliwerze, musimy... Umrzyjmy więc jak chrześcijanie. Nie, panu się może jeszcze uda uratować.

Oliwer słuckał tych słów, ale się nie ruszył. Gdy po chwili odzyskał głos, powiedział:

–Mnie każe pani odejść? Opuścić panią na progu śmierci? O, jakże mało mnie pani zna! – zawołał i klękawszy u stóp Elżbiety ramionami objął jej zwiewne szaty, jakby chciał ją zasłonić przed ogniem. – Rozpacz zapędziła mnie w tę puszcę, lecz pani... pani ugłaskała we mnie gniewnego lwa. Osłodziła mi pani czas spędzony na upokarzającej służbie. Dla pani zapomniałem o moim rodzie i pochodzeniu. Pani kazała mi przebaczyć, ucząc miłosierdzia. Nie... nie, najdroższa Elżbieto. Raczej umrę z panią, niż panią porzucę.

Elżbieta stała bez ruchu i bez słowa. Myślą błędziła daleko. W ekstazie zapomniała o ojcu i bólu bliskiego z nim rozstania. Duszą uleciała ku niebu i w obliczu wieczności nabrała prawdziwie męskiej odwagi. Ale słowa Edwardsa zbudziły w niej kobietę. Uśmiechając się walczyła ze sobą. Zdawało jej się, że jest już wolna od ziemskich uczuć, gdy nagle świat, ze wszystkimi swymi pokusami, znów stanął przed nią, ożywiony czymś przenikliwym głosem.

–Panienko! Gdzie jesteś, panienko? Odezwij się, jeśli żyjesz. Uciesz starego!

–Cicho – powiedziała Elżbieta. – To Skórzana Pończocha. Szuka mnie.

–To Natty! – krzyknął Edwards. – Jesteśmy uratowani! Nagle przeraźliwy błysk, jaśniejszy od płomieni, kulistym blaskiem

zaświecił im w oczy. Zawtórował mu głośny huk.

**–Puszka! Puszka z prochem! – już znacznie bliżej krzyknął Natty. – To puszka.
Drogie dziecko zginęło!**

**Po chwili Natty przeskoczył parujący strumień i z gołą głową, osmalonymi włosami,
w kraciastej, okopconej, pełnej dziur koszuli, z twarzą jeszcze bardziej czerwoną.od
żaru niż zwykle, stanął na skalnym tarasie. ', !**

R O Z D Z I A Ł T R Z Y D Z I E S T Y Ó S

M Y

Nawet z krainy cieniów – patrz, patrz !-

oto Zstępuje ku mnie straszliwy duch ojca.

"Gertruda z Wyoming"

Luiza Grant, bardzo niespokojna, dobrą godzinę czekała na powrót Elżbiety. W miarę jak czas upływał, a Elżbieta nie wracała, ogarniał ją coraz większy lęk. W jej żywej wyobraźni rodziły się wciąż nowe obrazy różnych wyimaginowanych nieszczęść czyhających w puszczy, z wyjątkiem tego, które naprawdę groziło Elżbiecie. Zauważyła, że paru przechodniów, którzy już ją minęli, z niepokojem o czymś rozmawiało, raz po raz oglądając się na szczyt góry. Wreszcie spostrzegła, że osadnicy powychodzili ze swych obejść i również patrzyli w tę stronę. Poruszona tym niezwykłym zachowaniem się ludzi, nie chcąc odejść i bojąc się zostać, usłyszała nagle szelest cichych, ostrożnych kroków i trzask łamanych gałęzi. Już chciała uciekać, gdy niespodzianie ujrzała przed sobą Natty'ego wynurzającego się z ukrycia. Stary myśliwy roześmiał się ściskając jej rękę zdrętwiałą z przerażenia.

–Cieszę się, że panią widzę – mówił. – Cały tył góry płonie. Niebezpiecznie byłoby tam chodzić, póki ogień -wszystkiego nie strawi i nie zwałą się spalone drzewa. Widziałem tam tego wariata, towarzysza

. gadziny, która wpędziła mnie w biedę. Szukał złota w ziemi na wschodnim zboczu góry. Powiedziałem mu, że lekkoduchy, które myślały, że uda im się znaleźć w ciemnej puszczy doświadczonego myśliwego, zaproszyły ogień. Ostrzegłem go, żeby się wyniół, bo las buchnie płomieniem jak kupa p^akuł. Ale tak był zajęty swą robotą, że ruszyłby się tylko na głos trąb wzywających na sąd ostateczny. Ale gdzież jest Elżbieta?

–Poszła na górę! Na górę! – rozpaczliwym głosem krzyknęła Luiza. – Szuka pana, by oddać proch.

Słyszając tę niespodziewaną wiadomość stary myśliwy cofnął się parę kroków.

–Niech Bóg ją ma w swej opiece. Jest na górze Vision, która płonie. Ach, dziecko, jeśli kochasz Elżbietę, biegnij do osady i zaalarmuj ludzi. Potrafią walczyć z ogniem i

może ją uratują. Pędź co tchu!

Z tymi słowami znikł w krzakach i gdy go Luiza ujrzała po raz ostatni, biegł pod górę, jak potrafią biec tylko ludzie nawykli do ciężkich trudów.,

–No, nareszcie panią znalazłem! – wykrzyknął Natty wynurzając się z dymu przed Elżbietą. – Łaska boska, że panią odszukałem. Ale chodźmy... nie ma chwili do stracenia.

–Moja suknia – powiedziała Elżbieta. – Nie mogę w. niej podejść do ognia.

–Pomyślałem o tych fatalaszkach – rzekł Natty i rozwinąwszy kozłową skórę, którą dźwigał na ramieniu, szczelnie okrył nią Elżbietę – Idziemy, tu chodzi o życie.

–Ale John? Co z Johnem? – zawołał Edwards. – Czy go zostawimy na zgubę?

Natty spojrział w kierunku wskazanym mu przez EdwardSa i ujrzał starego wodza, wciąż nieruchomo siedzącego na pniu. Mchy u jego stóp już płonęły jasnym ogniem. Myśliwy w jednej chwili znalazł się obok niego i powiedział po delawarsku:

–Wstawaj i uciekaj, Chingachgook. Czy chcesz spłonąć jak Min-go przy słupie? Czy tylko tego nauczyli cię bracia czescy? Święty Boże! Proch wybuchł u jego nóg... ma całe plecy spalone! Wstawaj! Nuże! Chodź!

–Czemu Mohegan miałby odejść? – posępnie odparł Chingachgook. – Minęły już jego orle dni, a wzrok ma zamglony. Patrzy na dolinę, patrzy na wodę. Patrzy na tereny łowów... ale nie, widzi Dela-warów. Wszędzie tylko biali. Ojcowie wzywają go do dalekiego kraju. Wzywają go żony, młodzi wojownicy, jego plemię. Wzywa go Wielki Duch. Pozwólcie umrzeć Moheganowi.

–Zapominasz o przyjacielu! – wykrzyknął Edwards.

–Szkoda mówić do Indianina, któremu myśl o śmierci zapadła w głowę – przerwał Natty i schwyciwszy kilka pasów z pociętej opończy z niebywałą zręcznością przytroczył sobie do pleców zupełnie

biernego wodza. Po czym odwrócił się i niezwykle lekko jak na swój wiek i ciężar na plecach pobiegł w stronę, z której przyszedł. Gdy wszyscy biegli przez skalny taras, jedno z uschniętych drzew, chwiejące się od kilku minut, runęło z trzaskiem na miejsce, gdzie stali przed chwilą. Chmura popiołu i iskier trysnęła w górę.

Przyspieszyło to tylko ucieczkę naszych przyjaciół, którzy co tchu w piersi biegli za Skórzaną Pończochą.

–Idźcie korytem źródła – wołał myśliwy, gdy znaleźli się w gęstym, przysłaniającym wszystko dymie. – Trzymajcie się białego dymu.

Posłuszni wskazówkom myśliwego Elżbieta i Oliwer bez słowa szli za nim i słuchali jego rad. Kręta droga po trzęsawisku biegła między płonącymi drzewami i spadającymi konarami. Mimo to przebyli ją szczęśliwie. Tylko człowiek, któremu życie zbiegło w puszczy, mógł odnaleźć drogę w duszącym, niemal nieprzeniknionym dymie. Dzięki doświadczeniu Natty'ego dotarli do skalnej rozpadliny, skąd bez większych trudności zeszli na inny taras i od razu odetchnęli o wiele czystszy powietrzem.

Radość Elżbiety i Edwardsa ze szczęśliwego wyrwania się z niebezpieczeństwa łatwo sobie wyobrazić, lecz trudno opisać. Ale nikt chyba nie cieszył się więcej od ich przewodnika, który odwróciwszy się ze swym ciężarem na plecach roześmiał się po swojemu i powiedział:

–Wiedziałem, słodka dziewczeczko, że to proch Francuza. Od razu wybuchnął w całości. Grube ziarna z minutę pryskają skrami, nim wybuchną.

–Natty, na miłość boską, nic nie mów, dopóki się stąd nie wydostaniemy. Dokąd teraz idziemy?

–Na skałę pod jaskinią. Dokądże... tam będziecie bezpieczni. Albo, jeżeli chcecie, schronimy się do środka.

Młodzieniec drgnął, ogarnęło go jakieś wzruszenie. Rozejrzawszy się jednak wkoło niespokojnym okiem, powiedział szybko:

–Czy na skale już nic nam nie będzie grozić? Czy ogień tam nie dojdzie?

–Chłopcze, czy nie widzisz? – odparł Natty spokojnie, jak człowiek,, dla którego podobne niebezpieczeństwo nie było nowiną. – Tam, na tamtym terenie, za dziesięć

minut byłyby już z was garstka popiołu. Tuprzez całe życie ogień was nie dosięgnie, chyba że skały będą płonęły jak drzewo. '

Uspokojeni tym zapewnieniem, nie budzącym wątpliwości, ruszyli

w głąb schronienia. Tu Natty ostrożnie usadowił Indianina opierając go plecami o skalny występ. Elżbieta osunęła się na ziemię i targana zmiennymi uczuciami ukryła twarz w dłoniach.

–Niech pani koniecznie podkrzepi siły. Dam się pani czegoś napić. Gotowa pani zemdleć – odezwał się Edwards tonem pełnym szacunku.

–Niech mnie pan zostawi – odparła błyszczącymi oczami patrząc w jego oczy. – Trudno mi mówić ze wzruszenia. Ten cudowny ratunek zawdzięczam Bogu i panu.

Edwards cofnął się na brzeg skały i zawołał:

–Beniaminie, Beniaminie, gdzie jesteś!

Odpowiedział mu ochryply głos, jakby płynący z wnętrza ziemi:

–*- Tu jestem, panie. Zaszpunktowany w kącie tej dziury, gdzie mi tak gorąco jak w miedzianym kotle koka*. Mam już tego powyżej uszu i jeśli Skórzana Pończocha myśli jeszcze zwłóczyć z odbiciem od brzegu na wyprawę po bobry, wracam do domku, odsiaduję karę i ratuję resztę moich hiszpanów.

–Daj nam szklankę wody ze źródła – zawołał Oliwer – i kapnij tam trochę wina. Pośpiesz się, proszę.

–Nie znam się na tych pańskich dziecinnych trunkach, panie Oliwerze – odparł Beniamin wciąż z głębi ziemi. – Resztką rumu zakropiłem pożegnalny pocałunek z Billem, kiedy mnie ubiegłej nocy zakotwiczył przy trakcie, gdzieście mnie znaleźli. Ale widzę tu coś czerwonego, być może w sam raz na słaby żołądek. Ten Kirby na łódce jest do niczego, ale wozem tak manewruje między pniami, jak londyński pilot między węglowcami.

Mówił to wydostając się z jaskini i przy ostatnich słowach ukazał się z napojem w ręku. Twarz miał opuchniętą i nalaną jak człowiek, który dopiero co oprzytomniał po pijaństwie.

Elżbieta wzięła napój z rąk Oliwera i ruchem ręki poprosiła, by ją zostawiono samą.

Edwards usłuchał. Odwrócił się i ujrzał Natty'ego troskliwie i pilnie krzątającego się przy Moheganie. Spotkali się wzrokiem i Natty powiedział ze smutkiem:

–Wybiła jego godzina, chłopcze. Widzę to po jego oczach... Kiedy Indianin bez przerwy wpatruje się przed siebie, wiadomo, że

Kok – kucharz okrętowy

wybiera się w krainę duchów. A gdy ci uparci ludzie coś sobie wbiją w głowę, z pewnością dopną swego.

Edwards chciał, odpowiedzieć, ale przeszkodził mu odgłos czyichś szybkich kroków. Za chwilę, ku ogólnemu zdziwieniu, ujrano pastora Granta mozolnie wdrapującego się po stoku góry i usiłującego dotrzeć do nich. Oliwer pospieszył mu z pomocą i przy wspólnym wysiłku pastorowi udało się bezpiecznie stanąć na skale.

–Jakim cudem dostał się pan do nas? – krzyknął Edwards. – Czy to czas na spacer po górach?

Pastor przede wszystkim szybko zmówił dziękczynną modlitwę, a gdy już ochłonął i zebrał myśli, powiedział:

–Mówiono mi, że moja córka poszła w góry, gdy więc ujrzałem pożar, nie mogłem usiedzieć w domu i wybiegłem na drogę. Spotkałem tam Luizę nieprzytomną z lęku o pannę Tempie. Szukając jej dotarłem do tego niebezpiecznego miejsca. Myśleć, że gdyby nie łaska Boga, który mi zesłał psy Natty'ego, nie wyszedłbym cało z oparów.

–Tak. Trzeba iść za psami, bo znajdą przejście, jeżeli w ogóle istnieje – rzekł Natty. – Nos zastępuje im ludzki rozum.

–Tak też zrobiłem i psy mnie tu doprowadziły. Ale Bogu niech będą dzięki, że was widzę bezpiecznych i zdrowych.

–Nie, nie – powiedział Natty – bezpieczni jesteście, ale trudno nazwać Johna zdrowym. Chyba że uważa pan za zdrowego człowieka, który żegna się z życiem.

–Tak jest – rzekł pastor z tym nabożnym lękiem, z jakim zawsze zbliżał się do konających. – Tak często bywałem przy łożu umierających, że bez trudu widzę rękę śmierci na czole tego starego wojownika. Jakaż to pociecha wiedzieć, że jeszcze w pełni sił, wśród ziemskich pokus przyjął ofiarowaną mu łaskę wiary. Ten potomek pogan był istotnie gorejącą głownią wyrwaną z ognia.

–Nie – odparł Natty, który obok pastora stał przy umierającym. – Ogień mu nie zaszkodził. O to Indianin wiele by nie dbał. Chodzi o strapienia, które go palą niemal od osiemdziesięciu lat. Zbyt długie łowy wyczerpały jego siły. Człowiek nie jest z żelaza, by żyć wiecznie, widzieć bliskich i krewnych wygnanych w dalekie strony i ronić łzy w samotności bez żadnej przyjaznej duszy przy sobie.

–Johnie – łagodnie powiedział duchowny – czy mnie słyszysz? Czy w tej ostatniej godzinie łakniesz modlitwy?

Indianin zwrócił trupio blade oblicze ku niemu i przez chwilę patrzył nań czarnymi, niewidzącymi oczami. Zdawał się nie poznawać pastora.

–Odejdę, odejdę. Odejdę do krainy sprawiedliwych! Zabijałem Makaów! Zabijałem Makaów! Wielki Duch wzywa swego syna! Idę! Idę do krainy sprawiedliwości.

Stary John zamilkł.

–Ach! Poniechał swej zabobonnej, pogańskiej pieśni! – wykrzyknął rozradowany zacy pastor. – Co mówi? Czy widzi swój beznadziejny stan?

–Myśli, że odchodzi do krainy wielkich łowów, gdzie są sami sprawiedliwi i uczciwi Indianie i gdzie znów spotka się ze swym plemieniem. Nie ma w tym żadnej beznadziejności dla człowieka, który nie został stworzony do wyrobu koszyków. Beznadziejność! Właśnie mnie ona czeka. Gdy John odejdzie, będę musiał pójść za nim.

–Jego przykład i zgon – chcę wierzyć mimo- wszystko: chlubny – powinien zwrócić pańską myśl ku innemu życiu!- rzekł pastor. – Moim obowiązkiem jest ułatwić drogę odchodzącej duszy. Johnie, nadeszła chwila, kiedy myśl, żeś przyjął naukę Chrystusa, winna ci przynieść ukojenie. Nie ufaj żadnemu ze swych dawnych uczynków, lecz złóż wszystkie swe grzechy u stóp Zbawiciela, bo masz Jego błogosławione zapewnienie, że cię nie opuści.

–Każde pańskie słowo to racja, w dodatku poparta Pismem świętym, ale z Indianinem nic pan nie zrobi – wtrącił się Natty. – Od czasu ostatniej wojny nie widział, braci czeskich, trudno więc będzie powstrzymać go od dawnych wierzeń. Niechże odejdzie w spokoju. Jest szczęśliwy, widzę to po jego oczach.

–Sokole Oko – Mohegan zdobył się na ostatni wysiłek. – Sokole Oko! Posłuchaj swego brata.

–Tak, Johnie – po angielsku odparł szczerze wzruszony myśliwy i przysunął się do Indianina – byliśmy braćmi, a to wiele więcej znaczy w języku Indian niż w naszym. Co chcesz mi powiedzieć, Chingachgook?

–Sokole Oko! Ojcowie wzywają mnie do krainy szczęśliwych łowów. Droga stoi przede mną otwarta, a oczy moje znów są młode. Patrzę... i nie widzę bladych twarzy. Są tylko dzielni i sprawiedliwi Indianie. Żegnaj, Sokole Oko... Ty wraz z Pożeraczem Ognia i Młodym Orłem pójdziesz do nieba białych. Ja idę do moich ojców. Niech mi

włożą do grobu mój łuk, tomahawk i wampum. Niechże ich Mohegan nie szuka, gdy jak wojownik na wojnę wyruszy po nocy.

W czasie opisywanej przez nas sceny na horyzoncie coraz liczniej zbierały się gęste, czarne chmury. Groźna cisza objęła całą atmosferę wieszcząc burzę. Błyskawice rozdzierały chmury nawisie nad zachodnim pasmem gór. Przy ostatnim słowie pastora potężny grzmot – w ślad za błyskawicą, która migotliwym blaskiem rozjaśniła ciemności zalegające niebo – przetoczył się nad górami i wstrząsnął głębią ziemi. Mohegan poderwał się, jakby posłuszny temu wezwaniu. Wyciągnął strudzone ręce ku zachodowi. Radość zajaśniała na jego obliczu, lecz zaraz poczęła niknąć w tężejących rysach. Uśmiechał się jeszcze, lecz po chwili ręce wolno mu opadły. Jego ciało bezsilnie oparło się o skałę, a otwarte oczy nieruchomo wpatrzyły się w odległe góry, jakby z ziemskiej powłoki śledziły lot duszy ku jej nowemu schronieniu.

Pastor Grant spoglądał na to w cichym przerażeniu. Gdy jednak przebrzmiało ostatnie echo grzmotu, złożył ręce z nabożną energią i głosem pełnym najgłębszej wiary rozpoczął:

–O Boże! Niezbadane są Twoje wyroki, nieznanne Twoje drogi. Wierzę, że Odkupiciel żyje i że zstąpi na ziemię w dniu Sądu Ostatecznego. Robaki stoczą me ciało, ale ujrzę Pana. Ujrzę Go na moje własne oczy...

Pó tej gorącej modlitwie pastor kornie opuścił głowę na piersi, przybierając postać wcielonej pokory, którą głosił z takim natchnieniem.

A gdy odszedł od zwłok, zbliżył się do nich myśliwy. Ujął sztywną rękę przyjaciela, przez chwilę bez słowa patrzył zamyślony w jego twarz i wreszcie powiedział posępnym tonem:

–Teraz już nie ma znaczenia czy biały, czy czerwonoskóry. Osądzi go sprawiedliwy sędzia, i to nie według nowych praw i zwyczajów. Jeszcze jedna taka śmierć i zostaną na świecie sam z mymi psami.

Duże krople deszczu poczęły rozbijać się na skałe. Ulewa nadciągała szybko i nieubłaganie. Co prędzej zniesiono więc zwłoki w głąb pieczary, a psy pobiegły za nimi, wyjąc i dopominając się skomleniem rozumnego spojrzenia, którym Indianin zawsze odpowiadał na ich powitanie. Edwards w nieskładnych i niejasnych słowach przeprosił Elżbietę, że jej nie sprowadza do jaskini, którą starannie założono belkami

i korą. Mówił coś mało przekonywającego o ciemnościach i przykrości przebywania z trupem. Elżbieta znalazła schronienie pod

skalnym występem, który doskonale ją bronił przed gwałtowną ulewą. Zanim się rozpogodziło, do skały dobiegły z, dołu głosy wołające Elżbietę. Niebawem można było dojrzeć ludzi, którzy przetrząsali gasnące resztki krzaków i krok za krokiem przedzierali się przez jeszcze tlejące zgliszcza.

Oliwer wykorzystał pierwszą przerwę w deszczu, by odprowadzić Elżbietę do drogi, gdzie się z nią pożegnał. Przedtem jednak znalazł chwilę czasu, by przemówić do niej z uczuciem, w którego szczerość już nie wątpił.

–Czas skończyć z tajemnicą. Jutro o tej godzinie uchylę zasłonę, którą, być może przez słabość, tak długo otaczałem siebie i moje sprawy. Byłem romantykiem i szaleńcem. Ale któryż młodzieniec, szarpany sprzecznymi namiętnościami, nie jest szalony? Niech panią Bóg błogosławi! Słyszę głos pani ojca. Idzie tu drogą, a ja nie chciałbym, by, mnie właśnie- teraz zatrzymano. Dzięki Bogu jest pani znów bezpieczna, a to zdejmuję mi wielki ciężar z serca.

Nie czekał na odpowiedź i znikł w lesie. Elżbieta, mimo że słyszała niespokojne wołanie ojca, wyczekała chwilę, aż Oliwer skryje się za dymiącymi drzewami. Dopiero potem zawróciła i za parę minut znalazła się w ramionach na pół przytomnego ojca.

Szybko sprowadzono powóz i wsadzono do niego Elżbietę. Z ust do ust podawano sobie wiadomość o jej odnalezieniu. Ludzie zmoczeni i brudni, powrócili do osady radzi, że córka sędziego, właściciela ich patentu, uszła strasznej i przedwczesnej śmierci*.

Kwestionowano możliwość takiego pożaru puszczy, jak tutaj opisany. Autor może tylko powiedzieć, że był raz świadkiem pożaru lasów w innej części stanu Nowy Jork, pożaru, który zmusił woźnicę do porzucenia wozu i koni na trakcie. Konie i wóz spłonęły. Dla oceny faktu należy sobie zdać sprawę z działania długotrwałej suszy w tym klimacie i obfitości suchego paliwa – gałęzi, krzaków – w podobnych lasach. Pożary lasów w Ameryce często przybierają tak potężne rozmiary, że w promieniu pięćdziesięciu mil powstają silne wichry. Znoszą one domy, stodoły i płoty (przyp. autora).

R O Z D Z I A Ł T R Z Y D Z I E S T Y D Z I E W I A T Y

Dobądź wochowskiej szabli, Seliktarze! Tam bourgi! Naprzód, w bój na szyki
wraże! Góry! Warn patrzeć na zwycięskie
wieńce Albo nas nigdy nie ujrzyście więcej!

Byron

Ulewa szalejąca do końca dnia stłumiła pożar. W nocy jednak widziano tu i tam, w miejscach gdzie było więcej suszu, błysk płomieni. Następnego dnia rano ujrzano na przestrzeni wielu mil czarne, dymiące resztki lasów, zupełnie pozbawionych poszycia i chrustu. Na szczytach gór jednak sosny i jodły wznosiły swe dumne wierzchołki, a nawet trafiały się mniejsze drzewa, które szczęśliwie ocalały.

Ludzie z przejęciem powtarzali sobie przesadne wiadomości o cudownym ocaleniu Elżbiety. Ogólnie wierzono też, że Mohegan zginął w płomieniach. Wiadomość ta potwierdziła się i nabrała zupełnego prawdopodobieństwa, kiedy do osady nadeszła straszna wieść o znalezieniu Jothama Riddela, górnika, w jego wykopie, niemal uduszonego i beznadziejnie poparzonego. Ostatnie wydarzenia poruszyły wszystkich osadników. W dodatku następnej nocy po tragicznym pożarze fałszerze, za przykładem Natty'ego, zdołali wydostać się z więzienia i ujść sprawiedliwości. Ta wiadomość, podawana z ust do ust, nieszczęsny los Jothama i wyolbrzymione, przekręcone relacje o wydarzeniach na górze wzburzyły umysły ludzkie. Opinia ogółu poczęła głośno żądać ujęcia zbiegów, którzy pozostali w okolicy. Na tak podatny grunt padło nowe podejrzenie, że to Edwards i Natty podpalili las i że wobec tego oni są winni wszystkiemu. Chętnie temu wierzono, tym bardziej że zajadłymi głosicielami tej wieści byli ci lekkomyślni ludzie, którzy sami zaproszyli ogień. Teraz już powszechnie domagano się ukarania winowajców. Ryszard nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać i koło południa zebrał się z całą powagą do przywrócenia porządku w okręgu.

Wybrał kilku młodych, silnych ludzi, zebrał ich oddzielnie i na

oczach osadników, lecz z dala od ich uszu udzielił im jakichś wielce tajemniczych instrukcji. Pouczeni o swych obowiązkach, młodzieńcy pospieszyli w góry z takim zapałem, jakby losy świata zależały od ich sprytu i pilności, a jednocześnie z tak tajemniczymi minami, jakby ich dopuszczono do największej tajemnicy państwowej.

Punktualnie o dwunastej długo i przeciągle zabrzmiał werbel przed Śmiałym Dragonem. Na progu karczmy ukazał się Ryszard i kapitan Hollister w mundurze Templetońskiej Lekkiej Piechoty. Tu. Ryszard oficjalnie zażądał od Hollistera pomocy "gwardii narodowej" w celu zaprowadzenia porządku w okręgu.

Oddział składał się z ochotników, a dowodził nimi człowiek, który trzydzieści pięć lat życia spędził w obozach i w polu. Trudno więc dziwić się, że oddział pod względem wyszkolenia, nie miał równego sobie w całym kraju a wszyscy zdrowo myślący templetończycy uważali, że wyglądem i zaprawą dorówna każdej armii w świecie.

O drugiej oddział z zadziwiającą regularnością wziął na ramię broń, kolejno od prawoskrzydłowego, stojącego najbliżej kapitana Hól-listera, aż do lewoskrzydłowego. Orkiestra zagrała dziarskiego marsza Yankee-doodle, kapitan Hollister ruszył więc naprzód. Posuwano się w górę bez większych przeszkód i zmian. Zwiadowcy zameldowali niebawem, iż zbiegowie, wbrew spodziewaniom nie zamierzają uciekać, że dowiedzieli się o wyprawie i przygotowują się do rozpaczliwej obrony. Ta wiadomość oczywiście spowodowała zasadnicze zmiany nie tylko w planach dowódców, lecz i w nastrojach żołnierzy.

W tej sytuacji spotkał ich Billy Kirby. Szedł traktem z siekierą pod pachą, na czele swego zaprzęgu, jak kapitan Hollister przed swoim oddziałem. Drwal zdumiał się widząc wojskowy oddział, ale szeryf od razu skorzystał z okazji wzmocnienia swych sił i na mocy prawa powołał go pod broń, on zaś zbyt poważał Ryszarda, by mu się sprzeciwiać. W końcu postanowiono przed dalszymi działaniami wysłać drwala do rebeliantów z wezwaniem, aby się poddali. Podzielono też siły: część pod kapitanem ruszyła poprzez górę Vision, by z lewej strony oskrzydlić pieczarę, reszta, dowiedziona przez porucznika, miała zaatakować z prawa. Ryszard i doktor Todd – uważano, że może być potrzebny – stanęli w ukryciu na skalnym tarasie tuż nad głowami zbiegów. Dotychczas obie strony nie wymieniły słowa. Oblężeni zbudowali ze spiętrzonych zwęglonych pni konarów coś w rodzaju zasieku, koliście osłaniającego wejście do pieczary. Dojście do niej ze wszystkich

stron było strome i śliskie. Beniamin strzegł jednego boku zasieku, Natty – drugiego. Nie należało więc lekceważyć sobie fortocy, tym bardziej że od czoła dostatecznie broniło jej trudne dojście. Tymczasem Kirby otrzymał rozkaz i ruszył w górę obojętnym krokiem, jakby się zabierał do swego zwykłego zajęcia. Gdy znalazł się o sto stóp od zasieku, Skórzana Pończocha wysunął długą lufę swej groźnej strzelby za parapet barykady i zawołał:

–Stój! Stój, Billy! Nie życzę ci nic złego, ale jeżeli ktoś z was zbliży się o krok, poleje się krew. Niech Bóg przebaczy temu, kto ją pierwszy przeleje, ale nie ma innej rady.

–Poczekaj, stary – dobrodusznie odparł Billy. – Czego się tak złościysz! Posłuchaj, co ci powiem. Nie mój interes, co się tu dzieje. Ja pragnę tylko uczciwych stosunków między ludźmi. Kto tu zwycięży, tyle mnie obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Ale za bukiem stoi pan Doolittle, który mi kazał cię wezwać, byś się podporządkował prawu... i to wszystko.

–Widzę tę gadzinę! Widzę skrawek ubrania! – krzyknął oburzony Natty. – Niech się tylko na tyle wysunie, by się kula zmieściła w ciele, a dowie się, że tu jestem. Proszę cię, Billy, idź precz. Nie mam do ciebie złości.

–Nie licz na swoją strzelbę, jeśli chcesz postrzelić człowieka poprzez trzystopowy pień -, odparł Billy, cofając się za najbliższą sosnę. – Mogę ci zwalić na głowę to drzewo w dziesięć minut według każdego zegarka, a może i prędzej. Zachowuj się więc spokojnie... chcę tylko sprawiedliwości.

Prosta i szczerą twarz Natty'ego zdradzała niezwykłą powagę. Widać było, że nie żartuje. Ale widać też było, że wolałby uniknąć rozlewu krwi. Na przechwałki drwala odpowiedział:

–Wiem, że potrafisz zwalić drzewo tam, gdzie chcesz, ale jeśli przy rąbaniu wysuniesz kawałek ręki czy ramienia, będą musieli złożyć ci kość i zatamować krew. Czy chodzi wam o to tylko, by wejść do pieczary? Jeżeli tak, poczekajcie trochę. Na dwie godziny przed zachodem puścimy was. Ale teraz nie. Tu już leży jedno ciało na zimnej skale, w drugim życie ledwie się kołacze. Jeśli podejdziecie, trupy znajdą się po obu stronach skały.

Drwal bez cienia lęku wyszedł zza drzewa i krzyknął:

–W porządku! Mądrze mówi. Chce, żebyście zaczekali i weszli do pieczary dopiero na dwie godziny przed zachodem słońca. Cóż

w tym złego? Jak ktoś nie ma racji, chętnie ustąpi, gdy się go zanadto nie dusi. Ale gdy się go przyprze do muru,, staje się uparty jak wół – im więcej się go bije, tym więcej bryka.

Ten zdrowy pogląd drwała na wolność człowieka nie odpowiadał ani okolicznościom, ani niecierpliwemu charakterowi Ryszarda, który wprost płonął z ciekawości i chciał jak najprędzej wyjaśnić tajemnicę pieczary. Przerwał więc przyjacielską rozmowę wołając:

–Natanielu Bumpo, jako szeryf okręgu rozkazuję ci poddać się prawu! A wam, panowie, rozkazuję dopomóc mi w pełnieniu moich obowiązków. Beniaminie Penguillam, aresztuję pana i rozkazuję panu udać się ze mną do więzienia na podstawie tego nakazu.

–Poszedłbym za panem – powiedział Beniamin wyjmując fajeczkę z ust (dotąd palił z niewzruszoną miną). – Tak, pożeglowałbym za panem nawet na koniec świata, gdyby to było możliwe, choć ziemia jest okrągła. Pan, panie Hollister, całe życie spędził na ładzie, więc może pan nawet nie wie, że ziemia...

–Poddaj się! – huknął weteran tubalnym głosem, który oszołomił obłązonych, a oblegających skłonił do cofnięcia się o parę kroków.– Poddaj się, Beniaminie Penguillam, albo nie licz na łaskę!

–W nosie mam twoją łaskę – odrzekł Beniamin wstając z pnia i zezując na lufę wiwatówki wniesionej w nocy na skalę. Armatka była głównym atutem obrony tego skrzydła twierdzy. – Niech pan posłucha, panie Hollister. Wątpię, czy zna pan jakie liny prócz tej, na której kiedyś pana powieszają. Czemu więc pan krzyczy, jakby pan popędzał głuchego marynarza na rei? A może pan myśli, że ma pan moje prawdziwe nazwisko w swoich rejestrach? Jakiż angielski marynarz żegluje po tych wodach bez fałszywej bandery w zanadrzu? Mówiąc do mnie "Penguillam" używa pan nazwiska człowieka, w którego dobrach przyszedłem na świat. To był prawdziwy szlachcic, a tego nawet największy wróg nie powie o nikim z rodziny Beniamina Stubbsa.

–Podajcie mi nakaz aresztowania, a wpiszę "lub"! – zawołał Hiram zza drzewa.

–Byle nie "nierób", bo wpisze pan samego siebie! – odkrzyknął Beniamin, bezustannie zerkając na swą wiwatówkę.

–Daję wam minutę do namysłu! – zawołał Ryszard. – Beniaminie, Beniaminie! Tak mi się odwdzięczasz?

–Mówię panu – wtrącił się Natty, lękając się wpływu Ryszarda na marynarza – że

choć straciliśmy puszkę prochu przyniesioną przez

panienkę, dość go jeszcze mamy w pieczarze, by wysadzić skałę na której pan stoi. Zdmuchnę sobie ten dach nad głowę, jeśli nie dacie mi

spokoju.

–Myślę, że pertraktacje ze zbiegłymi Więźniami uwłaczają mej godności – zauważył szeryf do swego towarzysza i obaj tak szybko wycofali się ze skały, że Hollister wziął to za znak do ataku.

–Na bagnety! – ryknął. – Marsz!

–Wprawdzie okrzyk ten nie był niespodzianką, zaskoczył jednak oblężonych. Dzięki temu weteran zdołał zbliżyć się do szanca i wściekle rąbnął pałaszem. I byłby pozbawił Beniamina głowy, gdyby nie wtrąciła się wiwatówka. Ledwie Benjamin fajeczką dotknął zapalu, armatka wypaliła, wyrzucając niemal pionowo w górę pięć, sześć tuzinów grubego śrutu. Dwa funty metalowych kulek opisały ostrą parabolę i spadając zaszeleściło w liściach nad głowami żołnierzy stojących za swym dowódcą. W nieregularnym wojsku powodzenie ataku w dużym stopniu zależy od pierwszego impetu. W tym wypadku pierwszy impet miał kierunek odwrotny i chwilę po grzmiącym huku, spotęgowanym skalnym echem, cały ciężar natarcia spoczął na nieustraszonym pałaszu kapitana. Ogłuszony odrzutem armatki, Benjamin leżał jak długi na skale. Kapitan Hollister skorzystał z tego, wygramolił się na szaniec i postawił nogę na bastionie – taki bowiem charakter miał szaniec połączony z pieczarą. Znalazłszy się wewnątrz umocnień wroga, dzielny weteran podbiegł do skraju skały i począł krzyczeć wywijając pałaszem

nad głową:

–Zwycięstwo! Do mnie, chłopcy! Zdobyliśmy twierdzę!

Wszystko to było na wskroś wojskowe, a kapitan Hollister dał swemu oddziałowi przykład męstwa, jak przystoi dzielnemu dowódcy. Ale jego okrzyk fatalnie zaważył na dalszym biegu zwycięskich działań. Natty, który nie spuszczał oka z drwala i nieprzyjaciół za jego plecami, odwrócił się nagle i zdrętwiał na widok leżącego Beniamina i wroga głośno triumfującego w bastionie. Natychmiast błyskawicznym ruchem opuścił łufę strzelby i zmierzył w kapitana. W tym momencie życie weterana zawisło na włosku! Jednakże cel był za duży i za bliski. Skórzana Pończocha nie nacisnął więc cyngla, tylko silnym pchnięciem w plecy wypchnął Hollistera z twierdzy prędzej, niż ten się do niej dostał. Kapitan runął z czoła skały i spadł na strome, śliskie zbocze, gdzie nie mógł znaleźć oparcia. Ziemia usuwała mu się spod nóg, zsuwał się więc szybko, ruchem przyspieszonym, co go do reszty oszo-

łomiło. Pani Hollisterowa, która w towarzystwie dwudziestu co najmniej chłopców mozolnie drapała się ppd górę, jedną ręką wspierając się na swym kiju, a w drugiej dźwigając pusty worek, niezmiernie zdziwiła się rejteradą swego męża. Niebawem oburzenie wzięło górę nad wszystkimi jej uczuciami.

–Sierzancie! Co co? Uciekasz?! – wołała. – Mój rodzony mąż zmyka przed wrogiem! I to jakim! Właśnie opowiadałam chłopcom o oblężeniu miasta York i jak cię raniono. I jak dzielnie walczyłeś tego dnia. A teraz widzę cię uciekającego przy pierwszym strzale! Och, muszę chyba rzucić ten worek, bo żonie takiego wojaka nie przypadnie żaden łup. Ludzie mówią, że jest tam kupa złota i srebra... Boże, wybacz, że myślę o doczesnych dobrach, ale Pismo święte przyznaje łup zwycięzcy.

–Uciekam? – powtórzył na pół przytomny weteran. – Gdzie mój koń? Zastrzelono go pode mną... Ja...

–Czyś ty oszalał? – przerwała mu żona. – Jakiegoś miał konia? Przecież jesteś tylko marnym kapitanem wojsk kolonialnych. Och, gdyby tu był prawdziwy kapitan, inaczej byś skakał, mój drogi.

Zacna para dyskutowała ze sobą, a tymczasem nad ich głowami bitwa rozgorzała na dobre. Skórzana Pończocha widząc, że jego wróg pięknie "rozwinął żagle", jakby się wyraził Benjamin, zwrócił całą uwagę na prawe skrzydło atakujących. Kirby zaś wołał radośnie:

–Hura! Wspaniale, kapitanie! Wspaniale! Dalej! Dzielnie wywijaj swoją motyką!

Podobnymi okrzykami dodawał ducha lecącemu w dół weteranowi, aż wreszcie zmożony wesołością siadł na ziemi i z uciechy począł ją kopać piętami. Natty zaś przez cały czas stał w groźnej postawie z pochyloną strzelbą, baczny na każdy ruch wroga. Okrzyki drwała przyciągnęły uwagę Hirama i na jego nieszczęście skusiły go do rzucenia okiem na pole bitwy. Wychylił się zza drzewa wprawdzie bardzo ostrożnie, chroniąc przód, ale wystawiając tył na atak wroga, jak to robią nawet lepsi od niego wodzowie. Fizycznie Hiram należał do tego gatunku Amerykanów, którym natura odmówiła wszelkich krągłości. Po suchym trzasku wystrzału Kirby, który z zapartym oddechem przyglądał się tej scenie, ujrzał, jak kawał kory odprysnął od pnia buku, a ubranie Hirama nieco powyżej luźnych fałd podejrzenie się zakołysa-ło. Nigdy jeszcze żadna bateria pod ogniem tak szybko nie porzuciła swego stanowiska jak Hiram po tym strzale. Wystąpił dwa, trzy kroki

naprzód i trzymając się za poszkodowane miejsce jedną ręką, drugą pogroził Natty'emu i zawołał głośno:

–Niech cię... Pan Bóg kocha! To ci tak gładko nie[^] przejdzie. Odpowiesz przed sądem karnym.

To niezwykle przekleństwo w ustach tak bogobojnego człowieka jak Hiram Doolittle, śmiałość, z jaką się teraz wystawił na widok, i zapewne świadomość, że strzelba Natty'ego jest rozładowana, dodały odwagi stojącym w tyle żołnierzom. Z głośnym krzykiem wypalili w korony drzew wstrząśnięte już wystrzałem wiwatówki i podnieceni własnym wrzaskiem śmiało ruszyli do boju. Billy Kirby też uznał, że żart posunął się za daleko, i już przekładał nogę przez zasiekę, gdy sędzia Tempie stanął po przeciwnej stronie skały i krzyknął:

–Spokój i cisza! Co to za próba morderstwa i rozlewu krwi? Czy prawo samo przez się nie jest dość silne, by go wspierać zbrojnymi bandami?

–To obywatele w służbie prawa! – odkrzyknął szeryf z odległej skały – którzy...,

–Powiedz raczej: w służbie szatana. Złóżcie zaraz broń!

–Stójcie! Czekaście! – rozległ się krzyk ze szczytu góry Vi-sion. – Stójcie! Na miłość boską, nie strzelajcie! Poddajemy się! Możecie wejść do jaskini.

Zdziwienie powstrzymało wojujące strony. Natty, który zdążył już naładować strzelbę, spokojnie siadł na klocach i podparł głowę rękami. "Lekka Piechota" stanęła z bronią u nogi i czekała, co będzie dalej.

W niespełną minutę z góry zbiegł Edwards, a major Hartmann podążał tuż z adnim nad wiek żwawo. W mgnieniu oka stanęli na skale, skąd młodzieniec, a za nim Hartmann weszli do jaskini pozostawiając wszystkich w niemym osłupieniu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIES.

T Y

Zmieniam się w słup soli, Jak to? Tyś doktor, a ja o tym nie

wiem?

Szekspir

W ciągu pięciu minut, zanim Edwards i major znów ukazali się na skale, sędzia,

szeryf i większość ochotników zdążyli tam wejść. Odważni wojacy już się nawet zaczęli dzielić przypuszczeniem, jak się cała sprawa skończy, i opowiadać o swoich bohaterskich czynach, ale przerwali rozmowy na'widok Edwardsa i majora wychodzących z pieczary.

Dźwigali oni jakąś ludzką istotę siedzącą na pokrytym nie wyprawionymi skórami, prymitywnym fotelu, który postawili pośród zebranej gromady. Człowiek na krześle miał głowę siwą jak gołąb. Długie loki spadały mu na ramiona. Jego strój, uszyty z materiałów, jakie noszą bogatsi ludzie, czysty i schludny, był jednak zniszczony i miejscami pocerowany. Nogi obute były w mokasyny wspaniale ozdobione na indiańską modłę... Twarz miał poważną, rysy dumne, lecz wzrok błędny. Wodził oczami wkoło, a jego spojrzenie zdradzało, że zupełnie zdziecinniał.

Natty poszedł za obu mężczyznami, obarczonymi tak niezwykłym ciężarem, aż na szczyt skały i zatrzymał się o krok za starcem. Stał w samym środku swych prześladowców, oparł się na strzelbie bez cienia lęku, jakby wiedział, że chodzi o sprawę znacznie ważniejszą od jego osoby. Major Hartmann stanął obok starca. Głowę miał obnażoną, a z jego oczu, zwykle żartobliwych i nawet szelmowskich, teraz wyczerała szczerą, prawą duszą. Edwards ruchem poufałym i pozornie spokojnym wsparł się jedną ręką o oparcie krzesła, ale naprawdę był tak przejęty, że słowa zamarły mu w gardle.

Wszyscy patrzyli uważnie, lecz oniemieli ze zdziwienia. W końcu zgrzybiały starzec powiódł błędnym wzrokiem po twarzach zebranych, spróbował uśmiechnąć się uprzejmie i wstać z miejsca. Głosem przerywanym i drżącym który płynął z głębi piersi powiedział:

–Siadajcie, panowie. Zaraz zaczniemy naradę. Każdy, kto kocha

naszego cnotliwego króla, życzyłby sobie widzieć te kolonie wierne jego osobie. Siadajcie, proszę. Wojska rozłożą się tu obozem na noc.

–Cóż to za chorobliwe majaczenia? – odezwał się Marmaduk...- O co chodzi, niech mi kto powie!

–To tylko uwiad starczy, proszę pana – odparł Edwards. – A zaraz się okaże, kto odpowiada za pożałowania godny stan tego starca.

–Czy ten pan zje z nami obiad, mój synu? – zapytał starzec zwracając się w kierunku znanego sobie i kochanego głosu? – Zadysonuj obiad godny oficerów królewskich. Zawsze mamy pod ręką najlepszą zwierzynę.

–Kto to jest? – pytał Majrmaduk gorączkowo, a po jego głosie znać było, że się czegoś domyśla i że jest bardzo zaintrygowany.

–Ten człowiek – spokojnie zaczął Edwards stopniowo podnosząc głos – dotąd ukryty w pieczarze, pozbawiony wszystkiego, co osładza życie, był ongiś towarzyszem i doradcą ludzi, którzy władali tym krajem. Ten człowiek, którego pan widzi bezradnego i słabego, kiedyś był żołnierzem, tak odważnym i dzielnym, że nawet nieustraszeni Indianie nadali rnu nazwisko "Pożeracz Ognia". Ten człowiek, pozbawiony teraz najskromniejszej chatki, władał ongiś wielkim majątkiem. Był, panie sędzio, prawowitym właścicielem ziemi, na której stoimy. To ojciec...

–A więc to major Effingham, o którym mówiono, że nie uszedł zguby! – wykrzyknął Marmaduk niezwykle wzburzony.

–Zgubiono go istotnie – odparł młodzieniec' przeszywając Mar-maduka spojrzeniem.

–No a pan, a pan? – pytał sędzia zduszonym głosem.

–Jestem jego wnukiem.

Zapadła martwa cisza. Wszyscy wpatrywali się w mówiących. Nawet stary major z najgłębszym niepokojem czekał, co będzie. Ale ogólne zdumienie szybko minęło. Marmaduk, który w pierwszej chwili nie ze wstydu, ale z głębokiej wdzięczności dla Boga opuścił głowę, teraz ją uniósł. Wielkie łzy popłynęły po jego męskiej twarzy, gdy ^gorąco ścisnął rękę młodzieńca.

–Oliwerze – powiedział – przebaczam ci twe ostre słowa... i twoje podejrzenia. Rozumiem je teraz. Wybaczam ci wszystko, prócz tego, żeś trzymał starca w pieczarze, gdy mój dom, cały mój majątek był do jego dyspozycji, i to tak niedaleko.

–Jest pewny jak stal! – zawołał major Hartmann. – Młodzieńcze, czy ci nie mówiłem, że Marmaduk Tempie nigdy nie zawiedzie?

–To prawda, panie sędzio, że pod wpływem słów czcigodnego majora zacząłem lepiej myśleć o panu. Kiedy przekonałem się, że nie mogę niepostrzeżenie zabrać dziadka stąd, z ziemi, do której przywiódł go nie gasnący sentyment, udałem się nad Mohawk, by poszukać jednego z jego dawnych i wiernych towarzyszy broni. To również i pański przyjaciel, panie sędzio, i jeżeli to, co mi o panu powiedział, jest prawda, ojciec i ja sądziliśmy pana niesprawiedliwie.

–Wspomniał pan o ojcu – ze wzruszeniem powiedział Marmaduk. – Czy naprawdę utonął w morzu?

–Tak. Po wielu latach biedy i daremnych zabiegów o wynagrodzenie strat opuścił mnie w Nowej Szkocji i pojechał do Anglii. Tam uzyskał wreszcie odszkodowanie i po roku wyjechał do Halifax, udając się do, Indii Zachodnich, gdzie go mianowano gubernatorem. Chciał wstąpić po dziadka i zabrać go wraz z nami.

–Ale sądziłem... żeś zginął wraz z nim – powiedział Marmaduk słuchając z wielkim, zainteresowaniem.

Młodzieniec zaczerwienił się. Spojrzał na zdziwione twarze ludzi wokół siebie i milczał. Marmaduk zwrócił się do kapitana Hollistera, który właśnie dołączył do oddziału, i powiedział:

–Odmaszeruj ze swymi żołnierzami i każ im rozejść się do domów. Szeryf w zapale przekroczył swe obowiązki.

Większość obecnych, do których odnosiły się te rozkazy, powitała je niechętnie. Jednakże usłuchali bez namysłu, bo po pierwsze zdawali sobie, po trochu sprawę, że przeholowali w gorliwości, a po drugie – od dawna' nawykli ulegać sędziemu.

Po ich odejściu, gdy na skale pozostały tylko główne osoby, Marmaduk wskazał na zgrzybiałego majora Eppinghama i zwrócił się do jego wnuka.

–Może lepiej wnieść starca z powrotem do pieczary aż do przyjazdu powozu?

–Proszę mi wybaczyć, ale świeże powietrze dobrze mu robi. Zawsze z niego korzystał, gdy nie było obawy, że go kto zobaczy. Doprawdy, nie wiem, co robić, panie sędzio. Czy mogę... czy powinienem zgodzić się, by pan gościł majora Eppinghama?

–Sam to rozstrzygnij – odparł Marmaduk. – Z twoim ojcem przyjaźniłem się od wczesnej młodości. Zawierzył mi cały swój majątek.

Gdyśmy się rozstawali, tak mi ufał, że nie wzięłyby żadnych gwarancji, żadnego dowodu, nawet gdyby warunki i czas na to pozwalały... Słyszałeś o tym?

–Tak jest, panie sędzio – rzekł Edwards, a raczej Effingham, jak go teraz powinniśmy nazywać.

–W polityce reprezentowaliśmy różne kierunki. Gdyby zwyciężyła Ameryka, jego depozyt był u mnie pewny. Nikt o nim nie wiedział. Gdyby zaś Anglia zachowała swe panowanie nad zbuntowanymi koloniami, nie byłoby trudności w odzyskaniu majątku tak wiernego poddanego jego królewskiej mości jak pułkownik Effingham... czy to jasne?

–Założenie było prawidłowe – powiedział młodzieniec z tym samym nieufnym spojrzeniem.

–Słuchaj, słuchaj chłopcze – wtrącił się stary Niemiec. – Sędzia jeszcze nigdy nie skłamał.

–Wiemy, czym się skończyła wojna – ciągnął Marmaduk nie zważając na nich. – Dziadek twój pozostał w Connecticut, a ojciec hojnie go zaopatrzył. Nie powinno mu być zbywać na niczym. Dobrze o tym wiem, choć nigdy nie rozmawiałem z twym dziadkiem, nawet w okresie największej pomyślności. Ojciec twój wystąpił z wojska, by ubiegać się o odszkodowanie za straty. Były duże. Jego posiadłości sprzedano, a ja je prawnie nabyłem. W swych zupełnie naturalnych roszczeniach nie powinien być napotkać żadnych przeszkód, prawda?

–Tak, przeszkód nie było, chyba tylko ta, że poszkodowanych było za dużo.

–Jednak mogłaby powstać jedna, i to nieprzezwyjężona: gdybym ogłosił, że władam jego posiadłościami, ustokrotnionymi przez czas i moją pracowitość, tylko z jego ramienia. Wiesz, że zaraz po wojnie przekazywałem mu znaczne kwoty.

–Tak, do czasu...

–Moje listy wracały nie rozpieczętowane. Twój ojciec był do ciebie podobny, Oliwerze. Był gwałtowny i popędliwy – mówił sędzia, •'!!!; jakby sam sobie czynił wyrzuty. – Być może błędem. Może zanadto wybiegałem w przyszłość i przeholowałem. Niewątpliwie wystawiłem na ciężką próbę człowieka, którego najwięcej kochałem na świecie, by przez siedem lat uważał mnie za złodzieja, tylko po to, żeby z czystym sumieniem mógł żądać rekompensaty strat. Lecz gdyby otworzył

moje ostatnie listy, dowiedziałby, się całej prawdy. Te, które wysłałem do;' Anglii, ojciec twój czytał. Wiem to od mego agenta. Umarł znając

prawdę. Zginął, a ja myślałem, że wraz z nim i ty zginąłeś, Oliwerze.

–Nie mieliśmy pieniędzy na dwa przejazdy – odparł młodzieniec ze wzruszeniem, jakie zawsze go ogarniało, gdy wspominał o upadku swego rodu. – Zostałem w koloniach i czekałem na powrót ojca, a gdy dowiedziałem się o jego tragicznej śmierci, byłem bez grosza przy duszy.

–I co zrobiłeś, mój chłopcze? – drżącym głosem zapytał Marmaduk.

–Przywędrowałem do tego stanu w poszukiwaniu dziadka. Wiedziałem bowiem dobrze, że on musi być w biedzie utraciwszy połowę żołądu ojca, którą mu wypłacano. Ale gdy dotarłem do miejsca jego schronienia, dowiedziałem się, że wyjechał w tajemnicy. Od niechętnego nam sługi, który opuścił dziadka w biedzie, z trudem wydobyłem, że zabrał go jakiś stary człowiek, też dawny sługa. Od razu domyśliłem się, że to był Natty, bo mój ojciec często...

–To Natty służył u twego dziadka! – wykrzyknął sędzia.

–Pan tego nie wiedział? – zapytał zaskoczony młodzieniec.

–! Skąd miałbym wiedzieć? Nigdy nie widziałem majora i nigdy też przy mnie nikt nie wymienił nazwiska Bumpo. Znam go tylko jako mieszkańca puszczy żyjącego z myślistwa. Często spotyka się takich ludzi, więc się niczemu nie dziwiłem.

–Wychował się w domu dziadka i towarzyszył mu w całej kampanii na Zachodzie. Tam rozmiłował się w puszczy i został w niej jako swojego rodzaju "mąż zaufania". Miał pilnować ziemi, którą za współudziałem starego Mohegana (dziadek kiedyś uratował mu życie) Dela-warzy nadali dziadkowi, przyjmując go na honorowego członka swego plemienia., ' •

–A więc to jest ta indiańska krew w twych żyłach?

–Tak. Nie mam innej. – Edwards uśmiechnął się. – Mohegan, wówczas najwyższy dostojnik plemienia, adoptował majora. Mojemu ojcu, który odwiedził to plemię jako chłopiec, nadało ono nazwę "Orzeł", jak wnoszę, na skutek jego ostrych rysów twarzy. Później odziedziczyłem to samo nazwisko. Nie mam w sobie ani krwi, ani wychowania indiańskiego. Były jednak chwile, panie sędzio, kiedy gorąco tego żałowałem.

–Mów dalej.

–Nie mam już nic więcej do powiedzenia. Dotarłem do jeziora, nad którym, jak

wiedziałem, z częstych opowiadań, mieszkał Natty.

Trzymał on u siebie swego dawnego pana w tajemnicy przed ludźmi, bo i on nie mógł znieść, by patrzyli na biedę i zdiecinnienie tego, którego kiedyś powszechnie szanowano i czczono.

–A coś ty robił?

–Co ja robiłem? Za ostatnie grosze nabyłem strzelbę, przywdziałem prostaczy ubiór i u boku Skórzanej Pończochy uczyłem się myślistwa. Resztę już pan wie.

–!- No, a co ze starym Fritzem Hartmannem? – z wyrzutem zapytał major. – Czyś nigdy chłopcze nie słyszał, od swego ojca

o starym Fritzu Hartmannie?

–r- Może zbłądziłem, proszę panów. Ale duma nie pozwoliła mi ujawnić tego, co dziś, też dość opornie, wyszło na jaw. Miałem pewien plan, może zbyt fantastyczny. Chciałem na jesieni, gdyby mój dziadek jej dożył, zabrać go do miasta, do dalekich krewnych. Do tego czasu pewnie już przebaczyli torysom*. Ale dziadek szybko opadał z sił

1 pewnie niedługo spocznie obok starego Mohegana – dokończył ze smutkiem. •

Dzień był piękny, powietrze łagodne, rozmawiali więc dalej na skale-żywo i z zaciekawieniem, a każda chwila przynosiła nowe wyjaśnienia zagadki i zmniejszała nieufność młodzieńca do sędziego. Wreszcie doszedł ich skrzyp powozu jadącego pod górę. Oliwer nie sprzeciwiał się już zabraniu dziadka, który cieszył się jak dziecko, gdy go wsadzono do powozu. W obszernej sieni dworu uważnie przyglądał się wszystkiemu. Ruch i zmiana bardzo go jednak zmęczyły, musiał więc pójść do łóżka. Leżał w nim później całymi godzinami i najwidoczniej zdawał sobie sprawę z korzystnej dla niego zmiany. A jednocześnie był smutnym dowodem tego, że ciało żywotniejsze jest od ducha.

Młody Effingham nie opuścił dziadka, dopóki go nie ułożono wygodnie, a Natty nie zasiadł przy łóżku. Potem posłuszny wezwaniu poszedł do biblioteki, gdzie sędzia i majort Hartmann na niego czekali,

–Przeczytaj to, Oliwerze – od razu na progu powitał go Mar-mad.uk – a przekonasz się, że nie chcę skrzywdzić twojej rodziny za życia i nie chciałem jej skrzywdzić po śmierci.

Oliwer wziął podany mu papier i od pierwszego rzutu oka zorientował się, że to testament sędziego. Choć był podniecony i niecierpliwił się, zauważył, że data dokumentu odpowiada okresowi niezwyklej de-

T o r y ś i – tu: stronnicy króla angielskiego.

presji Marmaduka. Czytając tę ostatnią wolę, czuł, jak łzy mu napływają do oczu, a ręka gwałtownie dygocze.

Testament zaczynał się od zwykłych formułek ujętych w zawiły styl van der Schoola. Lecz później, po oficjalnej części, treść stawała się przejrzysta: znać było pióro sędziego. Jasno, zwięźle, po męsku, czasem nawet z niezwykle siłą wyrazu przedstawiał on, co winien jest pułkownikowi, jakie łączyły ich stosunki i w jakich okolicznościach się rozstali.

Krótko mówiąc, opowiedziawszy wszystko, co się potem zdarzyło sędzia przeszedł do wyliczenia majątku pozostawionego mu przez pułkownika Effinghama. Majątek ruchomy i dochody podzielił na dwie połowy i oddał pod opiekę kuratorom. Jedną połowę dziedziczyła córka Marmaduka, drugą Oliwer Effingham, dawny major armii angielskiej, lub jego syn Edward Effingham, lub syn tegoż, Edward Oliwer Effingham – ten z nich, który pozostał przy życiu – albo ich prawny spadkobierca. Ważność tego zapisu obowiązywała do roku 1810. Gdyby do tego czasu spadkobierca się nie zgłosił lub mimo ogłoszeń nie odnalazł, kwota, równa długowi Marmaduka plus procenty, miała być wypłacona prawnym spadkobiercom rodziny Effinghamów, a reszta wracała do córki Marmaduka lub jej spadkobierców.

Oliwer rozplakał się czytając to niezaprzeczalne świadectwo uczciwości sędziego. Zmieszany, nie mógł oderwać oczu od dokumentu, gdy nagle czyjś głos wstrząsnął nim do głębi.

–Czy ciągle pan nam nie ufa?

–Zawsze ufalem pani! – wykrzyknął na to, od razu odzyskując spokój i głos. Zerwał się i pochwycił dłoń Elżbiety. – Nigdy, nigdy, nawet przez chwilę nie zwątpilem w panią.

–A w mego ojca?

–Niech go Bóg błogosławi.

–Dziękuję ci, synu -! odpowiedział sędzia gorąco ściskając mu rękę. – Obaj zblądziliśmy: ty byłeś zbyt gwałtowny, ja za powolny. Połowę mego majątku obejmujesz zaraz po załatwieniu formalności. A jeśli się nie mylę, niebawem również druga połowa przypadnie ci. w udziale.

Wziął rękę, którą trzymał w uścisku, i złączył ją z ręką Elżbiety. Po czym skinął na majora i skierował się ku drzwiom.

–Coś pani powiem – rzekł stary major żartobliwie. – Gdybym był taki, jaki byłem, gdym służył z jego dziadkiem nad brzegami tych jezior, ten ślamazara nie wygrałby tak łatwo głównego losu.

–Chodź, chodź stary Fritzu – powiedział sędzia. – Masz siedemdziesiąt, a nie siedemnaście lat. Ryszard czeka na ciebie w sieni przy dzbanie z żółtkiem.

–Ryszard! O, do diabła! – wykrzyknął major wybiegając z pokoju. – Sknoci piwo. Sam je przyprawię. Do diabła! Gotów osłodzić je syropem zamiast cukrem.

Marmaduk uśmiechnął się, skinął ręką młodym i zamknął drzwi za sobą.

To sam na sam przeciągnęło się nadmiernie, ale nie powiemy, jak długo trwało. O szóstej przerwał je pan Le Quoi, który zgodnie z wczorajszą umową – przyszedł na rozmowę z Elżbietą. Wysłuchała jego w bardzo uprzejmą formę przybranych oświadczeń, przy czym nie omieszkała napomknąć o "wplywowym przyjacielach", o swym ojcu, matce i plantacjach cukrowych. Musiała jednak już przedtem przyrzec swą rękę Oliwerowi, bo teraz odrzuciła te oświadczenia w równie uprzejmych, choć bardziej stanowczych słowach.

Pan Le Quoi przyłączył się niebawem do szeryfa i Hartmanna, siedzących w sieni. Na ich nalegania przysiadł się do stołu i przy ponczu, winie i piwie szybko dał z siebie wyciągnąć, po co przyszedł. Po kilku kolejkach dwaj żartobliwie usposobieni panowie zdołali przekonać podochoconego Francuza, że oświadczywszy się jednej pannie, nie może zapomnieć o drugiej. Nic więc dziwnego, że około dziewiątej pan Le Quoi powędrował prosić o rękę panny Grant, od której również dostał kosza.

Wrócił do dworu koło dziesiątej i zastał jeszcze Ryszarda i majora przy stole. Dowiedziawszy się o niepowodzeniu Francuza, starali się skłonić go, by poszedł w konkury do Remarkable Pettibone. Lecz mimo podniecenia winem i podwójnej rekuzy Francuz nie uległ dwugodzinnym perswazjom i najbardziej przekonującym argumentom... Z uporem wprost zadziwiającym u tak dobrze ułożonego człowieka sprzeciwiał się wszelkim namowom.

Beniamin odprowadzając go do drzwi powiedział na pożegnanie:

Gdyby pan usłuchał pana Dickensa i przycumował do boku pani Prettybones, to, na mój rozum, byłoby po panu. Już by pan od niej nie odbił. Panna Elżbieta i córka pastora to schludne okręciki, z którymi szparko by się płynęło. Ale panna Remarkable przypomina barkę: jak się ją raz weźmie na hol, to się ciągnie i ciągnie...

ROZDZIAŁ CZ1

O Z I E S T Y

Nie rzucim dla tych, co w radości, Tych, w których sercu smutek gości –

Niech na wesołych statkach Brzmi huczny śmiech wśród grzmiących

ech,

A tu – u wątlej łódki Niech ścichnie barda śpiew.

"Pan Wysp"

Na opisanych ostatnich wypadkach minęło całe lato. Objąwszy bez mała rok naszą opowieścią, musimy zakończyć ją w rozkosznym miesiącu październiku. Ale przedtem jeszcze zaszło dużo wydarzeń i o niektórych musimy koniecznie wspomnieć.

Najważniejszymi były ślub Oliwera i Elżbiety oraz śmierć majora Effinghama. Obydwa zaszły na początku września. Major zmarł zaledwie w parę dni po ślubie swego wnuka.

Marmaduk bardzo się trapił, jak tu pogodzić rolę sędziego z sympatią dla Skórzanej Pończochy i Beniamina. Jednakże zaraz następnego dnia po odkryciu tajemnicy pieczary obaj przestępcy dobrowolnie zgłosili się w Więzieniu i dobrze żywieni w wygodnych, warunkach odsiadawali karę, póki nie wrócił z Albany specjalny wysłannik. Przywiózł on od gubernatora ułaskawienie dla Skórzanej Pończochy. Tymczasem zdołano znaleźć sposób, by ugłaskać Hiram. Dwaj przyjaciele odzyskali więc wolność jednocześnie i powrócili do normalnego życia, jak gdyby nigdy nic na nich nie ciążyło.

Hiram Doolittle począł powoli odkrywać, że ani jego zdolności architektoniczne, ani kwalifikacje prawnicze nie mogą już olśniewać osadników, szybko mądrzejących i porastających w piórka. Wyciągnąwszy więc do ostatniego grosza odszkodowanie za postrzał, "zwinął namioty", jak się to mówi, i pociągnął dalej na zachód, siejąc wszędzie po drodze swą wiedzę ciesielską i prawniczą. Ślady jego przejścia pokutują do dziś.

Nieszczęsny Jotham, który życiem przypłacił własną głupotę, przyznał przed śmiercią, że to wróżka, za pomocą magicznego lustra czyta-

jąca w tajnikach ziemi, powiedziała mu o ukrytych skarbach. W owych czasach osadnicy często wierzyli w takie bzdury. Gdy minęło pierwsze wzburzenie, wywołane opisanymi wypadkami, poważniejsi ludzie szybko zapomnieli o wszystkim. Ryszard zupełnie wyzbył się podejrzeń wobec trzech myśliwych. Odebrał też bolesną naukę na przyszłość. To zapewniło Marmadukowi spokój na dłuższy czas.

Pan Le Quoi, wprowadzony do naszej opowieści dlatego, że trudno sobie wyobrazić Amerykę bez podobnej postaci, zastał swoją plantację i Martynikę zajęta przez Anglików. Marmaduk i jego rodzina z przyjemnością dowiedzieli się jednak, że Francuz powrócił do swego kantoru w Paryżu, skąd co roku nadsyłał biuletyn o swym szczęściu i wdzięczności dla amerykańskich przyjaciół.

Takiego to październikowego ranka, mniej więcej w połowie miesiąca, Oliwer wszedł do sieni, gdzie Elżbieta wydawała codzienne zlecenia służbie i zaproponował jej wspólną przechadzkę na brzeg jeziora. Smutek, z jakim mówił, od razu zwrócił uwagę Elżbiety. Przerwała więc swe zajęcia, okryła się lekkim szalem, włożyła na kruczoczarne włosy słomkowy kapelusz, przyjęła podane jej ramię i wyszła bez słowa. W milczeniu minęli most, skręcili z traktu i poszli brzegiem wody. Elżbieta domyśliła się, dokąd idą. Przez delikatność jednak wołała

0 nic nie pytać. Ale gdy już weszli na otwarte pola i ujrzeli gładką taflę jeziora, a na niej stado dzikiego ptactwa – które w przelocie z zimnej północy pod cieplejsze nieba wypoczywało na kryształowym Otsego –

1 zбочa gór, jakby na cześć młodej pary mieniące się żywymi barwami jesieni, dała się ponieść nastrojowi.

–Czemu milczysz, Oliwerze? – zapytała przyciskając się do jego ramienia. – Cała przyroda chwali Pana, czemu więc my, którzy Mu tak wiele zawdzięczamy, idziemy w smutku?

–Elżbieto, tak lubię słuchać twego głosu – uśmiechnął się Oliwer. – Pewnie wiesz, po cośmy tu przyszli. Wtajemniczyłem cię w mój plan, co o nim myślisz?

–Najprzód muszę zobaczyć. Ale i ja mam swój plan. Chyba już ci go zdradzę?

–Z pewnością chodzi o mego starego przyjaciela, Natty'ego?

–Tak, o Natty'ego. Ale musisz też pomyśleć i o innych przyjaciółach. Zapominasz o Luizie i jej ojcu.

–Skądże znowu. Czyż pastor nie dostał najlepszej farmy w całym okręgu? A co do Luizy, to chciałbym, by na zawsze pozostała przy nas.

– ' – Chciałbyś?'-... Elżbieta z lekka zacisnęła lista. – Ale biedna

Luiza1 może.ma inne plany. Może wolałaby pójść za moim przykładem i wyjść za mąż.

–~ Nie zdaje mi się – po chwili namysłu odparł Oliwer, – -Nie widzę tu nikogo odpowiedniego.

–I ja nie widzę. Ale świat nie kończy się na Templeton i aa naszym kościele Św, Pawła. ' |

–Kościele? Czyżbyś chciała zdymisjonować pastora Granta? Wprawdzie to człowiek prosty, ale wspaniałego serca. Nie znajdę nikogo innego, który by choć w połowie tak odpowiadał mojej wierze. Chciałabyś, żebym się ze świętego stał grzesznikiem?

–A jednak, mój panie, tak być musi, nawet gdybyś z anioła miał stać się mężczyzną – nieznacznie uśmiechnęła się Elżbieta.

–.A co z farmą?.. v ' |

–Będzie ją mógł. wydzierżawić, jak to robią inni. Zresztą, czy wyobrażasz sobie duchownego mozolącego się na roli?

–A gdzieżby się mógł podziać? Zapominasz o Luizie.

–Nie. Ani na chwilę. – Elżbieta znów zacisnęła piękne usta. – ...

Jak pamiętasz, mój panie mężu, ojciec-powiedział ci, że ja nim rządę i że będę rządziła tobą. Teraz właśnie się do' tego zabieram.

–Cóż masz na myśli?.,t ' |

–Mój ojciec wystarał się dla Granta o. przeniesienie do jednego ' z miast nad Hudsonem. Tam będzie mu lepiej niż tu w ciągłych

wędrówkach po puszczy. Zmierzch życia spędzi w spokoju i wygodach, a jego córka zobaczy ludzi i nawiąże odpowiednie znajomości.

–Bess, zadziwiasz mnie. Nie posądzałem cię o taki zmysł organizacyjny.. t

–O, moj my<! orga iLa^ym-' riegd daie], nmi n na l |>bl ' <? uśmiechnęła się 'irts ve lal * je(t jednitk moja ao" auva' się !*' po Ji>ot"dd koncie i>/najmniej ni jaki* <vis

Olraei roześmiał wę Wes/li iw małrj polankę, gd/ie dawniej pi <całe lata \ (a*a chrtKi Skóii/anej nońc2nrhiy Fl/bieta iauwa/\ła. / polanki upi/dtincto 7dis/c/a, a darń, którą ja wyłożono i las wokół wesoło zazieleniły ->ie pod obfitymi di^zc/ami. tok jakb> tego toku wiosna rwutah po u?7 drujn C a'e miejsce ot n <no te/ m^rKiem Młodzi lud'ie Wł"vl Ho mo łka om> /^ma p<małą iii?tl>, i ze /dziwleniem /ohit/!> h "bok niei sit c* N'ut* /"> nitj o ii'i r Oba

ps\ leniły w tidvwc! <' zda;)" sobu mw,it U' ".o, niecoś

zmieniło, są na swoim terenie, i w znanym im otoczeniu, a on wyciągnął się na ziemi przed białą marmurową płytą. Palcami odgarnął na bok wysoką trawę wyrosłą na urodzajnej glebie i obnażył napis wyryty na kamieniu. Obok płyty stał wspinały pomnik, ozdobiony rzeźbami i uwieńczony urną.

Elżbieta i Oliwer niepostrzeżenie podeszli do grobów. Na ogorzałej twarzy Natty'ego dojrzeli wzruszenie; raz po raz mrużył oczy, jakby nie mógł przebić zasłony. Po chwili podniósł się wolno i rzekł:

–Tak, tak... mogę powiedzieć, że wszystko w porządku. Tu coś jest napisane, ale nic z tego nie rozumiem. Fajka, tomahawk i mokasyny wcale udane, jak na człowieka, który – muszę zauważyć – nigdy ich nie widział. A więc leżą obok siebie w ziemi, dość szczęśliwi. A któż mnie pogrzebie, kiedy wybije moja godzina?

–W tej nieszczęsnej godzinie nie zabraknie ci przyjaciół, Natty. Oddadzą ci oni ostatnią posługę – rzekł Oliwer wzruszony monologiem starego.

Myśliwy odwrócił się na pozór obojętnie. Ten zwyczaj przyjął od Indian.

–Przyszliście spojrzeć na groby? – zapytał. – Zbawienny to widok dla młodych i starych.

–Chyba nic nie zarzucisz tym grobom? – mówił dalej Oliwer. – Ty najwięcej masz tu do powiedzenia.

–Nie widywałem pięknych grobów, cóż więc znaczy moje zdanie. Ułożyliście majora głową na zachód, a Mohegana na wschód, prawda, chłopcze?

–Bo tak.chciałeś.

–Tak jest lepiej. Myśleli, że ich drogi się rozchodzą. Ale jest Ktoś potężniejszy od innych, kto we właściwej godzinie zgromadzi wszystkich sprawiedliwych, wybieli skórę Murzyna i postawi go obok książąt.

–Nie wątpię – odparła Elżbieta tym razem już łagodnym, smutnym głosem. – Wierzę, że wszyscy kiedyś się spotkamy i będziemy razem szczęśliwi.

–Naprawdę, dziecko, naprawdę? – wykrzyknął myśliwy z niezwykłym ożywieniem. – Ta myśl niesie pociechę. Ale zanim odejdę, chciałbym wiedzieć, co tu mówicie ludziom, którzy jak gołębie na wiosnę zlatują się do tego kraju, o starym Delawarze i najdzielniejszym z białych, jaki stąpał po tych górach.

Rzucający się w oczy niezwykle uroczysty nastrój Skórzanej Pończochy zdziwił Elżbietę i Oliwera. Przypisali to jednak powadze miejsca. Oliwer odwrócił się od pomnika i przeczytał głośno:

. "Ku czci Oliwera Effinghama, majora sześćdziesiątego pułku królewskiej piechoty, dzielnego żołnierza, prawego obywatela i uczciwego człowieka. Rycerskie cnoty łączył z głęboką wiarą chrześcijanina. Za młodu był szanowany, bogaty i wpływowy. Na starość ubogi, zapomniany i chory. Tę ciężką dolę złagodziła mu czuła opieka starego, oddanego i wiernego do końca przyjaciela i towarzysza, Nataniela Bumpo. Potomkowie wzniesli ten pomnik dla upamiętnienia cnót pana i wierności sługi".

Skórzana Pończocha drgnął na dźwięk własnego nazwiska, a radosny uśmiech wygładził jego twarde rysy.

–Naprawdę tak tu jest napisane? Wykuliście więc nazwisko starego tuż przy nazwisku jego pana? Niech wam to Bóg wynagrodzi! Dobry to uczynek, a im mniej człowiek ma życia przed sobą, tym bardziej ujmuje go dobroć – powiedział.

Elżbieta odwróciła twarz. Oliwer odpowiedział zdławionym głosem:

–Tak wykuto w marmurze. Ale należało to wykuć złotymi zgłoskami.

–Chłopcze, pokaż mi moje nazwisko – z dziecinną naiwnością poprosił Natty. – Pokaż mi moje nazwisko tak upamiętnione. To boski dar dla człowieka, który umrze bezpotomnie w kraju, gdzie żył tak długo.

Oliwer ujął rękę starego i przesunął jego palcem przez całe nazwisko litera po literze. Natty śledził ruch swego palca ciekawie, a potem podniósł się i powiedział: *

–Zdaje się, że wszystko w porządku. Dobra to była myśl i dobrze wykonana! A co napisaliście Indianinowi?

–Posłuchaj:

"Płytę tę położono ku pamięci wodza Indian z plemienia Delawarów, znanego jako John Mohegan, Mohikanin, Chingachgook...

–Źle, synu – poprawił go Natty. – Gach.: Chingachgook, cc znaczy Wielki Wąż. Trzeba dobrze napisać, bo u Indian nazwisko zawsze coś mówi.

–Każę poprawić – "był ostatnim ze swego narodu, który mieszkał na tej ziemi. Jego przywary były tylko przywarami Indianina, a cnoty – cnotami człowieka".

–To najszczerza prawda, panie.Oliwerze. Słowo daję! Gdyby go pan, nawet tak-
znał, jak ja go znałem w jego młodości, nie mógłby pars słowa dodać.dov tego
napisu. No, na mnie już czas.

•-' Czas? Dokąd się wybierasz? – ~~ zapytał Oliw er.. ;

Skórzana Pończocha odwrócił twarz, by ukryć bolesny grymas. Jednocześnie
pochylił się, wyjął zza grobowca ciężką sakwę i zarzucił ją sobie na ramiona-.''';

–Odchodzisz? – zawołała Elżbieta szybkimi krokami zbliżając się do starego. – -
Natty, w tym wieku nie powinieneś samotnie zapuszczać się w lasy. To bardzo
nieostrożnie...

–Żona ma rację, Skórzana Pończoch -.- poparł ją Oliwer. – Teraz już nie
potrzebujesz narażać się...na takie trudy. Odłóż ciężką/ sakwę i poluj gdzieś w
pobliżu,, jeżeli już chcesz,

–Trudy! Toć to największa 'przyjemność, jaka. mi pozostała u schyłku życia. " ' ' ' ;

–Nie, nie. Nie.powinieneś odchodzić daleko. – Elżbieta położyła białą dłoń na.
skórzanej sakwie...•! Miałam rację. Ma tu kociołek

i puszkę z prochem. Oliwerze, nie można mu pozwolić na odległe wędrówki.
Przypomnij' sobie jak szybko skończył'Mohegari.

–Wiedziałem, że pożegnanie będzie bolesne. Wiedziałem"- powiedział Natty. • – Sam
więc przyszedłem do tych grobów, a wara.chciałem zostawić pamiątkę. Coś, co
dostałem od,majora, gdyśmy się po raz pierwszy rozstawali w puszczy. Nie
wzięlibyście' mi za złe, żebym oliszedł bez pożegnania, prawda? Wiedzielibyście, że
to tylko moje ciało odeszło, ale serce zostało. '

–To rzecz poważna!...- wykrzyknął Oliwer – Dokąd się wybierasz,..Natty?. ;

Myśliwy przysunął się.do niego z dufną, mądrą miną, jakby to, co zamierzał
powiedzieć, miało uciszyć, wszystkie wątpliwości.-;

;- ' Mówiono mi, chłopcze, że nad Wielkimi Jeziorami można jeszcze pysznie
polować, i nie spotkać białego, chyba takiego jak ja. Zmęczyło mnie to życie wśród
poręb, gdzie od rana do nocy słyhać stuk młotów-. Wiele watn zawdzięczam,
dzieci... nie potrzebuję kłamać... ale chcę znów być w lesie. •. ;

–W lesie – powtórzyła Elżbieta drżąc ze wzruszenia. – Chyba tak nie 'nazywasz tych

niezglębionych borów?

–Cóż to jest" dla, człowieka obytego z dziką puszczą. Niewiele mr przyszło z tych'lasów od czasu, gdy przybył tu pani ojciec z osadnika-

mi. Nie ruszyłbym się jednak stąd, gdyby żyli ci, co tu leżą pod darnią. Ale umarli i on, i Chingachgook. A wy jesteście młodzi i szczęśliwi. Wesolo było we dworze ubiegłego miesiąca! Myślę, że czas, bym i ja zaznał trochę wesela u kresu żywota.

–Skórzana Pończochu, jeśli ci tylko czegoś brak do szczęścia, wystarczy, byś nam powiedział. Spełnimy każde twoje życzenie – odezwał się Oliwer.

–Wiem, że chcesz jak najlepiej, chłopcze. Wiem. I pani też jest bardzo dobra. Ale chadzamy różnymi drogami. To jak z tymi umarłymi: gdy żyli, myśleli, że jeden pójdzie na wschód, drugi na zachód. Każdy do swego nieba. Ale się w końcu spotkają. Tak będzie i z nami, dzieci. Postępujcie dalej tak samo, a spotkamy się w sprawiedliwym świecie.

–To coś tak nowego! Taka niespodzianka! – Elżbiecie zabrakło tchu z podniecenia.
– Myślałam, Natty, że zostaniesz przy nas i umrzesz z nami.

–Próżne słowa! – wykrzyknął Oliwer. – Parę dni nie zmieni czterdziestoletnich przyzwyczajień. Za dobrze cię znam, Natty, bym nalegał. Pozwól choć wybudować ci chatkę gdzieś daleko w górach, abyśmy wiedzieli, że jest ci dobrze i mogli cię czasem zobaczyć.

–Nie bójcie się o Skórzaną Pończochę, dzieck. Bóg gomie zostawi i ześle mu szczęśliwy zgon. Wiem, że chcecie jak najlepiej ale nasze drogi się rozchodzą. Ja kocham lasy, a wy – ludzkie twarze. Ja jem, gdy jestem głodny, a piję, gdy spragniony. Wy – o wyznaczonej porze. Nie, nie. Ty nawet przekarmiasz psy, chłopcze, ze zwykłej dobroci. A chude psy lepiej gonią. Nawet najlichsza boża istota ma jakieś przeznaczenie; ja stworzony jestem do puszczy. Jeśli mnie kochacie, pozwólcie mi odejść, dokąd mnie ciągnie serce.

To zadecydowało. Nikt już starego nie zatrzymywał. Elżbieta opuściła głowę na piersi i cicho łkała. Oliwer otarł łzy z oczu, drżącymi rękami wyciągnął portfel, wyjął plik banknotów i podał je myśliwemu.

–Weź to – powiedział. – Przynajmniej to. Schowaj przy sobie. Mogą ci się przydać.

Starzec wziął w rękę banknoty i przyjrzał im się ciekawie.

–A więc to są te nowe pieniądze, które w Albany wyrabiają z papieru. Nic nie są warte, gdy ktoś nie umie czytać! Nie, mój chłopcze, zabierz je sobie. Mnie się nie przydadzą. Udało mi się dostać

cały proch Francuza, a ołów podobno znajdę tam, dokąd idę. Nie zdadzą mi się nawet na przybitkę, bo używam "tylko skóry...

–. Zaklinam cię, Natty, zostań! – wykrzyknęła Elżbieta. – Dwa razy uratowałaś rui życie, służyłaś drogim mi ludziom, nie zwiększaj mych zmartwień obawą o twój los. Zrób to dla mnie, jeżeli nie dla siebie. Choroby, samotność, bieda – wszystko, co tylko wyimaginuje fantazja, zwiąże się z twoją osobą. Zostań z nami. Jeśli już nie dla siebie, to dla nas.

–Niech pani ufa Bogu, polega na swym szlachetnym mężu, a niepokój o starego człowieka szybko przeminie. Błagam Boga – tego, co panuje zarówno na porębach, jak i w lasach – by pani nie opuszczała by błogosławił tobie i wszystkiemu, co twoje, aż po ten wielki dzień, kiedy biali spotkają się z czerwonoskórymi na sądzie, gdzie decydować będzie sprawiedliwość, nie siła.

Elżbieta uniosła głowę i nadstawiła staremu poblady policzek. Natty uchylił czapki i z szacunkiem dotknął go ustami. Oliwer w milczeniu uścisnął kurczowo rękę Natty'ego, który szykując się do drogi, mocniej zacisnął pas, lecz jeszcze- zwlekał z bolesnym rozstaniem. Parę razy chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa z zaciśniętego gardła. Wreszcie zarzucił strzelbę na ramię i już czystym głosem krzyknął na psy, a puszcza odpowiedziała mu echem.

–Do nogi, do nogi, pieski... idziemy, idziemy. Zabolą was łapy, nim dojdziemy do celu.,

Psy zerwały się na nogi. Po raz ostatni obwąchały młodą, milczącą parę, jakby zrozumiały, o co chodzi, i posłusznie pobiegły za panem. Przez chwilę panowała głęboka cisza. Oliwer, pochylony nad grobem dziadka, ukrył twarz.

Elżbieta ujrzała jeszcze starego myśliwego, jak stał na skraju lasu i oglądał się za siebie.

Młodzi wtedy po raz ostatni wiedzieli Skórzaną Pońchochę. Nie zdołał go dopędzić ani odnaleźć sędzie, który natychmiast zarządził poszukiwania i sam nimi pokierował. Tak odszedł gdzieś daleko na zachód pierwszy z pionierów, który utorował Amerykanom drogę przez kontynent.

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/